

Książka Hansa-Ottona Meissnera odznacza się osobliwym urokiem: różnorodne tematycznie rozdziały, dokładnie pouczające, jak należy postępować, żeby móc przetrwać wśród dzikiej natury, rozpoczynają się od przygód, które przeżył sam autor i jego znajomi i które komentuje korzystając, z przeróżnych źródeł, w tym z rozmów z osobami bezpośrednio przeżywającymi zmagania z przyrodą. „Sztuka życia i przetrwania” nie bez kozery nosi właśnie taki tytuł. Oprócz tzw. survivalu, czyli sztuki przetrwania w pojedynkę w najbardziej prymitywnych warunkach, autor na pierwszy plan wysuwa charakter, sposób życia, zdolności i zaradność osób poddających się ciężkiej próbie bądź z własnej woli, bądź pod przymusem. Nie szczędzi pochwał pierwszym i ostrych słów krytyki drugim — za indolencję i głupotę. Udowadnia, że człowiek, nawet bez przygotowania, byleby tylko miał mocne nerwy i odrobinę pomysłowości, da sobie radę i w środku niezmierzonej pustyni, i bezkresnej tundry. Książkę Meissnera czyta się, mimo szczegółowości porad praktycznych, jak dobrą powieść sensacyjną.

ISBN 83-11-07814-9



hans-otto meissner
sztuka życia
i przetrwania

Tytuł oryginału: DIE ÜBERLISTETE WILDNIS

© Copyright by Bertelsmann Verlag GmbH, München, 1982

Okładka i strona tytułowa
MICHAŁ MARYNIAK

Ilustracje
HEINER ROTHFUCHS I WILFRIED HENNINGER

Redaktor
ANDRZEJ BOGUSŁAWSKI

Redaktor techniczny
RENATA WOJGIECHOWSKA

© Copyright for the Polish edition by
Wydawnictwo Reptora.



BibliotekaGlobtrotera.blogspot.com

Najnowsze książki podróżnicze online.

Aby nas wspomóc, wejdź na powyższą stronę i kliknij na jedną z reklam. Zajmie Ci to kilka sekund, natomiast za zysk z banerów zostaną zakupione najnowsze książki o tematyce podróżniczej które z pewnością pojawią się w katalogach torrentów.

ISBN 83-11-07814-9

Co to jest survival.

Jest to umiejętność przetrwania na łonie dzikiej natury dobrowolnie bądź też w sytuacjach przymusowych.

W obu wypadkach obowiązuje identyczna znajomość rzeczy, różne są tylko powody. Kto szuka swobody na odludziu, cieszy się z pobytu na łonie dziewiczej natury, kto zniemacka zostaje do tego zmuszony, lęka się o życie. Pierwszy chciałby pozostać, drugi jak najprędzej oddać się. Dla zapamiętaniego trapera natura jest dobrym przyjacielem, kto jednak zetknie się z nią w krytycznych okolicznościach, temu otoczenie wydaje się wrogiem.

Każdy z nas może się znaleźć w podobnym położeniu nawet we własnym kraju. Na przykład pewne starsze małżeństwo odkryło na spacerze w naszym rejonie łowieckim wąską ścieżkę, wiodącą w bok od szerokiej trasy turystycznej. Brak było jakiegokolwiek oznakowania. Małżeństwo zboczyło z trasy. Była to ścieżka do polowania z podchodu, która nagle się urywała. Wycieczkowicze zawrócili już trochę wystraszeni, bo zaczęło się zmierzchać. Wkrótce stało się ciemno i nie można się było zorientować, którądy wiedzie ścieżka. Ludzi ogarnął strach. Gdy poniżej w dolinie ujrzeli światło, postanowili zejść na przelaj. Fatalna decyzja nocą w nieznany teren. Mężczyzna pośliznął się niebacznie na skalnej ścianie i legł z przetrąconym kręgosłupem. Żona chciała mu pomóc i także spadła z gładkiej ściany. Gdy na trzeci dzień znaleziono oliary nieszczęśliwego wypadku, żył już tylko mężczyzna, wkrótce jednak zmarł także na skutek odniesionych obrażeń.

Oboje padli ofiarą własnej paniki. Zginęli w męczarniach tylko dlatego, że bali się zostać nocą w lesie.

Oto jeden z przykładów, jak obca dla wielu ludzi stała się natura. Boją się już w czasie nadciągającej mgły. A przecież nie ma w niej nic takiego, co dawałoby najmniejszy powód do konsternacji. Trzeba się jedynie przystosować do nowej sytuacji. Otóż to: przystosowanie jest najprostszą formą survivalu.

sliwi.
reśl-
tkich
olicy,
, nad
:pszc
i nie
ę do
tych
kład
ynie
czną
tota,
eza-
i lu-
jest
ony
nio-
udał
czo
ze-
cim
es-
le-
ie-
ele
em
go
wy
d-
n-
b-
o-
ć.
ki
h
j-
i-

wości danego terenu i uchronić się od niewygód, które nastroczą. Czego nie opinowali jedni, udało się drugim. Na przykład bumerangiem posługują się jedynie Aborygeni, jedynie Eskimosi umieją budować igłó, tylko kilka ludów zna trombitę. Ale te środki bywają przydatne także w innych okolicach. Łodzie plecione z sitowia można było spotkać nad jeziorem Czad i na wyżynach Peru. Który rodzaj był lepszy? Kto by pomyślał, że można rozniecić ogień za pomocą lodu?

Niestety, o wszystkich tych wiadomościach i umiejętnościach przeważnie od dawna zapomniano. Jedyne u ludów pierwotnych można się natknąć na resztki tej wiedzy, bo i one dostosowały się do nowych czasów. Ich życie przeobraziło się już w trakcie pierwszych kontaktów ze światem zewnętrznym i w potównaniu z poprzednią egzystencją „współczesnili się”. Przełom dokonał się wraz z pojawieniem się pierwszego stalowego noża w trakcie handlu wymiennego. Siekiera, żelazny garnek i każdy obcy przedmiot oznaczały zerwanie z dotychczasową formą bytu. Gdy do pierwotnych ludów dotarł proch i ołów, gdy dostali od białego człowieka siła i sieci, zapomniano o starych, różnorodnych, tak mądrze przemyślanych metodach zdobywania łupu. Definitywnie zanika przekazywanie tradycji.

Tym większe okazały się teraz zasługi i zdobycze owych uczonych i etnologów, im prędzej zdążyli oni opisać zwyczaje i nawyki pierwotnych ludów. Ponadto do sprawozdań dołączyli szkice i komentarze, z których można się było dokładnie dowiedzieć, w jaki sposób wykonuje się większość narzędzi, broni i siła. Przez sto lat albo i dłużej spoczywały owe foliały prawie nie zauważone na półkach naukowych bibliotek. Sięgnęli po nie dopiero eksperci od survivalu, dokładnie je przestudiowali i przeprowadzili badania porównawcze. Od tej pory zdobyli kwintesencję najlepszych doświadczeń poczynionych ongi przez ludy pierwotne i traperów. Doszło do tego wiele współczesnych zdobywców wiedzy i całkowicie nowe środki pomocnicze.

Potem wyłonił się obowiązek wyszkolenia w tym duchu współczesnych ludzi. Przede wszystkim dotyczyło to wojskowych. Systematyczne szkolenie na szerszą skalę zaczęło się jednak dopiero po drugiej wojnie światowej, przede wszystkim ze względu na liczne zaginięcia przy skokach ze spadochronem i przymusowych lądowaniach. W tym wypadku szkolenie w sztuce przetrwania stało się nieodzownie konieczne.

Obecnie istnieje bardzo dużo szkół survivalu z nauczycielami i ekspertami, prowadzącymi wielomiesięczne wykłady. Każdy kurs kończy się ćwiczeniami praktycznymi, które pod względem rygorystycznych wymagań nie pozostawiają nic do życzenia. W tym celu wybiera się jak najtrudniejszy teren, a egzaminy odbywają się w najbardziej nieprzychylny porze roku. Z bardzo skromnym, lecz odpowiednio dobranym, ekwipunkiem grupa zrzuca się wśród dzikiego pustkowia i zdana na własne siły. Ludzie muszą

wytrwać w tym terenie przez pewien określony czas lub mają za zadanie dotrzeć stamtąd do ustalonego miejsca. Nie dostają w ogóle bądź też dostają niezwykle mało prowiantu, nie mają map, broni myśliwskiej i oczywiście nie ma tam kwater. Grupa musi dowieść, czego się nauczyła. Na wszelki wypadek mają przy sobie aparat nadawczy, ale wolno im wzywać pomocy wyłącznie w razie bardzo poważnego zagrożenia zdrowia lub groźby śmierci. To, co rozpoczęło lotnictwo, podjęły inne formacje wojskowe. Przedmiot nauczania zwie się „wyszkoleniem randżerskim” i staje się coraz bardziej popularny. Wprowadziły go także niemieckie siły zbrojne, jakkolwiek w Niemczech brak prawdziwych pustkowi.

Na szczęście survival nie ogranicza się jedynie do sfer wojskowych. Bardzo się rozpowszechnił i stał się sportem, którym entuzjastycznie się coraz więcej ludzi.

W USA i Kanadzie powstała na ten temat obszerna literatura. Sprawozdaniom z doświadczeń nie ma końca. Każdy może nabyć lekki i praktyczny ekwipunek. Ustawnie wprowadza się ulepszenia.

Ten, kto szuka odludzia, wie, jak je znaleźć. Nie znajduje się ono tak daleko. Mamy na myśli Laponię, Finlandię i pozostałe kraje północnej Skandynawii. Zwolennikom szczególnie dzięki romantyki poleca się także Islandię i Spitsbergen. Nawet góry w obrębie i poza granicami naszego kraju nadają się do uprawiania survivalu. Co się tyczy czasu, wystarcza zwykły urlop, a koszty, na które składa się przejazd tam i z powrotem, sprawiają, że są to najtańsze wakacje, jakie tylko można wymyślić. I na pewno najzdrowsze.

Iskry i ogień

W yjmij zapalki — powiedział Jaumo — zaraz zrobimy sobie ogieniek.

Był nam bardzo potrzebny, bo poprzez zarośla wiał lodowaty wiatr i zbliżała się noc. Po ciemku nie mogliśmy dojść do ogniska ze względu na bagnisty teren.

— Gdzie włożyłeś zapalki? — spytałem Lapończyka.

— Przecież sam je pakowałeś — odparł, szczerząc zęby w uśmiechu.

Nie pakowałem niczego poza osobistymi gratami. Jaumo jest moim przewodnikiem, najlepszym znawcą zwierzyny łownej i lasów w tym odległym zakątku Norwegii. Myślenie o wszystkim jest jego obowiązkiem.

— Nie pomyślałem o zapalkach.

Wzruszył szerokimi barkami, czyniąc mi zarzut z karygodną lekkomyślnością.

— Jak to możliwe, żeby taki wielki myśliwy jak ty, który już wszędzie był, wyruszył ze schroniska bez zapalek w kieszeni?

Mój traper nie mógł tego zrozumieć i w tym wypadku miał rację. Ale tak się już stało i dzięki złośliwemu przypadkowi dotyczyło to nas obu.

— Przydałaby się nam teraz soczysta pieczeń z rożna — zapewnił traper, młaskając językiem. — Byk nie jest aż tak stary, żeby miał być tykowany.

Wczesnym popołudniem zastrzeliłem łosia, nie z jakimś wspaniałym łopatom, ale bądź co bądź łopataczką. Wypatroszyliśmy go fachowo i zabralo nam to sporo czasu. Mogłaby się nim najeść do syta cała kompania, ale bez ognia nawet my dwaj nie mieliśmy z niego żadnego pożytku.

— Tak to jest — rzekłem do krzywonogiego przewodnika — dokoła tyle drzew, że można by się przy nich grzać ze sto lat. Ale co nam po nich, skoro nie ma zapalek...

Niski, krępy człowiek roześmiał się od ucha do ucha.

— Będę musiał rozpalić ogień prastarym sposobem — odparł.

— Za pomocą noża i krzemienia?

Zauważył, że tutaj nie ma kamieni tylko miękką, zbutwiałą ściółka.

— Utrzymaj z niej ogień — wyjaśnił, jakby rzecz była zrozumiała sama przez się — musi to jednak trochę potrwać, a najpierw trzeba przynieść hubę. Przez ten czas możesz sklecić całkiem solidny wiatrochron.

Wiatrochron mogę zrobić i potem. Teraz chcę zobaczyć, gdzie zdobędzie hubę. Tak naprawdę to nie wiedziałem, co to takiego. Myślałem, że po prostu jakaś sucha, puszysta rzecz, z której, gdy na nią padnie iskra, zaraz buchnie ogień.

Jeszcze sto pięćdziesiąt lat temu w każdym obejściu był zapas huby. Przechowywano ją w osobnej puszcze. Obecnie dobrą hubę można znaleźć wyłącznie w środowisku naturalnym, i to pod dostatkiem, o ile ktoś się na tym zna.

Mój Lapończyk znał się. Uszliśmy raptem kilka kroków. Pod zewnętrzną skórką każdej brzozy znajduje się cieniutka warstwa pierwszorzędnej kory. Można ją całkiem łatwo oderwać i nawinąć na palec jak pasek papieru. Ten drewniany naskórek pozostaje całkiem suchy nawet w czasie wichury i najgorszej pogody. Jaumo roztarł go na drobną kłeczkę i wsypał okruszyny do kieszeni.

— To samo możesz zrobić z podkorzem modrzewi i cedrów — wyjaśnił. — Taka warstwa znajduje się na wszystkich drzewach iglastych. Brzozowa huba jest jednak najlepsza. Tylko trzeba do niej dodać tego i owego.

Szukał poźółkłego mchu wysuszonego przez wiatr, suchych porostów na starym świerku i cienkich słomianych źdźbeł trawy. Wystarał się o meszek



Cienkie warstwy pod zewnętrzną korą brzozy są dobrą hubą

uschniętej wierzbowej bazi, pył z martwych grzybów i koniuszki zeschniętych gałązek. Wszystko razem powędrowało do lewej kieszeni spodni, gdzie przez cały czas rozcierał to i mieszał ręką. Równocześnie nie przestawał przemawiać jak nauczyciel do ucznia.

— Bardzo przydatny jest również puch z prasich gniazd, a także... nie zapomnij... wysuszone na proszek prasie, zajęcie i mysie bobki. Nawet odchody zwierzyny racicowej są nie do pogardzenia. Wszystko to musi być jednak rozarte na drobne strzępki. W razie potrzeby możesz powyciągać wełniane nitki z własnego ubrania albo rozdrobnić kawałek gazy. Warto też pamiętać o mleku w proszku i martwych lodygach roślin. Jest i wiele innych możliwości: kto o tym wie, temu zdobycie huby nigdy nie nastęca trudności. Nam już wystarczy, jeszcze tylko musimy poszukać kija do tarcia i odpowiedniego podkładu.

Zdziwiony podązałem za nim truchcikiem. Jaumo zbliżał się do starego modrzewia, w który trafił piorun. Z rozartego pnia zwisały szerokie płaty i skrzypiąc poruszały się na wietrze. Sprawdzał paznokciem poszczególne kawałki. Wybrał jeden z nich, długi i szeroki na metr, o grubości dwóch, trzech centymetrów.

— Ten ujdzie, nie jest za miękki ani za twardy i w dodatku będzie blisko przylegał do ziemi.

Żeby zaspokoić żądę wiedzy, spytałem, czy musi to być modrzew.

— Do tego celu nadają się wszystkie drzewa iglaste, a także wierzba, wiąz, topola i lipa... te jednak tutaj nie rosną.

Wcisnął szczapę pod pachę i zauważył, że teraz brakuje mu tylko kija do roznieciania ognia. Raz po raz podnosił gałęzie, lecz żadna mu się nie podobala.

— Nie można ich użyć, bo wszystkie zwilgotniały od ziemi. Musimy znaleźć jakiś stojący na uboczu szkielet, ale niezbyt stary.

Mówiąc „szkielet” miał na myśli uschnięte drzewo, które obumarło nie później niż rok temu.

— Wiatr wysusza lepiej niż słońce — powiedział — dlatego nie powinni się szukać w gęstwinie, gdzie wiatr nie ma dostępu.

Chwycił sterczącą gałąź od dawna ogołoconą z liści i odłamał kijek grubości kciuka, pobrywał wszystkie boczne gałązki, okorował go, a potem odciął kawałek długości około sześćdziesięciu centymetrów. Zaokrąglił koniec, którym chciał trzeć.

— Kij do roznieciania ognia musi być mocny i suchy jak kość — ciągnął — wybiera się drzewo nie za twarde i nie za miękkie. Niekoniecznie całe drzewo musi być martwe, wystarczy, jeżeli odpowiednia gałąź jest pozbawiona soków. W przeciwnym razie możesz wierceć godzinami i nie powstanie ani jedna iskierka. Dobry kij można najłatwiej znaleźć na przewróconym

pieniu, którego gałęzie sterczą do góry. Musisz jednak przyrzeć się dokładnie miejscu złamania, czy rzeczywiście pozbawione jest już soków.

Położył płat drewna na ziemi jako podkładkę, wyciągnął zza cholewy nóż myśliwski i w odległości trzech centymetrów od krawędzi wywiercił nim otwór o średnicy dwóch centymetrów. Na upartego dałoby się tam wetknąć kciuk aż do pierwszego stawu. Podkładka nie była jednak przeciwrona na wylot. Wyciął w niej szczelinę, sięgającą od otworu do samego brzegu. Od strony otworu była ona bardzo wąska i rozszerzała się na kształt lejka ku krawędzi.

— Kto nie ma noża, musi sobie poradzić za pomocą ostrego kamienia — pouczal. — Ludzie postępowali tak z powodzeniem przez setki lat. My, Lapończycy, dopiero w dwunastym wieku kupiliśmy pierwszy nóż od wikingów.

Jaumo wygrzebał z kieszeni zebraną hubę i napełnił mieszanką wylot wyjętej w deszczulce szczeliny. Tę sypką garstkę huby otoczył waleczkiem ziemi, żeby osłonić ją przed wiatrem.

Nadal jednak nie chciał rozpocząć ucierania. Musiał przedtem ułożyć warstwami na obozowe ognisko stos drewna w środku pustej, żeby można było tam wetknąć uschnięte gałązki i suchą trawę. To gniazdko dla ognia ze starannie dobranej materiału, które miało służyć za punkt natarcia ognia, nazwał serduszkciem. Wzniesiliśmy przed nim wiatrochron.

— Teraz możemy zaczynać — powiedział Jaumo. Wziął kij do roznieciania ognia i wetknął jego zaokrąglony koniec w wywierconą w podkładce dziurę. Obracał kij pomiędzy rozpostartymi na płask dłońmi, z początku powoli i ostrożnie, żeby mieć dobre wyczcucie, a potem coraz pręcej. Z otworu dobiegło skrzypienie i wyraźnie widać było, jak koncertując czarodziej ognia. Starał się dokładnie pokazać mi, co robi.

— Same obroty nie wystarczą. Trzeba równocześnie przyciskać, żeby w dziurze powstało silne tarcie. To kwestia wprawy. Musisz wiedzieć, że nie ıda ci się za pierwszym razem, a nawet przy szóstej czy siódmej próbie. Nie wolno za mocno przyciskać, bo kij będzie się za wolno obracał. Nie można też za słabo, bo trzeba wywołać odpowiednią siłę tarcia.

Stopniowo jego ręce ześlizgiwały się po kiju, aż do samego dołu, czego widocznie nie można było uniknąć. Podnosił je błyskawicznie i na nowo zakrywał od samej góry.

— Niektórzy ludzie wrzucają do otworu także i kilka ziarenek piasku — powiedział — ale tylko wtedy, gdy drewno jest bardzo twarde, nam nie jest to potrzebne.

— A w ogóle jak długo to potrwa? — chciałem wiedzieć.

Pochylił się i tarł coraz pręcej.

— W środku jest już pył drzewny... powstał na skutek wiercenia i zaczyna się żarzyć od tarcia.

Wewnątrz stosu drewna utworzyć gniazdko dla ognia z uschniętych gałązek i suchych traw. Ognisko oszańcować kamieniami



Nie chciałem już pytać, żeby mi nie przeszkadzać. Gapiłem się tylko na magiczną dziurę i skrzypiący kręciołek.

Ze szczeliny zaczął się wydobywać ciemny pył, zdawało mi się, że czuję dym i zaraz potem ujrzałem kilka rozżarzonych punktów. Rozszerzały się i stawały coraz grubsze. Nad kijkiem zaczął się wznosić nikiły szarobiałdy obłoczek. Migotanie stawało się coraz wyraźniejsze, rozpalony pył drewna wpelzał przez szczelinę jak liszka z czerwonym grzbietem i dotarł do krowędzi podkładki.

Jaumo odrzucił kijek, równocześnie się schylił i zaczął bardzo strasznie dmuchać na rozżarzone punkciki. Wkrótce pod wpływem jego oddychu stały się jeszcze jaśniejsze i zaczęły wpadać do zgromadzonej huby. Dmuchał trochę mocniej, nad sterłą drgnęło kilka małych płomyków. Prędko się rozprzestrzeniły, ogarnęły leżącą luzem kupkę huby i niebawem cały jej zapas zapalił się.

— No i dobrze — ucieszył się Jaumo — to już mamy za sobą!

Powoli przesunął małe ognisko na kawałek kory, odwrócił się i ostrożnie położył kupkę żaru w jamę pod ułożonym stosem drewna. Po chwili usłyszeliśmy, jak coś zaczyna szeleścić. Wkrótce potem ze stosu wystąpiły pierwsze płomienie. Wszystko to razem nie trwało dłużej niż kwadrans od momentu, gdy zaczął kręcić kijkiem.

Mamy dobrą kolację: smaczne kotlety losiowe z rożną, przyprawione pieprzem i solą. Do tego pełny kapelusz żurawin, a z butelki kilka łyków czegoś mocnego. Śmiało można powiedzieć, że jest bardzo przyjemnie i swojsko. Na zakończenie, zgodnie ze starym zwyczajem przyjętym przy obozowym ognisku, zakurzyliśmy fajeczkę. Gdy wzięłem płonącą gałązkę, żeby sobie przypalić, Jaumo podał mi zapalki.

Kij do rozniecania ognia obracać ręcznie. Do przytrzymywania kija użyć płaskiego drewienka lub kamienia. Deska służąca do rozniecania ognia musi mieć wyłobioną przy brzegu otwór i szczelinę. Kij do wiercania musi być moczny i suchy



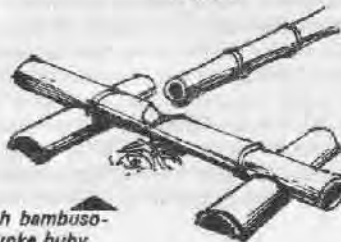
Najłatwiej obracać kij za pomocą łuku



Do tarcia użyć mocnego sznura. Pod punktem tarcia ułożyć hubę.



Ogień krzesać za pomocą stali i kamienia



Wyciąć wgłębienia w prętach bambusowych. Pod spodem ułożyć kupkę huby

— Będzie ci bardziej poręcznie — rzekł z przebiegłym uśmiechem. Byłem skonsternowany: po co ten cały ambaras z męczącym tarczem?

— Po co? — Zaśmiał się jeszcze chytrzej. — Właśnie dlatego, że chciałeś zobaczyć, czy człowiek może dokonać wszystkiego, na czym się zna!

Tak więc cała sprawa była z góry ukartowanym zartem i Jaumo na pewno zdrowo się ubawił pokazując, w jaki sposób rżenny Lapończyk roznieciłby ogień, gdyby istotnie zapomniał zabrać zapalek.

— Jesteśmy ludźmi nowoczesnymi — powiedział. — Niestety, już tylko bardzo nieliczni znają nasze lapońskie sztuczki. Odbywałem w tym kierunku normalne studia i uptyknęło wiele czasu, zanim odkryłem, w jaki sposób dokonywano dawniej tego lub owego.

Tak, dawniej, kiedy Lapończycy mogli liczyć wyłącznie na siebie i nie mieli kontaktu ze światem zewnętrznym, każdy w tym kraju umiał być samowystarczalny.

— Tu prawda, że pokazałem ci jeden ze sposobów rozpalania ognia bez zapalek. Istnieje jednak wiele innych sposobów, zależnie od klimatu i okolicy.

Prastarą metodę, którą pokazał mi Jaumo, można ulepszyć i ułatwić sobie pracę, jeżeli do kręcenia kijka użyje się łuku. Nie musi być większy ani lepszy od tego, jaki umieliśmy sobie zmagistrować, będąc dziećmi. Jeżeli się nie ma sznurka, można założyć cienki paseczek ze skóry. Luźno założoną cięciwę należy owinąć wokół kijka i prawą ręką pociągać tam i z powrotem w kierunku poziomym, całkiem tak, jakby się trzymało piłę. Od właściwego napięcia cięciwy zależy, czy kijek będzie się kręcił dobrze czy źle.

Przy użyciu łuku lewa ręka pozostaje wolna i możemy nią przyciskać obracający się kijek. Jeżeli lewe przedramię oprzeć o lewe udo, zyskuje się bardzo dobry punkt oparcia.

Następnie przechodzimy do tak zwanej deseczki czarnej. Nie wycina się w niej otworu, tylko długi rowek, szerokości około dwóch centymetrów. Deseczkę opiera się jednym końcem o lewe kolano, a drugim ukośnie o ziemię. Tuż przed nią u wylotu rowka leży kupka huby. Kreciołek obejmuje się mocno oburącz. Jego stępiony, zaokrąglony koniec należy trzymać ukośnie do rowka. Mocno przyciskając, przesuwa się go możliwie jak najprędzej wzdłuż rowka, tam i z powrotem. W ten sposób uzyskuje się podobną siłę tarcia, jak przy zastosowaniu pierwszej metody. W końcu zeskliżuje się do huby rozżarzony pył drzewny i trud zostaje wynagrodzony.

Jest także i inna możliwość, jeżeli ma się do dyspozycji szorstki szmir, na kamieniu lub na pniu drzewa, na wysokości około dwudziestu, trzydziestu centymetrów nad ziemią kładzie się szpiczasto zakończoną, suchą silną gałąź, grubości trzech, czterech centymetrów. Drugi jej koniec opiera się o ziemię. W odstępie mniej więcej jednej trzeciej długości, licząc od góry, ga-

Trzed kijem o deskę cierną
w miejscu ostatnim przed
wiatrem. Na dole u wylotu
szczeliny ułożyć kupkę huby



łąż winna mieć nacięcie szerokości palca. Ten, kto krzesze ogień, jedną nogą mocno przyciska gałąź i, jak umie najszybciej, pociera sznurkiem tam i z powrotem w miejscu nacięcia. Także i w tym wypadku powstanie po chwili rozżarzony pył drzewny, w dodatku z domieszką żarzących się włókien ze sznurka. Rozżarzone cząstki spadną na kupkę huby, która musi się znajdować dokładnie pod miejscem tarcia.

Żeby nie pominąć warunków tropikalnych, należy wspomnieć o jeszcze jednej metodzie, a mianowicie o ogniowej piłie z bambusa. Stary, całkiem suchy i możliwie gruby pręt bambusowy kładzie się na ziemi. Następnie, prawie do połowy grubości, wycina się w nim poprzeczne karby w kształcie litery V. W te wgłębienia wysypuje się hubę. Potem szybkimi, silnymi ruchami przeciąga się tam i z powrotem wzdłuż nacięcia suchy, ściśle dopasowany do wrębu pręt bambusowy. W rezultacie rozżarzony pył bambusowy spada na hubę.

Do skrzepienia ognia nie jest konieczna stal, wystarczy grzbiet noża, tępą krawędź siekiery, ba, nawet zwyczajny kłoczek. Jeżeli się dobierze odpowiedni kamień, można skrzesać iskry nawet za pomocą żelaza. Zadanie to spełni każdy dostatecznie twardy kamień, jak: kwarc, puryt, agat lub jaszczur. Człowiek, który ma wprawę, może też wykrzesać iskry uderzając o siebie dwoma twardymi kamieniami.

Ten, kto dysponuje nabojami do broni palnej, może sobie „wystrzelić ogień”. W tym celu najpierw należy oddzielić właściwy pocisk od łuski. Ławo tego dokonać z nabojami śrutowymi, wystarczy obciąć przednią część, a łut sam się wysypie. Pocisk zaś trzeba obłuzować, opukując łuskę

dookoła tępą stroną noża lub kamieniem. Przeważnie daje się ją potem łatwo wykrocić. Mniej więcej połowę prochu zostawia się w husce, a resztą posypuje się kupkę huby.

Obok musi być przygotowany stos drewna.

Następnie odrywa się kawałek materiału od koszuli lub spodni, o ile nie ma pod ręką niczego innego. Z tego skręconego skrawka materiału robi się korek i wpycha się go do huski. Potem kieruje się łufę nieco ukośnie do góry i strzela się.

Wystrzelony z huski strzępek materiału świeci w powietrzu jak robaczek świętojański. Gdy tylko spadnie na ziemię, należy go natychmiast podnieść i położyć na kupce huby.

Spadając, strzępek materiału niejednokrotnie pali się już w powietrzu, a jeżeli nie, wystarczy lekko dmuchnąć, żeby się rozplomieniał.

Kto przymusowo ładuje albo ugrzeźnie samochodem, ten stosunkowo łatwo może rozpałcić ogień, nawet jeżeli nie ma w pojeździe elektrycznej zapalniczki. Obydwa bieguny akumulatora przedłuża się drutem i zbliża ku sobie jego końce, aż zaczną przeskakiwać iskry. Zgromadzona huba łatwo się zapali w łuku iskier.

Gdy świeci słońce, każdym szkłem powiększającym można się posłużyć jako soczewką wypukłą. Zawsze powinno się mieć przy sobie lupę, choćby nawet małą. Nie każdy wie, że wykrośna i prawidłowo użyta soczewka lornetki w razie potrzeby podpali łatwy zapalny materiał. Identyczne zadanie spełnią szkła okularów, gdy się je wyjmie, złożony wypukłymi stronami na zewnątrz, a do środka wleje się wody. Gdy brzozy uszczelnia się dookoła taśmą samoprzylepną, powstanie zdolna do użytku soczewka wypukła.

W ten sam sposób można zrobić soczewkę wypukłą ze złożonych szkiełek od zegarka i kompasu. Muszą być jednak mniej więcej podobnej wielkości.

Na koniec przechodzimy do ostatniej, za to najbardziej zdumiewającej tego rodzaju sztuczki, do rozpalamia ognia za pomocą lodu.

Bierze się przezroczysty kawałek lodu bez pęcherzy i pęknięć. Oskrobuje się go nożem, aż powstanie kula podobna do piłki tenisowej. Następnie polewuje się ją gołymi rękami, ale nie na okrągło, lecz jedynie z dwóch stron. Polewanie kontynuuje się dotąd, aż zostanie w palcach obustronnie wypukła, lodowa szybka. Od zręczności polewającego zależy, czy lodowe szkiełko rzeczywiście skupi promienie słońca i skoncentruje na jednym punkcie huby. Na Alasce sierżant ze szkoły survivalu pokazał mi, jak się to robi.

Istotnie, mniej więcej w ciągu pół godziny rozpalił w tundrze ogień. Gdy jednak osobiście próbowałem dokonać tego cudu, mój kawałek lodu okazał się do niczego.

Ten, kto z takim trudem rozpala ogień, chciałby go ze sobą zabrać, wyruszając do następnego obozowiska. Nie sprawia to trudności komuś, kto ma

blaszaną puszkę. Trzeba ją przewiercić z obu stron na wysokość palca nad dnem, żeby był przewiew. Do puszeki wkłada się trochę żaru, przykrywa się ją nadgniętym drewnem lub wilgotnym mchem albo jednym i drugim naraz. Zapas będzie się żarzył przez godzinę lub dłużej. Gorącą, dymiącą puszkę nosi się na kij, przerzuconym przez ramię. Gdy się nie ma blaszanej puszeki, trzeba ją zastąpić wydrążonym drewnem. Żeby drewniany pojemnik nie olegił za szybko zwęgleniu, wsypuje się do środka kamyki, żwir lub piasek. Na to sypie się żar. Poza tym trzeba co kilka godzin zastępować nadwęglone naczynie nowym.

Do przenoszenia żaru można też użyć koszyczka z kory brzozonej, oczywiście tylko wtedy, gdy uprzednio pokryje się dno piaskiem.

W niektórych rejonach kuli ziemskiej, na przykład w australijskim interiorze, rosną pewne krzaki, które nie płoną, tylko się żarzą. Tubylcy sporządzają z nich tak zwane dymne łaski. W miarę, jak jedna się zwęglą, przypala się od niej następną.

Rzecz jasna, przy rozpalamiu ognia i w ogóle przy obozowych ogniskach obowiązuje zachowanie jak największej ostrożności. Nikomu nie wolno zapomnieć o groźbie pożaru lasu. Najbezpieczniejsze są lawice piaskowe na rzekach, nagie synkliny skalne i goła ziemia. Gdy takich miejsc nie da się znaleźć, trzeba zeszkrobać warstwę liści i mech, usunąć pobliskie krzewy i suche gałęzie. Ognisko otacza się kamiennym wałem, który utrzymuje w miejscu płonące żagwie i chroni przed wiatrem. Nigdy nie wolno zostawić ognia bez dozoru, chyba że otacza go goła ziemia. Gdy się opuszcza obozowisko, nie wystarczy zdeptać ogień. Nie można mieć pewności, że ogień tamnie zgasi tylko dlatego, że nie tlą się już gałęzie i nie ma dymu.

Każdy rozsądny traper obozujący w pobliżu rzeki wie, że najlepiej i najprościej jest ugasić ognisko obficie polewając je wodą. Szczególnie przezorni nawet rozkopują ziemię na głębokość stopy, żeby sprawdzić, czy na pewno nie tkwią w niej żarzące się resztki.

Gdy organom władzy uda się wykryć, kto spowodował pożar lasu, musi on zapłacić odszkodowanie. Jeżeli odszkodowanie dotyczy dużej powierzchni, nawet multimilionera może to puścić z torbami. Dlatego także we własnym interesie leży maksymalna ostrożność.

Lekkomyślnie porzucone butelki i stłuczki mogą się stać soczewkami wypukłymi, o ile promienie słońca padną na nie pod odpowiednio niefortunnym kątem. Wszystkie te przedmioty należy zakopać przed odejściem.

Do obwałowania ogniska prawdziwy traper nigdy nie bierze kamieni z brzozy rzeki, ani leżących tuż przy brzegu. Może się bowiem zdarzyć i taka rzecz: zniemacka, jak ostrzał wrogiej artylerii, rozerwą się granaty. Odłamki wypłyną w powietrze i ma się szczęście, jeżeli żaden z nich nie trafi.

Kamienie z łożyska rzeki eksplodują z siłą bomby burzącej. Są na wskroś

prześlągnięte wodą. Przed kilkoma dniami były zatopione, potem woda opadła, a słońce osuszyło jedynie ich powierzchnię. Teraz kamienie znajdują się w ogniu i przez kilka godzin wystawione są na działanie palącego żaru. Zawarta w nich ciecz dąży do rozprzestrzenienia się i wyparowania. Jej ciśnienie powoduje eksplozję.

Indianie od niepamiętnych czasów znali tę groźną i straszną broń, którą w postaci eksplodujących kamieni kierowali przeciwko wrogom. Obserwowali ich obóz i czekali w zasadzce, aż wróg się na chwilę oddali. W tym czasie kamienny wieniec otaczający ognisko wymieniano na wytarte do sucha kamienie z rzeki. Wał z kamieni układano tak jak poprzednio, żeby nikt nie zauważył zmiany. Potem, gdy wróg znów siedział przy ogniu, a żar dostatecznie długo oddziaływał na opite wodą kamienie, rozrywały się one z hukiem jeden po drugim. Moment kompletnego zamieszania wykorzystywano do napaści.

Woda na odludziu i na pustyni

Minęło już kilka lat od czasu, gdy przemierzaliśmy Saharę. Jakkolwiek wyprawa obyła się bez niebezpiecznych sytuacji, nie chcielibyśmy przedstąpić jej po raz drugi, a w każdym razie nie tą samą trasą przez Ahaggar. Bowiem nawet w roku 1954, gdy większa część Sahary znajdowała się jeszcze pod zarządem francuskim, trasa nie była prawidłowo oznaczona. Lotnie piaski zasypały nie tylko żerdzie, lecz także stare, wysmołowane na czarną bezelkę z benzyną. Przez wiele godzin jechaliśmy wyłącznie według kompasu i zatrzymywaliśmy się na każdym pagórku, żeby z dachu samochodu wypatrywać przez lornetkę. Kto miał choć trochę doświadczenia, mógł rozpoznać po kolorze gruntu, w którym miejscu stały na ziemi cztery koła i gdzie się prawdopodobnie pogрузyły. Tak więc udało się nasze ryzykowne przedsięwzięcie, chociaż przedtem nie bez racji próbowaliśmy się wymusić ze względu na związane z nim trudności.

Gdy w końcu przybyliśmy do Agadesu na południowym skraju Sahary i dowiedzieliśmy o tragicznym wypadku, który przypłacił życiem pewien młody Anglik wraz ze swą matką, okazało się, że udało się nam w całym tego słowa znaczeniu. O straszliwej śmierci obojga opowiedział nam dowódca francuskiej placówki w Agadesu. Nazywał się kapitan Lefèvre i był starym „Saharyjczykiem” od ponad dwudziestu lat obeznanym ze wszystkimi urokami i niebezpieczeństwami pustyni. Kierował akcją poszukiwawczą, odnalazł ciała i wyjaśnił przyczyny ich zgonu. Jak zwykle w takich okolicznościach, przyczyną tragedii było pragnienie.

Oczywiście, także i karygodna lekkomyślność — dodał — kiedy się dowiedzieli, że mieli przy sobie złe mapy, to znaczy mapy, które Automobilski wydrukował wyłącznie na użytek rajdu Algier—Kapsztad. Były więc w nich miejsca tankowania paliwa i miejsca postojów istniejące wyłącznie w interesach rajdu. Trudno zrozumieć, dlaczego o tym nie wiedzieli. Przecież były to oznaczone na każdym egzemplarzu.

— Ale tylko po francusku — zauważyłem. — Być może nie rozumieli.
— Bardzo możliwe, ale przecież każdy rozsądny człowiek, który wybiera się na pustynię, na wszelki wypadek bierze ze sobą zapas wody.

Moja żona zapytała, czy wiadomo, ile ze sobą wziąć.

— Jeden dziesięciolitrowy kanister — odparł Lefèvre, kręcąc głową — w czasie upału może wystarczyć na jeden dzień. Jeżeli skrupulatnie racjonować, można z tym przeżyć najwyżej dwa, trzy dni. Mogło się zdarzyć, że matka i syn zoczyli z trasy, bo ziów nie było znaków. Zamiast wracać po własnych śladach, co w takiej sytuacji jest najlepsze, jechali coraz dalej i dalej. Prawdopodobnie chcieli odnaleźć trasę. W końcu samochód zsunął się w miłąk rozpadlinę, to znaczy utknął w wyschniętym korycie rzeki. Wtedy młody Henley postąpił najhardziej głupio, jak tylko można... Z całą świadomością opuścił samochód i poszedł szukać pomocy.

— W środku Sahary?

— Tak, tu gdzie w promieniu serek kilometrów nie uświadczą się żywej duszy. W dodatku był straszliwy upał. Matkę, kobietę blisko sześćdziesięcioletnią, zostawił w samochodzie, a potem znalazł ją pod autem.

— I jak daleko zaszedł?

— Zdumiewająco daleko, jeśli uwzględnić okoliczności, prawie dwadzieścia kilometrów.

— A potem umarł z pragnienia?

— Co to, to nie — powiedział kapitan Lefèvre, patrząc gdzieś w bok ponad naszymi głowami. — Utonął!

— To niemożliwe, przecież nie można się utopić na pustyni!

— A jednak możliwe, monsieur, i zdarzyło się to nie po raz pierwszy. Znam także inne przypadki. Otóż młody Henley na skutek niesamowitego zbiegu okoliczności... bądź też cudem... natknął się na jedyną w tej okolicy studnię, bo do najbliższej jest jakieś sześć, siedem dni drogi. To studnia z Bir Hakim. W zamierzonych czasach wykopali ją Tuaregowie, dokopując się aż do wód gruntowych, żehy w czasie dalekich wędrówek czy też zbójceckich wypraw poić wielbłądy. Lustra wody znajduje się na głębokości sześciu metrów i jest nieosiągalne dla spragnionego wędrówca. Bo przecież nie ma on przy sobie liny i wiadra, żeby wydobyć zbawienią wodę. Gdy z pragnienia niemal odchodził od zmysłów, na pewno wskoczył do studni. Potem musiał w niej utonąć, bo ściany są gładkie i nie mógł się wydostać. Jak już mówiłem, nie jest to całkiem odosobniony wypadek na Saharze. U nas obok najlepszej wody można umrzeć z pragnienia, zwiariować albo się w niej utopić. A wszystko dlatego, że nie miał liny.

Przed trzema dniami znaleziono w studni martwego młuczynę i odnaleziono samochód mrs. Henley, zauważony przez pilota linii komunikacyjnej, jako że ciemny przedmiot stojący samotnie na jasnym tle pustyni z wy-

widką można dojrzeć z odległości trzydziestu, czterdziestu kilometrów, a przy dobrej widoczności nawet z większej.

Wysłano meldunek radiowy do Agadesu. Kapitan Lefèvre od razu wystartował małym samolotem, odnalazł samochód i wylądował w pobliżu na terenie zdolnym utrzymać maszynę. Niestety, mrs. Henley nie żyła i jak to Lefèvre niefrasobliwie określił „była już trochę wyschnięta”.

Na piasku widać było wyraźnie ślady syna. Kierując się nimi, samolotem doleciał do studni Bir Hakim, w której odnaleziono topielca. Zwłoki obojga przewieziono do Agadesu, a stamtąd przetransportowano do Anglii.

Krewni dopominali się także i o samochód, bądź to na pamiątkę po zmarłych, bądź też dlatego, że jak mówił Lefèvre, był to „cenny powóz”.

— Jutro polecę tam z dwoma mechanikami — oświadczył uprzecznie — jeżeli macie ochotę, możecie się ze mną zabrać.

Nie chciałem przepuścić okazji lotu nad pustynią, choć mojej żonie wcale się nie uśmiechało siedzieć o dzień dłużej w niechlujnym agadeskim hoteliku. Już w dwie godziny po starcie dostrzeżliśmy samochód. Nasz ptak sfrunął i wylądował w niecce pokrytej krzeminnym żwirem.

Samochodowi, okazałemu czarnemu Bentleyowi, nie brak było niczego,



W poszukiwaniu wody kopać w najgłębszym miejscu suchego koryta rzeki, zawsze po zewnętrznej stronie zakrętu.

z wyjątkiem twardego podłoża, żeby mógł ruszyć w drogę. Raptem dwadzieścia metrów zabrakło Henleyowi do twardego gruntu, nieszczęśliwie wjechał wprost w miłką rozpadlinę. Wydobycie samochodu za pomocą zabranych ze sobą dwóch rolek drutu nie stanowiło problemu.

— Nie meści mi się w głowie — wyrzekł Lefèvre — jak może jeździć po pustyni ktoś, kto nie ma o niej pojęcia. To, co ich spotkało, było całkiem niepotrzebne... na pewno dałoby się tego uniknąć!

— Na pomocy lotniczej też nie można polegać, o ile ktoś nie zaginął i nie jest poszukiwany — dodał mieszkaniec Sahary — Dużo samoloty latają różnymi trasami, zależnie od pogody. Wóz zauważono całkiem przypadkowo.

Chciałem wiedzieć, co by zrobił na miejscu Henleya.

— Tego nie wiem, ale na pewno istnieją dwa... nawet trzy sposoby, żeby przelotko znaleźć wodę.

Zamierowiłem z wrażenia i zrobiłem niedowierzającą minę.

— Proszę spojrzeć na tę rozpadlinę w dół, monsieur, aż do zakrętu, gdzie zboczce jest szczególnie strome. W tym miejscu, wewnątrz rozpadliny, przelotko można się dokoopać do wód gruntowych!

Byłem pełen uznania dla jego znajomości pustyni, ale koryto rzeki jak okiem sięgnąć pokrywał jasny piasek, bez najmniejszego śladu wegetacji roślinnej czy też ciemniejszych smug zwiastujących wilgoć.

— To tylko tak wygląda — powiedział — Proszę wziąć lornetkę i dokładnie obejrzeć tamto miejsce.

Wziąłem lornetkę, wyregulowałem ostrość i dokładnie się przyjrzałem.

— No i co? Jest tam trochę suchej trawy czy nie?

Wyglądało to jakoś tak, że łatwo było o omyłkę. W szklach lornetki migotało rozprażone powietrze.

— Są tam słomianożółte pęki traw, monsieur, może się pan o tym przekonać!

— Ale kto panu powiedział, że jest tam jeszcze woda, przecież od kilku lat nie było deszczu.

— Zdradziły mi to ptaki, mój panie. Ta wyschnięta rzeka jest jedyną rozpadliną w polu widzenia i do tego stosunkowo głęboką, toteż według wszelkiego prawdopodobieństwa ptaki wydziobują z jej łóżyska swoje codzienne porcje wody. Gdyby nie była wilgoci, nie byłoby w pobliżu pustynnego ptactwa. Wystarczy więc przeszukać rozpadlinę, oczywiście w najgłębszym miejscu. Tam, gdzie jest ostry zakręt i stromy brzeg, istnieje nadzieja na znalezienie wody, lecz tylko wewnątrz pętli. Dobrą wskazówkę stanowią także roje komarów, bo i one gromadzą się wszędzie, gdzie jest wilgoć.

Bremiało to przekonująco, ale sam nigdy bym na to nie wpadł. Jakkolwiek krajobraz składający się z piasku i słonecznego żaru sprawiał wrażenie beznadziejnie martwego, znawca widział w nim oznaki życia.

— Nie uwierzy pan, jak głęboko ptaki potrafią rozgrzebać ziemię. Zaczynają wtedy, gdy po obfitym deszczu woda znajduje się jeszcze tuż pod powierzchnią gruntu i wdzierają się coraz głębiej w miarę, jak wsiąka. Kiedy otwór zawieje piaskiem, kopią do upadłego.

Tylko jedna trzecia Sahary, zapewniał mnie, przedstawia się beznadziejnie dla kogoś, kto poszukuje wody. Jedyne tam, gdzie nie ma ptaków ani chrząszczy, wody gruntowe znajdują się zbyt głęboko. W takich okolicach nie ma ani śladu wegetacji, bo nie dosięgną ich włókna korzeni.

Można jednak przypuszczać, że dalej na zachodzie miejsca, których stąd nie widać, porośnięte są nawet stepową trawą.

Spytałem go, czy widział to z samolotu.

— Nie, to całkiem zbędne. Sam pan może zobaczyć wiodące stamtąd tropy gazel. Przeszły przez rozpadlinę i zawróciły do widniejącego na horyzoncie łańcucha wzgórz. Jak panu wiadomo, stanowią one kraniec pasma gór Azbine.

Gazele, tłumaczył mi Lefèvre, tygodniami mogą się obywać bez płynu, za to potem muszą mieć czystą wodę. Nie wystarczają im mokre otwory w piachu.

— Tak więc istnieje jeszcze i druga możliwość, żeby się dostać do wody — ciągnął znawca pustyni — jeżeli będąc się wyrwale podążać tropami gazi, doprowadzą one do otwartego wodopoju, nie inaczej! Jest on dostępnym także i dla ludzi, bowiem gazele nie są szczególnie dobrymi alpinistami.

Zauważyłem, że taka wędrownka może trwać tygodniami.

— Zapewne, o ile się jest skazanym na własne nogi. Ale nie z tego miejsca, monsieur, bo przecież stąd już widać góry. Gazele żywią się stepową trawą na zachodzie, w przeciwnym razie nie zapędziłyby się aż tak daleko na otwartą pustynię. Na zmianę schodzą z gór i wracają do nich, bo właśnie tam jest wodopój. Ich ślady wiodą wprost do najbliższego zbiornika wody.

Góry wyglądały jednak na całkiem gołe, ich zbocza wystawione były na bluszczą spiekotę.

— Odnosi się takie wrażenie, gdy się stąd patrzy — dodał Lefèvre — lecz są tam także wąskie parowy, do których prawie nie zagląda słońce. Właśnie w nich może się utrzymywać woda. Sączy się drobnymi stróżkami w szczelin i załomów, żeby się zebrać w nisko położonych miejscach. Są to cwiłki deszczówki, które latami trwają w skałach, a częściowo także i rosa, która w cieniu nieprędko wyparowuje.

— Do gór jest jednak kawał drogi — powiedziałem — ten spragniony myśliwy z trudem mógłby tam dojść.

— W samochodzie dotychczas leży kanister i gdyby przed wymarszem konieczna uzupełnił go wodą, doszedłby.

— Jaka woda? Przecież zablakany kierowca nie miał ani kropelki.
Kapitan Lefèvre podszedł do samochodu i popisał w chłodnicy.

— A jednak miał... lewi tam do tej pory!

Mrs. Henley, która skończyła z pragnienia, miała jeszcze około dwudziestu litrów nadającego się do picia płynu. Zarówno ona jak i syn całkiem zapomnieli o wodzie w chłodnicy.

— Czy pana to dziwi? — Lefèvre wzruszył ramionami. — Bo mnie nie. Kiedy poniosą nerwy, nie myśli się już o tym, co jest pod ręką. Zdarzało się to zbyt często naszym własnym ludziom. Woda z chłodnicy ma obrzydliwy smak, nie jest też szczególnie zdrowa. A jednak w razie nagłej potrzeby pomaga przetrwać do następnej rundy. Nie powinna jednak zawierać płynu przeciwko zamarzaniu, tyle że do pojazdów na pustyni nie używa się go.

Od tej pory nie tylko na pustyni czy w suchym stepie, lecz w ogóle wszędzie interesował mnie problem, jak znaleźć wodę.

Głód znosi się łatwiej i dłużej niż pragnienie. Sześćdziesiąt dni, a w głosnych przypadkach i kilka dni dłużej przeżyli ludzie, odżywiając się wyłącznie wodą. Ale na rychłą męczeńską śmierć jest skazany każdy, kto nie znajdzie niczego do picia.

W chłodne dni, a nawet w czasie lodowatej temperatury ludzki organizm potrzebuje dwa litry płynu dziennie, trochę mniej przy całkowitym spożyciu, znacznie więcej w czasie intensywnego marszu. To, co wypaca się porami, koniecznie trzeba uzupełnić. W rozpalonej pustyni i gorącym stepie, o ile ktoś się porusza, dzienne minimum wynosi cztery litry. Człowiek narażony na wysiłek w czasie posuchy i upału potrzebuje dziesięciu litrów dziennie.

Całkiem pozbawione życia i kompletnie martwe, dowodził Lefèvre, są tylko meliczne polacie kuli ziemskiej. Kto wędrował przez Saharę i australijski interior, kto zna Kalahari i przelatywał nad pustynią Luthe, widział na własne oczy, że żadne z tych osławionych pustkowi nie składa się z gólego piasku. Na pustyniach wznoszą się góry, ponury krajobraz przecinają doliny rzek. Obniżenia terenu pokryte są licznymi kępami pozółtych traw, pośród skał plenią się ciemiste krzewy. Niekiedy widzi się tropy antylopy i innej zwierzyny. Nic, co żyje, nie może się obyć bez wilgoci. Gdzie rosną ciernie, gdzie widnieją tropy zwierząt, choćby tylko ślad najmniejszej jaszczurki, wszędzie tam znajduje się woda.

Deszcze padają i na pustyni, choćby niezwykle rzadko. Niekiedy miażdżą dwa, trzy lata, a nawet dłużej. Zawsze należy poszukiwać wód odpływowych w najniższych położonych zagłębieniach terenu. Tam się właśnie zbiera lub wsiąka w ziemię woda, zależnie od składu podłoża. W każdym masywie górskim bywają doliny, parowy i źleby. Im węższe i bardziej cieniste, tym lepiej. Jeżeli pojawiają się w nich ślady wegetacji, to tam, gdzie się najbardziej

łatwiej, można się dokopać do wody. Oprócz tego zaleca się wchodzić do najbardziej zacienionych jarów. W dolinach z licznymi odnogami o bardzo wysokich zboczach zbiera się najwięcej wody deszczowej. W szczelinach i rozpadlinach, do których rzadko zagląda słońce, mogą się kryć zbiorniki wody. W górach Azbine, w głębi południowej Sahary, polując na dzikie zwierzęta górskie znajdujemy parowy z najczystsza wodą, szczeliny o długości około trzydziestu metrów, ale szerokie raptem na metr, a tak głębokie, że nie można sięgnąć dna. Zgodnie z tym, co mówił Lefèvre, wiodą do nich tropy. Te zbiorniki wodne nie były zaznaczone na naszej mapie.

Jedynie w upalnym sercu Australii widzimy górę bez łańd, składającą się z połedynicznego, ogromnego kłosa, słynną Ayers-Rock. W gładkiej skale pozbawionej jakichkolwiek szwów nie ma szczelin ani jarów. W tej okolicy już od trzech lat nie było deszczu. Mimo to pod twardą powłoką skały znajduje się woda. Towarzyszący nam członek plemienia Arandy uderzył w podłoże skały drewnianym młotkiem. Rozkruszył cienką warstwę, spod której zaczęła się sączyć czysta woda. To samo zrobił Mojżesz, min trysnąła woda ze skały.

Gdy się znajdzie obiecujące miejsce, a na powierzchni nie ma wody, poleca się kopanie. Dla spragnionego człowieka jest to praca męcząca, zwłaszcza jeżeli osypują się piaszczyste ściany. Dlatego dziura musi być bardzo wąska. W miarę możliwości nie należy wyczerpywać do końca zaszkórnej wody, ponieważ wydobywa się ona jedynie z mokrego piasku. Trzeba się posłużyć blaszaną puszką, której górną część przedziurawia się w wielu miejscach gwoździem lub szpicem noża. Wkręca się ją aż po brzeg w mokry piasek. Kropki wody wciągają się powoli przez otwory, stopniowo napełniając puszkę aż do połowy.

Czasami upragniony napój można zdobyć szybciej, jeżeli się użyje chustki z lekkiego, chłonnego materiału, na przykład wełnianego szala. Rozpościera się go dookoła w głębi dołu i mocno przyciska. Po jakimś czasie materiał nasiąka wilgocią i można go wyjąć nad naczyniem. Gdy się nie ma naczynia, można mokry materiał stopniowo wyciskać prosto do ust.

Tam, gdzie rosną palmy, woda nie może się kryć zbyt głęboko. Odślania się więc korzenie palmy. Natomiast tamaryszki, akacje i inne rośliny pustynne zapuszczają korzenie na głębokość dziesięciu, piętnastu metrów. Gdy ktoś jest sam, nie może się dobrać do wody. Obudowa szybu wymaga wielu rąk i solidnego materiału.

Beduini nie każdemu wskazują miejsca, w których zbiera się woda. Niektórzy zbiorniki uchodzą za cenną własność plemienia lub rodu. Ukrywane są w tajemnicy i w miarę możliwości próbuje się je zamaskować. Z ogromnym trudem wykopano szyb i obmurowano ściany. Jeżeli wypije z niego wielo-



Pozyskiwanie wody gruntowej do podziurawionej blaszanki

Przemiana wilgoci gleby w wodę pitną

osobowa karawana, długo potrwa, nim studnia znów się napelni. O tym, czyją własność stanowi studnia, niejednokrotnie rozstrzygają zacięte walki.

Szlaki karawan i trasy samochodowe zawsze przebiegają w pewnej odległości od zbiorników wodnych, co często wymaga znacznego nakładania drogi. Nie da się jednak tego uniknąć, bo od nich zależy życie ludzi i zwierząt. Nawet i silnik potrzebuje wody do chłodzenia. Wprawdzie wielbłądy przez sześć do siedmiu dni mogą się obyć bez wody, za to potem muszą „zatan-kować” niezwykle dużo.

W czasach gdy rozmawialiśmy z kapitanem Lefèvre, nie było jeszcze możliwości zdobycia wody w całkowicie martwych strefach, gdzie na przestrzeni wielu kilometrów nie rosło żądło trawy i nie widać było ni śladu życia. Ostatnio jednak udało się rozwiązać ten na pozór beznadziejny problem. W trakcie badań cyrkulacji pary wodnej mullowey z Amerykańskiego Ministerstwa Rolnictwa odkryli zdumiewająco prostą metodę. Do jej zastosowania wystarczy mniej więcej półtora metra kwadratowej lekkiej, mocnej folii. Ręką lub łopatą wykopuje się metrowy dół, wsadza do niego naczynie, a nad dołem luźno rozpina się plastikową folię. Zamocowuje się brzegi, żeby się nie obróciła. Nie powinna dotykać dła ziemi. Potem na tę wodoszczelną folię kładzie się kamień, dokładnie w tym miejscu, pod którym znajduje się otwarte naczynie. Para wodna wydobywająca się nieustannie z ziemi pod wpływem promieni słonecznych, nie ma ujścia. Osadza się na plastikowej folii, ścieka ku dołowi i kapie do pułki. Woda, która się w niej zbiera, powinna wystarczyć do utrzymania przy życiu jednego człowieka. Skąd bierze się woda w rozpalonej, martwej pustyni? Z głębi ziemi, powiadają hydrologi. Częściowo ziemia jest nasiąknięta rosą. Przyczyniają

się do tego także i wahania temperatury, gdy po upalnej spiekocie dnia następuje niezwykle chłód, a nocami bywają nawet przymrozki.

Trzeba jedynie znać prawa, jakimi rządzi się woda. Spływa ona ku dołowi, zawsze szuka najgłębszych miejsc i wszędzie pozostawia po sobie ślady. Długo koryta i niżyska strumieni, sprawia, że rosną rośliny, które rozwijają się tylko nad żyłami wodnymi. Za przykład mogą posłużyć choćby olchy i wierzyby. Woda w swoisty sposób zabarwia glebę. Rzędy zarośli i trzcin, których bujna zielen wyraźnie odcina się od otoczenia, zdradzają bieg podziemnych strumieni. Woda płynie u podnóży pagórków i zawsze występuje w przełomach gór. Z nagranych słońcem gór w najgorętszych srefach można zobaczyć, że prawie nie ma doliny, w której nie płynęłaby woda. Z każdego lodowca wypływa strumień, z każdego śnieżnego pola ciurkają po zboczach roztopy. W wielu jaskiniach zdarzają się jeziora, a co najmniej łciany bywają tak mokre, że po ich wytarciu ze ścierki cieknie woda. Jeszcze ciepłej niż na pustyni czy w suchym stepie tropy dzikiej zwierzyny wodą ku wodzie wśród obszarów zieleni. Im liczniejsze są tropy zwierząt, im dokładniej wskazują drogę, tym prędzej sprowadzają do wody ludzi. Można by sądzić, że u brzegów słonych mórz nie bywa słodkiej wody. Jest to zrozumiałe, lecz niekiedy zgubny błąd. Przeważnie nad brzegiem morza znajduje się tyle słodkiej wody, że można by nią napoić całą armię. Należy od-czekać na skrajny punkt odpływu, a następnie na granicy przyprływu wy-grzebać niezbyt głęboką dziurę. Prawie wszędzie można znaleźć do tego celu małe łopatki w postaci muszelek o ostrych brzożach. Bardzo prędko można się dokopać do wód gruntowych, których górna warstwa składa się ze słodkiej wody. Słona woda jest cięższa od słodkiej i dlatego znajduje się pod spodem. Wzdłuż pasa przybrzeżnych wydum kopie się z najlepszym skutkiem w największym zagłębieniu pomiędzy pierwszą i drugą wydumą. Wtedy już nie ma znaczenia, czy jest przyprływ czy odpływ. Prędko pojawia się woda zdatna do picia.

Przyjmijmy, że kogoś w głębi zimy zagnano na bezлюдne wybrzeże. Na brzegu piętrzą się kry wyrzucone przez sztorm. Powstały one, rzecz jasna, ze słonej morskiej wody. Jeżeli się jednak zeszkrobie i roztopi górną warstwę, otrzyma się z niej słodką wodę. Już po roku lód morski w połowie przeobraża się w zamrożoną słodką wodę, a po upływie dwóch, trzech lat w całej krze nie da się wyczuć smaku soli. Ani na północnym, ani na południowym Oceanie Lodowatym człowiek nie zginie z pragnienia, o ile tylko pływają kry lub morze jest skute lodem. Im starszy, tym mniejsza w nim zawartość soli. Tylko ze świeżo zamrożonej kry nie można uzyskać pitnej wody.

Przez dwanaście dni krążyliśmy na małym kutrze wśród dryfujących kier, w odległości około stu mil od Spitsbergenu. Polowaliśmy na licznie tu występujące białe nietłwidzie. Załoga czerpała wodę z małych, kryształowych czystych kałuż, które utworzyły się na wielu krach. Jeszcze w zimie płyn

ten był zamrożoną wodą morską, lecz ciepło arktycznego lata przemieniło go w słodką wodę.

Prawie wszyscy rodzice zabraniają swoim dzieciom jedzenia śniegu. A przecież śnieg jest całkiem nieszkodliwym środkiem gaszącym pragnienie. Nie wolno go jednak połykać w postaci śniegu. Bierze się do ust małą porcję, nie więcej niż się zmieści na łyżeczce do herbaty i trzeba czekać, aż się rozpuści. Ludzie doświadczeni, którzy przemierzają długie śnieżne trasy, noszą przy sobie małe plastikowe woreczki i to na ciepłym kozuszk. Śnieg topnieje powoli pod wpływem temperatury ciała i zamienia się w wodę. Nie ma lepszej manierki na polarną zimę.

W głębi dżungli, z wysokich gałęzi dokoła zwieszają się liany. Wiele z nich zawiera płyn zdalny do picia, a nawet czystą, chłodną wodę. Kto nie zna poszczególnych gatunków, dotąd musi próbować szczęścia, dopóki nie znajdzie właściwej liany. Wystarczy niskość ścięć, a wytryśnie z niej jak z kranu. Gdy się odmie nie lodygę i zatka obydwie końce taśmą samoprzylepną albo po prostu gliną, wędrowiec może zabrać ze sobą do dwóch litrów wody. Trzeba tylko uważać na jedno: płyn musi być przejrzysty! Należy się wystrzegać wszelkich mlecznych i lepkich płynów, bo jedynie znawca może ocenić, czy nie są one szkodliwe dla zdrowia.

Słyszało się już wiele dobrego o bambusie. Sposób życia wielu ludów był i jest jeszcze po dzień dzisiejszy nierozłącznie związany z bambusami. Nie wszystkie, lecz wiele lodyg bambusa zawiera wodę. Jeśli idzie o żółtobrunatne, a więc starsze bambusy, to można nawet usłyszeć, czy zawierają wodę. Gdy potrząsnąć prętem, wewnątrz chlupie. Odcina się pień dwoma mocnymi ciosami, za każdym razem poniżej pierścienia. Razem z wodą zdoływa się przy okazji kubek do picia.

Palma kokosowa obdarza człowieka wszystkim, czego mu trzeba: mlekiem i wodą, drewnem budowlanym i opalem, a także materiałem na wodoszczelny dach. Treść świeżego orzecha kokosowego jest przezroczysta, płynna i ma przepyszny smak. W miarę upływu czasu powstaje z niej gęste, słodkie mleczko kokosowe. Dopiero w pełni dojrzały owoc zawiera twardy, pożywny miąższ. Orzechy kokosowe, które same spadają na ziemię, są przejrzyste i nie mogą już ugasić pragnienia. Zamiast wody zawierają słodkie mleko. Jest wprawdzie bardzo smaczne, ale tylko wzmagają pragnienie. Hoduje się małpy, żeby pomogły zerwać młode orzechy ze świeżym napojem. Dobrze wytresowana małpa ma swój udział w zdobyczu, a rozumiejąc, o co chodzi, wspina się, ukręca orzech i zrzuca w dół. Należy mieć nadzieję, że nie na głowy zięceniodawców. Białym rzadko kiedy udaje się wspiąć aż do korony palmy. W razie potrzeby dobry strzelec może spróbować ostrzelić kilka owoców.

Nie jest przyjemne ani bezpieczne picie wody z bagien, zamulonych

lubur czy też stojących bajor. Ewentualnie, w pewnej odległości od takiego źródła wykopuje się dziurę w wilgotnej ziemi. Potem trzeba odczekać, aż napełni się ona wodą i osiadzie mul. Wydobytą breję należy przed wypiciem kilkakrotnie przecedzić przez czystą szmatkę.

Woda znajduje się w każdym kaktusie, w każdej agawie i w ogóle we wszystkich roślinach pustynnych, które mają zwarte bądź mięsiste liście. Odcina się kolce, kraje wilgotny rdzeń na drobne kostki i ściśle upycha w woreczku z materiałem. Potem wypchany woreczek wkłada się do płaskiego naczynia i tak długo wyciska kamicem, aż wypłynie z niego wszystkie sok. Z dużymi kaktusami można sobie radzić w inny sposób. Odcina się wierzchołek, zdejmując „pokrywkę” i rozgniatą miękką wodnistą substancję wewnątrz rośliny. Płyn można wyssać przez długą słomkę, która prawie zawsze znajdzie się w pobliżu kaktusa.

Bywają półpustynne drzewa i krzewy, które gromadzą wilgoć głównie w korzeniach. Trzeba się wkopać na dwa metry albo i głębiej, nim dotrze się do wodnistych odnóg. Przypominają one napełnione rury. Po wydobyciu należy natychmiast zatkać odcięte miejsca, w przeciwnym razie wypłynie z nich cała zawartość. I w tym wypadku należy się wystrzegać soku o mlecznym wyglądzie. Wprawdzie zdarzają się nieszkodliwe gatunki, ale łatwo je odróżnić od trujących.

Woda jest obecna we wszystkich rybach, tak więc i ryby morskie mają w ciele płyn, nadający się dla człowieka do picia. Kraje się ryby na kawałeczki, owija się w szmatkę i wyciska mocno nad pojemnikiem. Woda z ryb nie jest smaczna, lecz zapobiega śmierci z pragnienia. Nikt na pełnym morzu nie musi znosić mąk pragnienia, dopóki może złowić wystarczającą ilość ryb. Trzeba się jednak starannie wystrzegać płynu z ryb nie mających ości. Każde stworzenie, które nie przypomina wyglądem prawdziwej ryby, może być niebezpieczne. Na pewno szkodliwe są meduzy.

Krew ptaków i żółwi nadaje się do picia. Poza tym mięso żółwi morskich zawiera także i inne płyny. Chcąc jako tako zaspokoić pragnienie, można żuć kawałeczki mięsa. Płyn z krabów i homarów jest niesterylny. Płyn wyciśnięty z małż i ostróg lepiej gasi pragnienie pod warunkiem, że jest ich dużo.

Świeża deszczówka nadaje się do picia, lecz ma mdły smak. Najłatwiej ją gromadzić w płachcie z czystego nieprzemakalnego materiału. Do tego celu nadaje się żagiel, namiot, arkusz folii lub kawał skóry. Zbierze się w nich znacznie więcej wody, niż w luzem postawionych garnkach.

Jedynie świeża deszczówka gwarantuje zupełną czystość. W innym wypadku nikt bez analizy chemicznej nie może definitywnie orzec, czy woda nadaje się do picia i czy nie wywoła szkodliwych następstw. Najmniej ryzykuje się wtedy, gdy woda pochodzi z krynicy górskiej lub z odpływu ludow-

ca. Najogólniej rzecz biorąc, wody na północy są czystsze niż w strefach umiarkowanych i o wiele zdrowsze niż w tropikach. Im bardziej leniwy prąd, tym dłużej utrzymują się szkodliwe dla zdrowia substancje. Najgorzej przedstawia się sprawa rzek i jezior w gęsto zaludnionych rejonach. Ścieki przemysłowe i wielkie miasta zatruwają je czasem do tego stopnia, że giną nawet ryby.

Lecz także z dala od ludzkich osiedli i ich odpadków bywają wody, z których nie powinno się upić ani kropelki. Należą do nich słone bajora i stawy zawierające naturalne substancje trujące. Niestety, takie wody zdarzają się także w okolicach pustynnych i wulkanicznych. Jeziora i bagna, a czasem nawet płynące wody w krajach tropikalnych bardzo często toją się od bakterii, wirusów i innych drobnoustrojów. Autochtoni nabyli z biegiem lat odporności immunologicznej, której brak przyhysom.

Bakterie najłatwiej zniszczyć za pomocą gotowania. Kto chce mieć całkowitą pewność, powinien gotować wodę przez pięć minut. Woda pozbywa się wtedy kwasów węglowych i ma miły smak. Polepszy go szczypta soli. Wielokrotne przelewanie z naczynia do naczynia na nowo wprowadza kwasy węglowe, przenikające z powietrza.

Bywają różne tabletki i proszki oczyszczające brudną wodę i zastępujące gotowanie, przy którym zazwyczaj trzeba zmitrzyć sporo czasu. Szczególnie poleca się tabletki Halazone. Dwie tabletki starczą na ćwierć litra wody. Do mętnej i bardzo błotnistej wody stosuje się podwójną dawkę. Jeżeli uprzednio rozpuści się w dwóch litrach wody łyżkę stołową chloru, można taką mieszaną oczyścić sto litrów wody. Trzeba jednak odczekać trzydzieści minut, zanim się zacznie pić chlorowaną wodę. Każdą porcję koncentratu, to znaczy każde dwa litry rozpuszczonego chloru, trzeba szczególnie zamknąć i trzymać osobno w chłodnym, ciemnym miejscu. Im cieplej, tym prędzej chlor traci swoje właściwości. Do ekwipunku wszystkich amerykańskich jednostek wojskowych, a nawet pojedynczych żołnierzy w terenie należą tabletki, których głównym składnikiem jest jod. Wystarczą cztery tabletki, żeby całkowicie oczyścić litr wody. Nawet gdy się nie ma tych tabletek, przy oczyszczaniu wody warto pamiętać o pozytywnych właściwościach jodu. W pułkiewiczach z „pierwszą pomocą” powinno być zawsze trochę jodyny. Traper, który nie miałby przy sobie jodyny i środków opatrunkowych, wykazałby daleko posuniętą lekkomyślność. Kropla jodu oczyszcza ćwierć litra wody, ale trzeba ją dobrze wymieszać i na pół godziny odstawić.

Bywają też filtry, począwszy od najprostszych rur ceramicznych, aż po skomplikowane aparaty, które po upływie pewnego czasu zamieniają najmętniejszą breję w czystą wodę do picia. W sercu Afryki, jak również w głębi Sumatry sami korzystać z takich ceramicznych rur i nikt nie zgłaszał pretensji. Tyle że filtry ważyły po kilka funtów.

Nie wolno zapominać o żadnej metodzie, a także o czyszczeniu kubków i wszelkich naczyń, które stykają się z płynami.

Z drugiej strony nie należy wyolbrzymiać niebezpieczeństwa. Z dala od ludzkich zbiorowisk, na łonie natury w ogóle niewiele rzeczy trzeba się lękać. Musiałaby to być jakaś diabelska sztuczka, gdybyśmy pijąc świeżą wodę ze strumienia połknęli niebezpieczne bakterie. Z całą pewnością powietrze w wielkim mieście zawiera więcej szkodliwych składników niż woda na odludziu.

Owe bajora i kałuże zawierające trujący arsen, które istnieją wyłącznie w południowych stanach USA, same zdradzą swoje niebezpieczne właściwości. Na brzegach leżą białe kości zwierząt, a dokoła brak zieleni. Przemorny wędrówek na wszelki wypadek nie bierze wody z miejsc, których brzoegi nie są porośnięte roślinnością.

Im mniej wody mamy do dyspozycji, tym mniej wody powinien zużywać organizm. Najwięcej zużywa na wypicanie, a więc przy wysiłku fizycznym w czasie upału. W miarę możliwości należy przebywać w cieniu i unikać ruchu. Gdy brak niezbędnej do picia wody, powinno się maszerować nocą, małymi krokami i bez pośpiechu. Kiedy trzeba wykonać jakąś pracę, należy ją wykonywać w zwolnionym tempie. Jeżeli się przewiduje, że określoną ilość wody musi wystarczyć na pewien czas, trzeba podzielić jej zapas i racjonować. Gdy się odczuwa dojmujące pragnienie, wtedy upijanie z rzadka po jednym łyku wymaga hartu ducha. Od siły woli zależy więc, czy się uda przetrwać. Kamyk lub guzik trzymany w ustach i obracany językiem zmniejsza cokolwiek uczucie pragnienia.

Wraz z wydzielnym przez skórę potem ciało traci odpowiednią ilość soli, której nie ma czym uzupełnić. Ćwierć łyżeczki soli rozpuszczonej w kubku wody powinno wyrównać ubytek. Podczas gdy wszystkich spragnionych przestrzega się usilnie przed pićm morską wodą, słodka woda powinna i musi być przyprawiona, gdy organizm za wiele wypocił. Mieszanka z 2/5 wody morskiej i 3/5 słodkiej jest znośna w smaku i względnie strawna. Wielu żołnierzy przeżyłoby tragiczne okoliczności, gdyby im ktoś powiedział, że w ten sposób mogą zwiększyć zapas wody o czterdzieści procent. Chciałbym jednak podkreślić, że jest to możliwe i konieczne jedynie wtedy, gdy równocześnie człowiek bardzo się poci.

Ubiór zmienia się pocenie się, choć większość ludzi sądzi całkiem odwrotnie, bo na gołym ciele nie czuje się tak wyraźnie potu. Gdy jest sucho i ciepło, pot szybko paruje, podczas gdy ubranie nasłiska wilgocią. Właśnie ta wilgoć wpływa korzystnie na skórę. Gdy paruje mniej płynu, organizm odpowiednio mniej go zużywa. Dlatego też warto zamoczyć ubranie, nim się wyruszy z obojca, gdzie jest woda, by przeżyć strefę pragnienia. Wyruszającym otwartą łodzią na morze poleca się, żeby od czasu do czasu zanurzali

ubrania w wodzie. Potem można je wyżyć i włożyć. Gdy będą zbyt mokre, słona woda powoli doprowadzi do zapalenia skóry. Jeżeli będą jedynie wilgotne, spełnią swoje zadanie bez uszczerbku dla zdrowia.

Człowiekowi spragnionemu nie wolno się kłaść na rozpalonej pustynnej ziemi. Suchy piasek wysie z niego więcej wilgoci, niż mógłby sądzić. Należy wykopać dół, a w razie potrzeby gołymi rękami wygrzebać rów. Im głębiej, tym ziemia jest chłodniejsza. Przez większą część dnia można nawet mieć cień, o ile rów będzie usytuowany w kierunku północno-południowym. Słońce zajrzy do niego tylko około południa.

Człowiek przez całe życie dźwiga ze sobą zbiornik na wodę, to znaczy żołądek. Gdy wyrusza na długą hezwodną trasę, napełnia go ponad miarę. Gdy się już minie nieprzychylną strefę i znów dojdzie do wody, należy ją pić powoli, małymi łykami. Wlewanie w siebie chłodnego czy wręcz lodowatego napoju byłoby czystym szaleństwem. Wielu w ten sposób w ostatniej chwili zmarło, właśnie wtedy, gdy sądzili, że są już uratowani.

W czasie upałów ciepłe napoje gaszą pragnienie o wiele skuteczniej niż chłodne. Jest to jedna z prawd, które stale trzeba przypominać. A przecież żołądek nie może się błyskawicznie przestawiać na różne temperatury. Po zimnym płynie jeszcze gorzej znosi upał. Letni płyn jest łatwiej strawny; zwłaszcza poleca się herbatę bez cukru. Gdy podczas upału dręczy pragnienie, w żadnym wypadku nie wolno pić alkoholu. Pomijając inne szkodliwe konsekwencje, alkohol musi się spalać, co w następstwie powoduje dalsze osuszenie spragnionego organizmu.

Jak wiadomo, niewiele rodzajów śmierci wywołuje takie męczarnie jak śmierć z pragnienia. Tym bardziej trzeba się starać jej uniknąć. Znane współczesnej nauce środki zaradcze są ogólnodostępne. W umiarkowanym klimacie w całej Europie, w Ameryce Północnej, a także w północnej Azji, abstrahując od nielicznych wyjątków, nie ma większych hezwodnych terenów. W tropikalnych dżunglach i w krainie wiecznych lodów, w dalekich tundrach, a zwłaszcza w lasach północy wszędzie relatywnie dość łatwo można znaleźć wodę do picia. Kto mimo to cierpi z pragnienia, w gruncie rzeczy sam sobie winien.

Ognisko obozowe we wszelkich okolicznościach

Nikt, komu towarzyszy ogień, nie jest sam. Jest on najlepszym kompanem, którego można sobie życzyć na pustkowiu, pomocnikiem w potrzebie i wartym towarzyszem każdego samotnego wędrowca. Rozprzestrzenia ciepło, chroni przed dzikimi zwierzętami, odpędza muchy i przyzwaja posłek. Bez ognia człowiek nie mógłby znośnie żyć na łonie dzikiej, pierwotnej natury, a i w chacie nie zaznałby uczucia błogości.

Nowoczesne maszyny na benzynę, spirytus czy gaz są w wielu okolicznościach przydatne i łatwiejsze w obsłudze niż podtrzymywanie zwykłego ognia z drewna. Ale czarność plomieni, uczucia zadowolenia przy płonącym ognisku nie może zastąpić żadne sztuczne źródło ciepła. Metalowy przyrząd jest czymś obcym naturze, wymaga paliwa i troskliwej pielęgnacji. Poza tym stanowi dodatkowe obciążenie dla wszystkich, którzy wędrują na własnych nogach, i stwarza zbędne więzy z cywilizacyjnymi nawykami. Kocheć nie zleża rozproszyc zimna, pozwala zbyt blisko podfruć kumaroni i nie oświetla obozu.

Wystarczy wyruszyć na otwartą przestrzeń zupełnie pustyni czy też wiecznych lodów, a prawie zawsze znajdzie się tam coś, co się nadaje na opał. Nawet podczas ulewnych deszczów i śnieżnych zawiej nikt nie musi rezygnować z ognia. Trzeba tylko wiedzieć, co w danych warunkach najlepiej się pali i jak rozniecić ogień. Istnieją wielkie różnice pomiędzy wartością opałową i czasem spalania się poszczególnych gatunków drewna. Najważniejszy jest wybór odpowiedniego materiału. Nic nie nadaje się lepiej na rozpalkę niż wewnętrzna kora brzozy. Nawet kiedy całymi dniami leje z pochmurnego nieba, pozostaje sucha i pali się jasnym płomiennem.

Tam, gdzie bardzo przydałoby się ognisko, a nie ma brzozy, podobną rolę spełniają cienkie, obumarte gałązki drzew iglastych. Jeżeli kora jest wilgotna lub oblodzona, usuwa się ją. Grubsze gałęzie rozszczepla się nożem lub sznurze na wióry. Gdy jest susza, szukać należy garści uschniętych liści, słomianych źdźbeł trawy albo suchego, chrzęszczącego chrusu. Przydatne

są także tak zwane pukle drzewne. Powstają, gdy się energicznie strużąc z góry na dół ostrym nożem kawał drewna, przy czym strużyn nie należy całkowicie odcinać. W efekcie polano wygląda tak, jakby otoczone było tuzinem złotych loków. Zawsze płoną one szybko i dobrze.

Ustawia się więc warstwę łatwo palnego materiału z owych pukli drzewnych, lecz na razie się ich jeszcze nie podpala. Doświadczeni traperzy najpierw wznoszą nad gniazdkiem dla ognia piramidę z grubych konarów, zawsze pamiętając o tym, żeby pozostawić dostatecznie duże otwory dla przewiewu. Należy też zostawić przewę, przez którą można będzie weknać w gniazdko zapalkę lub płonącaż zapiew. Wielkość stosu zależy od tego, czemu ma służyć ogień. Za duże ognisko wymaga zbędnych wystików przy gromadzeniu opału.

Jeżeli grunt okaże się zbyt wilgotny, trzeba go najpierw przykryć dużymi płatami kory. Utrzymują one zar znacznie dłużej niż goła ziemia. W czasie wichury szuka się zacisznego miejsca lub wznosi od nawietrznej kumenny murek. Szpary zatyka się mechami, pękami trawy albo grudami ziemi. Gdy nie ma kamieni, do osłony można użyć powycinanych z konarów płatów kory. Nie tak łatwo rozpalic ognisko w głębokim śniegu. O ile jest za głęboki i nie da się go odgarnąć, gromadzi się świeże i możliwie silne gałęzie. Kładąc je na przemian wzdłuż i w poprzek, buduje się na śniegu platformę. W miarę, jak płonie ogień, platforma pogrąża się, ale woda z roztopionego śniegu nie spływa na ognisko, tylko ścieka po bokach.

Gdy piramida z pukli drzewnych została już wzniesiona, podłóż się ją. Powinna wystarczyć jedna zapalka, którą wryka się możliwie jak najgłębiej w ogniowc gniazdko. Trzeba uważać, żeby nie dmuchał wiatr. Piekawicę płomyki osłaniać można własnym ciałem lub kurtką.



Pukle drzewne

czyni się tak jedynie przez kilka pierwszych minut. Jeżeli piramida jest prawidłowo zbudowana, a wewnątrz znajduje się odpowiednie gniazdko ogniowc, nawet najmniejsze płomyki sprawiają, że zajmie się od nich i stanie w płomieniach cały stos.

Większość ludzi sądzi, że rozpalarie ognia jest całkiem prostą sprawą, bo nigdy nie próbowali tego robić na świeżym powietrzu. Kto krząta się przy grzejnikach olejowych i kuchenkach elektrycznych, z trudem umie rozpalic ogień nawet w kaflowym piecu. Widuje się nawet, jak taki ktoś używa mu do orze całe pudełko zapalek, nim wreszcie z trudem rozpali ogieniek, albo w ogóle mu się to nie uda i jest przekonany, że do rozpalki stosuje się jakieś chytre sztuczki. Temu, kto je zna, w rozpalarciu ognia nie przeszkodzi nawet najgorsza pogoda i purywisty wiatr.

Przed wszystkim należy wiedzieć, które drewno spala się najszybciej, a które najwolniej, a także, które daje najwięcej ciepła lub najwięcej dymu. Do rozpalki najlepiej nadają się suche gałęzie, po nich gałęzie z martwego, stojącego pnia. Są już całkowicie pozbawione soku, na wskroś wysuszone przez słońce i wiatr. Nawet jeżeli są wilgotne, to tylko z zewnątrz. Można je wytrząść ręką lub oskrobać nożem. Gałęzie, które same spadły, i przewrócone pnie, nawet jeżeli były suche już przed upadkiem, nie nadają się na rozpalkę. Wessały one wilgoć z ziemi i niejednokrotnie zbutwały aż do rdzenia. Przeważnie tylko te konary bywają suche, które sterczą do góry z leżącego pnia. Mimo to leżące drewno ma swoje dobre strony, a mianowicie wtedy, gdy chce się jak najdłużej, na przykład do następnego dnia, utrzymać zar, by z resztek zarzewia na nowo rozpalic ogień. Zanim się jednak dorzuci do ogniska tego rodzaju drewno, ognisko musi już silnie płonąć. Mokre lub zgnile drewno spala się z trudem i powoli, toteż dłużej utrzymuje ogień. Opadłe gałęzie, dając się, wydzielają dużo dymu, który przepędza okoliczne mósłki i jest z daleka widoczny. Lotnikowi, który miał przymusowe lądowanie, czy też zabłąkanemu wędrowcowi potrzebny jest taki dym dla wyraźnego zasygnalizowania swojego miejsca pobytu. Obumarły brzozy najdłużej się żarzą i dają najmniej ciepła, bo ich zewnętrzna kora pozostaje w stanie nienaruszonym i zatrzymuje w pniu wilgoć.

Natomiast brzezina z żywego pnia pali się lepiej niż jakiegokolwiek inne świeże drewno. Prawie równie dobrze pali się drewno jesionowe. Po nim modrzewie, świerki, jodły, kłoty, topole, buk, wiazy, kasztany, lipy, olchy i wierzbę. Mniej więcej w podobnej kolejności. Dopiero na samym końcu listy znajduje się dębina. Wszystkie drzewa iglaste palą się łatwiej i lepiej od drzew liściastych. Za to drewno liściaste daje więcej ciepła i dłużej płonie, z czego wynika, że mając możliwość wyboru rozpala się drewnem drzew iglastych, a następnie podsyca ogień drewnem liściastym. Świeże gałęzie wierzbowe potrzebują więcej czasu, żeby się zająć, za to dają dużo ciepła.

żarzą się przez wiele godzin i rozsiewają aromatyczny zapach. Tak więc ogień z wierzbiny nadaje się najlepiej do wędzenia mięsa i ryb.

Podobnie, jak w naszych szerokościach geograficznych brzoza, w tropikach najbardziej pożyteczną rośliną jest bambus, także i na rozpalkę. Słabe, złotkłe, od dawna uschnięte pnie bambusowe łamię się i dzielą na części. Przeważnie wieszka się je w rurach, na cienkich suchych włóknach. Bardzo prędko się zapalają i od razu rozpadają w ogniu na mnóstwo małych, wąskich drzązg, które się nawarstwiają. Płonący ogień trawi także i zielony bambus, który daje wyższą temperaturę.

Kto chce się dealektować spokojnym wypoczynkiem przy ognisku, musi wcześniej przygotować odpowiedni zapas opału. Zwłaszcza wtedy, gdy zbliża się noc. Na jak długo wystarczy mu dany zapas, zależy od zdobytego doświadczenia, no i oczywiście od tego, do czego potrzebny mu ogień. Zawsze warto mieć ręczną piłę, żeby oddzielić gałęzie od pni. W przeciwnym razie trzeba je odłamywać i wrócić się widzi, że za pomocą gołych rąk można się uporać z niewielką ilością gałęzi. O jeden powód więcej, żeby nie używać większego ognia niż jest potrzebny.

Gdy nie ma się do dyspozycji siekiery ani piły, żeby pociąć grube, długie drzewo, wkłada się do ogniska sam koniec pnia czy też gałęzi i popycha się je stopniowo, w miarę jak się spalają. Dzięki temu oszczędza się wiele wysiłku. Gdy jest wystarczająco ciepło i zależy tylko na utrzymaniu żaru, ognisko można częściowo przegrodzić. Kładzie się na nim mokry mech i świeże gałęzie, a nawet przysypuje się ziemią. Trzeba tylko pozostawić odpowiedni otwór dla przewiewu, żeby całkiem nie zgasło.

Istnieją rozmaite metody, które pozwalają smacznie spać, kiedy jest bardzo zimno. Przypomni mi, że traper nie ma namiotu i nie chce się zbyt długo wybić przy budowaniu prowizorycznej kwatery. Tym, czego potrzebuje mu



ciężko, jest reflektor, który odbija ciepło ogniska. Jeżeli w pobliżu znajduje się skała lub metrowej wysokości ściana, kładzie się pomiędzy ogniskiem a tym zapleczem. Skała za plecami odbija ciepło ogniska, odgrywając rolę kaflowego pieca. Jakkolwiek tego rodzaju ogrzewanie jest proste i praktyczne, tylko niewielu początkujących wpada na ten pomysł, chociaż podobne ustawienie ogniska stanowi jedyne logiczne rozwiązanie. Niestety, nie wszędzie można znaleźć samoistne reflektory. Podobną rolę może więc spełniać kłosa z drewna. Żeby ją postawić, trzeba najpierw wbić w ziemię kilka mocnych zaostzonych palików ze skośnymi podpórkami. Przed nimi układają się w poprzek kilka pniaków, meczyt dużych i ciężkich, aby można je było bez wysiłku ściągnąć i ułożyć jeden na drugim, aż całość osiągnie około półtora metra wysokości. Będą one służyły jako reflektor.

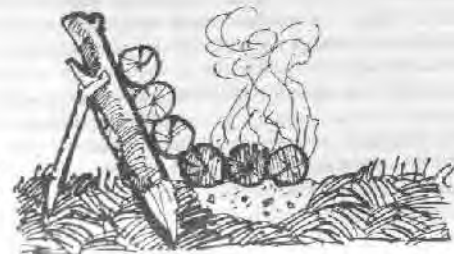
Kto ma ze sobą plandekę, a choćby tylko kawał plastyku, ma w rękę gotowy reflektor. Plandekę napina się ukośnie ku górze, w stronę trzaskającego ogniska. Mniej więcej półtora metra przed nią płonie ogień. Należy się ułożyć pod ukośnie napiętą plandekę.

Kiedy buduje się jeszcze zsymp automatyczny, można przespać całą noc nie dokładając samemu do ogniska. Także i w tym wypadku wódnia się w ziemię kilka mocnych palików, ale znacznie bardziej skośnie do tyłu i całkiem blisko ognia. I znowu jeden na drugim układają się poprzecznie pnie, dopóki wystarczy miejsca. Gdy tylko ogień strawi leżący na ziemi okrągłak, zaraz stacza się i wpada w ognisko następny, a zanim spłoną wszystkie, minie noc.

Zresztą, jeżeli jest się kilkakrotnie w nocy budzonym przez zimno i trzeba dorzucać do ogniska, nie jest to aż tak uciążliwe, jak sądzą niektórzy ludzie. Należy tylko wczasy zgromadzić dostateczną ilość opału i mieć go pod ręką. Starzy traperzy robią to machinalnie w północy i nawet podczas najgłębszej drzemki czują, kiedy trzeba podsyć ogień.

Innym sposobem na to, żeby w czasie niskich temperatur przez całą noc samoczynnie utrzymywało się ciepło, jest tak zwany wieczny ogień. W tym

Zsymp
automatyczny
(samoczynny)



celu wykopuje się wgłębienie szerokości około trzydziestu centymetrów i długości ludzkiego ciała. Jeżeli na terenie obżowiska odczuwa się powiew kierunku wgłębienia winien być zgodny z kierunkiem wiatru. Potem w tym długim płaskim rowie robi się palenisko. Gdy jest już pełno żaru, wtacza się do wgłębienia świeży, możliwie gruby pień. Przykrywa się go wilgotnym mchem lub zielonymi gałęziami, dzięki czemu będzie się jeszcze palił przez dwanaście godzin. Początek i koniec pnia musi jednak pozostać odkryty, żeby był konieczny przewiew. Gdy jest szczególnie zimno, po drugiej stronie tego długiego, zagłębionego w ziemi ogniska buduje się dodatkowo reflektor.

Gdy przyjdzie ohezwac w prawdziwie aktywnym klimacie, w temperaturze poniżej dwudziestu stopni lub znacznie niższej, dopiero wtedy powinno się zdejmować rękawice, gdy wszystko jest już przygotowane do rozpalenia. W przeciwnym razie ręce zgrabięją i straci się pewny uchwyt, tak bardzo ważny przy rozpaleniu ognia. Nie dłużej niż w ciągu pół minuty powinno się wetknąć zapalną. Jeżeli ktoś, kto rozpała ogień, nie zdąży tego dokonać w tak krótkim czasie, musi na nowo rozgrzać ręce. Najprędzej rozgrzewają się, gdy się je przyłoży pod wełnianą koszulę do gołego ciała.

Także i tam, gdzie już nie rosną drzewa, znajduje się opał. Nawojsi go woda. Mam na myśli wybrzeża Oceanu Lodowego, rzeki bezdrzewnej tundry i łańcuch nadbrzeża lodów. Prawie wszędzie na brzegach i lawicach paskowych leży drytujące drewno, niekiedy spiętrzone w okazałe pagórki... Przeważnie leży ono na wysokim brzegu, a więc tam, gdzie wyrzuciła go wezbrana woda. Normalne pływy i zwyczajne prądy nie mogą go już dosięgnąć. Dlatego stare dryfujące drewno jest doszczętnie wyschnięte i ma bardzo dużą wartość opalową. Sztormy i prądy, a nawet lodowce niosą obce drzewa do najbliższych wybrzeży. Tysiące obalonych pni z dziewięćdziesiąt latów Syberii widywaliśmy w zatokach koło Spitzbergenu, w krainie porośniętej jedynie trawą i mchem. Także na piaszczyste wybrzeża tropikalnych mórz i na brzegi negich wysp zostało z daleka naniezione dryfujące drewno. A przecież na morskich brzegach są także i inne rzeczy, z których można rozniecić ogień, na przykład stara wyschnięta trawa morska lub trąta z martwych fok. Wolają się potamane skrzynki i oderwane od rybackich sieci korkowe pływalki.

Podobnie i w górach powyżej granicy lasów można znaleźć opał. Skłębione brzozy i zarosła porastają jeszcze wysokie partie gór. Karłowate drzewa iglaste polzające tuż przy ziemi mają wyjątkowo szklaną kory i bardzo twarde drewno. Z suchej trawy można skrócić kłębki i użyć go na rozpalenie. Wrzos też się pali. Nawet na zasnieżonych zboczach bywa mech i porosty, przede wszystkim tak zwany chmurek reniferowy, który rośnie pod śniegiem.



Okryć mchem, celem utrzymania stałego ognia

Pala się jednak nie tylko rośliny. Pali się także sierść i skóra martwych zwierząt, bułki zwierzyny rącicowej, zajęcy i ptaków głuszcowatych, w szczególności dobrze sucha mierzwa dzikich bawołów i domowego bydła. Całe plecionka ogrzewają się i gorąją, paląc wyłącznie odchody swoich wielotładów. W razie potrzeby spalają nawet kości.

Mięso zwierzęce nie pali się tak szybko i dobrze jak tłuszcz. Pocięty w pały i ułożony na kościach, a nawet nieco przemieszany z mchem tłuszcz skupuje z płonącego sadła i sprawia, że zapalają się nawet twarde i wilgotne materiały. Niegdyś tak liczne eskimoskie ziemianki ogrzewano i oświetlano wyłącznie tranem upolowanych fok.

Sadło i tłuszcz mogą służyć równocześnie do oświetlenia i ogrzewania. W wyjęty tłuszcz wtyka się knot z mchu, a jeszcze lepiej ze skreconych wełnianych nitok lub postrzępionego sznurka. Gdy knot nasąknie tłuszczem, pali się małym, lecz jasnym płomieniem. Można przy nim przynajmniej ogrzać ręce. Wystarczy zagłębienie w kamieniu, żeby się nim posłużyć jak lampą. Nad krąg można zawiesić garnek. Piecyk można zrobić z każdej puszki blaszanej, nawet małej i pogiętej. Mniej więcej w połowie wysokości przewierca się po bokach dziury. Stwarzają one odpowiedni przeciąg. Tłuszcz w puszcze nie może oczywiście sięgać aż do dziurek. Knot trzeba umocować na drucie w środku paliwa. Kto nie ma drutu, może ułożyć w puszcze kilka małych kamyków i wetknąć w nie knot. Gdy się chce rozpuścić twardego tłuszczu, żeby był wchłaniany przez knot, puszkę trzeba rozgrzać z zewnątrz. W razie gdy jest to niemożliwe, knot trzeba porządnie natłuścić, a tłuszcz rozetrzeć rękami, zanim się go wrzuci do środka.

Taka tranowa lampa można w dostatecznym stopniu ogrzać namiot i igloo. Poza tym ma się dobre oświetlenie. Zawsze jednak trzeba pamiętać, że w każdym zamkniętym pomieszczeniu, także w namiocie i igloo, musi być wentylacja. W przeciwnym razie można się udusić trującym dwutlenkiem węgla.

Gdy brakuje żywności, każdy kawałek tłuszczu czy sadła przeznaczają się do zjedzenia. Coś, co posiada wysoką wartość kaloryczną, spalamy jedynie wtedy, gdy jedzenia jest w bród.

Ogień różni się po prostu zapalką. Gdy pada deszcz i wieje wiatr, zapala się go zapalkami sztormowymi. Płoną one od dziesięciu do piętnastu sekund i nie gasną nawet na najsilniejszym wietrze. Można je kupić w każdym lepszym sklepie sportowym. Zapalki sztormowe są trochę grubsze i dłuższe od normalnych. Dwie trzecie drewnianka powleczone jest warstwą losioru.



*Prowizoryczny piec z blaszanej puszki.
Knot spala olej lub
tłuszcz zwierzęcy*

Żaden prawdziwy traper nie zadowolony się trzymaniem zapalek w zwykłym pudełku. Bardzo często miewa przemoczone kieszenie, a dobrze wie, jak ważną rolę odgrywają w razie naglącej potrzeby suche zapalki. Co prawda można wilgotne, a więc tylko powierzchownie mokre zapalki uzdatnić, gdy przed zapaleniem przeciągnie się nimi kilkakrotnie po włosach, a także wytrze o włosy potarkę, lepiej jednak nosić je w nieelastycznym pojemniku z metalu lub plastiku. Powinien on mieć wodoszczelną nakrętkę. Pojemnik winien być za uszko przymocowany łańcuszkiem do strzelby, żeby się nie zapodziało. Z zewnątrz nakrętka musi być szorstko granulowana, żeby nie ześlizgiwały się po niej mokre bądź też zdrętwiałe palce. Musi istnieć możliwość odkręcenia nakrętki nawet w grubych rękawicach. Pod dnem pojemnika też znajduje się potarka z gwintowaną nakrętką. Wiele pojemników ma dodatkowo wmontowany w pokrywkę kompas. Mają także uszka, żeby je przywiązać sznurkiem do pasa. Sam pojemnik wkłada się do kieszeni. Tam w żadnych okolicznościach nie może się zawierzyć.

Mieści się w nim około trzydziestu zapalek, zaś drugie tyle należy przy sobie w innym futerałku. Gdy się planuje dłuższą wycieczkę, należy dodatkowo zapakować do plecaka trzeci albo i czwarty pojemnik, bo przecież nie przysporzą ciężaru.

Wielu doświadczonych traperów nie wyrusza w drogę bez kilku wołoskich świec. Pomijając sprawę oświetlenia, odgrywają one także i inną rolę. W rozpuszczonym wosku zatapia się zapalki. Leżą w nim zabezpieczone przed polamaniem i całkowicie suche. Gałąź, wior drzewny albo kawałek kory skropiony woskiem pali się równie łatwo i szybko jak hołba. Kiedy w suchym drewnu wstawi się ogarek świecy, trudno o lepszy zapłon.

Często ludzie pytają, dlaczego nie używa się zapalniczek. Dlatego, że wymaga paliwa, kamiczka do zapalniczki i pewnej pielęgnacji. Jest wytworem techniki, przy częstym użyciu i nieodpowiednim obchodzeniu się z nim może czasem zawieść, w przeciwieństwie do solidnie opakowanych zapalek. Na łonie natury obowiązuje zasada wysnuta z wielu doświadczeń, że wszystko, co się składa na ekwipunek, musi być możliwie najprostsze i najmocniejsze.

W każdym technicznym sprzęcie tkwi ukryty błąd. Im więcej ma części, im bardziej jest precyzyjny i finezyjny, tym częściej może się w nim coś zepsuć.

Żaden wędrowiec nie powinien wyruszać w drogę bez źródła ognia. Nie należy wsiadać na konia, do samolotu transportowego czy też do sań z psim zaprzęgiem bez zapalek w kieszeni.

Jaki dach nad głową?

Obóz-bazę rozbiliśmy nad brzegiem górnego biegu U'Romou, dopływem Uhangy, która z kolei wpada do Kongo.

Polowaliśmy starym zwyczajem, moim zdaniem odpowiadającym myśliwskim tradycjom Czarnego Lądu, mianowicie z czarnymi tragarzami, którzy dźwigali na głowach wszystko, co było nieodzowne na okres wielu dni i tygodni. Nie mieliśmy białego przewodnika, zładnego luksusu ani bagażu, bez którego można się obyć. Było to jeszcze prawdziwe safari.

Obóz nad rzeką opuściliśmy już o wschodzie, biorąc ze sobą jedynie tropiciela Motoko i dwóch tragarzy. Wszyscy inni zostali w bazie, bo zamierzaliśmy wrócić przed wieczorem. Lecz, jak to się niekiedy zdarza, rozpoznać wzięto całkiem inny ohrót. Zaraz po południowej szeście Motoko wytropił ślady słonia znacznie większe od wszystkich, jakie widzieliśmy do tej pory. I rzeczywiście zobaczyliśmy mnóstwo tropów przecinających wzdłuż i wszerz leśne poszycie. Ani myśląc o przedwczesnym powrocie, kluczaliśmy tropami wielkiego samca. Okragłe ślady przednich nóg, głębsze od śladów tylnych wskazywały mi to, że ma on wyjątkowo potężne siczakce. Mniej więcej na godzinę przed zachodem słońca, wprost przed nami usłyszeliśmy trzaski. Tak gęsta była mokra zieleni poszycia, że chcąc zobaczyć, jak wygląda, musiałem się bezgłośnie podczołgać na odległość dziesięciu metrów. Arystary otrzym był od dawna samotnikiem, który na pewno nie myślał już o rozrodzie. Gdy dostał kulę, stało się to bez szkody dla rozmnożenia gatunku. Z pofaklowanego pyska sterczało mi co najmniej stu kilogramów kości słoniowej. Po strzale w lewe ucho padł jak rażony gromem. Gdy trójnógowy kolos runął, wokół zadrżała ziemia.

Choć był to wielki sukces, ponieważśm zrobiło mi się go żal. Byliśmy jednak oddaleni od obozu o dobre dziesięć godzin marszu, czekała nas zima noc, a nie mieliśmy ani namiotu, ani śpiwora, ani w ogóle niczego do obozowania w dżungli.

Obejrzij się — ostrzegła żona — nadciągają całkiem czarne chmury. Na horyzoncie błyskało się, najdalej za pół godziny rozpęta się tropikalna burza gwałtowna, bo właśnie nadchodzi pora deszczowa. Zawsze zaczyna się ona gruntownym oberwaniem chmury.

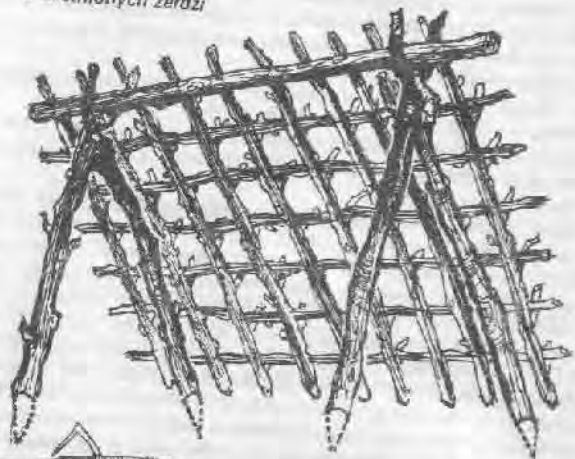
— Nie jest tak źle — powiedział Motoko w obliczu grożącego niebezpieczeństwa. — Zaraz zrobimy sobie chatkę z liści.

Jak powiedział, tak zrobił, przy pomocy dwóch pozostałych czarnych. Spróbuj ją opisać, bo taką chatkę można zbudować prawie we wszystkich okresach klimatycznych.

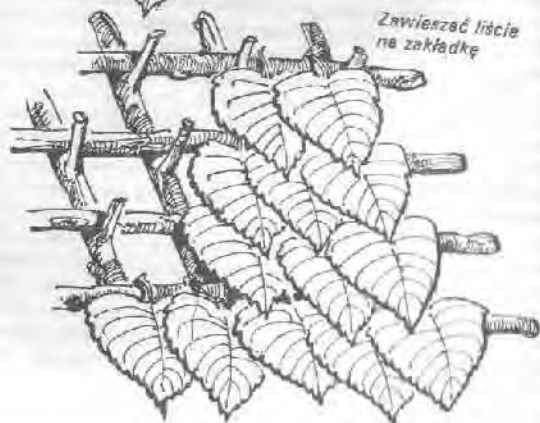
Bierze się dwie rozwiłone drewniane żerdzie, z drugiej strony zaostroża one końce i wbija je głęboko w ziemię. Słupki winny stać w odstępie około dwóch metrów i na jakieś dwa metry wystawać z ziemi. Podpiera się je dwiema skośnymi żerdziami. Żeby stworzyć mocne połączenie, trzeba uprzednio rozszczepić górne końce żerdzi wspierających i zakleszczyć je na słupkach. Potem na rozwidleniu obu pionowych słupków kładzie się kalenicy. Gdy jest szczególnie wietrzna pogoda, można wszystko związać giętkimi gałązkami, włóknami roślinnymi i skręconymi źdźbłami trawy. W ten sposób ma się już rusztowanie do dalszej budowy. Od ziemi do kalenicy ustawia się jeszcze ukośne w równych odstępach sześć do dwunastu żerdeń, takich samych jak dwie ukośne podpórki, sterczące ku górze. Zależy od siły wiatru, jak mocno trzeba je ze sobą połączyć. W czasie bezwietrznej pogody wiązanie jest zbędne. Na budowę skośnego dachu poleca się wybierać w murze możliwości takie żerdzie, od których odrasta jak najwięcej gałązek. Nie odcina się ich od żerdzi, tylko pozostawia odrosty długości palca. A to dlatego, że teraz na ukośnej konstrukcji zostaną poziomo zamocowane inne, możliwie proste gałęzie. Skośne odrosty posłużą jako naturalne haczyki. Żeby wszystko dobrze funkcjonowało, odrosty muszą być zwrócone końcami do góry. W ten sposób powstanie kratownica, którą trzeba całkowicie pokryć, żeby mieć z niej użyteczny dach.

Chcąc wyjaśnić, jak powstaje pokrycie dachu, zakładamy, że dysponuje się najlepszym do tego celu materiałem, a mianowicie bardzo dużymi liśćmi. Zaczyna się od lewej strony najniższego rzędu. Na poziomej żerdce zawieszamy się pierwszy liść na zagiętej łodyżce, żeby miał punkt oparcia. Potem buduje się obok następną, który w połowie przykrywa pierwszy. Każdy kolejny liść musi przykrywać poprzedni. Gdy w ten sposób pokryje się najniższą poziomą poprzeczką, przystępujemy do pokrycia znajdującej się bezpośrednio nad nią. Zwisające listki muszą do połowy przykrywać liście wiszące niżej. Każdy kolejny liść musi także przykrywać sąsiada z tego samego rzędu. Stosuje się więc taką samą metodę, jak przy układaniu dachówki. Przy starannym układaniu cała pochyłość zostanie szczelnie pokryta. Wprawdzie z przodu zostanie otwór, a przy najprostszej konstrukcji nie be-

Rusztowanie
z ulistnionych żerdzi



Zaginać łodygi liści przed
zawieszeniem



Zawierzać liście
na zakładkę

Na także i bocznych ścian, trzeba jednak wziąć pod uwagę, że dach zostanie ustawiony pod wiatr. Tylko z tej strony będzie padać deszcz.

Niewielki ogień tuż pod ukośnym dachem da ciepło i osuszy ziemię. Dym będzie miał swobodne ujście. Ściana za plecami posłuży jako reflektor dla ognia, dzięki czemu śpiący wypocznie w przyjemnym ciepłe, a deszcz nie wywrze mu krzywdy.

Gdy teren jest płaski, za ścianką-dachem należy wykopać rów, żeby spływająca woda miała ujście. Najbardziej korzystny byłby teren pochyły, opadający z lewka ku tyłowi.

Gdyby w pobliżu była skała lub szeroki gład wysokości człowieka, należałoby tak ustawić ukośny dach, żeby zwracał się ku nim otworem. Dzięki temu kwatery byłyby lepiej chroniona przed wiatrem i deszczem, a ciepło odbijałoby się także i od skały. Nie należy się przybliżać tuż do skały, a raczej zachować metrowy odstęp, w przeciwnym razie dym będzie się snuł pod daszkiem.

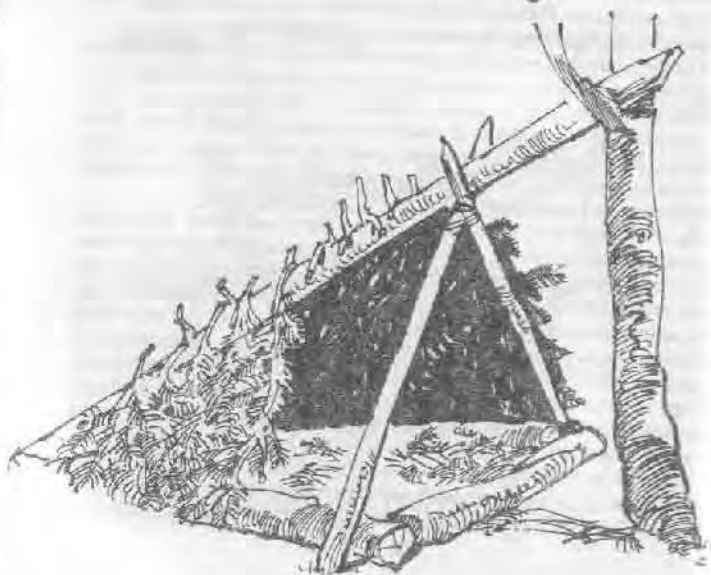
W naszym przypadku nie było skalnej ściany, bo też i była cukiem zbędna. Przed gwałtownym wiatrem chronił nas las i nie potrzebowaliśmy reflektora dla ognia. Chatka z liści stała gotowa, zanim spadły pierwsze krople. Budowanie pod kierownictwem doświadczonego Motoku nie trwało nawet dwadzieścia minut. Budowa została wykonana z taką perfekcją, że z obrwanej chimury nie dotarli do nas nawet najmniejsze bryzgi.

Później, kiedy nad rzeką Sangą polowaliśmy wraz z Babingami, niewiele większym od Pigmejów i równie autentycznym puszcząńskim ludem, spędziliśmy niejedną noc w takich chatkach z liści. Robili je wieczorem w mgnieniu oka, a rannem porzucali na zawsze. Od tych ludów, które wiemy prymitywnymi, biały traper może się wiele nauczyć, a przede wszystkim zrozumieć, jak mało w gruncie rzeczy potrzeba, żeby wygodnie spędzić noc na świeżym powietrzu.

Bardzo często w ogóle niepotrzebny jest dach nad głową. Jeżeli tylko pozwalają okoliczności, nie ma piękniejszego namiotu niż sklepienie niebios. W naszym klimacie warunki pozwalają na to co najmniej przez dwie, trzy noce z rzędu. Kto jest zżyty z naturą, ten już na miejscu wywnioskuje z blasku zachodzącego słońca, konfiguracji chmur i kierunku wiatru, czy w nocy będzie deszcz czy też nie. Zagorzali zwolennicy traperstwa niechętnie zamykają się w pomieszczeniu, stroniąc od natury, z którą szukają możliwie bliskiego kontaktu. Tylko wtedy rozkładają namiot, kiedy zmuszają ich do tego warunki atmosferyczne, przy czym nigdy nie unikają związanych z nimi przykrości, bardziej, niż jest to konieczne ze względów zdrowotnych.

Możność rozkoszowania się księżycem i gwiazdami, a w dodatku spędzenia aż do rana spokojnej nocy daje więcej przyjemności, niż sędzi większość mieszczuchów. Im bardziej na południe, tym bardziej korzystne proporcje.

Budowa prymitywnego szalasu



W tropikach rok jest w ogóle podzielony na porę suchą i porę deszczową. Kto wędruje po buszu, może na tym prawie zawsze polegać. W wielu okolicach wiedzą w czasie pory deszczowej, o której godzinie lunie deszcz. Kto spaceruje na prawdziwej pustyni, wie, że nocą deszcze spadają tam niezwykle rzadko. Jeżeli mimo to buduje ochronny daszek, czyni to wyłącznie dla ochrony przed słońcem.

Im dalej na północ, tym bardziej nieobliczalna pogoda. Burze i deszcze tam przeplatają się ze słoneczną pogodą. Kto zna późnojesienne lasy północnej i ich baśniowo pięknym „indiańskim latem”, zgodzi się ze mną, że nie ma bardziej uroczej pory roku. Dni są jeszcze długie i przepiękne, za to noce już chłodne, niekiedy nawet mroźne. Oczywiście może spaść deszcz, a może nawet śnieg, lecz kto ma szczęście, przez długie tygodnie nie zazna opadów. Niebo jest czyste, a lasy rozsiewają aromatyczną woń. Miłośnikowi natury wystarczy śpiwór ułożony na suchym mchu lub liściach i będzie mu dostatecznie ciepło.

W pobliżu koła polarnego lub jeszcze bardziej na północ śpiwór rzecz jasna nie wystarczy. Mimo że potrzebny jest ciągły ogień, to w czasie takich spokojnych dni zbędne jest inne zabezpieczenie. Nawet na śniegu można obywatel bez dachu nad głową. Nie chciałbym jednak doradzać tego niezręcznym, bo trzeba mieć wiele doświadczenia. Tak czy owak, zawsze potrzebne jest obozowisko. W miarę możliwości winno się ono znajdować w pobliżu płynącej wody, będzie się przecież chciało coś ugotować i pozmymać, a nawet i samemu się umyć. W stojących wodach, a zwłaszcza w błotnistych bajorach, od późnej wiosny, aż do pierwszych przymrozków utrzymują się miliony komarów. U stóp stromych zboczy i u podnóża pagórków mogą się staczać kamienie, a zimą istnieje groźba lawin. Gdy nadciągnie burza lub nastąpi oberwanie chmury, wytryskują z gór potoki. Równie stanowczo, jak urządza się biwak, należy wybrać miejsce, na którym ma się on znajdować. Korzystny jest zawsze skraj lasu, bo można w nim znaleźć opał i dobrą ochronę przed wiatrem. Natomiast nie poleca się noclegu w samym lesie. Podczas burzy spadają gałęzie i padają na ziemię martwe pnie. Wilgotna gęstota jest ulubionym siedliskiem much i gadów. Należy unikać ścieżek i gniazdek dzikiej zwierzyny. Stary bawół i zdolny do obrony odynieć lubią w bezpardonowy sposób usuwać każdą obcą rzecz, znajdującą się w pobliżu dróg, do których przywykły. Niedźwiedzie są z natury ciekawe, węszą w śpiworach, żeby się dowiedzieć, co jest w środku.

Podczas złej pogody i silnego wiatru najlepsze schronienie stanowi możliwość gęsty świerkowy lub jodłowy zagajnik. Nie łamią się w nim tak łatwo gałęzie, nie runie posiwiałe ze sturłości drzewo.

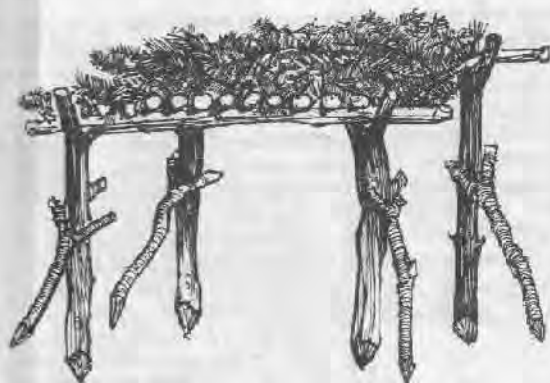
Wokół wyrosnięte na wysokość człowieka olchy i wikliny z wieloma odrośniętymi gałęziami mile widziane schronienie. W czasie upałów poleca się pa-

górki. Najłatwiej na nich o chłodny powiew. Im bardziej rzeźki, tym mniej dokuczają moskity. Gdy okolica jest wilgotna, trzeba się rozejrzeć za jakimś wzniesieniem albo piaszczystym zboczem, bo w nocy, jak wiadomo, ziemia będzie jeszcze bardziej mokra niż w ciągu dnia. Gdy zbiera się na burzę, nie wolno się, rzecz jasna, kłaść pod samotnie rosnącym drzewem, a i karabin wraz z nabojami kładzie się w pewnej odległości od obozu. Zgłębienia terenu najmniej nadają się na obozowisko ze wszystkich miejsc, jakie tylko można wymyślić. Zbiera się w nich woda, żywią do nich szczególnie upodobanie zwierzęta polujące.

Jakkolwiek z praktycznego punktu widzenia woda należy do dobrych miejsc na założenie obozu, nie powinno się wypoczywać tuż przy niej, a już na pewno nie w wyschniętym korycie rzeki. Może właśnie gdzieś daleko w jej górnym biegu łumi rześisty deszcz. W takim wypadku nocą może nadejść silna fala i porwać wszystko, czego dostatecznie szybko się nie przemieści w bezpieczne miejsce. Najbardziej niebezpieczne są rozpadliny po wyschniętych korytach rzek afrykańskich i australijskich pustyń. Ponieważ ofiarują schronienie przed upalnym wiatrem, a miejscami mają nawet cieniście zatony, nowicjusze chętnie obierają je na obozowiska. Lecz złośliwy przypadek sprawia, że akurat danej nocy, być może po latach całkowitej suszy, następuje obrwanie chmury i to tak daleko od obozu, że na razie nikt tego nie zauważa. Nagle, wśród nocy, woda wdziera się tak szybko i gwałtownie, że nikt już nie zdąży uratować. Jakkolwiek biwakowanie na wysepce rzecznej bywa czasem ponętne, może doprowadzić do zgubnej sytuacji, gdy zmiana nastąpi przybór wody i uniemożliwi dotarcie do brzegu. Niekiedy woda zatapia całą wyspę.

Przypuśćmy, że rozważano wszystkie dobre i złe strony, znalaziono dogodnie miejsce, dopisuje pogoda i na noc niepotrzebne jest zadłużenie. Nie ma się spiwora ani nadmuchiwane materaca. W takich okolicznościach przede wszystkim trzeba się postarać o dostateczny zapas drewna na opał, bo zrezygnować z ognia można jedynie w czasie upałów.

Łóżko trapersa.
Materac z gałązek jodłowych
oogródzony pniami



W bagnistym terenie: rusztowanie z żerdzi, ułożone na pałach

Nie da się jednak zrezygnować, gdy wokół brzęczą kornary. Kiedy się trzeba obawiać drapieżnych zwierząt, głodnych wilków lub hien, nicodziejny jest ciągły ogień.

Dopiero gdy w zasięgu ręki leży drewno na opał, przygotowuje się legowisko, bo szukanie po ciemku byłoby niezwykle kłopotliwe. Gdy ziemia jest sucha i miękka, wystarczy wykopać odpowiednie wgłębienie na kamiona i biodra. Leży się wtedy wygodniej niż na płaskim podłożu. Oczywiście trzeba przedtem usunąć kamienie, korzenie i pniaki. Gdy ziemia jest twarda i wilgotna, potrzebny jest materac. W tym celu zbiera się większą ilość gałęzi, w miarę możliwości świerkowych, jodłowych lub modrzewiowych. Powinny być świeże, giętkie, z gęstym igliwem i średniej wielkości. Gałęzie te układa się na ziemi, naturalnym wygięciem ku górze, w pięciu, sześciu albo i więcej warstwach. Tworzy dobre, miękkie łóżko, które nawet sprężynuje. Przede wszystkim zaś chroni ciało przed wilgocią ziemi. Nie najlepsze, lecz całkowicie znośne jest wysokie na co najmniej trzydzieści centymetrów posłanie z suchych liści. Jeżeli legowisko nie rozsunęło się, można je obramować pniami. Kładzie się je po bokach z prawa i z lewa, a także u wierzgłowia i w nogach. Gdy jest zimno i braknie ognia, poleca się przykrycie z suchych liści albo wręcz wczolganie się w kupę liści.

W tropikalnych dżunglach i bagnistym terenie, a także w okolicach, w których przebywają mrówki, skorpiony i różne jadowite węże, należy sporządzić sobie legowisko nad ziemią. Cztery metrowe gałęzie o grubości ramienia, rozdłone na jednym końcu, zastrza się i wbija w ziemię. Odstęp

po między nimi jest taki sam, jak pomiędzy nogami łóżka. Z obu stron, które stanowią boki legowiska, wkłada się w rozwidlenia mocne żerdzie, a na nich w poprzek układa się tyle krótkich żerdeł, aż powstanie solidna platforma. Na niej układa się w wyżej opisany sposób materac z gałęzi lub liści.

Tam gdzie żerują komary, przede wszystkim w tropikalnych lasach, lecz także w pełni lata w okolicach subarktycznych, bez moskitiery nie zasnąłyby się chwili spokoju. Żeby ją móc zawiesić, przedłuża się o metr ku górze żerdzie wspierające legowisko i wbija się dookoła legowiska cztery dodatkowe paliki. Na nich zawieszają się siatki, a jej zwisające końce zawijają się do wewnątrz. Od środka dotyka się boki drewnianymi kłockami, a nawet pniami. Wtedy nie uda się już wśliznąć ani jednemu komarowi.

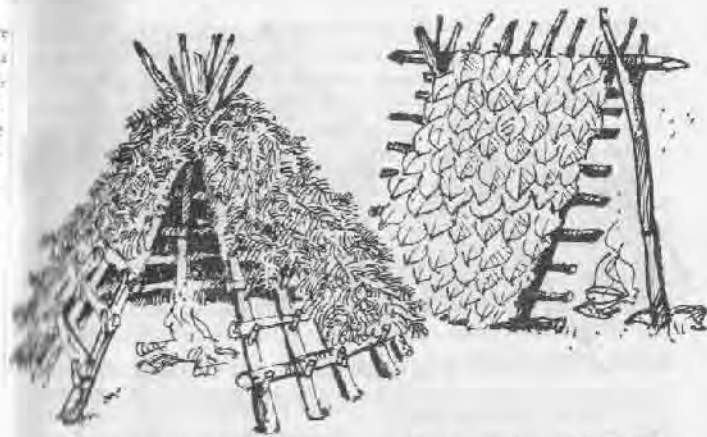
Chatki prowizoryczne



Różne rodzaje wodoszczelnych szałasów można pokrywać gałęziami jodeł, gęsto ulistnionymi gałązkami, dużymi liśćmi, trzcina, trawami, kawałkami kory lub darnią

Od lat wyszedł u nas z mody stary dobry hamak. Był on idealnym leżem na ciepłe noce spędzane wśród natury. Lekki i trudny do rozdarcia, dawał się w kilka chwil rozpiąć pomiędzy drzewami. Kto na nim śpi, jest zabezpieczony przed robactwem i nie wyczuwa wilgoci ziemi. Hamaka można zresztą użyć w charakterze sieci.

Obecnie pogoda się popsula, pada czy też zanoszą nas deszcz. Najpierw próbuje się znaleźć naturalny dach. Może go zastąpić gęsto ulistnione drzewo. Już pierwszy rzut oka na ziemię pod nim pozwala poznać, czy rzeczywiście nie przepuszcza deszczu. Gdy leżą na niej uschnięte igły czy su-



Poszycie z jodłowych gałęzi

Dach awaryjny z dużych liści

che liście i nie ma śladu wegetacji roślinnej, znaczy to, że znalazło się prawdziwie dobre „drzewo sypialne”.

W górach warto się rozzejrzeć za jakimś nawisem skalnym od strony, w której nie pada deszcz. Nie ma tak dużo jaskiń i trudno się do nich wspiąć, poza tym są na ogół wilgotne. O ile się odkryło suchą jaskinię, byłoby błędem rozpalenie ogniska w jej wnętrzu. Dym nie miałby tam ujścia. Ognień należy rozpałać przy wejściu w takiej odległości, żeby go nie zgasił deszcz.

Gdy obozuje się dłużej na jednym miejscu, można pojedynczy skośny dach przebudować na normalny, dwuspadowy. Wzdłuż otwartej strony dostrawia się drugi, identyczny dach. Celem uszczelnienia kalenicy uładują się na niej zagięte liście. Żeby na wszelki wypadek zabezpieczyć dach przed wiatrem, można dodatkowo ułożyć zamiast ścian splecione gałęzie i konary. W ten sposób powstanie prawdziwa chatka z liści, jaka dla wielu pierwotnych plemion stanowi normalne mieszkanie. W razie potrzeby, przedur lub tylny otwór zamyka się takim samym daszkiem z liści. Trzeba jednak zostawić jeden otwór, żeby miał któregoś uchodzić dym z ogniska.

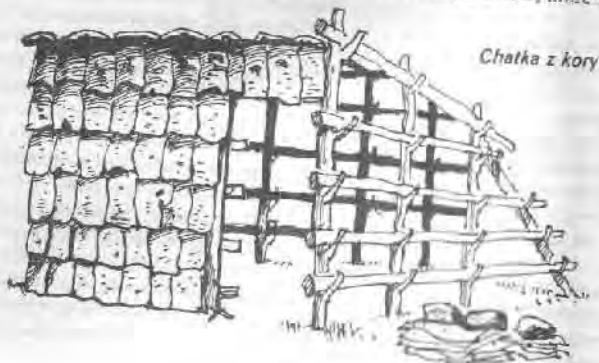
W naszych lasach nie ma liści bananowych, przy użyciu których można bardzo szybko pokryć chatkę, a w ogóle nie rosną u nas wielkie liście. A jednak, posługując się trzcina i długimi szerokimi źdźzłami trawy, można osiągnąć ten sam cel. Trzeba tylko nałożyć tyle wiązek, ile uniesie rusztowanie. Podobnie jak przy zastawianiu liści bananowych zaczyna się z tej samej strony od dołu, a każda wiązka musi zachodzić na poprzednią.

Szałasy z trzciny



Wszystkie źdźbła zwrócone są spiczastymi końcami ku dołowi. Rusztowa nie można ewentualnie pokryć gęsto ulistnionymi gałązkami. Trzeba położyć co najmniej pięć, sześć warstw.

Jeżeli w pobliżu rosną brzozy, krępe jodły lub świerki, a postój ma trwać dłużej, zaleca się wybudowanie chatki z kory. (Wszelako nie z upraw leśnych, gdzie odrywanie kory traktowane jest jako szkódnictwo leśne i budzi gniew leśniczych.) Należy odrywać możliwie duże płyty, gdyż stanowią one najlepsze gonty do szybkiego pokrycia dachu. Trzeba tylko uważać, żeby oderwane płyty nie miały dziur po sękach ani pęknięć. Ażby świeżo zerwane płyty kory nie zwijały się, powinno się je rozpląszczyć na ziemi i przecisnąć kamieniami albo czymkolwiek innym. Gdy krążyć soki, mniej więcej od maja do końca lipca, najlepiej odrywać kore z drzew, które nie-



Chatka z kory

były się przewróciły i z całkiem świeżych. Miłośnicy natury szukają przede wszystkim wiatrolomów, bo żywe pnie po takim zabiegu uśnieją.

Chatkami z kory kryje się w podobny sposób, jak dużymi liśćmi i są one całkowicie nieprzemakalne. Przytwierdza się je małymi drewnianymi świekami do wiązania. Najbardziej nadają się małe rozwidlane gałązki, na których można powiesić płyty kory, jak na haczykach. W zasadzie te małe cepekły będą przylegały ze względu na swój własny ciężar, a także dociskane przez warstwę. Kora zwisa w naturalny sposób z góry na dół. Podobnie, jak przy budowie dachu z liści lub z ceglanych gontów, kawałki kory trzeba okładać na zakładkę.

Teraz i dzisiaj robotnicy leśni stawiają w naszych lasach takie chatki z kory, żeby móc się schronić w czasie deszczu. Kiedy jest za daleko do najbliższej wioski lub droga jest zbyt uciążliwa, pozostają w nich na noc. Dobrze zbudowana chatka z kory przez dwa, trzy lata pozostanie całkiem sucha.

Do budowy wszystkich tych kwater używa się wyłącznie naturalnego surowca, a do pracy, poza własnymi rękami potrzebuje jedynie sikiery lub śliny nóż. Wykonanie szczelnego dachu jest bardzo męczące. Sprawa przedstawia się znacznie prościej, gdy się ma nieprzemakalny materiał. Budowę kwater przyspiesza użycie plandeki, skóry czy też plastyku. Bardzo praktyczne i przydatne na różne okazje jest poncho, rodzaj peleryny bez rękawów z otworem na głowę. Rozpostarte poncho jest kwadratowe i ma akurat taki rozmiar, że można nim przykryć jednoosobowy skośny dach. Trzeba je tylko tak rozłożyć, żeby otwór na głowę zwiisał ku dołowi. Poncho niewiele waży, a zwinięte można włożyć do kieszeni.

Najszybciej powstanie dach nad głowę, gdy się skośnie przytwierdzi do ziemi nisko rosnącą gałąź i zawiesi na niej nieprzemakalny materiał. Zwrócony tyłem do wiatru stworzy pożądany półnamiot.

Schronienie można zrobić w ciągu pięciu minut także i wtedy, gdy się wybierze najmniejszą i najprostszą formę: w odstępie jednego metra wbija się w ziemię dwie proste, rozwidlane półtorametrowe gałązki. Wygina się je i łączy ze sobą u góry. Do związania wysaroczy kawałek sznurka, chusteczka, gałązka wierzbową czy też źdźbła traw. Trzecią gałąź dwa i pół lub trzymetrowej długości przynocowuje się prostopadle do rozwidlenia, a drugi jej koniec wbija w ziemię. Na tym trójkątnym szkieletie rozpostiera się nieprzemakalną plachtę. Zwisające końce przyciska kamieniami lub kawałkami powalonych drzew.

Inną zdumiewająco prostą konstrukcją jest tak zwana katedra, zwłaszcza wtedy, gdy mamy do dyspozycji mocne wierzbowe gałęzki. Cztery dwumetrowe gałęzki wryka się w ziemię na rogach wytyczonego kwadratu

Rusztowanie z żerdzi
do pokrycia korą lub na
okres zimowy darnią



o bokach długości ludzkiego ciała. Następnie zagina się je do środka, związuje i narzuca na nie wodoszczelny materiał. W takim wypadku poncho okaże się za małe, bo nie sięgnie do ziemi, mimo wszystko jednak będzie osłaniało od góry. Do przykrycia całości potrzebna jest kwadratowa płachta o boku trzy i pół metra. Jeszcze lepsza byłaby płachta o wymiarach cztery metry na cztery, ha zwisające końce można by rozłożyć na ziemi i przycisnąć klockami lub kamieniami.

Przydałoby się, żeby materiał miał na brzegach kółka, pętelki lub dziurki. Wtedy byłby łatwo przytwierdzić go kołkami do ziemi. Podczas dłuższego pobytu warto wzmocnić rusztowanie „katedry”. Zamiast czterech wbija się kołki w ziemię tuzin gałęzi wierzbowych, które dodatkowo można wzmocnić poprzecznym ozebrowaniem. Gotowy namiot przybiera wtedy formę kopuły.

Dla skoczków spadochronowych spadochron stanowi znakomitą, nieprzemakalną tkaninę na obszerny namiot. Może on pomieścić cztery do sześciu, a w razie potrzeby i więcej osób. Dla płachty o tak wielkiej powierzchni wystarczy za rusztowanie jeden wysoki drąg. Opadającą tkaninę rozciąga się, napina i obciąża na brzegach kamieniami lub zamocowuje kołkami.

Prawdziwy traper nie zabiera ze sobą drążków do namiotu, znajduje je na miejscu. Może sobie odciąć gałęzie i żerdzie pożądanej długości. Jest to mniej kłopotliwe niż transportowanie nawet całkiem lekkich drążków.

Szatas z kory



W szelaku w wysokich masywach górskich, na pustyniach, w okolicach podbiegunowych i na rozległych stepach nie ma drzew ani krzewów. Kto wyposaża takie strouy, musi mieć ze sobą nieodzowne drążki.

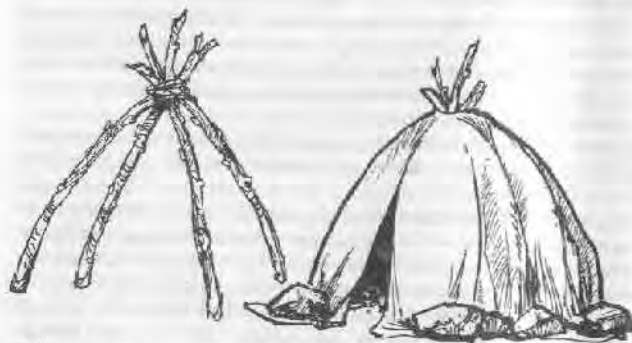
Indianie wynaleźli namiot, tak zwany tipi. Potrzeba do niego trzech, a jeżeli ma być solidny, tu i dwunastu długich, możliwie prostych, tyczek. Wbija się je na okręgu koła, nieco pochyło ku środkowi i związuje u góry. Dalszej zawieszano na nich skóry lub wygarbowane futra wielkich zwierząt. Dłusaj także i ludy koczownicze stosują lżejsze i łatwiejsze w zastosowaniu płótno żaglowe. Na szczycie tipi, tam gdzie się stykają tyczki, pozostawia się otwór jako dymnik. Gdy w czasie rzęsiwego deszczu wpadnie kilka kropel do namiotu, nikt się tym nie przejmuje. Z sykiem wyparowują w ogrzaniu, który panuje pośrodku okrągłego namiotu.

Niektóre tipi z nieprzemakalnego lnianego płótna sporo wazą, cięższe jednak bywały w swoim czasie skóry bizonów, losiów i reniferów. Ale był to i jest do dnia dzisiejszego bardzo praktyczny środek transportu. Koczownicy zawijają w skóry przykrywające „katedre” wszystkie sprzęty domowe, związują i robią z nich tłumok. Duży pakunek przywazuje się mocno pomiędzy dwoma dragami. Koń, pies, oswojony renifer lub kobieta — w żadnym razie mężczyzna — ciągną ze sobą ten bagaż. W tym celu przywazuje się końce dragów do haków siły pociągowej, zaś drugie końce wloką się po ziemi. Tę metodę zwie się „trenem” lub „travois”. Jest to w ogóle najstarszy środek transportu. Według wszelkiego prawdopodobieństwa także i nasi prehistoryczni antenaci w identyczny sposób przenosili się z miejsca na miejsce.

*Szałas pokryty na zimę
darnią*



Owym tipi warto poświęcić trochę uwagi. A to dlatego, że taki system można zastosować przy budowie obozów do dłuższego pobytu, a nawet na zimę. O ile rusztowanie jest dostatecznie mocne, to znaczy zbudowane z wielu solidnych drągów, wypełnia się przerwy pomiędzy nimi grubymi gałęziami lub suchym mchem. Całość pokrywa się korą, zwróconą wewnątrz.

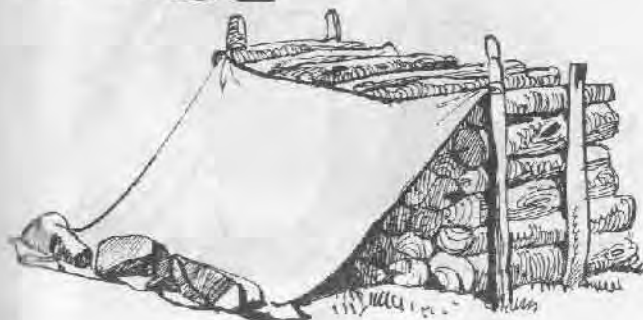


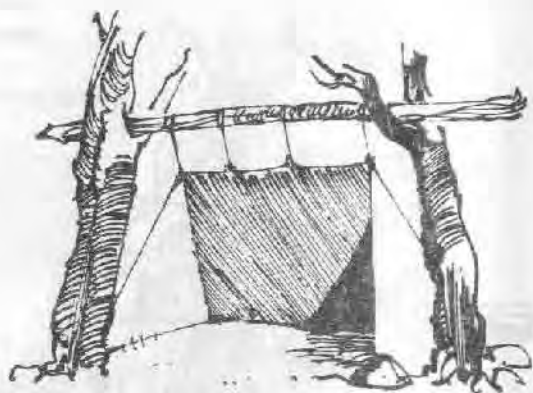
*Obszerny namiot zwany katedrą. Zwiąże z sobą wierzchołki
czterech młodych drzew. Przykryć płachtą namiotową i ob-
ciążyć kamieniami*

Namioty awaryjne

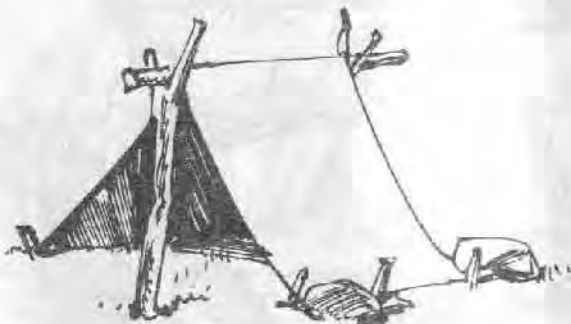


*Trzy namioty
przy użyciu
płachty namiotowej*





Dwa modele namiotu przy użyciu dużej plandeki



inną stroną ku środkowi. Na niej kładzie się możliwie jak największe płyty darniny. Powinny one sięgać aż do dymnika. Pozostawia się tylko małe wejście u dołu. Zastłana się je kawałkiem skóry. Podłogę izby wykładają się liśćmi lub świeżymi jodłowymi gałązkami. Ognisko w środku otacza się kamiennym wieńcem. Gdy wszyscy mieszkańcy opuszczają tipi, ognisko należy ugasić, a dymnik zatkać pniem drzewa.

Gdy w takim zimowym tipi pali się ogień, jest w nim ciepło nawet w czasie trzęskających mrozów, oprze się on najsilniejszym burzom i przez długi czas pozostanie bezpiecznym domkiem. Już po kilku tygodniach pokrywa śniegiem zrasta się. Wczesną wiosną kwitną na niej kwiaty i już za życia widzi się od spodu, jak trawa rośnie. Tak zbudowany tipi przetrwa wiele lat, ale nawet i wtedy wewnątrz da się odnowić.

W czasie naszych wędrówek po Laponii często nocowaliśmy w podobnych pomieszczeniach, które z zewnątrz wyglądały na naturalne pagórki. Gdy jednak w środku rozpalono ogień, ofiarowały jak niegdyś przytulny nocleg.



*Wigwam
indiański*

Kota lapońska

Tego rodzaju tipi Laponczycy nazywali kotą. Niedługo kota była ich jedynym mieszkaniem. Każda rodzina miała po kilka kot, a czasem cały tuzin. Wędrując ze stadami reniferów mieszkali to w tej, to w innej, czasem tylko przez kilka dni, innym razem przez kilka miesięcy. W obecnej dobie także i skandynawscy nomadowie mieszkają w nowoczesnych osiedlach, a tylko nieliczne rodziny przemierzają wraz z reniferami rozległy kraj i mieszkają w kotach.

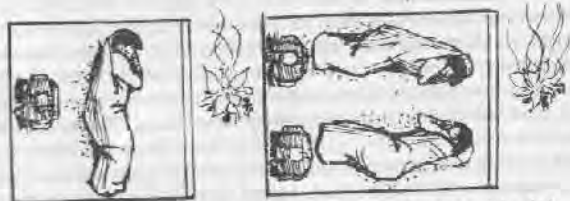
Mówiliśmy już, że prawdziwi traperzy i mistrzowie survivalu mechanicznie stronią od naturalnego środowiska. Kiedy pogoda zmusza ich do wpełzania pod wzniesioną „skatędrę”, w miarę możliwości powinien nią być namiot. Gdy dmie wiatr lub jest burza, wznoszą gęsty żywopłot z krzaków i gałęzi. Samotny człowiek śpią wzdłuż ściany skórzanego namiotu, ma więc ogień pod bokiem. Dwie osoby lub więcej spoczywają zwrócone głowami ku otworowi, bo właśnie tam płonie ogień, który mogą podsycać leżąc. Jeżeli w takim skórzanym namiocie ma mieszkać więcej osób, musi on być, naturalnie, o wiele szerszy. Ściana namiotu powinna być usytuowana co najmniej pół metra nad nogami śpiących. Wolną przestrzeń wykorzystuje się na bagaże.

Na dwuosobowy skórny namiot potrzebna jest co najmniej trzy-, czterometrowa płachta. Metr kwadratowy mocnej nieprzemakalnej tkaniny waży około funta. Arkusze plastyku są znacznie lżejsze, ale mniej trwałe.

Trudno zrozumieć, dlaczego w zamkniętych namiotach otwór prawie zawsze mieści się z przodu, a więc z wąskiej strony. Nie jest to praktyczne ani uzasadnione względami technicznymi. Byłoby znacznie bardziej praktyczne i sensowne, gdyby namiot otwierał się wyłącznie z boku za pomocą dwóch zamków błyskawicznych czy też guzików. Wtedy plandekę unosiłby się na zewnątrz na dwóch tyczkach i niezależnie od tego, że można by łatwo i szybko wyjść, miałoby się całkowity podcień. Ale przemysł jeszcze się na to nie przestawił. Według posiadanych przeze mnie informacji, namioty tego typu produkowano dotychczas jedynie w USA i Kanadzie, ale i tam jest ich stosunkowo mało.

Skórny namiot, podobnie zresztą jak każdy inny, musi być dostatecznie wysoki, żeby w nim prosto siedzieć. W czasie deszczu jest najlepsza pora do latania ubrań i naprawiania wszystkiego, co wymaga reperacji. Potrzebna jest więc swoboda ruchów i tyle miejsca, by móc ułożyć przywieszane rzeczy.

Na odludziu jest szczególnie ważne, żeby nie wyciągnąć żołądka, nerek, siedziona i pęcherza. Dlatego przy samotnym korzystaniu ze skórzanego namiotu człowiek powinien się tak ułożyć, by mieć z jednej strony ogień, a z drugiej ścianę. W namiotach z dachem, które otwierają się tylko z jednej, wąskiej strony, należy się kłaść głową, a nie nogami do wejścia. Te bowiem można łatwiej zabezpieczyć przed zimą i głową. Kiedy śpiwór



*W otwartym namiocie o skórnej ścianie, pojedyncza osoba śpi równoległa do ściany namiotu
We dwoje śpi się z nogami zwróconymi w kierunku ściany i bagażu*

nie słabo grzeje i nogi są zimne, trzeba włożyć dwie albo i trzy pary wełnianych skarpet. Kilka par skarpet na zmianę i tak należy do niezbędnego wyposażenia każdego wędrowca, który wyruszył w dłuższą drogę. Przy bardzo niskich temperaturach poleca się także zakładać tak zwane nocne kapcie. Są one wykonane z dwóch warstw materiału, lekkie jak piórko, a w środku wypełnione puchem.

Jeżeli stopniowo chcemy mieć w skórzanym namiocie coraz większy komfort, dojdziemy do typu, który posiada tyle różnych cech, że najlepiej będzie, gdy nie wiemy go skórzanym supernamiotem. Na osłonę budujemy podobne rusztowanie z prostych żerdzi, jak do zwykłego skórzanego namiotu, będą jednak wystawać z zalenicy do przodu na jakieś trzy czwarte do jednego metra, wyznaczają więc na całej długości podcień. Na końcach żerdzi trze-

ba zrobić dziurki lub założyć петельki. Rozpyra się je, wkładając w te otwory końce innej rzycki lub zamocowując podciern dwiema linami do najbliższych rosnących drzew. Poza podcierniem namiot ma jeszcze z obu węższych stron przedłużenia. Nie opadają one pionowo, tylko napina się je pod kątem dzieląc dwudziestciu stopni na zewnątrz. Końce przymocowuje się kołkami do ziemi. Boki są mocno związane z głową częścią. Tyczek nie musi się ze sobą, raczej trzeba je zdobyć na miejscu. Tego rodzaju jednoosobowy namiot waży około siedmiu funtów. U nas go jeszcze nie widziałem, ale każdy zrzeczy turysta sam go sobie może skroić i zszyć.

Jego zalety w porównaniu ze zwykłym skośnym namiotem są oczywiste. Pod osłoną podciernia nawet w czasie ulewnej deszczu nie zgaśnie małe ognisko. Pomiędzy wierzchołkiem a końcem legowiska zostaje po obu stronach dużo wolnego miejsca na bagnet. Jeżeli wiatr zmieni kierunek i ulewa zaczyna padać od frontu, opuszczą się podciern i zasłania nim górna część otworu. Chociaż nie sięgnie on do samej ziemi, to jednak sprawi, że w środku będzie całkiem sucho.

Nawet gdy się nie weźmie ze sobą drążków, ten lekki namiot z jednego kawałka można postawić w ciągu dziesięciu, piętnastu minut. Nie zajmuje dużo miejsca w plecaku i waży najwyżej siedem funtów. Wielu zadowolonych traperów nie miewa w czasie swoich licznych wędrówek po pustkowiaach innej kwatery niż skośny namiot lub skośny supernamiot. W normalnych okolicznościach są całkowicie wystarczające. Jedyne kiedy jest bardzo zimno, krążą moskity lub dmy gwałtowne wiatry, potrzebny jest namiot, który ze wszystkich stron można zamknąć, czasem nawet ogrzewany i zabezpieczony wtórnym zadaszaniem z okapem. W takim wypadku stykamy się jednak z problemem jego ciężaru. Przy wyburze namiotu na wszelkie możliwe pogody zawsze nasuwa się pytanie, czy trzeba go będzie samego dźwigać.

Bywają lekkie, pełne namioty przystosowane na jednego nieszczęśnika. Razem z lekkimi aluminiowymi lub plastikowymi draczkami waży one sześć do siedmiu funtów. Takie lekkie jak piórko, ale bardzo wytrzymałe sprzęty zaprojektowano dla alpinistów i himalaistów, lecz ich przydatność nie ogranicza się jedynie do tych terenów. W każdym poszczególnym przypadku trzeba wziąć pod uwagę, jakim celem ma służyć i w jakiej okolicy zostanie rozstawiony namiot. Równocześnie warto się zastanowić, co jeszcze ze sprzętów domowych trzeba będzie ze sobą zabrać na projektowaną wędrówkę.

Wysoko w górach braknie drewna na ognisko. Do przygotowania posiłku i ogrzania samego siebie turysta musi zabrać ze sobą kocher i odpowiedni zapas paliwa. Namiot musi być na tyle wysoki, żeby w nim siedzieć, i na tyle szeroki, żeby móc w nim coś zrobić. Gałęzie jodłowe, jłowe i mech na podkładkę pod śpiwór nie wszędzie można znaleźć, a już na pewno nie na na-

gich skałach. Izolować od ziemi musi co najmniej nadmuchiwany materac. Choć o niego nietrudno, jest jednak ciężki i zajmuje dużo miejsca. Gdy wszystkie te rzeczy znajdują się w namiocie, zabraknie miejsca, żeby w nim cokolwiek zrobić.

Gdy wybierze się kryty, całkowicie zamknięty namiot, nie trzeba się wyrażać żadnych korzyści, jakich przysparza w różnych okolicznościach. Należy do nich przyszywana, wodoodporna gumowa podłoga, a także sznury do namiotu i śledzie, którymi bardzo prędko można przytwierdzić lekką konstrukcję do podłoża. Tylko w ten sposób jest się niezależnym i wszędzie można się będzie zatrzymać na nocleg. Moskitiera przed wejściem ochroni przed muchami i moskitami.

Dobrym, a często nawet koniecznym, uzupełnieniem jest wtórne zadaszanie z okapem. Wystaje ono z przodu i z tyłu poza właściwy namiot. Pomiedzy górnym i dolnym dachem powstaje wolna przestrzeń, szeroka co najmniej na dłoń, która stanowi doskonałą izolację. Dach z okapem jest odrębną częścią nie przyszytą do właściwego namiotu. Wspiera się jednak na jego sakielecie. Dach z okapem albo leży bezpośrednio na kalenicy właściwego namiotu, albo na pionowe drążki namiotu nakłada się nasadki i przytwierdza się go do nich. Celem zachowania odpowiedniego odstępu pomiędzy nim a dachem właściwego namiotu, napina się go i zamocowuje jego własnymi śledziami, które trzeba wbić mniej więcej o stopę dalej od wewnętrznych kołków.

Istnieje w tym względzie zbyt dużo różnych modeli, żeby mogły pasować do każdej konstrukcji. Niektóre wtórne zadaszania są tak rozbudowane, że praktycznie tworzą drugi wielki namiot, rozpięty nad namiotem właściwym. Bywają „nadnamioty”, których dach i boki z własnym ożebrowaniem sięgają tak daleko poza dolny namiot, że powstaje rozległa, całkiem zamknięta przestrzeń. Na niej się gotuje, jada, myje i pracuje. Jest tam także dużo wolnego miejsca na bagaże. W podwójnie zabezpieczonym dolnym namiocie tylko się sypia. W niektórych modelach można rozpinąć i podnosić na zewnątrz wszystkie boki i zadaszanie z okapem, w innych tylko jeden bok. Zrozumiałe, że tego rodzaju komplety i namioty najbardziej komfortowe nie zmieszczą się w plecaku i że jeden człowiek niedaleko by z nimi umodził.

Gdy z nieba przypieka słońce, górny namiot nie dopuszcza promieni do namiotu dolnego. Gdy będą deszcz, nie ma obawy, że na dolnym namiocie utworzą się zaciski. Gdy w nocy na górnym zadaszaniu zbierze się śnieg, powłoka dolnego namiotu może mimo to „oddychać” jak dawniej. W czasie otrzych mrozów jest o wiele cieplej i przytulniej niż bez wtórnego zadaszania. Wszystkie te zalety odgrywają tak dużą rolę, że warto się zdecydować na dodatkowy ciężar w postaci podwójnego dachu. Oplaca się także praca

przy montowaniu, która zresztą trwa tylko kilka minut. Jedyne transportowe trudności sprawiają trudności.

Lekki jednoczęściowy namiot z podwójnym zadzieleniem i plastikowymi ściankami może ważyć do stu funtów. Większy, jednoczęściowy, całkowicie zamknięty namiot z wyjątkiem dachu do przodu okapem, jest nieomal zawsze dwuczęściowym. Dwie osoby mogą w nim wygodnie mieszkać i to przez dłuższy czas. Jedną osobą dźwiga namiot, a druga pozostałe wyposażenie, mogą więc spacerować po drodze. Bądź co bądź obaj wędrowcy mają pewną trudność przy wyborze miejsca na obozowisko, a i budowa postępuje powoli, gdy nie trzeba zaczynać od szukania i przycinania odpowiednich kłód.

Względnie rzadki kocioł, już sam kocher wystarcza do ogrzania namiotu. Gdy trzeba zagrzać z trzech, a czasami nawet ze wszystkich czterech stron całego namiotu do tego, ciepło nie ulatnia się tak szybko. Przy tym bywa jeszcze różna inna sprawa do ogrzewania, począwszy od małych kuchenek turystycznych po benzynę, spirytus czy gaz.

Przygotowanie posiłków, a przede wszystkim przywykli do obcowania z naturą wędrowcy, niechętnie używają wszystkich innych na pierwszym miejscu stawiając przede wszystkim drewno. W obozowisku, rzecz jasna, musi się znajdować wystarczający zapas drewna. Praktyczne korzyści płynące z takiego zapasu są oczywiste: nie trzeba zbierać drewna na opał i bez względu na zużycie drewna nie można oparować. Prawdziwy piec opalany drewnem ma prostą budowę i nie może opalać, że właściwie nigdy się nie psuje. Natomiast każde urządzenie, choćby i najlepszy kocher jest jednak sprzętem technicznym. Musi się zamoczyć i zatkać, podobnie jak przy dym traktowaniu dzieł się za szubę. Poza tym, co dla prawdziwych traperów bywa zawsze wadliwym, przy piecu opalonym drewnem jest znacznie przytulniej.

U nas prawie nie używa się do namiotów są prawie nie znane. Bywają takie, które są otwarte z przodu, i takie, które się tylko otwierają. Jeszcze prostsze, jednak trudniejsze do przewożenia są małe blaszane piecyki w kształcie pudełko do biszoptu. Wykonane są z jednego kawałka z wyjątkiem nóg i rury. Przed transportem zakłada się nogi i wkłada się je do pieca. Mieszczą się w nim jedna lub dwie osoby. Składają się one z trzech lub czterech kawałków, które się w czasie montażu łączy. Taki piecyk razem z częściami waży od sześciu do dziesięciu funtów, a większy dziesięć do dwunastu funtów. Mniejszy ma około czterech trzynastu cali długości, dwadzieścia pięć centymetrów szerokości i dwadzieścia centymetrów wysokości. U góry są dwa otwory z rączkami, można więc gotować równocześnie w dwóch garnkach. Haczyki są dołączane duże, żeby móc włożyć do piecyka polano przetransportować. Nie opala także mech, torf, korę drzewa, brudne szmaty

i oczywiście węgiel. Trzeba tylko uważać, żeby znowu nie zbliżyć do niego odzieży, koców i śpiworów.

Tam, gdzie rura wychodzi przez dach, w materiale znajduje się odpowiedni otwór. Celem ochrony materiału przed rozżarzoną rurą, a także i dlatego, żeby do namiotu nie wpadła ni kropla deszczu, z zewnątrz i od środka nakłada się na otwór specjalne azbestowe pierścienie. Z obydwu stron przyśrubowuje się je do otworu.

W zasadzie wymyślił ten rodzaj pieca poszukiwacz złota i łowcy zwierząt z Ameryki Północnej. W literaturze przedmiotu często napomyka się o nim, jako o piecu yukońskim. Modele przeznaczone do namiotów są jednak znacznie mniejsze i lżejsze od solidnych pieców yukońskich używanych w chatach z bierwion. Pojedynczemu człowiekowi, który sam wszystko dźwiga i często zmienia obozowisko, w ogóle nie można polecić pieców opalanych drewnem. Ich transport jest przecież zbyt uciążliwy.

Gdy polowaliśmy nad Mystery Creek, z rzadka odwiedzanym pustkowiem północno-zachodniej Alaski, przeżyliśmy już w środku października nastanie zimy. W ciągu nocy zamrzły nie tylko wszystkie potoki, lecz także i ziemia. Tak napadliśmy w naszym małym piecu yukońskim, że w ogóle nie zauważyliśmy przeraźliwego mrozu na dworze. Wkrótce zrobiło się nam tak ciepło, że wyczołgaliśmy się ze śpiworów i spaliliśmy bez przykrycia. Dopiero rano jeden z nas spojrzął na termometr wiszący na zewnątrz. Wskazywał dwadzieścia sześć stopni Celsjusza poniżej zera.

Na każdym campingu można zobaczyć, ile jest różnych typów namiotów. Namioty-domki, namioty wiszące, w kształcie piramid, spiczaste, okrągłe i półokrągłe, przedłużane i powiększane dostawkami, nadnamioty i absydy. Rozbija się namioty ludzko podobne do nadmorskich willi, z kotarami w oknach i dywanami na podłodze. Projektuje się coraz to nowe modele we wszystkich kolorach i różnych kształtach, z wszelkimi wygodami i ulepszeniami, jakie tylko można wymyślić. Bywają namioty nadmuchiwane o podwójnych ścianach i małe namioty wiszące. Niektóre namioty są również komfortowo wyposażone jak stałe mieszkania, z wygodnymi fotelami i szerokimi stolami, miękkimi łóżkami i eleganckimi, ozdobnymi komodami. Bywa w nich elektryczne oświetlenie, lodówka i piecyk gazowy. Pani domu jest zajęta gotowaniem na czteropalińkowym kocherze, obok stoi kredens kuchenny i zmywalnia. W namiocie de luxe można spotkać adapter, telewizor i kino domowe. Pan domu teraźnie na maszynie do pisania, a dzieci harują w przywiezionym brodziku. Pomiędzy mieszkańcami namiotów wywiązuje się ożywiony ruch towarzyski.

Nie ma to jednak nic wspólnego z życiem na łonie natury, aż przykro o tym wspominać. Jest to kontynuacja powszedniej egzystencji z przenośnymi urządzeniami, kopia swojskiego gospodarstwa domowego w jakim wydanu.



*Ogrzewanie namiotu za pomocą podziurawionego wiadra, zawieszono-
nego na trójnogu, druciu
lub na łańcuchu*



*Ognisko w namiocie
trzeba zawsze odgro-
dzić kamieniami. Kocio-
łek zawiesić na trójno-
gu lub na konstrukcji
namiotu*

Kuchenny smrodek wypiera aromat lasu, a w szczelnie zamkniętym namiocie nie błysną gwiazdy. Las, wybrzeże i góry pozostają na zewnątrz. Dążność do komfortu, gospodarstwo domowe w supernamiocie i stosunki towarzyskie z sąsiadami dostarczają tyle zajęć i rozrywki, że już brakuje czasu na dalekie wędrówki.

Pozwólmy się ludziom bawić, ale nie bawmy się sami. Wychodzimy, żeby się jak najbardziej zespolić z naturą. Namiot powinien w tym pomagać, a nie przeszkadzać. Zabieramy tylko to, co konieczne, żeby móc żyć na zewnątrz, na woliści lecz bez komfortu, który jest zbędnym ciężarem i bez bagażu, który nas przykuwa do pojazdu.

Dom z bierwion w ciągu ośmiu dni

Jan Kolszewski wykonuje zawód pomywacza samochodów. Ten spokojny człowiek nie zwraca na siebie uwagi w wielkim garażu, bo przecież jest tam wielu innych, którzy robią to samo, co on. Nikt nie wiedział, jaki osohliwy uprawia sport, żeby odpocząć od zgiełku, ludzkiej ciszy i wyciewów benzyny. Zachowywał to dla siebie i z nikim na ten temat nie rozmawiał. Szef także nie wiedział, dlaczego przy angażowaniu się Jan z góry zapowiedział, że zatrudnia się tylko na sezon zimowy. Równocześnie oświadczył, że zgadza się na wszystkie nadgodziny pod warunkiem, że jesienią na powrót przyjmą go do pracy, z czym zresztą nie było trudności, bo Jan okazał się sumiennym pomywaczem.

W rzeczywistości było to tylko zajęcie uboczne i, o ile tak można powiedzieć, Jan w gruncie rzeczy żył dla sportu. Była nim najczystsza forma survivalu, a więc życie wśród dzikiej przyrody, gdzie jest się zdany wyłącznie na własne siły. Jak to pojmował, dowiedziałem się najpierw od Billa Hugessona, pilota wodnopłatowca transportowego na Alasce. Wtedy stało się całkiem jasne, jakie zdumiewające umiejętności rozwinął na Alasce pomywacz z Chicago.

— Do portu lotniczego wodnopłatowców przybył w rozklekotanym samochodzie mężczyzna mniej więcej trzydziestoletni — opowiadał pewnego wieczoru Bill Hugesson w Pioneer Club w Anchorage — i chciał się dowiedzieć, ile kosztuje przelecenie około sześćdziesięciu, siedemdziesięciu mil nad przełęczą Rainy. Zapytałem mężczyznę, do jakiego celu chce się udać w tej zapuśniętej przez Boga okolicy. Odparł, że nad jakieś piękne jezioro, gdzie, jak okiem sięgnąć, nie uświadczą śladu człowieka. Jezioro ma być długie, ale niezbyt szerokie i otoczone lasami. Później wszystko mi jedno i nie go to nie obchodzi, czy jezioro ma już jakąś nazwę czy nie. Myślałem, że chce tam przez kilka dni rybaczyć i wyjaśniłem mu, że jak będziemy w górze, będzie mógł sobie wybrać takie jezioro, jakie zechce. Nikt jeszcze ich nie zli-

czył, ani nie zmierzyl. Zostały tylko sfotografowane z powietrza dla potrzeb kartografii. Znajdzie się akurat coś takiego, co ma na myśli klient.

W dalszym ciągu Bill Hugesson opowiadał, że człowiek z obcym akcentem miał ze sobą tylko wytarty plecak. Zawiesił przy nim dużą sickerę, a u pasa wielki nóż. Nie wyjął z samochodu ani zestawu przyborów wędkarskich, ani karabinku, czy w ogóle czegośkolwiek. Bill, znawca tych okolic, zauważył, że jego pasażer chce się wybrać na odludzie bez żadnego ekwipunku. Ponieważ jednak mężczyzna zapewniał, że jest wytrawnym traperem i istotnie sprawiał takie wrażenie, pilot nie miał zastrzeżeń co do przelotu, już choćby dlatego, że wypytywanie człowieka o cokolwiek jest na Alasce w złym tonie. Każdy może tam robić, co mu się żywnie podoba, o ile mieści się to mniej więcej w granicach prawa. Poza tym obcy płacił gotówką.

— Wypchnąłem więc mój dwuosobowy hydroplan na wodę — opowiadał Hugesson — i pasażer wspiął się po prawym pływaku. Mielśmy dobrą pogodę i daleką widoczność, przelecieliśmy nad przełęczą Rainy i poleciliśmy tam, gdzie chciał. Jakże się nam ukazał krajobraz... omszałe pagórki i ciemnozielone lasy pomiędzy szemrzącymi rzekami i jeziorami wszelkiej wielkości przypadły mi do gustu. Poprosił mnie, żebym przez jakiś czas krążył, co też i zrobiłem. Bez przerwy wypatrywał z prawa i z lewa, jakby szukał czegoś całkiem określonego. Po chwili ten wielki dziwak oświadczył, że miał na myśli właśnie takie jezioro. Mnie ono też odpowiadało. Zszedłem więc na dół, posadziłem hydroplan na wodzie i zbliżałem się do brzegu. Czyniłem to bardzo ostrożnie, bo pod koniec maja pływają tam jeszcze lamliwe kry. Poza tym jest to wyjątkowo piękna okolica, tak odludna i samotna, jak przed dziesięcioma tysiącami lat. Oddalona o dobry tydzień drogi od najbliższych ludzkich osiedli, gdy się idzie na piechotę. A może i dalej, trudno to dokładnie stwierdzić.

Bill przerwał i nalał sobie. Chciał sportęgować napięcie, choć nie oczekiwałem rewelacji.

— Kiedy się już wygramolił i podziękował za lot, za który przecież zapłacił, zapytałem go naturalnie, kiedy chce lecieć z powrotem. Myślałem, że za trzy, cztery dni, najdalej za tydzień. Odparł po prostu, że mam go zabrać w październiku, na krótko przed zamrażaniem jeziora. Odpowiedni dzień i pogodę mogę sobie sam wybrać. Co pan na to?

Nie znalazłem odpowiedzi, tego rodzaju lekkomyślność trudno było zrozumieć.

— Ten człowiek musiał być pomyłony! — Uderzył ręką w stół, aż zadźwięczały szklanki. — W każdym razie tak pomyślałem, bo znalazłem Janazaledwie od kilku godzin. Chciał zostać przez pół roku na pustkowiu bez strzelby i ekwipunku. W dodatku nie miał namiotu ani spiwora, skrzynki mąki, ani niczego do jedzenia. I w tej sytuacji każe się ten facet wysadzić na

kompletnym odludziu. Nie miał ze sobą wędek, sieci na ryby, sidła, nie miał koca i w ogóle niczego. Trzymał w ręku jedynie swój chudy plecak! — Bill pokręcił na wpół łysą głową nad taką głupotą.

Mężczyzna jednak twierdził z uporem, że zna się na takich okolicach i bądź co bądź ma siekiere, nóż i zrzęczne ręce. Zadecydował, że ma go zabrać w październiku. Na to odparłem, że zabiorę jego zbieleńskie kości, o ile jeszcze będzie je można znaleźć.

Opowiadający opróżnił powoli swoją szklankę. A przecież teraz nie musiał już wznagać mojej ciekawości.

— I jak się skończyło? — zapytałem. — Znalazł pan kości czy żywego człowieka?

— I jeszcze jak żywego! — roześmiał się Bill, którego w sposób widoczny ucieszyło moje zaciekawienie. — Gdy przyleciałem w połowie października, kiwał do mnie z brzegu kwitnący zdrowiem, dobrze odżywiony, a nawet odpasiony. Nie koniec na tym, na skraju lasu stał fajny dom z bierwion, przytulnie urządzony i już ogrzewany, a w nim stół, krzesła, dużo regałów i ciepłe łóżko z miękkimi futrami. Z lewej strony był murowany kotłownik, a okno z szybkami ze zwierzęcych skór przepuszczało do środka światło. Z kalenicy zwisały wędzone szynki, a na podłodze zamiast dywanów leżały brunatne i czarne futra. Mężczyzna zrobił sobie pierwszorzędną sieć na ryby, a talerze, garnki i kubki zмайstrował z drewna. W kącie wisiała lampa tranowa, w składzie zaś miał tyle zapasów, że mógłby przeżyć całą zimę. Powiadam panu, że rzadko kiedy jadałem tak smacznie i do syta, jak w zdumiewającego Jana Kulszewskiego. Nie brakło mu niczego do szczęścia, w ogóle i generalnie niczego! Wszystko zrobił sobie sam, posługując się jedynie siekiere, nożem i dwiema własnymi rękami.

Były to klasyczne umiejętności traperskie, największe osiągnięcie *survivalu*.

Na pustkowiach Ameryki Północnej, to zniszczy w większej części Kanady i Alaski nikt nie stawia przeszkód w postawieniu w lesie chaty lub domu. Mieszkańcom tych stanów dokłada się jeszcze kawał ziemi po zmieszaniu niżej cennie albo i za darmo. Ofiarowany teren obejmuje zawsze od dwudziestu do stu hektarów. Nabywca musi tylko przez okres kilku lat rocznie spędzać sześć do siedmiu miesięcy na swoim terenie i „usprawnić” go. Za usprawnienie liczy się już wybudowanie chaty, a tym bardziej solidnego domu z bierwion. Gdy się spełni te warunki i minie przewidziany okres, zostaje się pełnoprawnym właścicielem wciągniętym do księgi wieczystej. Ten rodzaj postępowania zwie się „zasiedlaniem” i w ten sposób została zasiedlona większa część Ameryki Północnej.

Także myśliwi, traperzy i obcokrajowcy, którzy przelotnie osiedli się wśród pustkowi, nie muszą się lękać papierowej wojny z powodu wybudowania

chaty. Najważniejsze, żeby okolica była ustroniem odległym od wszelkich dróg i osiedli. Jeżeli po upływie jednego roku i jednego dnia dom zostanie odkryty przez jakąś osobę urzędową, to może sobie stać nadal. Komu mogłoby przeszkadzać chata, kto miałby się na nią skarżyć?

Najważniejsze dla domu z bierwion jest jego położenie. W każdym razie poleca się, żeby przed domem było jezioro. Można w nim złowić ryby, są dzikie kaczki i dzikie gęsi, a inne zwierzęta przychodzą na brzeg, żeby się napić. Przez jezioro łatwo i wygodnie da się przewieźć do domu wszelką upolowaną zwierzynę i łatwo można dotrzeć do każdego miejsca na brzegu. Dzięki dużemu, a przede wszystkim dużemu jezioro można wyruszać na znacznie dalsze wycieczki, bo marsz na piechotę zaczyna się dopiero tam, gdzie pozostawiamy przy brzegu łódź. W zimie jezioro ofiaruje rozległą płaszczyznę do jazdy na łyżwach i nartach. Poza tym stanowi doskonałe lotnisko. Nie można przecież pozostawić bez łączności ze światem. Uzgadnia się, kiedy ma przylatywać samolot, żeby przyjąć zamówienia. Lotnisko zapewnia także dostawę przesyłek pocztowych, o ile komuś na nich zależy i liczy na nie. Jedynie w okresie przejściowym, kiedy lód jest zbyt cienki, samolot nie może lądować ani wodować. Takie idealne jeziora da się znaleźć wszędzie wśród północnych pustkowi. W Laponii, Finlandii, Norwegii i północnej Szwecji znajduje się aż za dużo jezior. Do wielu można dojechać, do pozostałych trzeba przez dzień lub dwa iść. Wygodniocy z ciężkim bagażem wynajmują samolot czarterowy, dostępny nawet dla średnio zarobkowych. Tylko że na budowę domu trzeba mieć we wszystkich krajach Europy zezwolenie właściwego urzędu. Gdy jezioro i wybrzeże stanowi własność prywatną, przeważnie można się z latwością dogadać. Prawie zawsze zależy to od tego, jakie wrażenie wywrze przybyłszy na krajowcu. Pieniądże nie odgrywają decydującej roli, trzeba tylko znać język danego kraju.

Chatę powinno się budować tam, gdzie do jeziora wpada bystry potok. Dlatego bystry, żeby w zimie prędko nie zamarzł. W przeciwnym razie dużym nakładem pracy stale trzeba utrzymywać otwarty przerębel albo roztopiać w garnku wyrąbany lód i to w dużych ilościach.

Plac budowy nie powinien znajdować się zbyt blisko brzegu, w przeciwnym razie podczas burzliwej pogody będzie go ochlapywać woda, a także powstanie zagrożenie, że po długotrwałych deszczach nastąpi przybór i woda zaleje dom. Powinno to być płaskie łagodne wzniesienie, które szybko obeschnie po deszczach. Zbyt bujna roślinność zdradza wilgotny teren, na którym nikt nie lubi mieszkać. Nie byłoby również wskazane budowanie domu w cieniu. Frontu z oknami nie buduje się od nawietrznej. Ze względu na groźbę lawin za placem budowy nie może być stromych wzniesień, a już w żadnym wypadku ogolonych, stromych stoków górskich. Z gładkiego trawiastego zbocza z łatwością będzie się zsuwać i spiętrzać za domem

lnięg. Trzeba też pamiętać o wodzie spływającej podczas roztopów i ulew-
nych deszczów. Gdy podnóża łagodnych stoków porasta las, krzewy i mech,
ma się zdecydowanie lepsze zabezpieczenie. Teren falisty i wysokie lasy
utrąca przed wiatrem. W każdym razie płaski, piaszczysty lub żwirowy
brzeg jest lepszy od skalistego czy też wręcz bagnistego. Przydałaby się ma-
ła sianeczka, jako naturalna przystań dla lodzi. A przede wszystkim potrzeb-
ny jest las sięgający do brzegu, przynajmniej z jednej strony jeziora.

Rozumie się, że budowa domu z bierwion postępuje znacznie łatwiej
(i prędkiej), jeżeli oprócz siekiery ma się do dyspozycji piłę, ze dwa świdy do
drewna i wielokrążek. Kto pracuje sam, a mimo to chce zbudować obszerny
dom, dla tego poza wymienionymi narzędziami najważniejszy jest
wielokrążek. Nowoczesny sprzęt z nylonową liną wyciągową waży cztery do
pięciu funtów, zmieści się jednak w kieszeni plecaka, a posługując się nim
można poruszać pnie ważące do tysiąca kilogramów. Ten mały przedmiot
w idealny sposób nadaje się do wielkiego problemu związanego z budową do-
mu z bierwion, mianowicie do wciągania na górę ciężkich pni, a także do
oszczędzenia kalendarza.

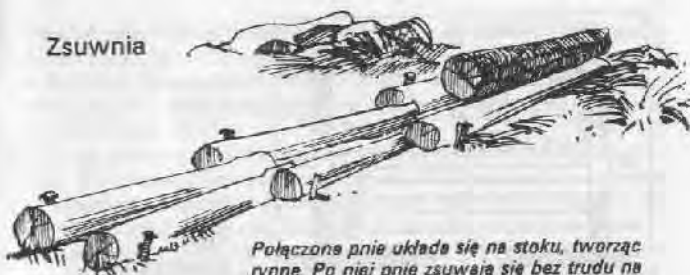
Potrzebne są również świdy do drewna. W wywiercone na szerokość pal-
ca otwory wbija się potem własnoręcznie wystrugane kolki, które mocno łą-
czą pnie. Świdy do drewna i drewniane kolki ułatwiają przede wszystkim
układanie więzby dachowej, umieszczenie krokwi oraz szalowanie drzwi
i okien. Zamiast piły można użyć zwykłej rozplataczy choć najlepiej, rzecz
jasna, lepszej piły łańcuchowej.

Budowę domu ułatwiają także i inne środki pomocnicze: worek gwoździ,
szyby okienne, papa do pokrycia dachu, wata szklana, śruby, zawiasy. Co
prawda przychodzi na myśl, czy nie postawić na miejscu prefabrykowanego
domku ze składanych części. Owszem, czyni się i tak, ale to już zupełnie in-
ny temat, którym się nie zajmujemy.

Ten, kto się sprzymierzył z dziką pierwotną naturą, chce mieć jak naj-
mniej do czynienia z wyrobami przemysłowymi. Chce stać na własnych no-
żach, a jego dostawcą jest tylko i wyłącznie Matka Natura.

Drewo do budowy nie wycina się bezpośrednio przy placu budowy, bo
muszą one chronić przed wiatrem, a poza tym nie byłoby przyjemnie
mieszkać na tej porębie. Najłatwiej transportować drewno, gdy w pobliżu
jest pochyły teren, a na zewnątrz rośnie piękny las. Wycina się tam wybrane
drzewa, obcina gałęzie i okornuje pnie. Jak już uprzednio wspo-
mniałem, należy pamiętać, że korę najłatwiej zdejmować, gdy krążą soki,
a więc od maja do lipca. Poza tym okresem zdarza się, że korę trzeba
z wielkim wysiłkiem usuwać siekierą i skrobakiem. Wtedy kora już nie od-
działa się, tylko trzeba ją odbijać. Jednakże drewno dłużej nie ulega zepsu-
ciu, guly ścina się pnie od połowy listopada do końca stycznia, w każdym ra-
zie w naszych szerokościach geograficznych.

Zsuwnia

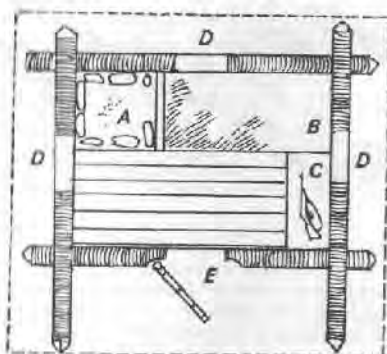


*Połączona pnie układa się na stoku, tworząc
rynnę. Po niej pnie zsuwają się bez trudu na
plac budowy. Transport może się odbywać
stąpami, w tym czasie można rozebrać ko-
niec zsuwni, żeby ją przedłużyć z przodu*

Gdy pnie są już ścięte i okorowane, z miejsca trzeba przystąpić do budo-
wy zsuwni, tak zwanej zjeżdżalni. W tym celu od razu tam na górze układa
się ciasno tuż przy sobie dwa pierwsze pnie. Cieńszymi końcami, to znaczy
wierchołkami do góry. Żeby pnie nie przesunęły się, po bokach wbija się
w ziemię dwa krótkie słupki. Na rynnę, jaka powstanie z obu pni, kładzie
się trzeci. Wystarczy lekkie pchnięcie i zacznie się on zsuwać na dół.
Pięć ten też układa się cieńszym końcem do góry. Trzeci zsuwający się pień
i zjeżdżający w ślad za nim czwarty zostają na dole zakleszczone przez koń-
ce obu pierwszych. Obok nich też wbija się w ziemię kolki, dzięki cze-
mu pnie numer trzy i cztery leżą tuż przy sobie. W ten sposób stopniowo
przedłuża się zsuwnię. Po tej przedłużonej rynnie ześlizgują się następnie,
kontynuując przedłużanie zsuwni, dopóki nie osiągnie placu budo-
wy.

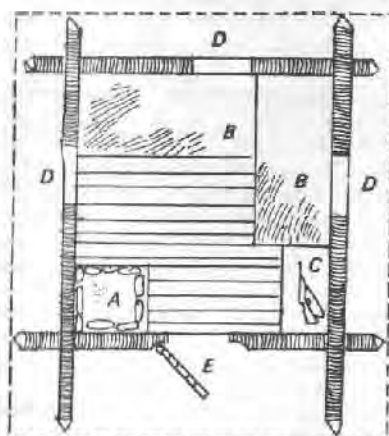
Dźwiganie i przetaczanie pni jest zbędne. Na budowę samej rynny nie
trzeba ścinać ani jednego dodatkowego pnia, bo przecież zsuwnia zostanie
w końcu rozebrana i użyta do budowy domu. Poczawszy od góry, pnie ryn-
ny jeden po drugim stopniowo się spuszcza na plac budowy.

Gdy teren jest zbyt płaski i nie nadaje się do budowy zsuwni, należy
urządzić „szosę”. W tym celu w odstępach dwumetrowych układa się rów-
noległe na ziemi pozbawione gałęzi i okorowane pnie. I znowu ułożone
wytaczają drogę do placu budowy, podobnie jak kolejowe szyny. Kładzie
się na nich w poprzek najbliższy pień i ręcznie toczy się go przed sobą. Ten,
kto go toczy, może przy okazji użyć jako dźwigni mocnej gałęzi. Następnie
przedłuża się „szosę” trzecim i czwartym przetoczonym pniem. W podob-
ny sposób postępuje się aż do placu budowy. Na koniec przetacza się samą
„szosę”. System ten nie jest tak prosty jak zsuwnia, bo przy przedłużaniu
i rozbiórce każdy przetaczany pień trzeba odwrócić, żeby go przyłączyć do



Plan
wnętrza izb:

Powierzchnia 2x3 m



A. Palenisko

B. Łóżko lub dwa krę-
żka jedno nad dru-
gim

C. Broń i narzędzia

D. Wzierniki lub ok-
na

E. Drzwi

Powierzchnia 3x3 m

„szosy”. Jest to jednak znacznie łatwiejsze niż wleczenie bądź dźwiganie każdego pnia.

Gdy się jest zmuszonym do wybrania miejsca na plac budowy nad rzeką czy jeziorem, a w pobliżu nie ma dobrego budulca, wtedy istnieje możliwość przetransportowania wszystkich pni wodą, a więc splawienia. Z miejsca wyrębu dostarcza się je nad wodę za pomocą zsuwni lub „szosy”. Jeden

człowiek może holować za lodzią sześć do ośmiu okrągłaków. Płynie jednak bardzo wolno, bo wlecze ogromny ciężar. Gdy już dopłyne do brzegu, musi dostarczyć drewno na plac budowy. I znów trzeba sobie dopomóc za pomocą „szosy”, nawet wtedy, gdy wciąganie pni na stok brzegu okaże się niekiedy trudne.

Co się zaś tyczy przyziemia chaty, to miarą wszelkich rzeczy jest człowiek. Kwatery musi mu zaofiarować odpowiednio dużo miejsca do spania, przyrządzania posiłków i wykonywania prac domowych. Potrzebne jest miejsce na ognisko, łóże, stół, zydell i do ulokowania najrozmaitszych rzeczy. Dla samotnego mieszkańca wystarczający jest dom o wymiarach przyziemia dwa na trzy metry. Potem oblicza, ile będzie potrzebował drewna na opał.

Do budowy domu o przyziemiu dwa na trzy metry i ścianach wysokich na metr osiemdziesiąt centymetrów potrzeba około sześćdziesięciu pni, zgodnie z następującym podziałem:

44 pnie do budowy ścian, po 4 metry długości i 15—16 cm grubości,
4 płatwie stropowe po 4,5 metra długości i 15—16 cm grubości,
2 belki stropowe po 3,6 metra długości i 15—16 cm grubości,
2 belki stropowe po 2,2 metra długości i 15—16 cm grubości,
1 kalenica długości 4 metrów i grubości 20—25 cm.

Do tego dochodzi lekka dragowina na strop, dach i podłogę:

25 żerdzi po 4 metry, o grubości 10—12 cm,
25 żerdzi na sufit w izbie, długich na 2,5 metra, o grubości 10—12 cm,
18 krokwí dachowych po 3 metry długości, o grubości 10—12 cm.

Powyższy wykaz podany jest jedynie dla przykładu, ponieważ w praktyce trzeba się zastosować do tego, co się ma pod ręką. Jednakże podana tu ilość i wymiary wystarczą do zbudowania solidnego jednonożowego domu z bierwion. W razie potrzeby pnie o podanych wymiarach można przesuwac bez zastosowania zsuwni i „szosy”. Byłoby dobrze i praktycznie tak ścinać drzewa, żeby padały w pożądanym kierunku, co znacznie ułatwiłoby transportowanie. To, co odpudnie z wierchołka, może zostać użyte do budowy sufitu, dachu i podłogi, a także do wyposażenia wnętrza.

Ponieważ pnie są na jednym końcu grubsze, trzeba je kłaść na przemian: na grubszy koniec dolnego nakłada się cieńszy, wierchołkowy. Wszystkie razem uzyskują mniej więcej tę samą średnicę, a mała różnica nie jest dla nas istotna. Gdy różnice są większe, najpierw do budowy używa się grubszych pni.

Jeżeli zamierza się mieszkać w chacie dziesięć lat, najpierw trzeba ułożyć warstwę głazów i dopiero na niej wznosić drewnianą konstrukcję. Do budowy małego domku wystarczą cztery głazy ustawione w narożnikach. Z nich także można zrezygnować, gdy podłoże jest piaszczyste, żwirowe lub składa się z otoczków.

Najpierw oczyszcza się plac budowy z wszelkiej roślinności, co w czasie suszy można wykonać wypalając ją. Gdy nie mamy odpowiednio wielkich glazów, które nadawałyby się na fundament pod chatę, ziemię należy pokryć żwirem lub otoczkami, piaskiem lub gliną, bo podwalina nie może leżeć bezpośrednio na próchnicy. Dla małych domków o rozmiarach dwa na trzy metry wystarczą trzy płyty fundamentowe, na których potem układa się podkład z żerdzi. Miejsce na ognisko pozostaje wolne i nie zabudowuje się go. Żerdzie podłogowe trzeba ociosać z wierzchu siekierą, żeby podłoga była względnie płaska i równa.

Potem z czterech stron układa się „wieniec podwaliny”, na którym później wzniesie się ściany chaty. Łączy się go po przekątnej tak zwanym wiązaniem połowicznym. W tym celu z węższej strony, w jednakowych odstępach, kładzie się na przygotowanym fundamencie dwa najniższe białe. Z każdej strony, mniej więcej o trzydzieści centymetrów od końca, wycina się w nich cztery karby o głębokości równej połowie przekroju, w odstępie równym szerokości chaty. Potem do wgłębień dopasowuje się pnie i kładzie się je w poprzek obu pierwszych biał. W ten sposób powstaje podwalina dla czterech ścian.

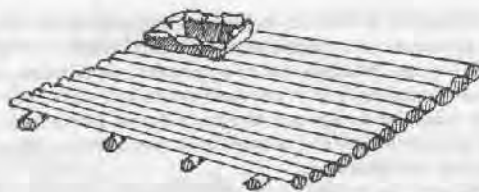
Następnie przygotowuje się białe do budowy ścian. Wzdłuż całych pni wycina się płaski trójkątny wręby, wcięty na jedną czwartą ich grubości. Potem położą się je, oparte wrębami na dolnych pniach. Poza tym wszystkie pnie do budowy dłuższych ścian — w odległości około trzydziestu centymetrów od każdego końca — zaopatruje się we wręby wcięte do połowy, w które później zostanie wpasowana następna warstwa z węższej strony domu.

Za każdym razem jednak, zanim się dopasuje następną warstwę do poprzedniej, trzeba starannie wypchać suchym mchem długie wręby pod każdym pniem. W tym celu podnosi się ułożone luzem białe i wypcha się pod spód mech, suchą trawę, a jeżeli to konieczne, suche łście. Gdy potem pnie, z których ułożą się ściany, jak również ciężar dachu sprasują ten wypełniacz, ściana jest dobrze uszczelniona i nie ma szpar. Deszcze, wiatry i burze nie znajdują szczeliny, którymi mogłyby się wlewać do domu.

Im ściana jest wyższa, tym trudniej unosić pnie. Wtedy trzeba sobie pomóc, tak układając następne pnie, żeby nie wystawały, jak dotychczas u trzydziści centymetrów poza narożnik, tylko o cały metr. (Potem to przedłużenie uciąca się.) Na tych wystających metrowych belkach kładzie się w poprzek dwa, trzy albo i cztery drągi. Sporządza się więc rodzaj rusztowania i usprawnia się je poprzez drogę dowozu na górę. Wykonuje się ją, opierając o rusztowanie dwa gładkie pnie. Odstęp pomiędzy pniami, stanowiącymi rodzaj szyn, wynosi około dwóch metrów. Trzeba je mocno przytwierdzić do ziemi kilkoma krótkimi kołkami, żeby się nie zeslizgiwały na dół ani na boki.

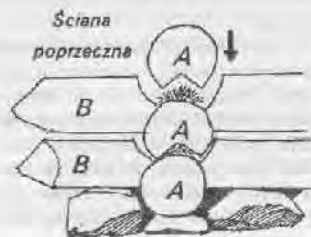
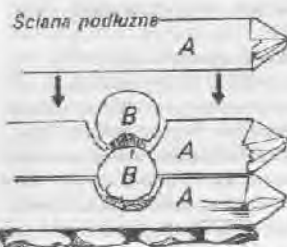
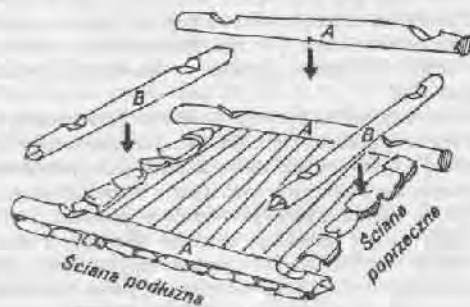
Podłoga

Ułożyć na 3-4 splezanych podkładkach lub rozszczepionych drągach. Pozostawić wolne miejsce na palenisko



Ściany.

Pnie do budowy ścian ułożyć na kamiennym cokole i „połowicznie” spoić. Od spodu na całej długości pni powycinać karby



Gdy się już to wszystko zrobi, wtraca się pnie ścienne na górę. Rzecz jasna, że muszą być uprzednio odpowiednio przycięte, a także mieć wyciosany wręb i rynię. Wtracając bał na górę, należy się poruszać pomiędzy pniami stanowiącymi szyny. Z rusztowania można bez większego wysiłku podnosić pnie ściany, aż do samego szczytu. Gdy się potem rozpocznie pracę na szczycie, przy kalenicy i w ogóle przy kryciu dachu, stoi się pewnie i bezpiecznie na rusztowaniu.

Na razie nie myślimy o drzwiach i oknach. Szczyty z obu stron domu powstają z belek o takiej samej wytrzymałości jak inne pnie wszystkich czterech ścian. Natomiast krokwie dachowe mogą być słabsze. Oczywiście im wyżej, tym będą krótsze, ponieważ ściana szczytowa zwęża się ku górze.

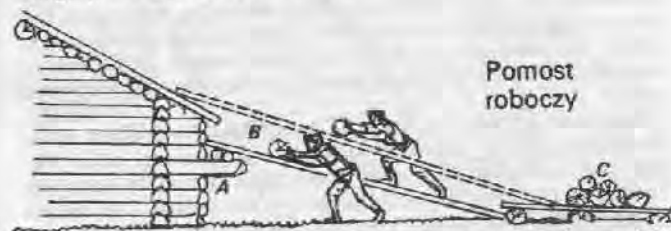
Tak więc, gdy obie ściany szczytowe osiągną przewidzianą wysokość (z wyjątkiem ostatnich, najkrótszych na samym szczycie), należy pomyśleć o położeniu kalenicy. Oba najkrótsze pnie szczytowych ścian muszą mieć w środku, aż do połowy grubości, wycięte wręby, żeby można ją było dobrze dopasować.

Gdy w domu ma być sufit — stanowi dobrą izolację na mroźną zimę — to żerdzie o grubości pięciu do dziesięciu centymetrów (fachowcy nadal nazywają je drzewami) układa się szczelnie jedną przy drugiej, opierając je na krawędziach podłużnych ścian. Celem uszczelnienia szpar w suficie przykrywa się je płatami kory i przysypuje się piaskiem, gliną lub torfem.

Sufit nie jest konieczny, natomiast kalenica jest najważniejszym piętrem w całym budynku. Najpierw podnosi się ją kolejno z obu stron i opiera na najniższych belkach ścian szczytowych, potem o kawałek wyżej i tak dalej, aż cała znajdzie się u samej góry. Teraz właściwie już sama powinna wpaść we wręby najwyższych pni. Gdy się jednak dysponuje świdrem do drewna, najpierw przewierca się w kilku miejscach pnie ścian szczytowych i za każdym razem przymocowuje się je do leżących niżej za pomocą własnoręcznie sporządzonych kółków, a i znajdująca się na samym szczycie kalenica zostaje w podobny sposób „przygwożdżona”. Tym sposobem wzmacnia się zwłaszcza duże domy z bierwion, o odpowiednio wysokich ścianach szczytowych.

Z kolei przystępujemy do zakładania krokwii dachowych. Są to dość cienkie żerdzie (piczki) rozmieszczone po obu stronach w pewnych odstępach od siebie i sięgające od płatew stropowych do samej góry. Wystają około osiemdziesięciu centymetrów poza ściany budynku. Przytrzymują je drewniane kółki wbite po bokach w belki więzary dachowego, a więc w górne pnie ścian podłużnych. Kółki, o których mowa, trzeba zrobić z wyjątkowo twardych konarów, które można dodatkowo utwardzić, opalając je. Przedtem za pomocą dłuta nadaje się im kształt prawdziwych gwoździ. Nie za-

A. Pomost roboczy. B. Droga dowozu. Służy do transportowania pni na górę. C. Platforme do obróbki pni.



ostrza się ich, tylko wyposaża w kanty ostre jak noże. Gdy się je ostrożnie wbija obuchem siekiery, ostrza wchodzą w bardziej miękkie od nich helki więzary dachowego. Same krokwie zostają przy tym nienaruszone. Kółki wbija się obok nich, po jednym z każdej strony, to całkowicie wystarcza. Odstępy pomiędzy krokwią nie powinny być za duże. Wliczając w to grubość krokwii, powinny wynosić od pięćdziesięciu do sześćdziesięciu lub od siedemdziesięciu do osiemdziesięciu centymetrów. Cieńsze krokwie należy rozmieścić w mniejszych odstępach, grubsze można rozłożyć w znacznie większych.

Ważne trzeba ułożyć łaty dachowe i to w poprzek krokwii, a więc równoległe do podłużnych ścian domu. Będą one potem dźwigać właściwy ciężar dachu. Nie mogą być cieńsze od krokwii, natomiast muszą ściśle do siebie przylegać. Łaty dachowe przywiązuje się mocno do krokwii rzemieniami, włóknami korzeni, skręconą trzcinią lub długimi łąkami trawy.

Gdy dach chce się uszczelnić korą, powinno się użyć do tego celu możliwie dużych i świeżych płatów. Najlepiej nadaje się do tego celu kora brzoźowa, lecz prawie równie dobra do pokrycia dachu jest kora ze świerków i jodeł. Korę zdejmuje się zaraz po ścięciu drzewa i przygotowuje się ją do późniejszego użytku. Najpierw wycina się z niej możliwie duże, nie uszkodzone i pozbawione dziur prostokąty. Następnie rozpościera się je płasko na ziemi szorstką stroną do góry i każdy kawałek z osobna przyciska się kamieniami, bo świeża kora ma tendencję do zwijania się, a w takim stanie nie nadaje się już do krycia dachu.

Podczas gdy kora schnie, kończymy konstrukcję nośną więzby dachowej i przystępujemy do prac dekarskich. Płaty kory w ten sposób rozpościeramy na łatach dachowych gładką stroną do wewnątrz, żeby każdy kawałek kory mniej więcej w połowie przykrywał leżący pod spodem. Zaczyna się oczywiście od położenia pierwszej warstwy na skraju dachu, w jednym z narożników. Gdy się dojdzie do końca dachu, nakłada się następną warstwę

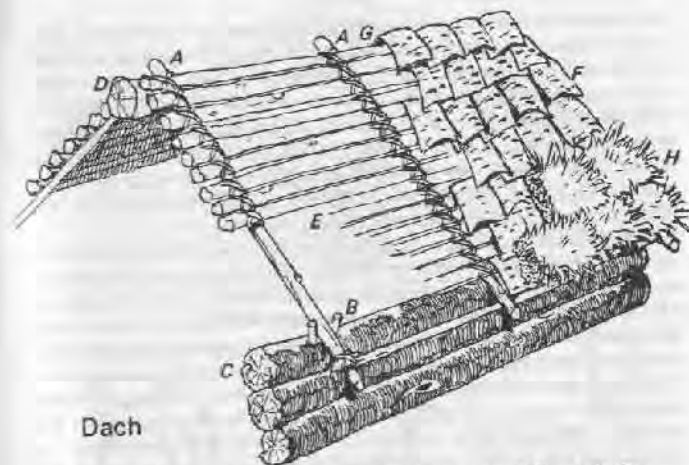
i tak dalej, aż się dotrze do kalenicy. Staranne pokrywanie „na zakładkę” wykonuje się oczywiście w tym celu, żeby krople deszczu spływały z jednego kawałka kory na drugi aż wreszcie spłyną z dachu. Ostatnią warstwę kory umieszczoną u samej góry zagina się na kalenicę i z obu stron przycisza ku dolowi. Nie należy przybić kory drewnianymi kołkami, bo przez otwory prześląknie woda. Jeżeli powstaną dziurki lub pęknięcia, trzeba je starannie załatać.

Dach nadal jednak nie jest gotowy i może go zerwać byle poryw wiatru. Istnieją dwa sposoby umocnienia dachu. Albo gruba na pięć palców warstwa gliny, albo silnie ukorzone kawały darni. Można zastosować oba sposoby na raz, najpierw położyć glinę, a na niej darnię. Tęgo rodzaju dach utrzymuje ciepło i jest całkowicie wodoszczelny. Na dachu nadal rośnie murawa, powstaje urocza mała łączka, a wkrótce mieszka się istotnie pod łąką, na której kwitną nawet kwiaty. Przy pokrywaniu korą nachylenie dachu nie powinno przekraczać piątej części szerokości domu, to znaczy, że na domu o szerokości trzech metrów kalenicę należy kłaść o sześćdziesiąt centymetrów wyżej, niż najwyżej leżącego pnia ściany. W przeciwnym razie zaistnieje groźba, że w czasie wichury okładana zsunie się z kory.

Teraz w zadanej chwili brakuje tylko drzwi i okien. Kto dysponuje piłą lub piłą mechaniczną, temu nie trudno będzie ugotować się z wycięciem drzwi i okien. Można do tego przystąpić już wtedy, gdy ściany są wzniesione zaledwie do połowy. Jednakże człowiek, który posługuje się wyłącznie siekierą, powinien zacząć, aż wszystkie części domu będą ze sobą mocno spójne. Potem wyrąbuje siekierą otwory.

Ramy drzwi i okien powstaną z okrągłaków, które trzeba odpowiednio ociosać. Jeżeli nie ma się ze sobą szymb, należy gładko ogolić zwierzęcą skórę, solidnie je natłuścić i na kilka dni rozpiąć na ramach. Gdy takie naturalne okno jest już zupełnie suche, trzeba je dopasować do otworu i mocno zakleszczyć giętkimi gałązkami. Komu to nie wystarczy, bo się lekka silnych wiatrów, może dodatkowo przybić okienną skórę kołkami. Co prawda przez takie skórzane okno nie można wyglądać na dwór, że to wpada przez nie do izby wystarczająco dużo światła, żeby pracować, a nawet czytać. Tęgo rodzaju okno nie da się jednak otworzyć, chyba że się je całkiem wymie. Ale do przewietrzenia domu wystarczą drzwi i wyciąg dymowy.

Tradycja wywodząca się z pradawnych czasów przekazała nam jeszcze inny rodzaj okien, który posiada rozmaite zalety. Są to tak zwane wzierniki. Już w trakcie budowy domu w każdym z trzech, czterech bali ściennych robi się wycięcia mniej więcej w połowie ich szerokości, sięgające na trzy czwarte grubości pnia. Potem wznosi się ściany tak układając na sobie bale, że razem stwarzają zakratowane okna. Przez szerokie szpary można wyglądać na zewnątrz, jakby się patrzyło przez okno z poprzecznymi prętami.



Dach

Przytwierdzenie krokwi z cienkich pniaków. A. Kołkami B. Do belek dachowych (ostatnie pnie ścian podłużnych) C. Do kalenicy D. Łaty z cienizny E. Drągi ułożone ciasno na krokwiach i mocno przywiązane. Ułożone na nich na zakładkę kawałki kory F. Pokrycie kalenicy pozaginanyimi kawałkami kory G. Na pokrycie to nałożyć warstwę gliny lub mocnej darni. H. Wyrównać

Dla wędrowców i traperów, którzy na dłuższy czas opuszczają dom, takie wzierniki praktyczne są dlatego, że niedźwiedź, ryś ani rosomak nie dostaną się do środka, żeby się rozprawić z zapasami. Poza tym szpary można zatykać dopasowanymi klockami. W porównaniu z oknami ze skór zwierzęcych wzierniki mają tę przewagę, że można przez nie wyglądać, i tę wadę, że ucieka ciepło. Gdy na wziernikach napijemy skóry, ciepło pozostanie, a mimo to wpadnie do środka nieco światła.

Próg winien się znajdować o pół metra nad ziemią. Przechodzi się nad nim. Ze względu na wysoki próg otwór drzwiowy powinien być jak najmniejszy. Nie powinien być szerszy od lokatora, a także nie wyższy niż półtora metra. Natomiast drzwi łatwiej się otwierają i zamykają, gdy są ubrobione siekierą, a niewspółmierne trudniej je wstawić, gdy nie mają zawiasów.

Najpierw trzeba czterem lub pięciu okrągłakom nadać stosowną długość i odpowiednio je obrobić, to znaczy przerobić na szerokie dechy. Potem z każdej strony desek drzwiowych, grubych na osiem do dziesięciu centymetrów,

trów, wycina się dwa wręby, wewnątrz płaskie i zwężające się ku górze. Muszą się znajdować na wszystkich deskach w tym samym miejscu, mieć taki sam kształt i być rozmieszczone w jednakowych odstępach. Praca najszybciej postępuje wtedy, gdy wszystkie deski ułożą się obok siebie na ziemi, w formie przyszłych drzwi. Energicznymi ciosami siekiery nie da się wyciąć równych wrębów — u góry wąskich, a u dołu szerokich. Dlatego też ustawia się ostrze siekiery pod odpowiednim kątem i obrabia się pień, mocno uderzając w obuch własnorecznie wykonanym, drewnianym młotem. Od biedy można go zastąpić twardym i ciężkim poławem.

Gdy się już wykonało dwa prawidłowe wyłobienia, trzeba przygotować dwie rozpory. Wykonuje się je ze starannie obrabianych pni, które następnie trzeba dopasować do wrębów. Rozpory wsuwa się i wbija w wycięcia. Muszą mocno spoić wszystkie cztery czy też pięć desek drzwiowych. Z drugiej strony, obecnie już spojonych drzwi, wystawać powinny dwa dwudziestocentymetrowe rygle. Dzięki nim w zadawalający sposób rozwiązujemy problem słupa drzwiowego. Jest on oczywiście dłuższy i grubszy od desek drzwiowych, a poza tym okrągły. Górny i dolny koniec słupa trzeba zaostriżyć, a następnie nieco zaokrąglić. W odpowiednich miejscach słupa drzwiowego robi się takie same wręby jak w drzwiach. Teraz wsuwa się we wręby słupa wystające z drzwi rygle.

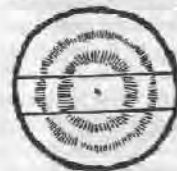
Obecnie brakuje jeszcze ryłko ram do zawieszenia drzwi. Za ramy posłużą dwie masywne belki, jedna na zewnątrz poniżej progu, a druga nad otworem drzwiowym. Te okrągłaki za pomocą odpowiednich wrębów trzeba dopasować do wystających pni ściennych z prawej i lewej strony ociosując krawędzie domu. Najpierw dopasowuje się dolną belkę, w odpowiednim miejscu wyrabując u góry otwór, w którym będzie się obracał słupek drzwiowy. Górna belka ze zrozumiałych względów będzie miała podobny otwór u dołu. Można ją umieścić dopiero wtedy, gdy słupek drzwiowy wspiera się już na dolnej belce, w przeciwnym razie górną, zaokrąglony koniec słupka nie wejdzie w górny otwór, w którym ma się obracać.

Nie potrzeba dużego wkładu pracy w to, by zasuwą drzwiową móc się posługiwać z obu stron. Przez otwór na brzegu drzwi, tam gdzie w normalnych drzwiach znajduje się dziurka od klucza, wprowadza się okrągły klocek, który na obu końcach ma skórzaną petelkę. Można ją równie dobrze od środka, jak i z zewnątrz zaczepić o przybity do ściany drewniany kolek.

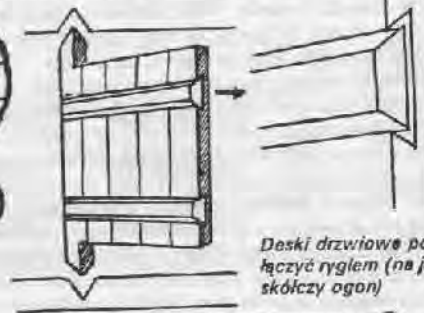
Niewielkie otwory w szczycie domu, wszelkie złącza i szpary, przez które wije, zatyka się kawałkami drewna, trawą lub mchem. Kto chce zimować, powinien wszystkie szpary obustronnie zasmarować gliną. Po wyschnięciu powstanie z niej mocny kit, całkowicie szczelny. Jeżeli mokrą glinę wymieszają z szezczą, trawą lub jodłowymi igłami, materiał będzie bardziej trwały.



Otwór drzwiowy możliwie jak najmniejszy



Pień
obrobić
na deski



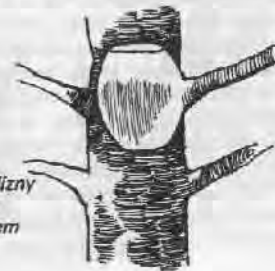
Deski drzwiowe po-
łączyć rygłem (na ja-
skółczy ogon)

Dopasować drzwi



Pobijak
z pnia

Młot z calizny
pnia wraz
z uchwytem
z gałęzi

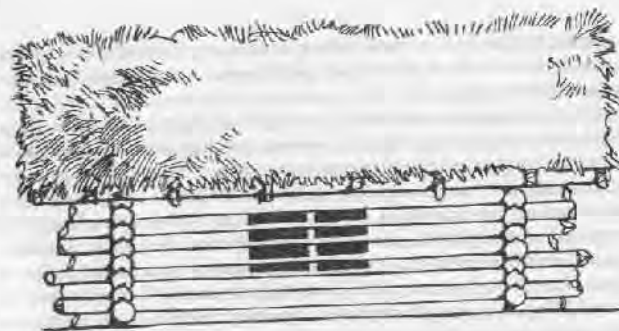


Nie mamy aż takich ambicji, żeby dom przetrwał przez tysiąc lat. Wystarczy, żeby w chacie można było mieszkać, żeby chroniła przed wiatrem i niepogodą, i żeby można się było w niej ogrzać. W tym celu potrzebny jest w domu piec. Najprostszą formą jest otwarte palenisko. Znosi się kamienie i wykłada nimi wgłębienie w ziemi. Gdy ogień ze względu na oszczędność miejsca ma się palić w rogu izby, drewniane ściany narożnika trzeba ostożnić podwójną, a nawet potrójną warstwą kamieni. Gdy mamy do dyspozycji glinę, trzeba grubą warstwą wysmarować palenisko i przyległe ściany. Cały materiał zostanie utwardzony przez żar ogniska. Okap i komin są niepotrzebne. Wystarczy, gdy z obu stron ścian szczytowych pozostawi się otwory o przekroju piętnastu centymetrów. Przeciąg szybko wyciągnie dym, a poza tym otwory służą do wentylacji. W czasie ostrych mrozów częściowo się je zatyka, **nigdy jednak nie zasłania się ich całkowicie**. W przeciwnym razie powstanie często wspomniane niebezpieczeństwo uduszenia się w nocy dwutlenkiem węgla. Resztki dymu snujące się pod powalą są przydatne dla myśliwych i traperów. Wiszą tam skóry i najlepsze części upolowanej zwierzyny. Wędzą się powoli, a dym odpędza muchy. O ile pan domu przykładu szczególną wagę do wygod, może sobie z gliny i kamieni wybudować solidny komin i wyprowadzić go poza dach. Gdy chata ma służyć przez dłuższy czas i ma się w niej zimować, wielu traperów wyprowadza komin na zewnątrz oczywiście pozostawiając u dołu w izbie szeroki wlot.

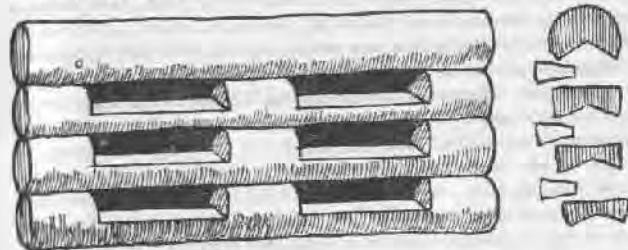
Co się tyczy podłogi, zamiast desek i balii lepiej zastosować piasek lub żwir. Ułatwia to sprzątanie. Po prostu od czasu do czasu wyrzuca się warstwę grubości stopy, a ubytek uzupełnia nowym materiałem. Znajduje się przecież tuż za progiem w najbliższym korycie rzeki lub na brzegu jeziora. Gdy ma się jednak mieszkać dłużej, o wiele lepsza jest drewniana podłoga. Ją także można posypywać piaskiem i od czasu do czasu zmieniać go. Gdy w okolicy znajduje się dobra glina, warto się zastanowić, czy nie zrobić sobie klepiska. W wielu starych zagrodach, ba, nawet na księżących dworach, robiono niegdyś posadzkę z gliny wymieszanej z wołową krwią. Posoka nadawała glinianej posadzce twardość i wytrzymałość na całe stulecia. Gdy podłoga była gładka, to po pewnym czasie wyświetalała się. Miała barwę spadającą w czerwony odcień, a każdemu, kto nie wiedział, ze stąpa po podłodze zroszonej krwią, bardzo się podobała. Myśliwy może zastąpić krew wołową krwią upolowanych zwierząt.

Drewniana podłoga może, ale nie musi znajdować się pod klepiskiem. Gdy przedtem zdobyło się kilka skór, zastępują one dywany. Dzięki nim we własnoręcznie zbudowanym domku będzie znacznie przytulniej.

Panu domu służy za taborce pnie drzewa. Niektórzy traperzy umieją wycinać ze szczególnie wielkich pni wygodne fotele. Biał stołu robi się z grubych balii lub ociosuje się siekiera z jednego pnia. Stoi na słupach wbitych



Niektóre z okrągłaków tak przyciąć, żeby po złożeniu powstało okrągława okno



Chcąc zamknąć okno, wciska się w otwory drewniane kliny



Palenisko wpuszczone w podłogę. Podmurówka z kamieni i gliny zapobiega rozprzestrzenianiu się ognia

...złożyć blat z dwóch pni. Odzież, broń i sprzęt poręczonych żerdzi wykonuje się stojak, na którym

...orem wodorafu jest miękkie, ciepłe łóżko. Robi się je, stawia cztery paliki, rozstawione jak nogi łóżka. Cienkie żerdki jedna nad drugą tworzą listwy łóżka. Przywiązuje się je do pni, gałęzi lub wierzbowymi gałązkami. Łóżko ze względów praktycznych ustawia się przeważnie w rogu. W takim wypadku wystarczą dwie listwy, jedna w nogach i jedna z boku. Wezłowie i drugi bok zagradzają ścielany. Niezależnie od tego, czy łóżko będzie stało w rogu czy pośrodku izby, na razie ze względu na paliki i boki będzie sprawiać wrażenie otwartej skrzyni. Wypełnia się ją do wysokości trzech czwartych metra jodłowymi gałęziami w taki sposób, żeby ich naturalne wygięcia zwracały się ku górze. Układa się je wzdłuż i w poprzek, dzięki czemu uzyskuje się możliwie równą powierzchnię. Stanowią więc rodzaj sprężynowego materaca. Przykrywa się go miękkim futrem. Na nim kładzie się śpiwór, a w nim drzemie pan domu. Po pewnym czasie zgniatą gałąź własnym ciężarem. Gdy przestają sprężynować, wyrzuca się je i kładzie się nowe.

Większość ludzi powątpiewa, czy pojedynczy człowiek zdoła wybudować tak wygodny dom i to zaledwie w ciągu kilku dni. A jednak zdoła. Podstarzały, bo blisko siedemdziesięcioletni generał Wheeler, jeden z pierwszych ekspertów survivalu w USA, w ciągu ośmiu dni zbudował i urządził dom z bierwion. Przyglądali się temu trzej inni ludzie i liczyli godziny pracy, bo początkowo nie chcieli uwierzyć, żeby starszy pan mógł się jeszcze na to zdobyć. Tak naprawdę, może tego dokonać tylko ktoś, kto wielokrotnie miał z tym do czynienia i od wczesnej młodości żył się z siekierą. Tej sztuki mogą się jednak nauczyć i inni, o ile będą mieli dobrego nauczyciela. Gdy chce się zakończyć pracę w ciągu ośmiu dni, trzeba, rzecz jasna, być na nogach od bladego świtu aż do wieczora. Budowniczy potrzebuje co najmniej dwa razy więcej czasu, jeżeli równocześnie musi polować, żeby zdobyć pożywienie. W dwie osoby buduje się, naturalnie, o wiele łatwiej. Jeszcze lepiej idzie, gdy jest trzech kolegów i na zmianę co raz to inny stara się o żywność, a dwaj pozostali majstrują i budują.

Żeby niczego nie pominąć, trzeba jeszcze wspomnieć, że dom, w którym ma się przez dłuższy czas mieszkać, musi mieć tak zwany cache (z francuskiego cache — kryjówka, skrytka — a więc schowek). Składa się z mocno skonstruowanej szopy na zapasy, trochę większej od budy psa bernardyna. Ustawia się ją na palach, co najmniej trzy metry nad ziemią, bo dopiero taka wysokość zabezpiecza przed brunatnymi i czarnymi niedźwiedziami. Trzeba się do niej wspiąć po drabinie. Gdy drabina nie jest potrzebna, odstawia się ją. Dla ochrony przed innymi rabusiami i gryzoniami pale obija

się jeszcze blachą. Gdy nie ma blachy, pomiędzy szopę i rusztowanie wsuwa się szerokie, płaskie kamienne płyty. Nie uda się po nich wdrapać żadnej myszy. Każdy przezorny lokator umieszcza tam także część zbędnego ekwipunku, a przede wszystkim zapasowy karabin wraz z amunicją, ciepłą odzież, kilka świec, zapalki, rakiety śnieżne, narzędzia i część żywności na czarną godzinę. Przecież pożar może strawić dom razem ze wszystkim, co się w nim znajduje. Wtedy ma się w cache zapasowy prowiant i najbardziej potrzebne rzeczy.

Kto nie jest na tyle ambitny, żeby samemu zbudować dom za pomocą siekiery, może się posługiwać różnymi pomocniczymi narzędziami. Jeszcze prościej przywieźć sobie gotowe okna wraz z ramami, a tym bardziej drzwi z zawiasami. Kilka rolek papy oszczędzi wiele pracy, podobnie solidny piec z rurami. Za pomocą wielokrążka ciężkie pnie można ruszyć z miejsca dziesięć razy łatwiej niż wysiłkiem własnych mięśni. Świeca woskowa i lampa palą się jaśniej od lucywa i kaganka z tranem. Radiotelefon umożliwia kontakt ze światem, a w nagłych wypadkach można wzywać pomocy.

Jakaś duma rozpieszcza człowieka, gdy na wspaniałe wolne tygodnie lub miesiące wprowadza się do domu, który sam sobie zbudował, posługując się jedynie siekierą i własnymi rękami, i to wyłącznie z naturalnych materiałów budowlanych, znajdujących się w okolicy. A kiedy ludzie pytają, ile kosztował dom, pada odpowiedź: ani grosza!

Spanie w śniegu i lodzie

Nocą wprost z biegunu północnego nadeszła zima, niosąc ze sobą wielkie śnieżycę i straszliwy mróz. W tundrze zamrzły wszystkie stawy i bajora. Tylko w zatoce Unalekleet u wybrzeży Morza Arktycznego przyplawy i odpływy uniemożliwiły morzu zakrzepnięcie. Bert Halakluyt, urzędnik służb krajowych i znakomity pilot, wiedział z doświadczenia, że była to ostatnia szansa, żeby wystartować cesną na południe. Miała ona pływaki, toteż do startu i lądowania potrzebne jej były otwarte wody. W Unalekleet Bert nie mógł wytrzasnąć dla swojego samolotu póź śnieżnych. Wrzucił więc manatki, zatankował do pełna i tylko świsnął nad zatoką.

Po burzy śnieżnej widoczność znów była dobra, jak w najpiękniejsze dni. Służba meteorologiczna z Anachorage donosiła o łagodnej temperaturze. Bert mógłby bez obawy wodować na jeziorze pod miastem, które było jego portem macierzystym. Już nieraz podejmował takie liry i podobną ucieczkę przed ludem. Był to dla niego lat ratunowy, nie ponadto.

Nad górami Kajulu morze zaczął się krzusić, najpierw w odstępach pięciominutowych, potem coraz częściej. Być może do paliwa dostało się jakieś paskudztwo. Nie powinien był jednak używać do tankowania zardzewiałego lejka. Ale czas naglił, bo morze niosło już do zatoki pierwsze kry. Teraz było za późno, by robić sobie z tego powodu wyrzuty.

Pilot podciągnął samolot w górę, żeby ogarnąć wzrokiem jak największą przestrzeń. Nie należało do przyjemności fruwanie nad zaśnieżonym górzystym krajem z dwoma pływakami pod brzuchem. Musi dolecieć do rzeki Nowitna lub do jeziora z ciepłymi źródłami, które było jeszcze wolne od lodu. Uplłynęło jednak za dużo czasu, silnik rzygał coraz gorzej. Dłużej nie dało się już utrzymać wysokości.

Wreszcie na widnokręgu ukazały się Nowitna, cienki wstążka z licznymi zakolami. Jeszcze nie widać było na niej białych plam, mogła wybawić z groźnej sytuacji.

W tej samej chwili znów zrobiło się cicho, silnik definitywnie zamilkł. I tylko w owiewkach gwizdało powietrze.

Bert schodził lotem ślizgowym celując w rzekę i elegancko posadził cesną na rzeczonym nurcie. Z napędu powinien się dośliznąć do miejsca, w którym brzeg był piaski. Ale tuż pod wodą sterczała ostra skała czy też wierzchołek zatopionego drzewa. W każdym razie ukryta przeszkoda rozciąła pływak na całej długości. Wprawdzie okaleczony ptak ślizgał się jeszcze przez chwilę, lecz równocześnie pływak nabierał wody i maszyna przechyliła się na bok.

Bert błyskawicznie zorientował się w sytuacji, sięgnął za siebie po sprzęt do survivalu i gwałtownie otworzył drzwi z drugiej strony, która z gracją wznosiła się do góry. Wyskoczył razem z workiem. Wpadł do lodowatej wody, znalazł jednak grunt pod nogami i dowlókl się do brzegu. W tym samym czasie cesna całkiem się przewróciła, pochwylił ją prąd i zniknęła z pola widzenia. Na pewno wkrótce potem musiała zatonać, bo wszelki ślad po niej zaginął.

Bert Halakluyt stał doszczętnie mokry na brzegu, na blisko dwudziestopięcioletnim mrozie. Jedynym jego ratunkiem był sprzęt do survivalu, który Niemcy zwą „Überlebensbeutel“*. Mógł przeżyć jedynie pod warunkiem, że będzie błyskawicznie działał i bez przerwy się poruszał. W przeciwnym razie w ciągu pięciu minut zamarznie na nim ubranie. Bert wyciągnął z worka siekiere, odrąbał z najbliższego drzewa naręcze suchych gałęzi i ułożył stos. Do środka wpechnął uschnięte gałązki, liście i kilka kawałków kory, wstawił pomiędzy nie świecę i zapalił ją. Podczas gdy strzelały w górę pierwsze płomienie, czym prędzej się rozebrał. Ubranie zdążyło już z wierzchu zamarznąć i szeleściło jak papier, gdy rozwieszał je nad ogniem na gałęziach. Nieszczęśliwie stał nogusienki na dworze, ale już nie w tak dojmującym zimnie, tylko wśród dymu i promieniującego od ognia ciepła. Co chwilę opuszczał schronienie, żeby przynieść coraz to więcej drewna. Po upływie dziesięciu, piętnastu minut było mu już ciepło, znacznie dłużej trwało suszenie pikowanej odzieży. Minęła godzina, zanim mógł się ubrać i włożyć futrzane buty.

W zasadzie wyszedł cało ze złej przygody. Ale co będzie dalej? Bert Halakluyt znalazł się na dziewiczym pustkowiu, w odległości jakichś dwustu do trzystu kilometrów od najbliższego osiedla. Prawdziwa zima dopiero się zaczęła i miała trwać jeszcze przez siedem miesięcy. Dokola gęste lasy, zawiane śniegiem doliny i zamarznięte grzęzawiska. Nawet gdyby zauważono jego nieobecność, nikt by go tu nie znalazł, bo w poszukiwaniu otwartych

* „Überlebensbeutel“ oznacza worek pozwalający przetrwać lub worek ocieplenia. Będziemy go nazywali też analogicznie workiem ratunkowym.

...od normalnej trasy. Gdyby przykładać zwykłe miary, ...

...jednak dużą półton, miał ze sobą worek ratunkowy i umiał so-
... W obecnej chwili najważniejsza była ciepła kwatera na nad-
...

Przyjrzał się okolicy, do której zagnął go los, i zastanawiał się, co dalej
... W końcu znalazł czarny świerk, który wydał mu się odpowiedni. Ni-
... zwały się jego szerokie gałęzie. Stał w miejscu, otoczony dwumetrową
... jak wskazywał pomiar za pomocą gałęzi. Bert wyciął nożem
... szeroki płat kory i zaczął odgarniać śnieg. Wokół pnia tu samej ziemi wy-
... kopał dziurę o przekroju trzech metrów i na wysokość stopy wyłożył ją zie-
... łonymi świerkowymi gałęziami. Tylko w jednym miejscu pozostawił gołą
... ziemię, a nawet wykopał w niej małe wgłębienie. Miał się w nim później pa-
... lić ogień.

Potem wszedł na górę i przykrył najniższe zwieszające się gałęzie świerka
... kikutostoma dodatkowymi gałęziami o gęstych igłach. Dookoła śnieżnej
... jamy wznosił wiatrochron. Nie było to konieczne, bo nie wiał silny wiatr,
... a jego kryjówka leżała dość głęboko. Miał jednak czas i wołał się zabezpie-
... czyć przed burzą śnieżną. Bert narąbał jeszcze dużo drewna, ułożył je w za-
... sięgu ręki obok śnieżnej jamy i przyniósł sprzęt do survivalu, a na koniec kil-
... ka płonących polan z ogniska. Potem rozpałił w jamie skąpy ciągły ogień.
... Otulający go śnieg miał się jedynie zlepiać. Przy wyższej temperaturze wkrótce
... by się rozpuścił i zalałby jamę wodą. Bertowi wystarczało ciepło pro-
... mieniujące z małego ogniska, zwłaszcza że było ono idealnie osłonięte
... przed podmuchami wiatru. Dym uchodził poprzez gałęzie i do jamy nie
... wpadały płatki śniegu. Chronił przed nimi luźny dach z gałęzi.

Tuż przy ogniu Bert mógłby wytrzymać przez całą noc nawet i bez spi-
... wora. Nosił przecież futrzane buty, wełnianą bieliznę i grube na kciuk, pi-
... kowane ubranie. Ponieważ jednak obok innych niezbędnych rzeczy w wo-
... rek ratunkowy włożony był śpiwór, wytrząsnął go, rozebrał się i wśliznął
... do środka. Spał w śnieżnej jamie równie błogo, jak w miękkim łóżku we
... własnym domu.

Co zrobił później, jak się zaopatrywał w żywność i jak mu się w końcu
... udało dotrzeć do indiańskiej wioski nad Ruby, to już całkiem inna historia.
... Idzie nam tylko o przytoczenie przykładu z życia, który ma wykazać, w ja-
... ki sposób prawdziwy traper znajduje wygodne schronienie nawet w głębo-
... kim śniegu. Wśród sprzętu do survivalu Bert miał składany karabin, linki
... do wędek, zapas żywności, różne narzędzia oraz kompas i mapę. Takiemu
... człowiekowi jak on wystarczało tego rodzaju wyposażenie, żeby żyć zimą
... w lesie, zrobić sobie rakiety śnieżne i w końcu dotrzeć do najbliższego osiedla.
... W trzy tygodnie po swoim niefortunnym przymusowym lądowaniu znów
... był we własnym domu w Anachorage.

*Okopać zwiasty śnie-
giem teren wokół drze-
wa iglastego, aż po-
wstanie wgłębienie.
Rozłożyste gałęzie
utworzą daszek
ochronny.*



Zima może być wprawdzie barbarzyńsko zimna, ale ma także swoje dobre strony. Przede wszystkim nie pada deszcz i nie ma much. Poza tym można sobie wybrać miejsce obozowania niezależnie od sąsiedztwa wody, bo zamiast wody wszędzie jest pełno śniegu. W czasie silnych mrozów zamarzają bagna i przechodzi się przez nie łatwo i bezpiecznie. Każda rzeka zamienia się w gładką drogę, każde jezioro pokrywa gruba warstwa lodu. Liczne przeszkody, które wędrujący musiałby okrażać, stają się łatwe do przebycia.

Zapewne, trzeba się chronić przed mrozem, a niekiedy i przed lodowatym wiatrem. Przeważnie jest to jednak mniej niebezpieczne niż wystrzeżenie się wilgoci i ulewnych deszczów. Nawet najlepszy traper nie nie działa przeciwko nieczułości duchocie, nie ma na nią lekarstwa. Natomiast każdy może się zabezpieczyć przed zimnem, to tylko sprawa odpowiedniej odzieży. Sypianie w śniegu wcale nie jest takie najgorsze, o ile odpowiednio urządzi się legowisko. Może w nim być przytulniej niż w cienkim namocinie.

Przyjmijmy, że ktoś wędruje przez bardzo zasneżony teren, nie przez wymarłą tundrę dalekiej północy, lecz lasiste okolice. Zbliży się pora noclegu. Potrzebny mu jest wiatrochron i dobry ogień nie tylko po to, żeby się ogrzać, lecz także do przygotowania posiłku. Gdy nie pada zbyt gęsty śnieg, na obozowisko wystarczą zwykle zarosła. Bardziej przydatna jest gęstwina młodych drzew iglastych, bo chroni także i od góry. Najpierw z najniższych gałęzi strząsa się śnieg, potem oczyszcza kawałek ziemi, żeby wypróbowanym sposobem rozpałić ogień. Gdy leży gruba na metr warstwa śniegu, trzeba zbudować platformę dla ognia.

Robi się ją z gałęzi grubych jak ramię, które muszą być żywe, gdy się je wylamuje. Potem układa się w poprzek drugą warstwę. Gdy pali się na niej ogień, platforma stopniowo zagłębia się w śniegu, przeciętnie trzydziści centymetrów na godzinę. Powstaje przy okazji dziura, która ze wszystkich stron się powiększa. Topniejący śnieg nie gasi jednak płomieni, ponieważ woda nie spływa do środka. Zar unosi się do góry, a platforma pozostaje pod spodem chłodna, wilgotna i nie może się zwęglić.

Obok układa się pięć, sześć warstw jodłowych gałęzi. Stanowią one dla śpiwora rodzaj sprężynowego materaca. W ten sposób przygotowuje się miejsce do wypoczynku i w beznieczne dni można w nim nocować przez kilka dni. Gdy ma się odpowiedni zimowy śpiwór, nie trzeba na noc rozpałać ognia. Bywają śpiwory, które nie przepuszczają zimna nawet przy temperaturze czterdziestu pięciu stopni Celsjusza poniżej zera.

Gdy jest bardzo wietrznie lub wręcz zanosi się na burzę śnieżną, trzeba mieć, oczywiście, lepsze schronienie.

Idzie się na przykład z biegiem rzeki, bo gdy zamrznie, przeobraża się w wygodny trakt, zwłaszcza gdy leży na niej trochę śniegu. Na północy prawie wszystkie rzeki pełne są skał i porożków. Piętrzą się wzdłuż brzegów nie-

jednokrotnie na kilka metrów w górę. Pomiedzy tymi załomami dość łatwo da się znaleźć szeroki na metr, gładki, wylobiony gład, oczywiście przysypany grubą warstwą śniegu. Odgarnia się śnieg pozostawiając jedynie szparę, żeby się móc przecisnąć. W ten sposób zdobywa się miejsce osłonięte przed wiatrem, a między kamieniami można rozpałić ogień. Skałne ściany posłużą za reflektor. Po chwili we wnętrzu robi się tak ciepło, jakby się siedziało pomiędzy dwoma kaflowymi piecami. Ponieważ schronienie musi być przykryte także i z wierzchu, nakrywa się je kilkoma warstwami gałęzi. Nie zaszkodzi to ogniom, bo dym znajduje ujście pomiędzy nimi. Zanim się pójdzie spać, trzeba zgasić ogień i przysypać gałęzi mniej więcej dwudziestocentymetrową warstwą śniegu. Gdy zamknięty wiaz, jeszcze długo będzie w środku ciepło i miło. Skałne ściany, które zdążyły się dobrze nagrzać, powoli zwracają ciepło. Może to trwać aż do rana. Nocna kwatery jest absolutnie wiatroszczelna i nie zamrznie się nawet w zwykłym śpiworze. Im niższa i węższa jest kryjówka, tym lepiej. Temperaturę dodatkowo pozwala utrzymać ciepło własne.



Tunel do spania
w zasnieżonej

Także i u nas może się zdarzyć narciarzowi, że z dala od wielkich ośrodków sportowych zgubi w zamieci śnieżnej sprzęt i droge. Może mu się zdarzyć wiązanie lub złamać nartę. W czasie złej widoczności i na krótko przed spadnięciem nocy na pewno nie powinien próbować docierać za wszelką cenę do najbliższego domostwa, czy też do przetartego szlaku w dolinie. Nie pozostaje mu nic innego, jak obozowanie na śniegu i mrozie. Dobrze wiedzieć, w jaki sposób należy sobie poradzić w podobnej sytuacji. Tam, gdzie natężyło śniegu albo się sam spietrzył, jest on szczególnie twardy. Można wygrzebać tunel i położyć się w nim. Najlepiej, gdy tunel wieździe ukosnie w górę. Wtedy ogrzane własnym ciałem powietrze nie tak prędko ucieka. Powyżej otwór można dodatkowo zatkać śniegiem. Prawie zawsze przez białe mury przecisnąć się dostateczna ilość powietrza, żeby móc oddychać. Gdy jednak śnieg jest za bardzo zbity, można go przebić kijem narciarskim i udeścić dopływ powietrza.

Naturalnie, byłoby dobrze, gdyby się udało wyłożyć tunel mchem, suchymi liśćmi lub gałęziami, zanim się tam wczolgamy. W przeciwnym razie pod śpiącym będzie się roztopiać śnieg i przemoczy ubranie. Może się to okazać niebezpieczne dla życia, o ile zaraz potem nie można się rozgrzać i wysuszyć ubrania.

Gdy śnieg jest głęboki na półtora metra lub głębszy, poleca się wykopać sztolnię. Najpierw trzeba się ukośnie wkopać w dół, a potem wydrążyć tunel w poprzek śnieżnej ściany. Jego sufit powinien się znajdować jakieś trzy czwarte metra pod powierzchnią. Tunel poszerza się do podwójnej objętości ciała i przedłuża o połowę, robiąc ze śniegu ubite legowisko. Na nim układają się gałęzie, mech lub kawałki kory, a na nich kładzie się śpiwór. W tego rodzaju pomieszczeniu można całymi dniami przetrzymywać burzę śnieżną. Jednakże, gdy w czasie burzy śnieg zawieje wejście, trzeba się znów wydobyć na wierzch. Dlatego poleca się zabieranie ze sobą do tunelu czegoś, czego można by użyć jako prowizorycznej szuffli. Może to być narta, rakietka śnieżna, kawałek drewna lub cokolwiek innego.

O ile tunel nie jest za wąski ani za niski, można bez obawy postawić na ziemi świecę, a nawet sprzęt do gotowania na małym płomieniu. Niewydzielny, a więc tym bardziej niebezpieczny dwutlenek węgla ulotni się, wychodząc przez szyb. Jeżeli wyjście czy też wejście do kryjówki zawieje śniegiem lub lokator sam je zatka, trzeba przebić otwór w dachu.

Innym, bardziej interesującym, mieszkaniem na białym pustkowiu jest „dzwon lodowy”. Przede wszystkim tam, gdzie nie ma osłony przed wiatrem, a śnieg nie jest na tyle głęboki, żeby się w nim zagrzebać. Nagarnia się dwumetrowy pagórek o przekroju trzech metrów. W poprzek kierunku wiatru wykopuje się pomieszczenie, oskrobując kopułę i ściany, żeby były jak najgładsze i przebija w suficie dziurę wentylacyjną. Gdy się już to wszystko zrobi, trzeba na chwilę rozpalić w środku mały ogień. Samemu się wychodzi, żeby nie zmoknąć, bo oczywiście pagórek od środka zaczyna topnieć. I powinien, ale tylko do pewnych granic. Gdy w środku jest dostatecznie mokro, gasi się ogień i pozostawia otwarte wejście, tak że ściany wydrążonego pagórka zamarzają i twardnieją na kamień. Potem wieszka się garnek nad ogniem, topi się w nim kilka kopat śniegu i czystą zawartością polewa kopiec z wierzchu. Woda szybko zamarza, tworząc solidną polewę.

Tego rodzaju lodowy dzwon mieszkalny jest tak mocny, że z trudem można go rozbić siekierą. Ponieważ lodowe ściany znacznie wolniej tają niż ściany z luźnego śniegu, dzwon całkiem dobrze znosi ciepło świecy czy też kochera. W takim lodowym dzwonie można nawet rozniecić niewielki ogień, gdy się ma apetyt na zupę. Dopiero wiosną, gdy wszędzie już stoją śniegi, lodowy dzwon stopniowo zapada się.



Snieżne bloki wycina się drawnianym nożem



Jakkolwiek wszystkie te schronienia są bardzo praktyczne i mogą ocalić życie, nie mogą się równać z cudownym dziełem, jakim jest prawdziwe igloo. Jest ono niewątpliwie najbardziej genialną budowlą, jaką kiedykolwiek wymyślił pierwotny lud. Nie wszyscy Eskimosi opanowali sztukę budowania doskonałą pod względem formy. Gdy pierwsi biali wcisnęli się na obszary podbiegunowe, igloo znane było zaledwie jednej piątej części miejscowej ludności i to tylko u Eskimosów Coronation Gulf w arktycznej części Kanady. Dopiero w ostatnim stuleciu to arcydzieło polarnej kultury budowlanej rozpowszechniło się na zachodzie, aż po Syberię i na wschodzie po Grenlandię.

Kiedy z Eskimosem rozmawia się o igloo, nie może się on połapać, co się ma na myśli, ponieważ na igloo mówi się po eskimosku „dom” i słowem tym określa się wszystkie rodzaje domów. Dopiero kiedy się powie „apujamik iglukakrok” Eskimosi rozumieją, o czym mówimy. Większość Eskimosów buduje sobie domy ze śniegu jedynie na tymczasowy pobyt; jako bazę w czasie wypraw łowieckich, schron przed nadciągającą zawieruchą lub miejsce noclegu w czasie podróży saniami. Igloo używane jest do dnia dzisiejszego, choć nie tak często jak kiedyś. Eskimosi też stali się ludem osiadłym. Dzisiaj większość z nich preferuje ogrzewane namioty, gdy na dłuższy czas opuszczają dom.

Także i u nas w kraju wiadomo, że igloo buduje się wyłącznie ze śniegu. Jednakże nie każdy rodzaj śniegu nadaje się do tego celu. Musi on mieć określoną wytrzymałość. Utworzone przez wiatr pagórki śnieżne, u ile nie są zbyt stare, stanowią przeważnie dobry budulec. Poza tym mocno zbity śnieg można znaleźć na stromych brzegach rzek, w zagłębieniach terenu i pomiędzy wielkimi bryłami lodu. O tym, czy śnieg rzeczywiście nadaje się do użytku, można się łatwo przekonać, gdy się po nim biegnie. Jeżeli nogi zapadają się do kostek, śnieg jest za miękki. Jeżeli z trudem można odróżnić własne ślady, jest za twardy. Stanowi dobry materiał budowlany jedynie wtedy, gdy grzeźnię w nim tylko podeszwa.

Przy budowaniu igloo potrzebny jest nóż do krajania śniegu. Jest on drewniany, ma czterdzieści do sześćdziesięciu centymetrów długości, szerokość dłoni i grubość palca. Nie jest ostry, tylko cieńszy po bokach. Drewniany nóż trzeba sobie z góry zrobić stalowym nożem i z obu stron wygładzić. Musi się znajdować w ekwipunku każdego, kto wyrusza na daleką północ.

Igloo nie wymaga wiatrochronu, może stać w otwartym terenie.

Plan przyziemia wykreśla się w najprostszym sposobie za pomocą kołka kamiennego, a koło, które powstanie, określa wewnętrzną powierzchnię budynku.

Małe bloki, z których budujemy, mają kształt zwykłych cegieł, są tylko

znacznie większe. Długość ma pół do trzech czwartych metra, szerokość ma trzydzieści do sześćdziesięciu centymetrów; natomiast grubość zaledwie na piętnaście do dwadzieścia centymetrów. Zresztą podane wymiary nie muszą być dokładnie przestrzegane.

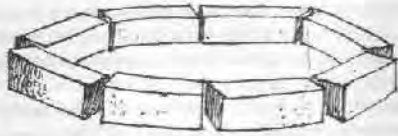
Żeby je zdobyć, trzeba najpierw wykopać metrocyfry dół, bo potrzebna jest swoboda ruchów przy wycinaniu i wydobywaniu śnieżnych bloków. Potem w odpowiednim miejscu robi się w śniegu dwa poziome, równoległe nacięcia i uzupełnia się je cięciami poprzecznymi z góry na dół, a następnie odłącza się blok od białej masy piętym, tym razem poziomym nacięciem. Idzie to dość łatwo. Niepotrzebne są dokładne wyliczenia, wystarczy ocena na „oko”.

Ilość cegieł śnieżnych zależy oczywiście od tego, ile osób ma mieszkać w igloo. Eskimosi z Coronation Gulf potrafią wybudować śnieżny dom na świąteczne zgromadzenia, który ma siedem metrów średnicy i trzy metry wysokości. Jednemu człowiekowi wystarczy igloo dwumetrowe o wysokości półtora metra. Lokator może w nim siedzieć, ale nie może się wyprostować. Najbardziej korzystna pod względem wkładu pracy i przydatności jest budowa czterosekcyjnego igloo. Ma ono około trzech metrów średnicy, a wysokość w środku dochodzi zaledwie do dwóch i pół metra.

Gdy śnieżne bloki są już przygotowane, znosi się je na plac budowy. Takie bloki ubitego śniegu ważą od czterdziestu do siedemdziesięciu funtów. Pierwszy blok kładzie się tak, żeby dotykał wewnętrznym brzegiem do wyrysowanego planu, następny dostawia się do niego węższą stroną i tak dalej, aż zetkną się ze sobą na obwodzie koła. Ponieważ cegły są prostokątne, a plan okrągły, powstają na zewnątrz małe trójkątne szpary. Zatyka się je potem luźno leżącym śniegiem. Gdy pracują dwie osoby, jedna wycina bloki, a druga ustawia mur. O ile jest ktoś trzeci, zajmuje się zewnętrzną stroną ścian. Uzupełnia wszystkie szpary i wygładza budowlę drewnianym nożem. Gdy jest jeszcze czwarta osoba, nosi bloki i pomaga przy ich ustawianiu.

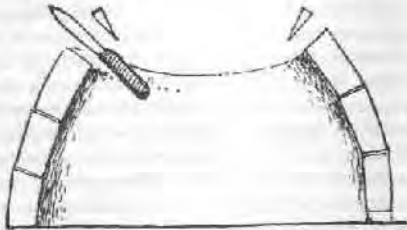
Przy drugim okrążeniu trzeba przez cały czas pamiętać, że chce się zbudować półkulę. Żeby to osiągnąć, każda cegła musi się trochę pochylać ku środkowi. Robi się to, zrzęcznie ścinając na ukos podłoże, to znaczy blok leżący pod spodem. Górny blok musi wewnątrz leżeć o jakieś dwa do trzech centymetrów niżej niż na zewnątrz, w przeciwnym razie zbudowałoby się okrągły mur, którego dachem byłoby niebo. Pochylenie muru rotundy zależy od zaplanowanej wielkości igloo. Blok ścina się skośnie dopiero po wstawieniu, zanim położony zostanie na nim następny. W murze jak mury rosą, górny otwór robi się coraz mniejszy. Ściany coraz bardziej zbliżają się ku sobie. Mimo to bloki nie wypadają. Już po kilku minutach śnieg osiada i pomiędzy blokami samoistnie powstaje naturalne spójenie. Dzieje się to na skutek nacisku wywieranego przez górne bloki, a także i spirala wytwarza nacisk z boków.

*Kliny
wypełnić śniegiem*

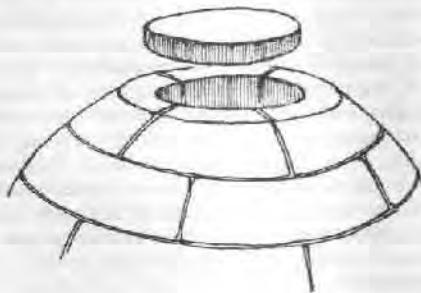
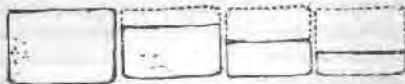


Budowanie igloo

*Przed położeniem
bloku śnieżnego
trzeba ukośnie
ściąć końcówkę
poprzedniego
bloku celem uzy-
skania odpowied-
niej krzywizny*



*Pierwszy krąg
bloków śnież-
nych przycięć
w ten sposób, że-
by w trakcie dal-
szej budowy
z podobnych co
do wielkości brył
powstała linia
spiralsna. Otwór
w kopule zastyka
się jednym lub
dwoma blokami*



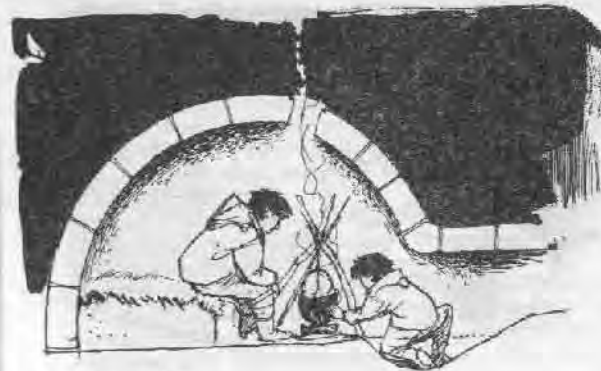
Wkrótce mur jest tak wysoki, że z zewnątrz nie można już dosięgnąć do górnych bloków. Wtedy wycina się w ścianie otwór, przez który wciąga się bloki do środka. Wstawia się je teraz od wewnątrz, a w razie potrzeby można sobie ustawić ławkę ze śniegu.

W końcu kopuła jest tak wysoka i wąska, że u góry zostaje raptem półnietrowy otwór. Nie da się już budować ceglami o dotychczasowych wymiarach. Obecnie trzeba wstawiać mniejsze sześciiany. Na zakończenie wystawia się węższą stroną przez otwór dwie lub trzy szczególnie długie śnieżne cegły, odwraca się je w powietrzu i układa w poprzek otworu. Potem trzeba wypełnić, oprócz o zbudowane półkole i dokładnie uszczelnić wieniec lawankami śniegu. Jeżeli igloo jest za wysokie, żeby dosięgnąć do szczytu, trzeba nagarnąć śniegu i zrobić podwyższenie. Gdy wszystkie spojenia z zewnątrz są już zatłane, właściwy budynek został ukończony.

Gdy budują dwie osoby, igloo można postawić w niespełną godzinę. Jeden człowiek potrzebuje na zbudowanie najmniejszego typu igloo półtorej godziny. Wystarczy, że tylko jeden spośród wielu budowniczych opanował sztukę jego budowy. Zresztą inni mogą wykonywać prace pomocnicze.

Gdy ludzie skończą już swoją robotę, igloo jeszcze przez jakieś dwie godziny pracuje samo dla siebie. Osadza się i kurczy, tworząc solidną całość. Gdy z wierzchu poleje się je wodą, która oczywiście z miejsca zamarźnie, może wytrzymać wielki ciężar. W płaskim terenie służy mieszkańcom za więź obserwacyjną.

Nie jest to jedyna metoda budowania igloo, są także różne inne, znacznie bardziej skomplikowane, jak na przykład łączenie śnieżnych bloków w for-



Przekrój przez igloo

nie spirali. Dzięki temu uzyskuje się jeszcze mocniejszą budowlę, która intensywnie przetrzymuje burze śnieżne. Do normalnych potrzeb i noclegu w białej dżungli wystarczy jednak najprostszy sposób, który został opisany.

Im dłużej chce się mieszkać w igloo, tym lepiej się je wyposaża. Jeżeli ma służyć jedynie do przenocowania i przeczekania burzy śnieżnej, drzwi można zastąpić śnieżnym blokiem, którym zatyka się otwór. Przy dłuższym pobycie dobudowuje się z zewnątrz tunel wiodący do wejścia. Rzecz jasna, tunel robi się także ze śnieżnych bloków. Układa się je podobnie jak bloki igloo, tylko wzdłuż. Tunel może być metrowej wysokości albo i niższy, byle można się było wczołgać. Wejście umieszcza się możliwie jak najniżej, żeby można się było wczołgać. Wejście umieszcza się możliwie jak najniżej, żeby można się było wczołgać. Wejście umieszcza się możliwie jak najniżej, żeby można się było wczołgać. Wejście umieszcza się możliwie jak najniżej, żeby można się było wczołgać.

Mieszkańcy igloo zawsze muszą się liczyć z tym, że po burzy śnieżnej będą się musieli odkopywać. Będą do tego potrzebowali noża do śniegu, ławalka deski czy wręcz szufli i te rzeczy zawsze powinny być w igloo.

Przed ukończeniem budowy trzeba jeszcze włożyć do środka kilka śnieżnych bloków. Robi się z nich podwyższenie, na którym się jada, siada i sypia. Jest na nich cieplej niż na ziemi. Na podwyższeniu włosem do dołu rozkłada się skóry. Stunowią lepszą izolację niż gumowa płachta czy też koc. Jeżeli w zamieszanej okolicy znajdują się gałęzie, mech, trzcina lub trawa, nie wolno zaniedbać zrobienia z nich podłoża. Gdy położy się na nim śpiwór, ma się gotowe łóżko.

W ciasnym mieszkanku należy pedantycznie przestrzegać porządku.



Gdy wieje silny wiatr, wznieść przed wejściem wał ze śniegu

W ścianach wycina się wgłębienia na małe przedmioty, a garderobę wiesza na kółkach. Reszta ustawia się na kłocach ze śniegu. Psy pozostawia się na zewnątrz. Prawdziwym psem pociagowym z zaprzęgu są na Dalekiej Północy nie stanie się nic złego.

Zrozumiale, że mieszkanie musi być ogrzane. Kocher lub lampka, których płomień można regulować, są lepsze od ogniska. Gdy ich brak, trzeba sobie dopomóc, paląc w blaszanej puszcze tłuszcz lub tran. Od rodzaju i wielkości kłota zależy, do jakiego stopnia ogrzeje się izba. Potrzebna jest podstawa do umocowania garnka nad płomieniem. Tak, w igloo można gotować, smażyć, a nawet i wypiekać.

Jeżeli początkowo pocięknie ze ścian troszeczkę wody, zmniejsza się płomień i woda zamarza. Ponieważ lód topnieje znacznie wolniej od śniegu, ściany stają się nieco bardziej odporne na ciepło. Zaleca się, żeby kocy i śpiwór były odsunięte od ścian na szerokość dłoni. Także odzież nie powinna bezpośrednio przylegać do ścian. W przeciwnym razie może zamoknąć.

Przy zewnętrznej temperaturze pięćdziesięciu stopni Celsjusza poniżej zera, co nawet za kołem podbiegunowym rzadko się zdarza, wystarczy płomień świecy, żeby w igloo było zero stopni. W pobliżu ławy, na której się sypia, jest to bardzo istotne. Jeszcze cieplej jest na poziomie ramion siedzącego człowieka. Natomiast na podłodze i tuż przy ścianach, na które ma wpływ temperatura z zewnątrz, jest zimniej. Kuchenka lub lampka oliwna mogą podnieść temperaturę na poziomie łóżowiska do plus siedmiu stopni. Nie może być cieplej, bo zaczną się roztopiać ściany. Temu jednak, kto przychodzi z zewnątrz, wydaje się, że jest w dobrze ogrzanej izbie. Musi zdjąć część odzieży, żeby przywyknąć do panującej w igloo temperatury.

Na wszelki wypadek należy zadbać o wentylację, bo zlodowaciałe ściany są całkiem szczelne. Przebija się w kopule otwór i w dodatku pozostawia w drzwiach szparę. Zamyka się ją tylko w czasie najgorszych mrozów, natomiast otworu w suficie nigdy.

Gdy na dworze jest jasno, w śnieżnym domu zbędne jest oświetlenie, bo na białych ścianach skrzą się blaski. W jasne dni bez trudu można wewnątrz czytać. W czasie długiej nocy polarnej wystarczy najmniejsza świeczka i od razu żyje się w izbie ze skrzających diamentów: światło tysiącem lśnic odbija się w lustrzanych ścianach.

Doprawdy w igloo żyje się wygodnie. Wszyskno wisí, stoi lub leży w zasięgu rąk. Podłoga zastępuje lodówkę, kuchenka zużywa znikomą ilość paliwa. Woda w dowolnej ilości jest tuż za drzwiami.

W miarę upływu czasu śnieżny dom coraz bardziej i bardziej zapada się. Staje się mniejszy, węższy, a także brudniejszy od kocięciu z lampy. Mniej więcej po upływie pięciu, sześciu tygodni mieszkańcy opuszczają go. Tuż obok stawiają nowe igloo i przeprowadzają się. Dzięki temu nie muszą orządać generalnego remontu.

Żywność jest wszędzie

Około siedemdziesięciu lat temu, gdy w Kanałdzie gorączka złota wygnała ludzi z cywilizowanych okolic w pierwotne środowisko, żyło w Peace River w Kolumbii Brytyjskiej czterech krzepkich mężczyzn w kwiecie wieku. Mielł bezprzykładne szczęście i odkrył strumień, który razem z piaskiem tuczył złote ziarna. Wydobywali piasek, przepłukiwali i w krótkim czasie napełnili małe skórzyny woreczek cennymi samorodkami. Dwaj z nich wywędrowali ze żłobczyzą kilkaset mil aż do najbliższego osiedla i kupili tam przede wszystkim nie ulegającą przedkicmu zepsuciu żywność, żeby przez całą zimę móc zostać na swojej złotodajnej działce.

Dziesięć poszukiwaczy złota pracowali nawet w czasie wielkich mrozów, choć wtedy idzie to znacznie trudniej. Za pomocą ognia musieli roztopić skute lodem łożysko strumienia, potem wkopywali się jak najgłębiej, znów palili w otworze ognia i tak dalej, aż powstał tak głęboki szyb, że z zewnątrz nie widać było pracującego w nim człowieka. Drugi nosił wydobyty piasek do szybko płynącej wody i wypłukiwał go na patelni.

Catering mężczyźni mieli prawdziwe szczęście: złotym samorodkom nie było końca. Wkrótce każdy z nich miał worek wypchany cennym bruscem.

I oto wkrótce po Bożym Narodzeniu okazało się, że skończyły się im zapasy żywności. Był za wysoki śnieg i za daleka droga, żeby sprowadzić prowiant. Żaden z nich nie znalazł się na traperstwie. Łowienie ryb pod metrową warstwą lodu wymagało zbyt wiele wysiłku, a nie umieli polować na zwierzęta.

Praca nie postępowała już tak prędko, bo przy skąpym odżywianiu stopniowo słabły im mięśnie. Gdy po długiej, wyjątkowo mroźniej zimie nadeszła wreszcie wiosna, żaden z nich nie miał już dość siły, żeby dotrzeć do ludzkich osiedli. Żywili jednak nadzieję, że będzie tamtędy ktoś przechodził. Na odludzie ciągnęło wielu poszukiwaczy złota, idących wzdłuż cieków wodnych. Za garść złotych ziaren, a nawet za worek pełen samorodków

możliwy od niego odkupić żywność. Ze względu na hojną zapłatę każdy obcy na pewno zgodziłby się przywieźć wygłodniałym milionerom zapasy żywności. Nikt się jednak nie zjawił.

Poś koniec maja Will Kolder zmarł z wyczerpania i został pochowany przez kolegów. W chacie nie było już nic do jedzenia. Trzej pozostali poobgryzali wszystko, co było ze skóry, pocięli i ugotowali nawet własne buty. Ale to nie mogło ich już uratować. Gdy wkrótce potem umarł z głodu we własnym łóżku Andrew Snyder, wynieśli go i pogrzebali. W trzy dni później zmarł także Donald Pasetti. Ostatni, który przeżył, Gary Hopkins, był już tak słaby, że pochowanie kolegi zabrało mu cały dzień.

Potem resztką sił wykopał własny grób, położył się w nim i czekał na śmierć.

Miejsce, w którym się to zdarzyło, zwie się dzisiaj Lost Cabin Creek*. Chata była tak solidnie zbudowana, że jej resztki można oglądać jeszcze i dzisiaj. Nie wyszło tu jaw, kto pierwszy odnalazł groby i zagarnął wory ze złotem. Dopiero po latach pewien funkcjonariusz policji znalazł w opuszczonym domu dziennik, z którego dokładnie można się było dowiedzieć, jaki koniec spotkał czterech poszukiwaczy.

Wprawdzie nie jest to jedyna tego rodzaju tragedia, dlatego jednak taka pouczająca, że można dość dokładnie prześledzić jej przyczyny i przebieg na podstawie notatek Hopkinsa. Czterech nieszczęśnicy zmarli z głodu, bo nie wiedzieli, że w koło jest w bród żywności i w gruncie rzeczy było tysiąc możliwości, żeby przeżyć. W podobny sposób wśród dzikich bezdroży może zginąć jeszcze wielu poszukiwaczy złota i różnych innych ludzi.

Trzeba by było napisać wiele tomów, żeby wyliczyć wszystkie jadalne zwierzęta i rośliny znajdujące się na ziemi. Zapewne, w każdym kraju i każdej okolicy są różne zwierzęta i rośliny trujące lub ciężko strawne. Zawsze jednak można znaleźć ostrzegawcze ilustrowane broszury z dokładnym opisem wszystkich trujących roślin i zwierząt na danym obszarze.

Poza tym, gdy się spotyka nieznana roślinę lub owoc, powinno się najpierw odrobinę skosztować. Jeżeli po upływie sześciu siedmiu godzin nie wywoła złych następstw, zjada się nieco więcej. Gdy nadal nie dzieje się nic złego, można się śmiało częstować i być względnie pewnym, że jedzenie nie zaszkodzi. Istnieje bardzo mało roślin, a jeszcze mniej zwierząt, które spożyte w małej ilości mogą zaszkodzić.

W potrzebie nikt nie może sobie pozwolić na luksus wybrzydzenia, a tym bardziej na szukanie smakołyków. Liczy się jedynie wartość odżywcza.

Dość jednak odstręczających teorii, przedźmy do praktyki: tam, gdzie mamy młode brzozy, mamy do dyspozycji spaghetti. Odslania się na piu

* Lost Cabin Creek — Chata nad Potokiem Straceniów (przepr. tłum.)

zewnątrzną korę, a następnie oddziela się delikatną, cienką jasnożółtą korę wewnętrzną, tak zwane cambium. Jest to ta sama kora, o której wspominaliśmy już jako o hubie na rozpałkę. Tnie się ją na długie wąskie paski, wrzuca do gotującej wody i po chwili ma się danie przypominające spaghetti. Jest słodkawe, dość smaczne i ma względnie dużą wartość odżywczą. Brzożowe spaghetti można jadać równie dobrze na surowo, jak w zupie lub jako przyprawę do innych dań.

Cieńsze warstwy pod zewnętrzną korą osik, wierzb, świerków i jodeł nie tylko można jeść na surowo, gotować i suszyć, można je także sproszkować i używać w postaci mąki. Kora wszystkich tych drzew zawiera witaminę C. Zewnętrzna kora jest mniej strawna, zawiera zbytek dużo gorzkich kwasów garbnikowych (taniny).

Gdy sytuacja zmusza do jedzenia drewna, trzeba je przedtem drobno zemleć, dokładnie wygotować, wylać pierwszy odwar, a papkę powtórnie zagotować. Wartość odżywcza drewna jest jednak tak znikoma, że trud związany z przyrządzeniem potrawy prawie się nie opłaca. Bywają lepsze i mniej kłopotliwe dania.

Jadalna jest większość skalnych porostów, zawierają witaminy i całkiem nieźle smakują. Można polecić zwłaszcza jeden gatunek, który po angielsku zwie się rock tripe (skalna potrawa) i rozprzestrzenia się, hen od Dalekiej Północy aż po południowe stany USA. W naszych górach też można spotkać podobne porosty.

Rośliny płożące się po skałach przeważnie mają kolor pociemniałej skóry, a kształtem przypominają pogniecione liście podbiała. Od biedy można je jadać na surowo, ale lepiej ugotować i jeść z rosółem jak jarzynę.

Chrobotek reniferowy i mech islandzki są roślinami pożywnymi i lekko strawnymi. Ponieważ jednak na surowo mają gorzki, odrażający smak, trzeba je najpierw ugotować, a następnie wymoczyć w czystej wodzie. Potem się je suszy, miele na proszek, powtórnie moczy i w końcu rozgotowuje na papkę. Stanowią bardzo pożywny posiłek, który na dłuższy czas zaspokoi głód. Z proszku piecze się nawet coś w rodzaju chleba, mieszając go z normalną mąką i w ten sposób uzupełniając jej zapas.

Jadalne są, prawie bez wyjątku, wszystkie gatunki traw morskich. Jada się je na surowo, gotuje z nich zupę o korzennym smaku lub dusi się surową trawę morską razem z mięsem. Można ją także ususzyć i wyruszać na daleki szlak zabrać jako prowiant na drogę. Trawa morską skutecznie zapobiega szkorbutowi, gdyż niezależnie od jodu zawiera składniki mineralne i witaminy. Najbardziej lekko strawna jest „żywa” trawa morską, porastająca podwodnie skały.

W razie gdyby zabrakło cukru, wcale nie trzeba wyrzekać się słodczy. W korze młodych brzoż i klonów wycina się skośne, na centymetr głębokie

Słodki napój można pozyskać z przybrzoż i klonów. Należy wyciąć ukosną szczerbinę, biegnącą z góry na dół. Sok spływa po wbitym kołku i skapuje do podstawianego naczynia



rowki, mniej więcej długości stopy. Tam, gdzie się kończą, przymocowuje się tuż przy pniu małe naczynie. Być może już następnego dnia, a na pewno po upływie trzech, czterech dni naczynie napełnia się sokiem. Gotuje się go tak długo, aż powstanie zawiesisty, lepki, żółto-brązowy płyn.

Wiesz się, oczywiście, od razu kilkanaście puszek, żeby trud się opłacał, i gotuje się za jednym zamachem kilka litrów soku. Ponacinane drzewa nie usychają, rany zablizniają się. Nie należy jednak robić więcej niż jednego nacięcia na jednym drzewie.

Z pewnością najlepszą i najbardziej lekko strawną jarzyną jest pokrzywa. Zrywa się ją w grubych rękawicach i obgotowuje. Wystarczy ją zanurzyć w ukropie, żeby przestała parzyć.

W każdym razie poleca się herbatę z pokrzyw. W tym celu liście należy ususzyć, pokruszyć i parzyć identycznie jak herbatę. W rezultacie jest nie tylko smaczna, lecz także bardzo zdrowa. Równie smaczny gorzkawy napój, który przy odrobimie fantazji można określić mianem „herbaty”, uzyskuje się ze świeżych zielonych igieł świerku, jodły, sosny lub modrzewia.

Namiastkę kawy przyrządza się z korzeni miniszka lekarskiego*. Suszy się je, upala na patelni na małym ogniu, a następnie miele pomiędzy dwoma kamieniami. Potem trzeba je zagotować. Gdy się znajdzie dzika cykorię, ma się w zasadzie to, co dawniej oszczędni ludzie pijali zamiast kawy.

Wracam do miniszka lekarskiego: z jego liści można mieć dobrą, aczkolwiek gorzkawą sałatę. Traci gorzkość, gdy się ją zagoruje, wyleje odwar i ponownie zagotuje. Można ją jeść także na surowo. W ostateczności można jeść i trawę.

* Dmichawiec, mlecz (*Prunella thymifolia*).

Owoce dzikiej róży dojrzewają od późnego lata do jesieni i wiszą na krzakach prawie przez całą zimę. Zdejmuje się lupiny z dojrzałych, nawet z pomarszczonych owoców i jada surowy luk gotowany miąższ, bądź też parzy się z niego herbatę. Zawiera on bardzo dużo witaminy A i doskonale zapobiega skorbutowi.

Istnieje szesnaście tysięcy gatunków grzybów jadalnych. Ponieważ jednak jest także kilkaset gatunków grzybów trujących, trzeba być nie lada znawcą, żeby przypadkowo nie zerwać niewłaściwego. Brak rozeznania można zastąpić „tablicą grzybów”. Zawiera ona zwięzłą charakterystykę i kolorowe ilustracje grzybów jadalnych i trujących. Takie tablice i broszurki znajdują się prawie we wszystkich krajach i w każdej okolicy.

Jadalne są wszystkie orzechy, począwszy od najmniejszych szyszek jodłowych, aż po olbrzymi orzech kokosowy. W dawnych czasach ubodzy Sybiryacy przeżywali wiele strogich zim, żywiąc się prawie wyłącznie małymi świerkowymi orzeszkami.

Przed zjedzeniem z lekka je prażyli nad rozżarzonym węglem drzewnym. Tak więc i dzisiaj nikt nie umrze z głodu w świerkowym lesie ani tam, gdzie rosną buki, dęby, dzikie kasztany i inne drzewa.

Bukwy zaliczają się do nadzwyczaj pożywnych orzechów. Ich białe słodkie jądro zawiera oliwę i właśnie dlatego bukwy są paszą treściwą. Po uprażeniu, zmieleniu i zagotowaniu można z nich przyrządzić coś w rodzaju kawy. Żołędzie ze względu na obecność kwasów garbnikowych nie są na surowo ani smaczne, ani zdrowe. Należy je przez dwie godziny gotować, odcedzić, moczyć przez dwa, trzy dni w zimnej wodzie, którą trzeba często zmieniać, a następnie rozetrzeć na pastę. Miesza się ją pół na pół z czystą wodą i po zagotowaniu jest bardzo pożywna. Po wysuszeniu i zmieleniu z pasty żołędziowej robi się jadalną mąkę. W starych sprawozdaniach można wyczytać, że i u nas w latach klęski wypiekano chleb z mąki żołędziowej. Wielu zwołanych traperów czyni tak jeszcze i teraz. Jada się zarówno zielone, jak i dojrzałe kasztany, najlepiej jednak uprażyć je przedtem na rozżarzonym drewnie. Ziarna po wydobyciu z lupiny można także gotować. Powinno się je potem utłuc podobnie jak ziemniaki. Orzechy luskowe są nie tylko smaczne, lecz także oleiste i dzięki temu wyjątkowo pożywcze. W strefach umiarkowanych rosną prawie wszędzie. Bulwy korzeniowe lilii, również lilii wodnych, są jadalne na surowo i gotowane. Stare, ukryte w ziemi łodygi paproci upala się i obdziera ze skóry. Młode pędy świeżej paproci obgotowuje się albo dusi i je jak szparagi. Można jeść także i korzenie.

Wyliczone tu szkapy, bardzo ograniczony asortyment jadalnych roślin, w dodatku tylko tych, które rosną w naszych stronach. Zawierają one wszystkie składniki potrzebne człowiekowi do życia. Wegetarianie codziennie im udowadniają.

Nie wszyscy jednak muszą być wegetarianami, człowiek z natury jest wszystkożerny.

Prawie wszystkie żywe organizmy na kuli ziemskiej są jadalne i nieszkodliwe dla zdrowia. Nawet liszki, chrząszcze i piwniczne równonogi są jadalne, a w dodatku zawierają wzbogaconą wartość odżywczą: podobnie psójki, mrówki i dżdżownice.

Im bardziej dojmujący głód, tym mniej się brzydźmy tego rodzaju zwierząt. Obrzydzenie nie jest wrodzone, wynika z wychowania. Ludzie pierwotni nie czują obrzydzenia, lecz tylko chęć zaspokojenia głodu. Dla niektórych plemion największym przysmakiem są larwy termitów. Z ciekawości posmarowałem sobie nimi chleb i smakował mi wręcz wyborne. Większość owadów i ich larw, które do złudzenia przypominają małe dżdżownice, zawiera dużo tłuszczu i najważniejsze witaminy.

Jadalne są wszystkie węże, z wyjątkiem węży morskich, nawet jadowite kobry i żmije zygzakowate. Naturalnie trzeba zrezygnować ze zjedzenia głowy. Jaja ptasie w każdym stadium, nawet z na wpół wylęgniętymi pisklętami, są pożywne i strawne. Zmielone kości, porostki i wieniec zasila ją organizm niezbędnym wapniem. O ile to możliwe, zmielone kości trzeba najpierw ugotować, a potem mieszać z innymi potrawami. Przy jądaniu ryb obowiązują przybliżona reguła: nie jada się ryb o dziwnym, osobliwym wyglądzie. Nie zawsze się ona sprawdza, bo od tej nietypowej reguły, podobnie jak od wszystkich innych reguł, są pewne wyjątki, ale przecież zna się większość jadalnych gatunków ryb. W rzekach stref umiarkowanych i obszarów północnych raczej nie ma niestrawnych ryb. Niebezpieczeństwo czyha przeważnie w wodach tropikalnych i na morzach południowych. Zresztą każdy przyjaciel przyrody zawczasu może się zapoznać z gatunkami ryb żyjących na trasie jego wędrówki. Co się tyczy małży, jest akurat odwrotnie, trzeba być ostrożnym na miejscu. Pod żadnym pozorem nie wolno jeść małży, która po schwytniu nie domyka się. Choćby się było jak najbardziej głodnym, nie jada się ropuch, bo są trujące.

Pierwotna głusza oferuje niemal nieograniczony wybór smakowitej dziczyzny.

Ze wszystkich zwierząt łownych najbardziej rozmnożyły się zając i królik. Wiedzą jednak tylko nieliczni, że żywiąc się wyłącznie ich mięsem, nie przeżyłoby się. Dzieje się tak dlatego, że składają się z samego chudego mięsa, zaledwie ze śladami tłuszczu. Kto chciałby przeżyć odżywiając się tylko i wyłącznie ich mięsem, raczej by się zagłodził, tak jakby w ogóle nic nie jadł, bo na trawienie kompletnie chudego mięsa, całkowicie pozbawionego tłuszczu, organizm zużyłby zbyt wiele cennych kalorii. Głodujący dłużej przeżyje pijąc czystą wodę, niż pijąc wodę i jedząc mięso królika. Jeżeli

...chrońników jada się jeszcze coś, a przede wszystkim tłusty potrawa przedstawia się inaczej. Wtedy chude mięso spełnia swoją rolę doskonale, zupełnie pozywienie.

Podobnie przedstawia się sprawa z pownymi ptakami, na przykład s pardwami. Na wół zagłodzonemu człowiekowi nie przywrócą sił smaczne potrawy, musiałby zjadać po dwadzieścia sztuk dziennie albo i więcej. Funt łuska zawiera cztery razy więcej kalorii niż funt pstrąga.

Czasem nie zaszkodzi kilkudniowa głodówka, jeszcze wyjdzie na zdrowie.

Gdy człowiek nie ma już nic do jedzenia i zaczyna być głodny, to tylko burczy mu w brzuchu, natomiast organizm może jeszcze czerpać z własnych zasobów. Zużywa nadwyżki. Przede wszystkim redukuje głównie węglowodany i podkłady tłuszczu. Każdy ma ich większy lub mniejszy zapas. Jeżeli pobolewa żołądek, to dlatego, że jest pusty i kurczą się jego ścianki. Początkowo jednak organizm nie słabnie, a jeżeli człowiek czuje się osłabiony i niezdolny do wysiłku, wpływa to z nastawienia psychicznego, a więc jest czystym urojeniem. W rzeczywistości organizm funkcjonuje nadal i tylko zmniejsza nieco wydatkowanie energii, w pierwszych dniach najwyżej o dwadzieścia procent. Pożywienie nie przechodzi już przez żołądek, lecz substancje odżywcze są czerpane z całego ciała. Ponieważ pożywa się ono przy okazji zbędnego balastu, jego wydolność nawet się zwiększa!

Kto o tym wie, ten w pierwszych dniach głodu nie musi się oszczędzać, wręcz przeciwnie, powinien ten fakt wykorzystać, żeby za pomocą wszelkich dostępnych środków usunąć przeszkody. Może pójść na polowanie, rozstawić sidła czy też przedsięwziąć jakiegokolwiek inne kroki, aby zdobyć pożywienie. Bardzo wskazane jest picie jak największej ilości płynów, nawet czystej wody, żeby wydalic z organizmu toksyny, które zawsze powstają w trakcie przemiany materii.

Jak długo można głodować, zanim się całkiem nie straci sił, zależy to oczywiście od poprzedniej kondycji. Im ktoś był grubszy, tym dłużej będzie żywy i zdrowy. Dopiero po upływie trzydziestu dni schudnie przeciętnie o dwadzieścia procent. Zanim umrze, może schudnąć o połowę, a w poszczególnych przypadkach nawet i bardziej.

Polowanie bez broni

Na skraju doliny Kaisersbach, gdzie ścieżka po wielu zakrętach pnie się na Stripsenloch, sterczy z lewej strony stroma skalna ściana. Zwie się „Jatka” i zna ją wielu alpinistów.

Wzdłuż jej pionowego urwiska widać stromo pod górę wąską obręcz skalną szerokości dziecięcego buziaka, dostępną jedynie dla wytrwałych alpinistów, którzy w dodatku pomagają sobie przy wspinaczce obiema rękami. Kozicom nie sprawia ona jednak trudności. Od niepamiętnych czasów korzystają z tej uformowanej przez naturę, pnącej się w górę ścieżki, żeby dotrzeć z doliny do cyrku lodowcowego, gdzie pomiędzy okruchami skalnymi rosną drobniotkie, lecz niezmiernie ważne dla ich diety zioła. Muszą one zawierać sole czy też jakieś inne składniki, które są ulubionym przysmakiem kozic. Obecnie bardzo rzadko korzystają ze spadającego przesmyku, bo w pogodne letnie dni przeważnie wspinają się na skałę alpinistów. Niegdyś był to jednak bardzo ważny szlak kozic, które wspinają się po nim prawie codziennie, od wczesnej wiosny do późnej jesieni.

— Długo to trwało, nim zauważyłem, że na ścianie dzieje się coś niedobrego — opowiadał Westl Honnegger — potem jednak spostrzegłem, że u podnóża skały zapadają kruki i kawki. Przylatywały stadnie, coś porywały i znów się zlatywały. Potem się wspiąłem i znalazłem patrochy kozicy... nie jednej... chyba dwóch czy trzech naraz. Ale było tam tylko to, co wypatrzuje ze zwierząt, nic ponadto. Ani kawałka futra, ani kości. A więc sprawa kłusownika, to całkiem jasne!

Nie padał jednak strzał, na który Westl tak cierpliwie czekał. Szukał wnyków i pułapek, ale nie znalazł niczego podobnego. Mimo to w kilka dni później znów natknął się na patrochy kozicy. Tym razem kłusownik usiłował schować trzewia pod kamieniem, ale wywłócił je stamtąd lis. Podejrzanie Westla Honneggera padło na Toniego Schmiedera, stroniącego od pracy typka z Niederauen. Często przychodził do doliny Kaisersbach, nie można

mu było jednak niczego dowieść. Nie nosił broni, a w plecaku miał tylko żywność. Twierdził, że jest miłośnikiem gór i nikt nie może mu zabronić wspinaczki.

W ciągu jednej tylko jesieni leśniczy rewiry wyznał wnętrzności jedenaście kozic, wszystkie pod tą samą ścianą. Pozostawało zagadką, kto je pozbawił życia, a także, w jaki sposób zginęły. Wastl od rana do wieczora leżał na czatach w zaroślach kosodrzewiny i obserwował całą okolicę. Pewnego dnia zauważył, jak tuż po sobie spadły ze ściany dwie kozice. Spadły ze skały, jakby im nagle zdano ciasno. Było to niesamowite i w ogóle całkiem niezrozumiałe. Od niepamiętnych czasów zwierzyna znala ten przesmyk, ale nigdy żadna kozica nie straciła punktu oparcia.

Wastl przekonał się teraz, że niesłusznie posądzał Toniego Schmiedera. Bowiem tego dnia, kiedy spadły i zabiły się dwie kozice, siedział on nabożnie i bogobojnie w kościele. Innym razem, gdy następne zwierzę spadło z „Jatki”, Toni, co można było udowodnić, był razem z wysokogórskimi turystami w Modrzewiowym Zakątku. Nie uległo wątpliwości, że nie miał z tym nic wspólnego żaden kusownik. To z kozicami działo się coś niedobrego. Musiała to być jakaś osobliwa niemoc, że tam w górze nagle traciły równowagę. Z Wastla Honneggera wszyscy w głos się śmiali, kiedy mówił, że u kozic też występują nagle zawroty głowy.

Przez wiele lat nie dało się jednak wyjaśnić, dlaczego znikła cała tusza wraz z podrobami. Musiał ktoś regularnie przychodzić, żeby zabierać dziurę wraz ze skórą i kośćmi. Mogło się to dziać tylko ciemną nocą, w przeciwnym razie Wastl na pewno by go kiedyś zauważył. Ale rewir był duży, a nadzór wszędzie konieczny i nie mógł sobie pozwolić na przesiadywanie przy jednej kozicy, żeby zobaczyć, jak jakiś biedak zabiera użyteczne części. Jeżeli zwierzęta spadały same, nie byłoby to zbyt ciężkim wykroczeniem. Wastlowi bardziej zależało na tym, żeby trzymać w szachu wołnych strzelców. Miał z nimi dość kłopotów. Tak więc rozwiązanie zagadki spadających kozic odkładał z roku na rok.

Az pewnego dnia, wracając tuż przed zapadnięciem nocy z Koblner-Sattel, zauważył, jak Toni Schmieder czołgał się bokiem przez zarośla do „Jatki”. Leśniczy bezgłośnie skradł się za nim. Zobaczył, że Toni ominął kozicę, która spadła. Prawie nie szukając, bardzo szybko znalazł ofiarę ostatniego wypadku i zabrał się do patroszenia.

— Ręce do góry! — zawołał Wastl, mierząc ze sztucera. Toni błyskawicznie uskokzył w zarośla i tylko dał się słyszeć trzask łamanych po drodze gałęzi. Wastl jednak tak szybko nie rezygnował. Znał poniżej wąskie przejście, które złodziej mięsa nie mógłby mu się wymknąć. Pobiegł więc i zagroził mu drogę. Tam po raz drugi rozległo się „ręce do góry!”, niestety, bez skutku. Toni skorzystał z zapadających ciemności, zawrócił i znów

skłócił na zbocze, tuż przy skalnej ścianie. Leśniczy nie chciał strzelać: po porwaniu było już trochę za ciemno, po wtóre był zdania, że porwanie i zjedzenie martwego zwierzęcia nie jest aż takim przestępstwem, za które warto słać człowieka. Biegł tylko za złodziejem i wołał, żeby się wreszcie zatrzymał. Został już rozpoznany i ucieczka nie ma sensu.

Był może Toni myślał, że na żandarmerii będzie się mógł wymigać, sądząc, że strzelec się omylił, lub wyłgać w jakiś inny sposób. W każdym razie wprawny alpinista wspiął się na ścianę i ścieżką kozic chciał dotrzeć do ludowca, skąd otwierały się przed nim różne drogi ucieczki. Był pewny, że Wastl Honnegger ma tyle rozsądku, żeby go nie ścigać w zapadających ciemnościach po tej niebezpiecznej drodze. I rzeczywiście, Wastl został na dół zlorzczać i zapewniając uciekiniera, że z samego rana złoży meldunek.

I właśnie wtedy, gdy chciał już odejść, rozległ się przeraźliwy krzyk. Popadł się kamienie, a razem z nimi, wirując w powietrzu spadał człowiek. Spadł o stóp skały i potoczył się jeszcze ze sto metrów po piargu. Gdy nadbiegł zdyszany strzelec, Toni jeszcze żył, a nawet był przytomny. Wastl chciał go stamtąd zabrać, lecz nie zdołał, bo ofiara wypadku była za ciężka i przy każdym dotknięciu jęczała.

— Sprowadź chłopów z Griesenau — powiedział Wastl — i doktora dr. Johann.

Okrzył Toniego kurtką i podetknął mu mu pod głowę kupkę suchych liści. Mógło upłynąć wiele godzin, nim wróciłby z fachową pomocą.

— Daj sobie spokój — wyjęczał Toni — ze mną już koniec.

Wastl nie mógł w to uwierzyć i chciał sprowadzić doktora.

— Nie odchodź, chcę ci coś powiedzieć — wyszeptał konający. — Potem będzie za późno.

I jasnym głosem zwierzył się Wastlowi, że w ciągu tych wszystkich lat koźce nie spadały ze ścimy z własnej winy. Kładł na skalnej wstańce świeżo obraną kory świerkową, gładką, śliską stroną do góry i to w tym miejscu, gdzie rozpadzone kozice osadzały się po skoku. Nawykłe do znajomemu poręcznego skalnego podłoża, ześlizgiwały się z kory i spadały. W ten sposób pozbawiał życia sto dwadzieścia kozic. Dla zżawienia jego duszy Wastl musi o tym powiedzieć księdzu proboszczowi i zapewnić go, że oszaleł załując za grzechy. Wkrótce potem zmarł, biedaczysko.

Władca nie zna zakazów. Kto w inny sposób nie umie zarobić na życie, uprawia kusownictwo na wszelkie możliwe sposoby. Zmusza go do tego głód o własny byt. Tylko skrajny głód może usprawiedliwić bezprawne i okrutne postępowanie.

Wzwanie kozic ze skał za pomocą odwróconego kawałka kory nie było wynalazkiem Toniego Schmiedera. Był to stary fortel, który bynajmniej nie ograniczał się do naszych rodzimych gór. Indianie w Ameryce Północnej

ma być miłośnik nowego dowodu, a tymczasem, Twierdził, że jest miłośnikiem...

W ciągu ostatniej wojny...
...nie chciał strzelać; po...
...za które war-...
...wzięcie za-...
...mógł...
...wła-...
...wła-...
...wła-...

te. Na Alasce robią to do dnia dzisiejszego i to zabronione. W Alasce i Tibesti stosuje się o wiele oni na muflony. Na drodze ich wędrówki zarosłami spory kłoc z dość szerokim w który ześlizguje się noga ofiary. Kiedy ofiara, trzydziestu zwierząt ciągnie do wódki na kłoc i jego noga wśliznie się pod niego, żeby po wdepnięciu znów się rozpozbyć kłoca. Stoi w miejscu, albo udrepuje mu starczy sił. Przy okazji pozostawia mu ślad, toteż łatwo można je wytropić i nie

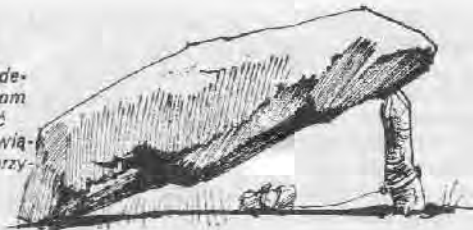
apka składa się z ciężkiego glazu, drewnianego kołka i ad...
...ty. Glaz, w miarę możliwości kamienną płytę, musi się z jednej strony...
...odpiera kołkiem. Kołek zaostrza się z obu stron i w ten sposób opiera na nim krawędź płyty, żeby się ledwie utrzymywała. Całość powinna być jak najbardziej chwijna i najmniej statyczna. Potem pod kamień wkłada się przynętę: dla dużych zwierząt kawałek mocno woniącego mięsa, dla ptaków ziarno lub martwe owady. Wkrótce ofiara dobiega się do przynęty i trąca kołek. Kamień spada i zabija zwierzę. Jeżeli przynęta jest dodatkowo przymocowana do kołka sznurem, rzemieniem czy szdłobami traw, kamień musi spaść już przy pierwszym dotknięciu. Trzeba tylko uważać, żeby ciężar kamienną płytę nie wgniół kołka w ziemię. Należałoby mu to niepożądaną statyczność.

Kiedy myśliwy leży i trzyma w ręku przymocowany do wspornika sznur, sam decyduje, w jakim momencie ma spaść kamień. Poleca się ten sposób polowania na dzikie ptactwo. Za sznur pociąga się dopiero wtedy, gdy przy pokarmie zbierze się kilka przyszłych ofiar.

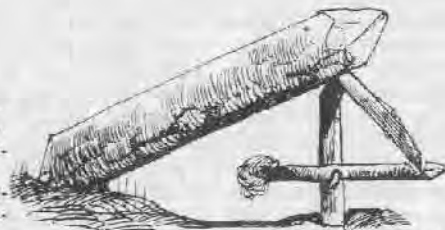
Polowanie na grubego zwierza wymaga znacznie więcej wysiłku. Oto przykład przygotowania zasadzki z pnia: wybiera się drzewo na tyle duże i ciężkie, żeby mogło zabić lub unieruchomić upatrzone zwierzę. Potem wpycha się w ziemię mocny pał, przycina go skośnie u góry i na wysokości jednej trzeciej, licząc od dołu, wycina się w poprzek niego wrąb. Do wrąbu dopasowuje się pałik. Z jednej strony zaostrza się go i nadziewa na przynętę. Drugi koniec poprzeczki tkwi w głębokim wrębie, o którym była mowa. Teraz kolej na trzeci pałik. Opiera się go skośnie ściętym dolnym końcem o nacięcie w poprzeczce i również ukośnie o czubek prostopadle stojącego pala. Musi na nim dość pewnie spoczywać, co najłatwiej uzyskać opierając go o dodatkowy wrąb dopasowany do końca owego pałika.

Gdy w ten sposób połączy się trzy pały, należy unieść z jednej strony

Pułapki z kamieni: podnieść i podeprzeć kijem słom skalny. Ułożyć pod nim przywiązaną do kija przynętę



Pułapki z pnia: ciężki pień ustawić na trzech kijach w równowadze chwiejnej w ten sposób, żeby spadek przy poruszeniu przynęty.



Pułapki z pnia wraz z wnykami: uderzenie połączone z równoczesnym dławieniem przez wnyk kwalifikują to urządzenie do upolowania grubego zwierza

pień drzewa i zgrabnie oprzeć go o szczyt chwiejnej konstrukcji. Jeżeli pień-pułapka okaże się za ciężki dla samotnego myśliwego, ustawia się go za pomocą gałęzi sterczącej nad przesmykiem zwierzyny. Przez gałąź przetrzuca się linę lub mocny rzemień, jeden koniec przywiązuje do pnia i ciągnąc za drugi unosi się go, a następnie powoli i ostrożnie opuszcza na czubek pała.

Gdy na drodze zjawi się gruby zwierzę i dobierze się do przynęty, poprzeczka od razu wysunie się z wrębu w pionowym pału, wyszarpnie przy okazji z podpory ukosnie założony kołek i pień spadnie. Jeżeli jest dostatecznie ciężki, nawet niedźwiedziowi przetrąci kręgosłup.

Urządzenie można nieco uprościć, gdy myśliwy znajdzie przesmyk, którym często chadza zwierzyna racicowa, a więc gdy jest pewny, że jest to odpowiednie miejsce. Tę pewność ma się zawsze w odniesieniu do tak zwanego przesmyku wymuszonego. Są to takie miejsca, którymi zwierzę zawsze musi przechodzić ze względu na właściwości terenu. W historii o Tonim Schmiederze takim wymuszonym przesmykiem była skalna opaska. Może nim być ciasny parów albo wąska ława na stromym brzegu rzeki, bądź też przesmyk wydeptany przez same zwierzęta w gęstym, zwartym zagajniku. Tu właśnie za pomocą sznura z pętlą na końcu podnosi się pień-pułapkę w taki sposób, żeby zawisł ukosnie nad przesmykiem. Następnie przeciąga się sznur przez rozwidloną gałąź, napina u stóp najbliższego drzewa i zamocowuje. Od sposobu zamocowania zależy, czy pułapka będzie potem prawidłowo funkcjonowała. Na końcu sznura przytrzymującego pień najlepiej zamocować kółko i zaczepić je o odłamną bądź też odpiloną gałąź. Kółko musi być jednak umieszczone na samym skraju gałęzi, żeby się mogło łatwo zsunąć. Od kółka należy przeciągnąć na drugą stronę przesmyku cienki, lecz mocny postronek i zaczepić go u drzewo lub krzak. Powinien przecinać drogę na wysokości mniej więcej piersi zwierzęcia. Sznur może także zwisać nad przesmykiem w formie pętli, trzeba jednak uwzględnić wysokość, na której znajduje się głowa zwierzęcia. Wprawdzie zwierzę może spostrzec sznur, poczyta go jednak za gałązkę bez znaczenia, jakich wiele na jego drodze. Rozumie się, że sznur nie może być jasny ani jaskrawy.

Łoś, jeleni, antylopa czy locha przebiegając nie tylko potną sznur, lecz szarpną go do przodu. Wtedy kółko musi się ześliznąć z gałęzi, zwalniając sznur utrzymujący w powietrzu pień. Pień spada z trzaskiem, zabijając zwierzę lub przyciskając je do ziemi.

Ten, kto w swoim bagażu nie znajdzie kółka, może umocować wnyk w jeszcze inny sposób. Whija się w rosnące drzewo dwa małe, ostre kółki, umieszczone na tej samej wysokości i rozstawione na szerokość dłoni. Do końca sznura przywiązuje się trzeci kołek i wsuwa się go poprzecznie pod dwa poprzednie, w miarę możliwości jak najbliżej wystających końców. Drugi koniec sznura zwisający z drzewienka przywiązuje się do sznura podtrzymującego

go pień i napina w poprzek przesmyku. Gdy przebiegający zwierzę zawadzi o sznur, wyrwie poprzeczne drzewienko spod wbitych w drzewo kłoczków. Podtrzymujący sznur wypryśnie w górę i pień-pułapka spadnie.

Jeżeli w pobliżu przesmyku nie rosną drzewa, mając trochę smykałki można spowodować śmierć zwierzęcia za pomocą lawiny kamieni. W tym celu należy tak spiętrzyć ciężkie otoczaki, żeby po szarpnięciu sznura błyskawicznie runęły. Nie ma na to recepty, wszystko zależy do rzeźby terenu. Zgodniały myśliwy może liczyć wyłącznie na własną inwencję.

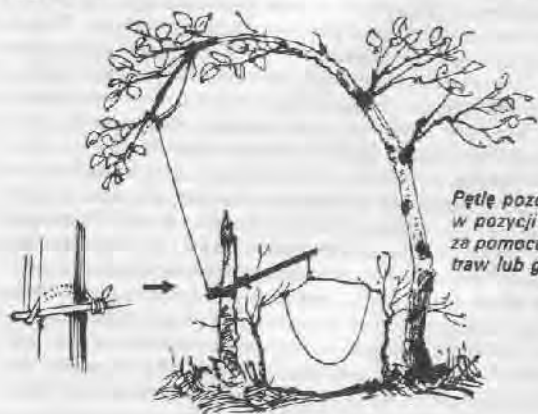
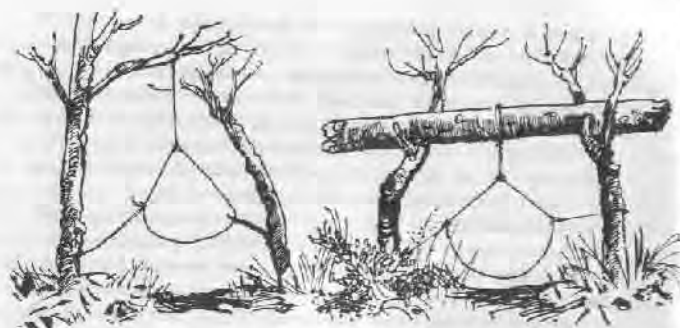
Wilcze doły zakłada się tylko na przesmykach zwierzyny, a ich szerokość i głębokość dostosowuje się do jej rozmiarów. Gdy zwierzę wpadnie do dołu, nie powinno się z niego wydobyć. Dlatego ściany muszą być pionowe, a tam, gdzie ziemia jest sypka, umocnione palami. Wykopany dół maskuje się gałęziami, przysypuje liśćmi i posypuje ziemią. Wilczy dół musi być tak dobrze zamaskowany, żeby przykrycie niczym nie różniło się od otoczenia. Powinien więc ładząco przypominać poprzedni wygląd przesmyku. Wykopaną ziemię rozrzuca się wśród okolicznych zarośli, podobnie jak nad ukrytym dołem, a i brzegi przesmyku nie mogą się zmienić w widoczny sposób. Dobrze by było, żeby minęło kilka godzin zanim nadejdzie zwierzę, w przeciwnym razie może ono zwierzyć człowieka, który tam pracował. Drapieżniki mają bardziej wrażliwy węch niż zwierzyna racicowa.

Nie trzeba wyjaśniać, co się stanie ze zwierzęciem, które nastąpi na krywy dołu. Jeżeli w dodatku zlamie choć jedną łapę, jest zgubione. Dół jest ciasny i zwierzę nie może się rozpedzić, żeby z niego wyskoczyć. Drewniana pułka, a nawet zwykły ciężki kamień wystarczą, żeby zabić bezbronną ofiarę. Można jedynie mieć nadzieję, że myśliwy prędko się zjawi, by zgotować jej rychłą śmierć. Niestety, nie zmuszają go do tego okoliczności. Biedne zwierzę może pozostawać uwięzione w wilczym dole przez kilka dni, nawet tygodni i może się zdarzyć, że zjawi się inny łowca, mianowicie drapieżnik, który zwierzy doskonałą okazję. Kto chciałby okazać iskierkę współczucia, o ile nie zatrzymuje go nic innego, powinien przede wszystkim dać się do wilczego dołu.

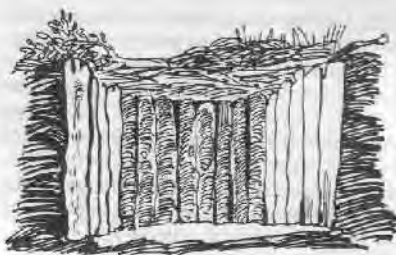
Pułapki z pni, spadające lawiny, a zwłaszcza wilcze doły są bardzo groźne także i dla ludzi. Należy dodatkowo uwzględnić, że wobec braku przetartych szlaków, ten kto wędruje wśród ostępów, przeważnie posuwa się przesmykami wydeptanymi przez zwierzyny. Dlatego podobne pułapki można zakładać jedynie tam, gdzie zgodnie z najlepszą wiedzą i wolą nie podejrzewają się ludzkiej obecności.

Z pewnością najbrzydlivszym sposobem jest pozbawianie zwierzęcia życia za pomocą wnyków.

Jedynie troska o własny byt usprawiedliwia zastosowanie tego środka. Wnyki nie nadają się jednak do chwytania grubego zwierza. Trzeba by



Pętlę pozostawia się w pozycji otwartej, za pomocą szpagatu, traw lub gałązek



Wilczy dół: ściany dołu należy umocnić palami, żeby nie obsypywała się ziemia. Pokrywą trzeba przykryć gałęziami, zamaskować ziemią i liśćmi, i upodobnić do otoczenia

w tym celu posłużyć się sznurem, drutem lub rzemieniem, który zwierzę zawnoczasu by spostrzegło.

Najprostszy wnyk wiesz się na gałęzi, a pętlę utrzymuje się otwartą za pomocą źdźbeł trawy lub cienkich nici, które przymocowuje się do najbliższych krzaków. Gdy przebiegająca ofiara wsadzi głowę w pętlę, nitki zerwą się, a sam wnyk zaciśnie wokół szyi zwierzęcia. Człowiek, a nawet małpa mogą się od niego uwolnić, posługując się rękami. Pospolite zwierzę nie ma jednak rąk, a poza tym ogarnia je strach i szuka ratunku w pośpiesznej ucieczce. Wtedy wnyk coraz bardziej się zaciska. Nawet zęby drapieżnego zwierza nie mogą przegryźć stalowego drutu, używanego do specjalnych wnyków.

Nieszczęsne zwierzę prędzej skona, gdy wnyk przywiązany jest do wierzchołka młodego drzewa. Potem drzewo to przygina się i w ten sposób przymocowuje sznurem lub drutem, żeby się odgięło do góry, gdy tylko zwierzę szarpnie za wnyk. Należy mieć nadzieję, że prędko skona, bo trzeba dodać, że czasem się to nie udaje i żywe zwierzę nadal znosi męczarnie.

Dzikie ptactwo, które w razie niebezpieczeństwa ucieka zamiast wznieść się w powietrze, a więc ptaki leśne, przede wszystkim bekasowate, można łapać we wnyki w nieco bardziej humanitarny sposób. Wyjątkowo łatwo łowi się pardwy, bo zawsze chadzają po własnych śladach, które nietrudno wytropić.

Na szlakach puszczy wędrowek myśliwy zawiesza z tuzin albo i więcej cienkich jak nitka wnyków, wycofuje się i czeka, aż nadlecą ptaki. Potem wdziera się na nowo w krzaki, powoli, ale hałaśliwie. Kuraki leśne uciekają w przeciwną stronę i po drodze wpadają we wnyki. Myśliwy szybko się zbliża, wyciąga je i wprawną dłonią skręca im kark. Nie należy to do przyjemności, ale w ciągu kilku minut jest już po wszystkim.

Także w normalnych okolicznościach często stosuje się tę metodę w lasach i tundrach. Kto wyrusza na grubego zwierza, bierze ze sobą sztucer. Jeżeli nie uda mu się niczego upolować z podchodu i poczuje głód, to zawsze może zapolować na często spotykane kuraki. Ponieważ kule rozerwałyby je na strzępy, a nie ma przy sobie dubeltówki i naboju ze śrutem, rozwiesza wnyki i napędza ptactwo. Zrozumiałe, że potem wszystkie wnyki należy zdjąć. Nie trzeba tłumaczyć, że polowanie za pomocą wnyków jest zabronione prawie we wszystkich cywilizowanych krajach.

Tam, gdzie lulem wiesz przez zarośla ścieżka dzikiego ptactwa, w zimie leżą pod śniegiem szeroko rozgałęzione przejścia. Pies odnajdzie je bez trudu, a człowiek może usłyszeć głosy ptaków w pobielonym terenie. Wtedy nad przejściami rozwiesza wnyki. Wystarczy uderzyć kijem w krzak, żeby wybiegły wystraszone kuraki.

Pardwy, ciecioriki i inne dzikie kuraki żyją w północnych rejonach Euro-

py, Azji i Ameryki, aż po wybrzeża Oceanu Lodowatego. Przebywają w tundrach, stepach i na bezdrzewnych szczytach. Także i w naszych masywach wysokogórskich tu i ówdzie spotyka się pardwy. Tam, gdzie otoczenie daje znakomite warunki ochronne, te dzikie ptaki z trudem można dostrzec z odległości dwóch, trzech metrów. Są tego świadome i kiedy przechodzi człowiek, przywierają do podłoża. Bardzo często zauważa się je dopiero wtedy, kiedy wyrzuwają spod samych nóg. Trzeba dobrze uważać, gdzie znów zapadną. Przeważnie oddalają się o jakieś pięćdziesiąt do siedemdziesięciu metrów. Gdy człowiek, który nie ma przy sobie broni, zauważy, gdzie zapadną, może to wykorzystać, podchodząc prawie do samej kryjówki. Może zabić ptaka rzutem kamienia, a nawet kijem.

Gołębic i bazynty, a także wietrzewie, guszce i inne leśne ptaki sypiąją często na tych samych drzewach. Łatwo je rozpoznać także w ciągu dnia po zgromadzonych odchodach, które zbierają się pod drzewem. Tam gdzie ptaki nie znają człowieka i jego podstępów, ludzka obecność nadal im nie przeszkadza. Trzeba wyciąć długą tykę, umieścić na końcu pętlę, podkraść się od tyłu do śpiącego ptaka i błyskawicznie rzucić mu pętlę na szyję. Pracowno wysiadujące jaja bardzo mocno trzymają się drzewa i dzięki temu staje się łatwym łupem. Za pomocą tyki można także rzucić gniazdo i zagarnąć jaja, a nawet pisklęta. Chciałbym po raz drugi podkreślić, że także i ten wstępny sposób zdobywania łupu jest jak najsurowiej zabroniony i można się nań zdecydować jedynie w razie skrajnej potrzeby.

Stworzenia zamieszkujące wąskie nory czy też dziuple, można wykurzyć. Często mieszczą one jaja do nieczki. Trzeba mieć szczęście, żeby ofiara wyszła akurat wtedy, gdzie się na nią czeka z pałką. Szanse rosną w miarę, jak się próbuje w różnych norach. Świszki i wiewiórki ziemne można upolować, o ile myśliwemu uda się podejść niepostrzeżenie do wejścia do kryjówki, gdy zwierzęta są na zewnątrz. Prędzej czy później znów się będą chciały ukryć pod ziemią i spotka je śmierć. Wystarczy po prostu, sięgając głęboko ręką, zatkać otwór kamieniem, a zwierzę utknąć jak w pułapce. Gdy pożywienia szukają dwie osoby, jedna pilnuje wejścia do nory, a druga wypłusza zwierzę. Chce ono czym prędzej uciec z nory i sporyka je nieszczyć pod warunkiem, że przy otworze, ku któremu zmierza, stoi myśliwy. Jeżeli zwierzę są bardzo smaczne, a równocześnie wyjątkowo pożywny. W razie niebezpieczeństwa nie uciekają, tylko zwijają się. Można je zabić kijem. Łup zbiera się mając na rękach grube, skórzane rękawice. Jeżeli się ich nie ma, trzeba sobie dopomóc rozwiłdłym kijem. Zdejmowanie kolczastego przodzieńku należy zacząć od rozciągnięcia miękkiego futerka na brzuchu. W podobny sposób zbiera się jeża, który także jest bardzo pożywny i niegdyś był ulubioną potrawą Cyganów.

Gdy wybierzemy się zimą do zerenia bobrów, jego mieszkańcy będą po-

stają w głębokim śnie. Nawet nie zauważą, gdy wiśniemy się od góry do nich sielizby. Wymaga to jednak żmudnej i długotrwałej pracy. Pagórek składa się z mułu, kawałków murawy i grubych jak ramię gałęzi, a cała ta masa jest zamrożona i twarda jak kamień. Trud oplać się jednak, bo je bobry są nadzwyczaj tłuste, a ich mięso zawiera cenne witaminy. Jedzenie bobrowego mięsa leczy między innymi początkowe stadia ślepoty wiatrzuchowej*. Ogon bobra zawiera tyle oleju i sadła, że zapalony gorzej jasnym płomieniem i to przez wiele godzin. Lepszej pochodni, niż zaknięty w kiju ogon bobra, żaden traper w ogóle nie może sobie życzyć.

Do kunsztu łowieckiego ludów pierwotnych należy umiejętność przybić ogona wyglądu zwierzęcia i jego zachowania. Do dziś dnia jest to najlepszy sposób polowania na fokę nawet przy posługiwaniu się bronią palną. Kiedy pierwotnie nie przebywają w wodzie, przeważnie wylegają się na ławicach piaskowych lub na lodzie. Nie mają się więc gdzie schować. Dlatego też po ulubieńcu trzeba się podzłościwać foczym sposobem. Jak żyje, nie widziałem nikogo, kto lepiej umiałby naśladować fokę niż dr Harken z Dorum we Krynii. Przebywał tam już od szeregu lat, nim wyjechaliśmy do Knechtsand, żeby obserwować fokę. Ale obserwacja fok była znacznie mniej interesująca od owej zdumiewającej gry, jaką prowadził z nimi dr Harken. Nosił własny kaptur i przeciwsłoneczne okulary, toteż jego głowa wyglądała z daleka na głowę fokę. Gdy się wyciągnął na piasku, rozłożył ręce i machał przedramionami, wyglądało to tak, jakby się drapała fokę. Leżąc na brzuchu unosił złączone nogi i poruszał nimi tam i z powrotem. Imitowało to ruchy płetwy ogonowej. Co jakiś czas po łoczemu przesuwiał się do przodu. Psom morskim w ogóle to nie przeszkadzało, poczytywały lekarza za równego sobie.

— Nie wolno tylko — mówił mi później — podzłościwać się do nich w linii prostej, to zwraca ich uwagę i wietrzy podstęp. Należy tak postępować, jakby się chciało przejść obok nich, a potem się zmienić zamiar i czołgać w drugą stronę. Powinno to wyglądać na walęsanie się bez określonego celu. Tu wzdudza ich zaufanie i stopniowo można podejść całkiem blisko.

Dr Harken podpełzł do nich tak blisko, że nigdy bym się tego nie spodziewał. W końcu położył się w odległości jakichś dwóch, trzech metrów od jednej z fok, która mrugnęła do niego, jakby chciała powiedzieć, że dzisiaj jest piękna pogoda. Mógłby podskoczyć i zabić pięścią niczego nie spodziewające się zwierzę. Foki mają bowiem tak cienką pokrywą czaszki, że można ją zgruchotać silnym ciosem. Równie śmiertelne bywa uderzenie w pysk. Oczywiście dr Harken nie miał niczego podobnego na myśli.

Jednakże dla wygłodniałego człowieka, który nie ma broni, byłby to zna-

* Poważnie zwana kurza ślepotą lub kuroślepotą (przyp. tłum.)

komity sposób na błyskawiczne zdobycie zapasu i to najlepszej żywności na okres dziesięciu do czterdziestu dni. Mięso fok zawiera wszystkie witaminy i substancje odżywcze potrzebne człowiekowi do życia. Eskimosi całymi miesiącami jadają jedynie foki, co im daje siłę i odporność nawet w czasie najcięższych mrozów. Poważnym z fok uzyskuje się jeszcze tran do lamp, a także bardzo trwałe futro.

Jednak tylko nielicznym udaje się do tego stopnia zmylić foki, żeby móc im zadać śmiertelny cios. Nowicjusze raczej wciskają się pomiędzy foki i otwarte wody, żeby im odciąć odwrót. Na lądzie i lodzie zwierzę nie zdoła uciec przed człowiekiem ani niedźwiedziem. Dlatego też foki starają się wypoczywać tuż nad wodą. Łowca tylko wtedy może zapobiec ucieczce fok do wody, gdy zaraz po wynurzeniu się trafi na ławicę piaskową, a więc w czasie rozpoczynającego się odpływu. Niektóre foki kładą się na piasku, gdy tylko wyłoni się on z odpływających wód. Odpoczywają na nim, podczas gdy woda coraz bardziej się cofa. Tak więc droga ucieczki stopniowo się wydłuża.

Foki drzemią zawsze tylko przez minutę, po czym na jakies piętnaście sekund podnoszą głowy i rozglądają się. Potem znów zapadają w krótki, bo trwający zaledwie minutę, ale bardzo głęboki sen. W tym czasie myśliwy musi się podkraść bliżej. Jeżeli choć trochę zna się na naśladowaniu fok, zamiera w bezruchu, gdy tylko zwierzę podnosi łeb. Jest to znacznie lepsze od jakiegos nieprzekonywanego ruchu. Zwierzę widzi wprawdzie leżącego człowieka, poczytuje go jednak za fokę.

Ciele morskie ceni sąsiedztwo towarzysza, bo wszędzie może się wytulić niebezpieczeństwo w postaci niedźwiedzia czy wręcz człowieka, który najpierw napadnie na sąsiada. W tym czasie druga fokę zdąży uciec. Na tej zasadzie oszukane zwierzę kieruje swoją uwagę raczej w drugą stronę.

Ponieważ wszystkie gatunki fok są ssakami, które się wynurzają, żeby nabrać w płuca powietrza, nawet w czasie najcięższych mrozów muszą mieć otwartą wodę. Same tego pilnują. Nawet w zamrzniętym Oceanie Lodowatym każde ze zwierząt posiada cztery do siedmiu otworów do oddychania, z których korzysta na przemian. Gdy myśliwy je znajdzie, osiąga dużą przewagę. Kładzie się w zasadzce obok otworu, w miarę możliwości ukryty w śniegu, i czeka na wynurzenie się foki. Wtedy musi błyskawicznie zadać cios, który ją zabije, a co najmniej ogłuszy, i równie szybko interweniować, żeby nie utonąła.

W czasie silnych mrozów już po kilku minutach tworzy się nad otworem cienka warstewka lodu, w dodatku przeważnie zawiana śniegiem. W takich okolicznościach myśliwy nie zdoła w porę zauważyć wynurzenia się foki. Sam nie może usunąć z otworu śniegu i lodu, bo zwierzę natychmiast sportrzęgloby nienaturalną zmianę. Dlatego też posługuje się tak zwanym „czujnikiem”, to znaczy środkiem pomocniczym, który we właściwej chwili

odkrywa go o powrocie foki. Czujnikiem jest małe cienkie drewnienko. Może to być drzazga, a nawet ołówek. Przebija się nim cienką warstewką lodu pokrywającą otwór w taki sposób, żeby się zanurzył w wodzie na długość dwóch metrów. Na zewnątrz drewnienko też powinno wystawać mniej więcej na długość kciuka. Od tej chwili myśliwemu nie pozostaje nic do roboty, oprócz obserwowania czujnika. Bowiem fokę zawsze najpierw próbuje, jak gruba jest nowo powstała warstwa lodu, żeby obliczyć siłę ciosu, i wtedy z całą pewnością dotknie czujnika. Myśliwy poznaje po drganiu drewnienka, że zwierzę powróciło. Jego szybki cios nie może chybić celu, bo łeb zwierzęcia trafia się dokładnie pod czujnikiem. Trudniejsze jest natomiast wydobycie zdobyczy, o ile myśliwy nie ma oszczepu ani harpuna, tylko pałkę. Musi najszybciej spróbować wsadzić oświeżone palce w uszy, które są jedynym punktem zaczepienia.

Koro już odważyliśmy się dotrzeć do Oceanu Lodowatego, nie może zabraknąć kilku słów o polowaniu na białe niedźwiedzie. Sam byłem świadkiem, w jaki prosty sposób zwabia się niedźwiedzie polarne z wielkich odległości. Działo się to w pobliżu osiemdziesiątego pierwszego stopnia szerokości geograficznej, w samym środku lata, około sześćdziesięciu mil morskich na północny zachód od Spitsbergenu. Pola lodowe znów się zamknęły pozostawiając nieliczne rynny, a wszystko wokół było pokryte śniegiem i skute lodem. Musieliśmy dryfować i czekać na pomyślny wiatr, który rozprędzi lody. Na „Havelli”, łodzi specjalnie przeznaczony do polowania na białe niedźwiedzie, było nas ośmiu. Pięciu członków załogi i ja wraz z dwoma kolegami.

— Na pewno chciałby pan sfotografować niedźwiedzia z odległości trzech metrów, prawda? — zapytał kapitan.

— Ależ chętnie, o ile uda się go panu przytrzymać!

Peer Hambrø odparł, że nikt nie musi go trzymać, o czym sami się przekonamy.

Kucharz przyniósł na pokład wielkie, pękate blaszane wiadro poczerwiałe od sadzy. Dowódca wrzucił do niego naręczce foczego sadła, zwinnego fablowo hłubber i podpalił je długą drzazgą. Wzniósł się kopcący oleisty dym, który niesamowicie śmierdział. Mój przyjaciel Herbert dostał choroby morskiej, choć nasz stateczek stał w całkowitym bezruchu. Zszedł na dół i położył się w koi.

— Proszę wziąć z niego przykład — doradzał kapitan — jak tylko się pokładzie, zawołamy pana.

Nie się jednak nie pokazało, choć upłynęła biała noc i najbliższy poranek. A potem, tuż przed obiadem Hambrø zawołał przez skajłajt *, żeby przygotować aparat, bo zbliża się olbrzymi niedźwiedź.

* Jest to otwór w pokładzie przybudówki staku; luz oświetleniowy (przepr. tłum.)

Zbliżał się wprost do „Havelli” szybkim, zamasztywym krokiem, węższą wysuniętym czarnym nosem. Delektował się straszliwym smrodem tłącego się tranu, który musieliśmy cierpliwie znosić przez dwadzieścia cztery godziny.

Był większy od każdego z trzech niedźwiedzi, jakie upolowaliśmy w ciągu ostatnich kilku dni. Zatrzymał się o jakieś dwadzieścia metrów od łodzi, umiósł podłużny łeb i wietrzył na wszystkie strony. Prawdopodobnie zwierzył już ludzi, których zapach nie bardzo mu się podobał. Kapitan rzucił zwierzęciu kęs sadła. Niedźwiedź zjadł i dopominał się o dokładkę. Dostał ją i jeszcze bardziej się zbliżył. Po kilku porcjach podszedł aż do samego statku.

Niewiele brakowało, żeby ogromny zwierzę wisił na pokład i zaczął plądrować zapasy „Havelli”. Tak długo karmiliśmy go sadłem, aż połknął wszystko, a potem stał jeszcze przez dwa dni obok statku i zżerał wyrzucane przez nas odpadki. Wreszcie powiał upragniony wiatr i rozpedził lody. Gdy odpływaliśmy, wyglądało na to, że niedźwiedź znacznie nam kiwać na pożegnanie.

W razie konieczności zwabienie niedźwiedzia może oznaczać ratunek. Człowiek, który nie ma broni, może go wtedy zabić za pomocą pułapki urządzonej ze spadających, potężnych bloków lodu. O ile ktoś ma dość siły, a w dodatku dzięć, może nią pchnąć prosto w serce prostującego się olbrzyma. Nie da się tego zrobić pałką, a posłużenie się nożem wydaje się być zbyt ryzykowne.

Niedźwiedzia zwabia także woń tłących się kości, resztek jedzenia oraz ludzi i psów. Czasem zjawia się, rzecz jasna, nawet wtedy, gdy tego nie chcemy.

A teraz dokonajmy skoku z Oceanu Lodowatego w tropik. Nie tylko tu byłcy, lecz także biali traperzy doceniają smak krokodylego mięsa. Najsmaczniejszy jest ogon młodego zwierzęcia.

Kto z braku odpowiedniej broni nie może zastrzelić krokodyla, bierze krótki, mocny kawał drewna i ostrzy go z obu stron. Owija go w kawał mięsa i przywiązuje do długiego stalowego ślicucha. Potem wrzuca okrętą przynętę w wody dotknięte plagą krokodyli. Gdy tylko owinięte mięsem drewno prześlizgnie się przez gardło krokodyla, staje w poprzek i ofiara nie może już uciec. Znacznie lepszy od drewna jest oczywiście stalowy lub żelazny hak, niejako nadwymiarowy haczyk do wędk. Jednemu człowiekowi raczej nie uda się wyciągnąć „łowionego” krokodyla na brzeg, chyba że byłby on wyjątkowo mały. Tuhyłcy stosują ten barbarzyński rodzaj polowania na krokodyle w grupach dziesięcio-, dwumstnosobowych. Podobną metodę jak przy „łowieniu” krokodyli stosuje się, gdy skrajna konieczność smusza nas do zjedzenia sępa albo wręcz hieny.

Przebiega jest tylko odpowiednią przynętą, stosowny haczyk i liną żelazną odpowiednio przytrzymać ofiarę.

Najłatwiej jednak podplynać do puctwa wodnego i łapać je ręcznie.

Wycina się na brzegu niewielki krzak i wkłada się go na głowę. W tym celonym stroiku wchodzi się do wody w miarę możliwości tak ostrożnie, żeby nie zauważyły kaczki. Nie podplyna się do nich w linii prostej, bo wzbudzi to znacznie więcej podejrzeń niż wtedy, gdy krzak bez celu krąci się po powierzchni wody. Do kaczek trzeba się zbliżać stopniowo, aż wreszcie jedna z nich znajdzie się w zasięgu ręki. Mocno chwytą się ją za nogi, raptownie wciąga pod wodę i topi. Pozostałe kaczki przeważnie nie zauważają tragicznego zajścia. Każde z tych stworzeń przywykło do niespodziewanego nurkowania towarzyszy, dzięki czemu w podobny sposób można złowić więcej kaczek. To prawda, że powodzenie opisanej sztuczki muszą poprzedzić wytrwałe ćwiczenia, ale chyba nie warto o tym wspominać.

W wodach tropików, po których zawsze pływa mnóstwo zieleniny i kawałków drewna, myśliwy posługuje się wydrążoną tykwą, w którą wkłada głowę. Z przodu wycina się dwa wzierniki, dzięki czemu można widzieć, ośmiemu nie będąc widzianym.

Ten, kto umie dobrze nurkować, może wyżyć obywając się bez krzaka i długich przygotowań. Żeby ofiary przedwcześnie nie wystraszyć, kaczki zbliży się za nogi możliwie jak najbardziej pionowo od spodu.

Tam, gdzie są wąskie strumienie i ciasne zatoczki o stromych brzegach, swabują się ptaki wodne rozsypując w najwyższych miejscach ziarno, lub ostrośnie naganając ptactwo. Potem zmienacka przyskakuje się z krzykiem. Ptaki ogarnięte panicznym strachem chcą się poderwać, ale brak im miejsca do lotu. Powstaje zamieszanie i zabiedzony myśliwy może je chwycić.

Gdy się ma sieć, rozpina się ją nad ciasnym wąwozem i nagania ptactwo. Równie dobrze można zastosować tę metodę na ziemi, o ile nadaje się do tego teren. Kto ma na to dość czasu, może zagrozić wiodący pośród gęstych zarośli wąski szlak wodny, do którego potem nagania swoje ofiary. Upolowaną dziką gęś należy za pomocą cienkiej podpórki ustawić w ten sposób, żeby wyglądała jak żywa i sprawiała wrażenie pływającej po płytkiej wodzie, co na pewno zmyli inne gęsi.

Żaby najłatwiej jest łapać posługując się silną lampą lub pochodnią. Pochwycone w krąg światła i urzeczony nim siedzą bez ruchu. Wlepiają wzrok w światło trzymane w lewej ręce i nie zauważają prawej ręki łowcy, zbliżającej się do nich od tyłu. Bez gadania można łapać małe śliskie stworzonka lub nadziewać na drzazgi.

Posiłek składający się z piętnastu, dwudziestu żab, zaspokoi największy głód. W razie potrzeby można je połykać nawet na surowo. Są jednak sma-

czniejsze, gdy się je najpierw obedrze ze skóry, wyrzuci głowę i żołądek, a resztę upiecze nad ogniem na gałązkach wierzbowych.

Z pewnością najdziwniejszym sposobem pulowania bez broni jest posługiwanie się dzikimi zwierzętami, które się oszukuje odbierając im łup.

Widzi się na przykład drapieżnego ptaka, siedzącego bez ruchu, lecz nieustannie obserwującego okolice. Jest bardzo prawdopodobne, że lada chwila wzbije się w powietrze, żeby błyskawicznie spaść na zwierzę, którego się samemu nie widzi. Drapieżny ptak porывa i unosi tylko mały łup, większy rozrywa i pożera na miejscu. Trzeba się więc pospieszyć, podążyć w ślad za nim i odebrać drapieżnikowi dopiero co zabite zwierzę. Ten, kogo dręczy głód, nie może być wybredny.

Nawet małe pszczoły mogą pomóc głodnemu człowiekowi do zdobycia wspaniałego posiłku. Każdą pszczołę można zwabić odrobiną cukru, syropu, a nawet nadpsutym lub zgniętym owocem. Czeka się na pierwszą pszczołę. Wkrótce w ślad za nią przyfruną inne, bo pierwsza wiadomości je o odkryciu za pomocą swoistego tańca w ulu. Należy zanurzyć, w którą stronę odlatują, podążać w ślad za nimi i wielokrotnie powtarzać manewr, aż trafimy do gniazda dzikich pszczoł. Znajduje się ono przeważnie w pustym pniu, lub wręcz w zagłębieniu, nie dalej niż kilkaset metrów od punktu wyjścia. Wykurza się rój z zakamarków kryjówek i zagarnia plastry pełne miodu. Przyzwyczajenie nakazuje jednak, żeby trochę pozostawić. W przeciwnym razie cały rój mógłby zginąć z głodu w czasie najbliższej zimy.

Przypadek też może zdarzyć, że zdarzy się okazja odebrania łupu lisowi lub szakalowi. Tego rodzaju zamysł względem lwa, lumparta czy wręcz tygrysa byłby bardzo ryzykownym przedsięwzięciem. Gury zabity duże zwierzę, którego od razu nie mogą pożreć, zostawiają sobie resztę na później. Można więc bez przeszkód zabrać świeże ścierwo, warto jednak wiedzieć, że prawowity właściciel wróci wcześniej czy później. Przeważnie w ogóle nie odchodzi zbyt daleko, tylko przebywa w pobliżu i drzemiacz traw. Dlatego obok rozszarpanej zdobyczy trzeba rozpaść tęgi ogień.

W związku z tym pewien stary traper, Harry Wächtler, opowiadał osobliwą historię, która zdarzyła się, jak słyszał, nad rzeką Athabasca.

Pewien człowiek postradał w płonącej chacie cały ekwipunek, miał tylko on, co na sobie i w kieszeniach. Właśnie zaczął budować palupkę, gdy ujrzał w dolinie niedźwiedzia, który dopiero co rozszarpał łusę, prawie dorosłe cielę łosia. Głodny człowiek czekał cierpliwie, aż niedźwiedź nażarł się do syta i odszedł uciąć drzemkę i trawic pokarm. Wtedy czym prędzej podszedł do rozszarpanej ofiary, rozpał ogień i upiekł kilka soczystych steków. Gdy nad wieczorem niedźwiedź wrócił do swej zdobyczy, siedział przy niej nieproszonego gościa. Niedźwiedź nie śmiał podejść do płonącego ogniska.

Harold się jednak na szerokim zadzie w odległości niespełna siedmiu kilometrów od Harrego Wächtlera i przyglądał się z dezaprobatą temu, co człowiek robi z jego zdobyczą. Stopniowo opadały traperowi wyrzuty sumienia. I, jak się to przytrafia starym traperom, którzy za długo żyją samotnie, zaczął przemawiać do niedźwiedzia tłumacząc się i wyjaśniając przyczyny rabunku swego, a także obiecując, że to się już nie powtórzy.

Na wiele zwierząt intonacja ludzkiego głosu nie działa alarmująco, wręcz przeciwnie, przyjacielska pogawranka uspokaja je. Tak było i tym razem, niedźwiedź stopniowo się zbliżał i nie oponował, gdy Harry rzucił mu kilka dobrze wysmażonych steków. Jak później opowiadał o tym Harry, wieczór zakończył się w przyjaznej atmosferze.

Jeżeli to prawda, była to niezwykle historia. Bowiem dzikie zwierzę nigdy nie zbliża się do ognia. Iskry i dym budzą w dzikiej zwierzynie okrutny lęk, bo kojarzą się z pożarem lasu. W bezludnych okolicach, gdzie dzika zwierzyna nie zna dymu z chat i wiosek, zawsze będzie uciekać, gdy tylko pozna jego technię.

Pożar lasu i stepu może pomóc głodnemu człowiekowi w zaspokojeniu głodu. Znajduje resztki spalonych zwierząt. Zwęglone z wierzchu, w środku są jeszcze jadalne, a może nawet dobrze wypieczone. Poza tym spalona łąka jest pełna pieczonych owadów, które są bardzo pożywne.

Można mieć także i ryby

Kto ma szczęście, nie musi narzekać na pecha. Może się on przytrafić akurat w czasie polowania i przytrafił się właśnie nam. Zastrzeliliśmy wielkiego losia, ale runął prosto do rzeki. W lodowatej wodzie można było ustać zaledwie przez kilka minut. Musieliśmy jednak do niej wchodzić, nie było rady. Bez wielokrąpka nikomu nie udało się wyciągnąć z rwącej wody na wysoki brzeg martwego zwierzęcia, ważącego około czterystu kilogramów. Nie mogliśmy przesunąć losia ani o metr i to nawet za pomocą solidnych drągów. Paliliśmy na brzegu ciągły ogień, żeby się na zmianę ogrzewać. Pracując aż do zmroku, udało się nam zaledwie wypatroszyć ścierwo i oddzielić wieniec z łopatami. Pozostała praca, na pewno tę najcięższą, musieliśmy odłożyć do następnego dnia.

Gdy wróciliśmy, otwarta jama brzuszna stała się już terenem działalności ryb. Szarpały i skubały resztki wnętrzności, dobrały się do mięsa i były tak łapczywe, że nawzajem się odpychały nie zwracając na nas uwagi. Brało w tym udział sześć lub siedem greylingów będących północną odmianą pstrąga strumieniowego, bardzo lubianą przez traperów ze względu na znakomity smak.

— Popatrz no — powiedział Dick — więc mamy znakomitą pułapkę na ryby i nie o tym nie wiedzieliśmy!

Dick wsunął od dołu rękę, żeby błyskawicznie złapać jedną z ryb. Wprawdzie pierwsza wysliznęła mu się, lecz już po chwili przyjaciel wyrzucił na brzeg drugą. Pozostałe nie zwróciły na to uwagi. Na pozór łapanie ich nie wydawało się zbyt trudne. Trzeba się tylko było nauczyć właściwego chwytu, to znaczy powoli zbliżyć rękę, a potem błyskawicznie zacisnąć, żeby zdobyć znów się nie wysliznęła spomiędzy palców.

— Niewielka sztuka — mówił Dick — skoro są tak zajęte wyzerką, jak te tutaj!

Wkrótce zbieraliśmy sześć pstrągów, pięć złapał Dick, a ja tylko jednego. Przypłynęły inne i na nowo wypełniły życiodajną jamę.

Dick wpadł na lepszy pomysł i przyniósł płachtę namiotową. Zanurzyliśmy ją w wodzie i prąd sam ją wpełchnął do jamy. Teraz nie mogła nam już uciec ani jedna ryba. Wtoczyliśmy płachtę głębiej, pozaginaliśmy ją i wydobyliśmy całą ławicę. Niewielkim wysiłkiem i za pomocą najprostszych środków udało nam się dość duży połów.

Wędkarzom i amatorom rybołówstwa nie trzeba mówić, jak się wyciąga zdobycz z wody. W tym wypadku nie idzie jednak o szczególną umiętność rybołówstwa sportowego, lecz o głodnych traperów, którzy zdobyli rybę podstępem, ale bez zhejnej fatygi i właściwego kwipunku. Na wodach znajdujących się w dzikich, bezludnych okolicach, gdzie bywa o wiele więcej i to przeważnie o wiele większych ryb niż kiedykolwiek odważylibyśmy się o tym marzyć w naszych stronach, które są w porównaniu z nimi niemal bezybiem, nawet nowicjuszowi może się czasem udać zdumiewająco obfity połów.

Co prawda ryba żyje w wodzie, nie żyje jednak samą wodą. Musi w niej znaleźć dostatecznie dużo pokarmu. Nikt więc nie powinien się dziwić, jeżeli w kryształowo czystym jeziorze o zwirowym podłożu nie złowi ani jednej ryby.

W jeziorach zarosniętych trzcina, w zielonych strumieniach wśród dolin, w rzekach bagnistych tundr i w leśnych potokach wędka i sieć nie pozostają długo próżne. Najlepsze łowiska mieszczą się pod wodospadami i na końcach katarakt. Są także położone u wypływów jezior, u ujścia dopływów i w rozgałęzieniach prądów. Oplaca się łowić także poniżej podwodnych skał i małych wysepek, jak również w pobliżu leżących w wodzie, powalonych pni.

Kto nie widział ławicy łososi, które nadpływają jesienią z otwartego morza przedzierając się aż na tarłiska leżące w górnym biegu rzek i w górskich stawach, nie uwierzy, że w ogóle może istnieć taka ilość ryb. Ruch w strumieniach i rzekach sprawia wrażenie, że wszystkie łososie wiodą ze sobą wojnę. Jednak ich zacięta walka roczy się tylko i wyłącznie w czasie przepływu. W wąskich miejscach ryby wzajemnie wypierają się nad powierzchnię wody. W płytszych rzekach słabsze ryby zostają wyparte przez silniejsze na ławice piaskowe i giną marnie. Na wszystkie martwe i półżywe spadają stada mew. Brunatne i czarne niedźwiedzie stoją wśród odmętów i zręcznymi ciosami łap wyrzucają trzepocące się łososie, żeby ze smakiem pożreć je na brzegu.

Ten wielki świsł trwa od siedmiu do dziesięciu dni, ale straż przednia wyrusza w drogę już o dwa tygodnie wcześniej, a maruderzy nadciągają dopóki wody nie skuje lód. Tak więc wędrowka łososi trwa ogółem przez sześć do siedmiu tygodni, a czasem nawet i dłużej. Kto w tym czasie zanurzy w wodzie sznur od wędki lub sieć, może w ciągu dnia zrobić zapasy na cały rok. Plemiona Indian, które żyją lub kiedyś żyły nad wielkimi rzekami Ame-

ryki Północnej, odkryły metodę oszczędzającą im nawet trud wybierania ryb z wody. Tak zwana rybna karuzela składa się z prymitywnej tratwy z umieszczonym na niej kołem czerpakowym. Łopaty są splecione z gałązek wikliny, które zwisają jak otwarta, niezbyt głęboka kieszeń. Koło jest do połowy zanurzone w wodzie i obraca je nurt rzeki. Z każdym obrotem wyciąga ono parę tuzinów lososi z ich żywiołu i wrzuca do stojącego na tratwie wielkiego kosza. I tylko od czasu do czasu rybacy muszą wynosić kosz na ląd, żeby go opróżnić ze zdobyczy. Na brzegu trzaska już ogień do wędzenia, a wszystkie kobiety zajęte są krajanem, patroszeniem i wieszaniem lososi na drewnianym ruszcie. Wystarczy ich na zmieść dla całej wioski, a i liczne psy aż do wiosny będą karmione węzłami lososiami. Gdy jest już na tyle zimno, że zdobycz może zamarznąć, nawet węzłami przestaje być potrzebna. Co najmniej psom pociągowym wystarczy twarde, zamrożone ryby.

Ten nader wygodny rodzaj połowu ma jednak tę wadę, że nie wolno go stosować białym. Tylko pierwotnym włodarzom kraju, mieszkającym w rzadko zaludnionych okolicach pozwala się, żeby obyczajem ojców uprawiali tego rodzaju gospodarkę rabunkową.

Jednakże były, gdy dotyczy to żywności na własny użytek, może zastosować inną metodę, rokującą obfitą zdobycz. Niezależnie od tego czy jest tarło, czy też go nie ma, ma prawo zbudować sobie pułapkę na ryby. Do tego celu potrzebne są płytkie wody. Najpierw należy się przez jakiś czas przyglądać rybnom, żeby ustalić, w którą stronę najczęściej płyną i jakie są ich zwyczaje. Potem przynosi się mnóstwo gałęzi, zaostrza się je z grubszej strony i wbija tuż przy sobie w dno rzeki, tak żeby ryba ledwie mogła się przez nie przecisnąć. Dwie palisady ustawia się pod takim kątem, żeby tworzyły wielkie „V”. U szczytowego wierzchołka pozostawia się wąski otwór, nie wiedzie on jednak ku wolności, tylko do zagrody, z której nie ma ucieczki. Zamiast wbijać paliki tuż przy sobie można zachować odstępy, a przestrzeń pomiędzy palikami zagrodzić wiklinową plecionką. Niezależnie od tego, jak się ustawi przegrodę, prawie wszystkie ryby, które do niej wpłyną, prześlizgną się przez umieszczony u wierzchołka „V” otwór do właściwej pułapki. Gdy rybak wejdzie do wody o jakieś sto metrów w górę rzeki od pułapki i brodzi głośno płuskając, mugania znajdując się tam ryby. Gdy zamuli się przy tym woda, to tym lepiej.

Jeśli potok jest tak wąski, że można go przegrodzić od brzegu do brzegu, osiągnie się jeszcze lepszy wynik. Zamiast „V” wystarczy poprzeczna przegroda, w której, rzecz jasna, pozostawia się otwór. Każda ryba będzie chciała z niego skorzystać i wpłynie na własną zgubę do umieszczonej za nim zamkniętej pułapki.

Jeżeli w pobliżu nie ma tyle drewna, żeby dało się z niego zbudować przegrodę i pułapkę, można użyć otoczków i zbudować z nich kamienny

murtek. Kamienie będą potrzebne także i do tego, żeby umocnić paliki, o ile podobnie okaże się za twarde, by można je było wbić.

Wszystkie mięsożerne ryby (większość ryb żyje między innymi także i mięso) na pewno dadzą się zwabić w pułapkę, o ile umieści się w niej odpowiednią przynętę. Nadają się na nią skrawki mięsa, wnętrzności i wszystkie martwe zwierzęta. Jeżeli w okolicy są raki, czy wręcz homary, nie będą one oszczędzić trudu, żeby się dobrać do pokarmu.

Pułapka ma tę dobrą stronę, że całymi dniami, ba, nawet tygodniami można w niej przechowywać zdobycz. Nurt rzeki dostarczy więźniom wystarczająco dużo pożywienia, żeby mogli żyć zdrowo. Co prawda sam tego nie widziałem, ale słyszałem i czytałem, że osadnicy żyjący nad morzem zawieszają nad pułapkami lampę. Owady lecą do światła, spala je płomień, spadają do uwieczonych ryb i zostają przez nie pożarte.

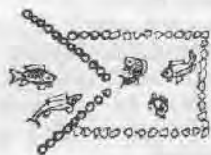
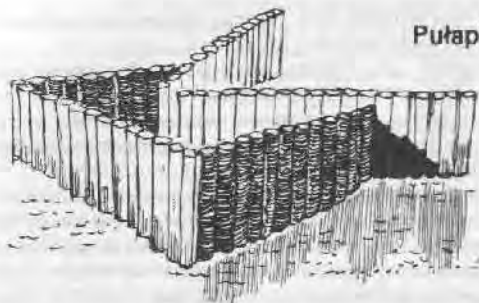
Kto umie się należyć obchodzić z giętką wikliną, w ciągu pół dnia może sobie upłesć wiewiórkę. Szeroki lejkowaty wlot służy jako doprowadzalnik, wylot wiedzie do zgarniacza. Tuzin cienkich gałązek wikliny sięga w głąb wody, lekko rozchyłając się przy wpływanym i zagrażając drogę przy próbie wypłynięcia. Gdy w wiewiórce przynęta jest mięso, zjawiają się i raki, a nad morzem nawet homary i langusty, o ile ma się szczęście.

Do łapania homarów i innych raków morskich, spośród których tak zwane kraby królewskie mają wręcz gigantyczne rozmiary, służą specjalne, wielkie druczane kosze, które przywiązując się linicuchem do boi i opuszczając na morskie płycizny. Można je zastąpić koszami z wikliny, a nawet starymi skrzynkami, które się obciąża kamieniami. Musi w nich być przynęta z mięsa lub ryb, a otwór o takiej średnicy, żeby ofiara mogła wejść do środka. Podobnie jak w wiewiórce kosz musi mieć lejkowaty wlot, który rozchylił się jedynie do wewnątrz.

Pułapki na ryby z gatunku tych, których się używa w rzekach i jeziorach, można zakładać i w zatokach, ale dobrze osłoniętych, do których nie dociera przybój ani silne fale. Doprowadzalnik, tak zwany transporter, wciąga się w wodę pod kątem prostym do linii brzegu, pod warunkiem, że brzeg jest płaski. Samą pułapkę ustawia się mniej więcej w środku zatoczki, bliżej tej strony, po której na podstawie obserwacji można się spodziewać więcej zdobyczy. Przy dużych różnicach pomiędzy przyływem i odpływem pułapki tylko od czasu do czasu będzie spełniać swoje zadanie na morzu. Raz bowiem będzie stała w suchym miejscu, innym razem znajdzie się pod wodą. W czasie przyływu ryby morskie mają zwyczaj podpływania do lądu, by szukać pożywienia płynąc wzdłuż brzegu. Pułapkę trzeba więc zahaczyć na tyle sprytnie, żeby w czasie przyływu transporter wystawał z wody.

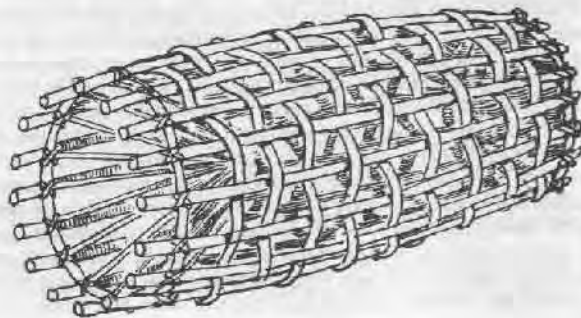
Gdzie rzeki i strumienie wpadają do płytkich mórz, przeważnie znajduje

Pułapka na ryby



Wetknąć w dno strumienia gałęzie lub niskie pnie, tworząc literę V. Szpary zasłonić plecionką z wikliny. Pozostawić tylko jedno przejście

Kosz-pułapka z gałązek wikliny, z otworem w kształcie lejka



Więcierz

Oścień z rozwidłonego drzewka. Ponocłać zadziory. Końce rozwidlenie zaostrzyć i zahartować w ogniu (opalić)



Waż znacznie więcej ryb niż w jakimkolwiek innym miejscu, ponieważ mogą tam znaleźć sporo pożywienia naniesionego przez wody śródlądowe. Toteż i dla rybaka jest to miejsce nadające się do ustawiania tak zwanych pułapek nadmorskich. W czasie kulminacji odpływu wznosi on wokół zagłębień półkoliste wały. Półkoło musi się zwracać łukiem na zewnątrz, to znaczy ku morzu. Materiałem budowlanym może być piasek, muł lub kamienie, a konstrukcję można dodatkowo wzmocnić gałęziami i kępami trawy. Woda spływając z łądu w ten półkieszyce nie niszczy go, jako że siła przepływu jest już w tym miejscu znikoma. Razem z falami przyprływu powracają ryby morskie, żeby znaleźć naniesione przez rzeki pożywienie. Wał jest w tym czasie zatopiony i przepływają nad nim. Przyzwyczajone powracają dopiero wraz z odpływem ryby tak długo pozostają na miejscu, aż łuk wału znów się wynurzy z wody i odetnie im drogę powrotną. W końcu trzepocą się bezradnie na piasku lub można je łapać ręką.

Gdy człowiek, który nie ma sieci ani wędk, znajdzie się nagle nad wodami obfitującymi w ryby, a nie chce nadaremnie tracić czasu na przygotowanie, może sobie wyciąć oścień. Wybrać do tego celu możliwie jak najdłuższą, lecz niezbyt ciężką, u szczytu rozwidloną gałąź. Oścień musi więc mieć dwa groty, wyglądające jak rozcapierzone palce. Należy je zaostrzyć nożem, można też zahartować w ogniu.

Dwuzębny nie utrzymuje się w równowadze nad powierzchnią wody, tylko trzeba go zanurzyć, nawet gdy w polu widzenia nie ma zdobyczy. Nikt

Celując trzymać broń poniżej zdobyczy, gdyż woda zniekształca perspektywę



nie może aż tak dokładnie obliczyć kąta załamania światła w wodzie, żeby pchnięty oścień trafił w cel. Dlatego też rzucanie ościeniem w ryby nie ma sensu. Dopiero w wodzie ostrza wskazują właściwy kąt.

Gdy nadpłytnie ryba, należy bardzo ostrożnie zbliżyć do niej dwuzębny oszczep i błyskawicznym ciosem dowlownie przybić ją do dna. Jeżeli się to nie uda, trzeba spróbować możliwie jednostajnym ruchem poderwać przebitą rybę i wyrzucić z wody. Powinno się to robić zręcznie, bo ryba łatwo się ześlizguje. Dlatego też na obu ostrzach warto zrobić zadziory, a co najmniej ponacinać wręby. Nadają się do tego jedynie silne ościenie, a więc przeznaczone wyłącznie do połowu dużych ryb.

Ten, kto stanie okrakiem w przesmyku, przez który przepływają ryby, może zadawać ciosy prostopadle z góry. W tym wypadku lepiej trzymać rozwidlone ostrza nad wodą, gdyż załamanie światła w wodzie przestaje odgrywać jakąkolwiek rolę, a szybciej można skierować oścień ku właściwemu celowi.

Sznur do wędki można skręcić z wełnianych nici ze skarpet lub swetra. W ostateczności wystarczy rzemień albo rozgotowane i posplatane włókna roślinne z drzew iglastych. W tropikach można użyć liany. Tam, gdzie nigdy lub bardzo rzadko łowiono ryby, gruba na palec liana nie wzbudzi szczególniejszych sensacji. Amatorskie wędziśko może zostać zastąpione każdym starannie obrobionym konarem lub gałęzią.

Najprostszym haczykiem do wędki jest otwarta agrafka. Ma już gotowe uszko, do którego można przywiązać sznur, a jej błyski będą zwabiać ryby. W potoku, w górach Nabesna, Bert Halakluyt posługując się wyłącznie przywiązaną do sznura agrafką, w ciągu pół godziny złowił siedem pstrągów.

Równie praktycznym haczykiem na duże ryby jest półotwarty scyzoryk. Żeby się sam nie zatrząsnął ani nie otworzył, pomiędzy ostrze i osłone wci-

śła się kawałek drewnianka i mocno się je przywiązuje do dolnej połowy.

Poza tym haczyk można sobie sporządzić z każdej odpowiednio dobranej gałązki. Kawałek wybranej gałęzi zaostrza się i już mamy haczyk. Do połowu małych ryb wystarczy cierni na cienkiej gałązce lub ości.

Warto też zajrzeć do żołądka schwytanej ryby, jakie owady względnie roślinki jadają najchętniej. Trzeba się o nie postarać i użyć ich jako przynęty. Gdy się ich nie znajdzie, należy zrobić zręczną imitację z suchych źdźbeł trawy lub z płatków kwiatu. Dobrą przynętą jest także rybia ikra, zwłaszcza z koosia.

Blyszcząca łyżeczka bądź też przewiercona srebrna lub niklowa moneta mogą zastąpić blyszczkę. Przynętą może być także imitacja rybki zrobiona z białej kości lub z kości słoniowej. Rybka nie powinna być dłuższa od palca. Pod spodem wiesz się haczyk, a nawet zakrzywiony gwóźdź. Podrywa się go, gdy tylko lup znajdzie się obok sztucznej rybki. Zakładamy, że wędkuje się w czystych wodach i można śledzić przebieg zdarzenia.

Wędkarz hynajmniej nie musi być stale na miejscu. Rybkę można przywiązać do zwieszającej się nad wodą gałęzi i zostawić na noc, a samemu pójść spać.

Gdy nad wodą nie ma gałęzi, można powiesić linkę na kiju wbitym ukośnie w ziemię lub zaklinowanym pomiędzy kamieniami. Proszę pamiętać: prawie we wszystkich krajach zabrania się pozostawiania wędki bez dozoru. Można to czynić wyłącznie w razie konieczności.

W miarę potrzeby każdy jako tako zręczny człowiek może sobie sam sporządzić prymitywny sprzęt wędkarski. Choć na dobrą sprawę nikt nie powinien się znaleźć w podobnie przymusowej sytuacji, bo linka i kilka różnych haczyków prawie nie ważą, a w dodatku zajmują w plecaku bardzo mało miejsca. Dlatego, gdy ktoś wyrusza w dzikie okolice, te drobiazgi zawsze powinien mieć w ekwipunku, podobnie zresztą jak kartę rybacką, żeby móc działać zgodnie z prawem.

Jest ona niedroga, o ile łowi się na własny użytek. W gęsto zaludnionych okolicach prawo połowu jest we wszystkich okolicznych wodach zarezerwowane dla określonych osób lub stowarzyszeń, które w zamian za to wnoszą większe opłaty. Jednakże poza obrebem ucywilizowanych okolic posiadacz karty rybackiej może łowić w dowolnym miejscu. Musi tylko przestrzegać zwyczajowo określonego czasu ochronnego i innych przepisów. Gdy jednak do połowu zmusza kogoś dojmujący głód, wykroczenia są wybaczalne.

Człowiek, który postanawia zabrać ze sobą sieć fabrycznej produkcji, powinien się przedtem zastanowić nad jej rozmiarem i najbardziej odpowiednią wielkością oczek. Gdy sieć będzie za gęsta i za lekka, porwą ją duże ryby, gdy oczka będą za szerokie, wymkną się z niej małe. Trzeba się więc

zdecydować na wielkość oczek, która pozwoli złapać te ryby, jakich w danej okolicy jest najwięcej, a przy tym są pożywne i smaczne. Długość sieci zależy od środka transportu. Należy uwzględnić jej ciężar i czas, jakiego będzie wymagała pielęgnacja sieci. Po użyciu musi być starannie wysuszona, przedtem nie wolno jej zwinąć ani zapakować do plecaka. Może stanowić poważną przeszkodę w chwili, gdy z jakichkolwiek powodów jest się zmuszonym do rychłego wyruszenia w drogę. Po wielokrotnym zapakowaniu mokrej sieci, prędko stanie się lamiwa, a w końcu całkiem się rozleci. Dlatego też zabieranie ze sobą sieci można polecić jedynie wtedy, kiedy jej właściciel zamierza zatrzymać się na dłuższy czas w jednym miejscu. W przeciwnym razie jej ciężar i związane z nią kłopoty będą nieproporcjonalnie większe od korzyści. Jest natomiast niezbędna dla właściciela chaty, którego łowisko znajduje się tuż przed drzwiami, a także nadaje się do stałego obozowiska w okolicach obfitujących w ryby.

Małe sieci o powierzchni metra kwadratowego (nawet związane hamaki!) też mogą się przydać, gdy się je rozepnie na dwóch kijach i brodzi się z nimi w płytkiej rzeczce. Idąc z prądem po błotnistym podłożu, osłepimy ryby wstępującym z dna mulem. Nic widząc sieci, zaplącza się w nią.

Ryba, która nie może przejść przez oczko, usiłuje się wyczołgać. Zawisu jednak na wystających z boków skrzelach jak na haczykach. W innych rodzajach sieci, przede wszystkim we włókach, ofiara nie więźnie w oczkach, tylko wpada do środka sieci i razem z nią zostaje wydobyta z wody. Są to jednak sieci, które dla trapera praktycznie nie wchodzi w rachubę.

Kto dysponuje łodzią lub tratwą, zamocowuje koniec sieci na brzegu i odpływa, na ile mu pozwoli jej długość. Chcąc wracać, zawieszają się drugi jej koniec na kiju mocno wbitym w dno. Na głębokiej wodzie punktem zaczepienia musi być pływający przedmiot, zakotwiczony za pomocą przywiązanego do liny kamienia. Ponadto długa i ciężka sieć musi wisieć na pływakach, to znaczy na nadmuchianych pęcherzach, dużych korkach albo po prostu na jakimś drągu. Tam gdzie jest bysty nurt, trzeba ją u dołu obciążyć kamieniami. W przeciwnym razie prąd za bardzo unosiłby ją do góry.

Gdy jeden koniec sieci przywiąże się do brzegu, a drugim zatacza się półkole, można przeczesać z prądem i pod prąd cały dostępny obszar wody.

Rybak, który nie ma wodnego środka transportu, radzi sobie w inny sposób: przywiązuje górną krawędź sieci do długiej tyki, a nawet łączy ze sobą kilka tyczek i spycha je z brzegu do jeziora. Dzięki temu sieć jest równocześnie trzymana i dźwigana przez tyki. Żeby nie zmógł jej nurt, do końca skrajnej tyczki przywiązuje się linę i skośnie pod prąd zamocowuje ją na brzegu.

Przed kilku laty widziałem na Spitsbergiem, w jaki sposób można same-

mi zawiesić sieć pod lodem. Pokazał mi go Hilmar Neis, ostatni z dwustu szwedzkich myśliwych na jednej z wysp Oceanu Lodowatego. Wziął ze sobą sieć i długą drewnianą żerdź, znalazł odpowiednie miejsce i w lśniącym powierzchni lodu w odstępach sześciometrowych wybił zardzewiałym czekanem trzy otwory. Następnie wsunął żerdź w pierwszy otwór, przywiązał do niej długą linę, a drugi koniec liny przymocował do czekanu. Żerdź nie stawiała na sztorc, tylko pływała w wodzie tuż pod lodem. Hilmar schylił się, wotknął gołą rękę w wodę i manewrował żerdzią, kierując ją w stronę drugiego otworu, potem szybko do niego podszedł, przyciągnął żerdź i pechnął dalej, aż jej koniec ukazał się w trzecim otworze. Wyciągnął ją z niego i położył na lodzie.

Linka przymocowana jednym końcem do żerdzi, a drugim do czekanu znajdowała się teraz pod lodem pomiędzy pierwszym a trzecim otworem. Hilmar wrócił, odwiązał linkę od czekanu i przywiązał do sieci, a do czekanu przymocował koniec sieci. Następnie zwinął sieć wpełchnął pod lód przez pierwszy otwór, udał się do trzeciego otworu i z muzolem zaczął wyciągać wspinając linkę. Sieć rozwijała się, aż dotarła do trzeciego otworu. Hilmar włożył w poprzek otworu pozostawioną tam żerdź i przywiązał do niej koniec sieci. Teraz, obciążona otwieranymi ciężarkami, wisiała pionowo w mroźnej wodzie. Hilmar sięgnął jeszcze do drugiego otworu, wyciągnął górną część sieci i przetknął przez nią kolek, żeby nie obwisła w środku.

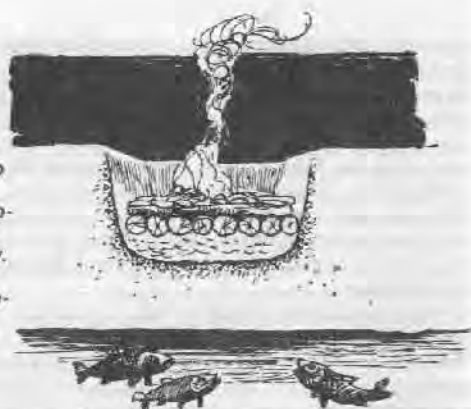
Następnego dnia we wszystkich trzech otworach na nowo porąbał lód, a drugi otwór nawet trochę powiększył. Potem usunął podpory, to znaczy czekan i żerdź, i wyciągnął sieć przez środkowy otwór. W oczkach uwięzło około dwudziestu ryb, przeważnie tak pożądanym zimą lososi.

— Co prawda mogłoby być lepiej — pomrukiwał stary — ale kiedy drugi tylko się gapi, zamiast pomagać, i tak któryś z nas może być zadowolony.

Wotknął skostniałe ręce w dwa rozporoki w ubraniu, przyłożył do gołego ciała i wyjaśnił, że to najlepszy sposób, żeby je prędko rozgrzać. Widocznie rozporoki znajdowały się we wszystkich częściach ubrania. Hilmar sam je zrobił w futrzanej kurtce, swetrze i w obu wełnianych koszulkach, naszył jednak klapy, żeby nie przedostawał się przez nie śnieg ani podmuchy zimnego wiatru.

Po drugiej stronie Oceanu Lodowatego u Oroksów na Sachalinie oglądałem raz przed wojną łowienie ryb pod lodem. Uczestniczyła w nim cała ludność wioski, mężczyźni i kobiety, starcy i dziesięcioletnie, a nawet młodsze dzieci. Każdy z grubo oparonych wędkarzy siedział nad własnym otworem, ale większym od głębokiego talerza, trzymając w ręku linkę, a na niej haczyk i przynętę. O ile dobrze pamiętam, przynętą były małe rybki. Nad każdą rybą wisiał kawałek blachy cynkowej. Krótkimi, prędkimi szarpnięciami poruszali linką tam i z powrotem. Drgały im tylko ramiona, reszta ciała

*Aby łowić ryby
trzeba uprzednio
wypalić otwór
w pokrywie lodo-
wej za pomocą
ogniowej tratwy.
Równocześnie
błask ognia zwa-
bia ryby*



pozostawała w całkowitym bezruchu. Jak tylko ryba chwytala, a działo się to mniej więcej co dziesięć minut, rybak zrywał się i błyskawicznie ją wyciągał. Nie była wśród nich ani jednego, który nie przechwalaliby się, że jest wybitnym specjalistą od połowów.

Wszędzie na obfitującej w ryby północy, po okresie tęgich mrozów można trafić na tak grubą lod, że trzeba by przez kilka godzin ciężko pracować, żeby go przebić. Wtedy nie wybija się dziury w lodzie, tylko się ją wypala. Stosuje się pewien sposób, który jak wiele genialnych wynalazków jest dosyć prosty.

Najpierw z mocnych, świeżych i w miarę możności „soczystych” okrągłaków buduje się małą tratwęk o bokach pięćdziesięciocentymetrowych. Spaja się ją za pomocą nacięć porobionych w dolnej warstwie u góry i w górnej u dołu. Tę mini-tratwę kładzie się na lodzie, tam gdzie ma powstać otwór. Następnie na tratwę rozpala się ogień.

Od żaru lód pod tratwą zaczyna topnieć. Wkrótce powstaje zagłębienie wypełnione wodą, po której pływa. Choć tratwka dźwiga ogień, sama się nie pali, bo przez cały czas od dołu nasiąka wodą. Czerpakiem, a w razie potrzeby i gołymi rękami wyczerpuje się z zagłębienia nadmiar wody, tratwka musi jednak pływać. Nie marzną przy tym ręce, bo roztopiona woda jest ciepła. Niebawem w niecce powstaje otwór, który się z każdą chwilą powiększa, bo teraz ogień ogrzewa i ściany. Ta metoda pozwala na przedziurawienie metrowej warstwy lodu w niespełną godzinę.

Im grubszy lód, tym bardziej otwór nadaje się do łowienia ryb, bo pod lodem jest prawie ciemno. Wskutek tego wpadające przez otwór światło dzienne wydaje się jaśniejsze i z daleka zwabia ryby.

Połowy przy sztucznym świetle są dozwolone tylko w szczególnych okolicznościach. Gdy komuś z braku żywności grozi głodowa śmierć, można mu je wyluczyć.

Dobrym miejscem na ognisko byłby wystający z mrocznych wód płaski głaz. Można też zbudować tratwę i rozpalić na niej pływające ognisko. A gdy w dodatku z tratwy będzie się zwisała do wody sieć, nie pozostanie długo bez zdobyczy. Najbardziej, rzecz jasna, nadawałby się zwisający nad wodą duży drucziany kosz, zawieszony przed łodzią na długiej żerdzi. Zebrałyby się pod nim wszystkie okoliczne ryby.

Ostatecznie można łowić ryby i gołymi rękami. W małych strumieniach pstrągi lubią przebywać pod przybrzeżnymi skarpami. Gdy rybu stoi w wodzie, ostrożnie wsuwa się rękę i sięga się coraz głębiej. Pstrąg wprowadzić się cofa, ale wskutek tego tak się zbliża do brzegu, że szybkim ruchem można go doń przycisnąć. Kciukiem i palcem wskazującym chwytamy go za łeb, żeby nie mógł się wysliznąć. Małe rybki często wpływają do zgiętej dionki. Bądź to z ciekawości, bądź też do zbadania wnętrza pcha je instynkt.

Ryby są bardzo pożywcze. Ten, kto od czasu do czasu jada ryby, nigdy nie zachoruje na szkorbut. Wątroba ryb obfituje w witaminy, zwłaszcza wątroba wędusza (dorsza) zawiera bardzo dużo witaminy A. Można jadać nawet rekiny. Trzeba tylko pociąć mięso na drobne kawałki i co najmniej przez dwie godziny moczyć w słonej wodzie. Poza tym rekiny z wód arktycznych trzeba długo gotować, żeby nie zaszkodziły. Gorąco poleca się dokonania próby złowienia jesiotra. O ile się powiedzie, za jednym zamachem zdobywa się od stu do dwustu funtów najsmaczniejszej z ryb, przy czym samica ma dodatkowo w brzuchu do dwóch wiader cennej ikry. Jest nią prawdziwy kawior.

Bardzo prostym sposobem na zdobycie obfitej zdobyczy jest niewątpliwie połów z zastosowaniem trucizny. W normalnych okolicznościach jest on, rzecz jasna, surowo wzbroniony. Dotyczy to trucizn roślinnych, które odpowiednio dawkowane przeważnie działają usypiająco na zwierzęta zimnokrwiste. Ich mięso pozostaje jadalne i w ogóle nie zmienia smaku. Potrzebne do tego celu rośliny rosną jednak nie wszędzie.

Są nimi, między innymi, na północy bulwiaste korzenie Chlorogallum pomdeidanum, a także Croton setigerus i nasiona Aesculus pavia. W tropikalnych krajach Ameryki Południowej tubylcy używają kurary. Przejęła ją współczesna medycyna, została w naukowy sposób udoskonalona i służy na całym świecie do znieczulania w czasie operacji. Wszędzie na wybrzeżach Pacyfiku z nasion i kory drzew Barringtonia uzyskuje się środek, który skutecznie usypia ryby. Roślina Derris, rosnąca w południowo-wschodniej Azji, zawiera truciznę zwaną rotenonem i znajduje się w wolnej sprzedaży. Jak widać zezwalają na to przepisy, a w każdym razie nie ma wyrzucanego zakazu.

Działanie wszystkich tych wymienionych dla przykładu trucizn — oprócz których istnieje wiele innych — jest podobne, różnią się tylko ilością, jakiej trzeba użyć, okresem, po którym zaczynają działać, i samym zasięgiem działania. Najlepszy skutek osiąga się w stojących lub leniwie płynących wodach, zwłaszcza w niewielkich stawach i jeziorach. Trucizny, zależnie od ich właściwości, stosuje się w proszku lub w płynie. Przeważnie już po chwili uśpione ryby wypływają na powierzchnię. Bez trudu można je pozbiierać. Ponieważ sparaliżowany jest jedynie ich system nerwowy, jedzenie takich ryb nie pociąga za sobą szkodliwych następstw ani dla ludzi, ani dla zwierząt. Większość uśpionych ryb, których się już nie potrzebuje, nie znajdzie lub nie dosięgnie, przeważnie po pewnym czasie budzi się z narkozy i żyje nadal.

Najprędzej działa i największy zasięg ma rotenon. Dziesięć gramów dwunastoprocentowej substancji wystarcza, żeby w rzece o szerokości ośmiu metrów uśpić wszystkie ryby na kilometr w dół rzeki. W stojącej wodzie rotenon zaczyna działać po upływie dwóch minut. Potem wypływają na powierzchnię pierwsze bezwładne ofiary, ale dzieje się tak tylko w tropikach, bo działanie zależy od temperatury wody. Trujące składniki rotenonu mogą nie zadziałać w wodzie o temperaturze poniżej dziesięciu stopni. W temperaturze od dziesięciu do dwudziestu stopni dopiero po upływie godziny paraliżuje on pierwsze ofiary. Rotenon nie ulega zepsuciu, można go zabierać ze sobą na dalekie wyprawy do tropikalnych dżungli, pod warunkiem, że będzie przechowywany w szczelnie zamkniętym naczyniu bez dostępu powietrza.

Dynamit jest groźniejszy od trucizny, to znaczy granaty ręczne i ładunki wybuchowe eksplodujące pod wodą. Ciśnienie natychmiast uśmierca wszystkie ryby i w szerokim promieniu murtwe wyrzuca na wierzch, błyskawicznie ginie też cały narybek. Mimo surowych zakazów wciąż się z tym stykamy w czasie wojny, bo jakże to wygodny sposób! Na całe szczęście w czasie pokoju trudno o dynamit i granaty ręczne. Kto się jednak nimi posługuje, wrzucając je do wody, nie tylko dopuszcza się zbrodni względem ryb, lecz także działa wbrew ustawom o materiałach wybuchowych.

Gdy nie chce się od razu przyrządzić ryb, tylko je przechować, można wykorzystać jeden z dwóch sposobów: uwędzić nad ogniem lub wysuszyć na powietrzu. W obydwóch przypadkach ryby trzeba najpierw ogłowić i wypatroszyć. Potem rozcina się tułów, aż do płetwy ogonowej.

Jeśli chce się ryby uwędzić, najpierw trzeba zbudować stojak ze świeżych gałęzi. Najłatwiej go zrobić, wbijając w ziemię cztery mniej więcej dwumetrowe rozwidlane gałęzie, na których sporządza się drewniany ruszt z gałązek o grubości palca. Na nim zawieszają się porożcinane ryby. Obie ich półki rozpiera się cienkimi patyczkami. Potem pod rusztem rozpala się nie-

stęty mocny ogień. Gdy już zapłonie, należy go podsycać wyłącznie zielonymi gałązkami, bowiem ma to być ogień ciągły, który słabo się pali i bardzo dymi. Najlepiej nadają się do tego gałązki wierzbowe. Nie tylko wodno się palą i dymią, lecz także przydają wędzonym rybom smaku i aromatu. Jak długo trzeba je wędzić, zależy od pogody. Jeżeli powietrze jest wilgotne, powinno się wędzić przez dwadzieścia cztery godziny, a nawet dłużej. W czasie suszy, gdy już od dawna nie padało, wystarczy zaledwie kilka godzin. Należy od czasu do czasu skosztować, a smak zdradzi, kiedy trzeba będzie zućać powoli wygaszać ogień.

Na ruszcie z zielonych gałęzi układają się wypatroszone i rozporozone ryby. Pod spodem rozpala się niewielkie, silnie dymiące ognisko



Suszenie ryb na wolnym powietrzu wymaga mniejszego nakładu pracy. W dodatku nie ogranicza ilości ryb i nie trzeba wieszać wszystkich naraz. Można to robić stopniowo w miarę przybywania zdobyczy. Ruszt do suszenia buduje się w kształcie piramidy, lecz także może nim być odpowiednio długi stojak. Najważniejsze, żeby oprawione ryby wisały luzem w możliwie przewiewnym miejscu. Mogą wisieć na stojaku przez wiele tygodni, a nawet miesiące, aż tak wyschną, że zaczną grzechotać na wietrze. Na suszenie korzystnie wpływa bliskość morza. Ryby najlepiej schną w podmuchach słonego wiatru. Stojak musi być jednak solidnie zbudowany, żeby nie rozleciał się na kawałki w czasie pierwszej wichury.

Wędzone ryby są znacznie lepsze od świeżych, najlepsze jednak są ryby suszone na wietrze. Ten, kto wybiera się na daleką wędrowną, a nie zamierza po drodze ani polować, ani łowić, przed podróżą powinien zadbać o odpowiednie zapasy.

Winien więc zabrać żywność względnie lekką, a równocześnie o dużej wartości odżywczej, zwłaszcza łososie. Mniej nadają się chude pstrągi. Suszone ryby poleca się przede wszystkim podróżującym saniami, bo ważna jest przecież dobra kondycja psów.

Polowanie wymaga rozsądku

Już nas zauważył! — powiedziałem, wtuliłem głowę i całkiem się schowałem. Dick jednak sądził, że jest to mylna strategia.

— Nie wzbudź w nim podejrzenia! Skoro już nas zobaczył, musi nas widzieć nadal.

Szło tu o kozła i to dzikiego. Miał futro białe jak śnieg, które zwieszało się prawie do samej ziemi, okrywając także i nogi, jakby nosił dwie pary płudrów. Każdy myśliwy na Alasce chciałby mieć taką piękną skórę kozła skalnego. Jedwabisty włos, długi jak lameta na choince w Boże Narodzenie, mienił się w promieniach słońca niby wypolerowane srebro. Kosztowało nas wiele wysiłku i wymagało sporo sprytu zdobycie srebrnego runa, bo kozice żyją wyżej od wszystkich dzikich zwierząt, hen, ponad granicą lasów i z dala od wszelkich ludzkich osiedli. I tylko w pełni lata, kiedy ze stoków znika śnieg, można rozpoznać z daleka nieskazitelnie białe stworzenie. O każdej innej porze roku ich barwa ochronna do tego stopnia zlewa się ze śnieżnym tłem, że stają się niewidoczne.

One zaś widzą wszystko w promieniu wiatru mil, a jedno ze zwierząt zawsze stoi na straży. Boją się przede wszystkim swoich najgorszych wrogów — wilków. Pomijając ludzi, którzy niezmiernie rzadko lub wcale nie pojawiają się na owianych wiatrem szczytach, żaden inny drapieżnik nie odważa się wspiąć aż tak wysoko.

Kilkaset metrów człapał się na brzuchach po mokrym mchu i syjkim zwirze, wykorzystując każdą osłonę i przez cały czas uważając, żeby iść pod wiatr. Naszym celem był rosy kozioł, którego rozwiane białe futro najbardziej mnie frapowało. Chcieliśmy go podejść na odległość strzału. Wierzyłem, że z Dickiem Draughtonem musi mi się to udać. Na dzikiej zwierzynie tych prawie nieznanymi gór znalazłem się lepiej, niż ktokolwiek inny polujący z podchodu w obrębie Kenan Peninsula.

Już przed trzema godzinami wypatryliśmy przez lornetkę stado i równie

dużo czasu zużyliśmy, żeby się wspiąć mniej więcej na podobną wysokość. Jeszcze ze dwieście, trzysta metrów i mając dobrą pozycję mógłbym zaryzykować daleki strzał. Lecz właśnie wtedy, gdy przyłgnąwszy do ziemi czolgaliliśmy się pomiędzy blokami skalnymi i zaledwie przez kilka sekund nie mieliśmy osłony, zostaliśmy zauważeni.

— Jeżeli teraz znikniemy mu z pola widzenia, posądzi nas o złe zamiary — szepnął Dick — i całe stado natychmiast umknie. Kto się ukrywa, ma do tego wszelkie powody i kozice doskonale o tym wiedzą. Musimy się więc pokazać, jak gdyby nigdy nic... w każdym razie to nasza jedyna szansa.

Mój przyjaciel zdecydował, że oszukamy go, udając kłepę, czy coś w tym guście. Nawet jeżeli łosie nie wspinają się aż tak wysoko, instynkt podpowie kozicom, że nie muszą się lękać tego zwierzęcia.

— Tylko unikaj gwałtownych ruchów — ostrzegł Dick. — Wstań powoli, połóż mi obie ręce na ramiona i idź za mną.

Zrobiłem jak kazał, podczas gdy kozioł uważnie nam się przyglądał.

— A teraz wciągnij głowę i zachowaj jak największą odległość... Dotykaj mnie samymi czubkami palców.

Dzięki temu wyglądaliśmy jak czworonóg, który dopiero co wypoczywał w miękkim mchu.

— Teraz podejźmy do najbliższego krzaka — powiedział Dick. — Uważaj tylko, żebyśmy szli jak najbardziej naturalnym krokiem.

Kiwując głową powlokła się moja przednia część w stronę spletanых zarosli górskiej brzozy. Szedłem za nią w charakterze zadu. Dick zatrzymał się przed brzozą i schylił się z głośnym parsknięciem. Rękami skubał zarosła. Stojący na górze obserwator nie spuszczał z nas wzroku.

— Nie jesteśmy zbyt głodni — szepnął Dick — teraz odejźmy i przez chwilę bezmyślnie pustym w otwartym terenie.

Zrobiliśmy to tak zręcznie, że biały kozioł uspokoił się i spojrzał w drugą stronę. Dick wyjaśnił mi jednak, że to tylko podstęp, bo kozioł chce się przekonać, czy nie skorzystamy z jawnego rozstąpienia, żeby raptem zniknąć. Staliśmy więc nadal. I tak właśnie należało się zachować, bo błyskawicznie odwrócił łeb i znowu na nas spojrzał.

— Tak, jak mówiłem — stwierdził mój przód — a teraz zjedźmy sobie na skos do tej drobnej łożyny. Tylko przez cały czas stawiaj sztywno kroki i powłócz trochę nogami!

W ten sposób nie zbliżaliśmy się do stada, wręcz przeciwnie. Był to istotnie chytry fortel. Gdy w dziesięć minut później mogłem się obejrzeć, kozioł zdążył się już schylić i tylko z połowicznym zainteresowaniem popatrywał, co też robimy. Owo obce zwierzę, za jakie nas począł, uznał za prawie podobne do siebie.

— Gdy zobaczy cię kozica — pouczał mnie Dick — musisz się tak zachowywać, jakby ci to było całkiem obojętne. Zatrzymaj się w jej polu widzenia, poruszaj się bez wahania, ale i bez pośpiechu. Nieraz będziesz mógł się do niej zbliżyć zakosami, a jednak zawsze pozna, do czego zmierzasz. Na razie uspiłiśmy czujność kozła, zgoda, a jednak wciąż nas obserwuje. Jesteśmy niezwykłym zjawiskiem w jego świecie. Toteż gdy się zanadto zbliżymy, umknie.

Wszystko pięknie, ładnie, ale chciałem jakoś podejść na strzał. W końcu to właśnie było celem naszej wyprawy.

— Wyjdziesz na strzał... tylko znów musimy zniknąć i to w jak najbardziej naturalny sposób. Wtedy powoli o nas zapomni.

Z wolna doszliśmy więc na naszych czterech biegach do najbliższych pagórków, zatrzymując się po drodze przy wszystkich krzewach. Postaliśmy przy nich przez chwilę, jakbyśmy dobrze nie wiedzieli, gdzie znaleźć odpowiednie żerowisko. Potem na sztywnych biegach przeszliśmy przez pagórek i zniknęliśmy mu z oczu.

Będzie jeszcze obserwował pagórek co najmniej z pół godziny — powiedział Dick — żeby się upewnić, że nie wrócimy. Zwierzęta mają dużą pamięć... znacznie więcej od największych leńców!

Zniknęliśmy więc z pola widzenia strachliwego kozła. Nie tylko uspiłiśmy podejrzliwość, lecz także skierowaliśmy jego uwagę w odwrotnym kierunku. Mogliśmy teraz względnie łatwo do niego podejść. Z drugiej strony łańcuch wzgórz wspinaliśmy się po stromym zboczach, aż uzyskaliśmy pewność, że znajdujemy się powyżej stada. Potem skęciliśmy w lewo i bez większych trudności zdobyliśmy dogodną pozycję. Poniżej, tam gdzie poprzednio, stały i leżały kozice. Rosły kozioł nadal obserwował miejsce, gdzie stracił nas z oczu. Wiatr wiał od dołu i żadne ze zwierząt nie mogło nas zwieryć. Obecnie odległość wynosiła niespełna trzysta metrów. Zbudowałem sobie podpórki, odczekałem aż minie zadyszka i nacisnąłem spust dopiero wtedy, gdy skrzyżowanie nitki w lunecie spoczyło nieruchomo na celu. Byłem pewny, że mój kozioł nawet nie poczuje trafienia.

Wprawdzie ten strzał błyskawicznie zakończył długie polowanie, stanowił jednak tylko jego znikomą część. Polowanie zaczęło się już w dolinie, wspiął się aż do przedostatniej sekundy kierował Dick Draughton, a pomyślny rezultat zawdzięczam prawie wyłącznie jego zręcznym manewrom. Przez wiele godzin podchodziliśmy zwierzęta w niesłychanym napięciu. Gdy wreszcie kula opuściła lufę, była tylko dowodem na to, jak sprytnie mój przyjaciel pokierował naszym postępowaniem. Dla niego polowanie zakończyło się pomyślnie już wtedy, gdy doprowadził mnie do miejsca, z którego dogłębnie trafił.

Broni używa się wyłącznie po to, żeby na samym końcu polowania z pod-

chodu zagarnąć łup. Spośród wszystkich elementów, od których zależy powodzenie łowów, broń jest składnikiem stosunkowo najmniej istotnym. Wiemy, że w razie potrzeby łup można zdobyć nawet i bez broni. Tym jednak, bez czego nie można się obejść, są: doświadczenie, cierpliwość i rozsądek.

Do wiedzy, którą trzeba zdobyć, należy przede wszystkim umiejętność tropienia. Myśliwy nie tylko musi wiedzieć, jakie zwierzę pozostawiło tropy, lecz także, czy są to tropy samca, samicy czy też młodego zwierzęcia. Nie zawsze tropy bywają tak wyraźne, jak to ma miejsce na śniegu lub miękkim gruncie. Dobry tropiciel odnajdzie je także w trawie i wśród zarosli. Umie je odkryć nawet na żwirze i na zupełnie twardym gruncie. Dla tropiciela ziemia jest otwartą księgą pamiątkową, zawierającą mnóstwo pożytecznych informacji.

Umiejętność czytania śladów pozwala na zdobycie tak dokładnych wiadomości, że nie sposób wszystkich wymienić. Niechaj wystarczy kilka przykładów, żeby ukazać gamę możliwości.

Po obrzeżach żdźbeł wydeptanej trawy można poznać, kiedy przechodziło tamtejsze zwierzę. Im więcej upłynęło czasu, tym bardziej pożółkłe są brzegi żdźbeł nadlamanej trawy, o czym naturalnie decydują współczynniki atmosferyczne i wilgotność terenu. Jeżeli po obu stronach śladów starte są z krząków kropki rosy, wiadomo że zwierzę przechodziło tamtejszy, gdy już minął ranek. Gdy jednak kropki rosy nadal wiszą na owych potrąconych listkach i żdźbełkach, zwierzę było tutaj przed świtaniem. Mniej lub bardziej ostre krawędzie tropów wskazują, kiedy zostały one odcisnięte. Już po upływie kilku godzin brzegi tropów zaczynają się trochę wykruszać, zwłaszcza w czasie suszy. Nawet na otaczakach można niekiedy śledzić tropy, gdy się odwróci niektóre kamienie. Jeśli przechodził po nich gruby zwierz, pod jego ciężarem powstały drobne zadrażnienia, a czasem rozgniecioną kamieniem glista lub chrząszcz. Kształt tropów, a także odstępy pomiędzy nimi zdradzają, czy zwierzę szło spokojnie, czy też bieгло. Uciekając pozostawia za sobą wydłużone ślady i odrzuconą ziemię, liście lub piach.

W trakcie pierwszego podchodu do słonia, który podjęliśmy w górnym biegu Konga, pewność, z jaką nasz czarny przewodnik spośród setek śladów słonia wybrał owego starego samca z najcięższymi łkami, niemal graniczyła z cudem. Jego szerokie paznokcie pozostawiały o kilka milimetrów głębsze ślady niż ślady innych, co najmniej równie dużych samców, a to dlatego, że dźwigając cięższe łky trochę mocniej się wspierał na swoich przednich filarach.

Oprócz tropów, dalszych informacji o dzikiej zwierzynie dostarczają bobki. Można po nich odróżnić nie tylko gatunek, lecz także płeć zwierzęcia, a stopień wilgotności zdradza, jak dawno zwierzę je zgubiło. Przy tym

trzeba oczywiście uwzględnić panującą pogodę. Wilgotne bobki w czasie suszy są, rzecz jasna, świeższe niż na wpół wilgotne w porze deszczowej. Przy z grubsza przybliżonej ocenie minionego czasu trzeba uwzględnić, że bobki czasami rozpadają się. Im gładsze i bardziej ściśle, tym mniej czasu upłynęło od ich upadku.

Dla prawdziwego myśliwego bobki dzikiej zwierzyny są ważne i dlatego jest rzeczą całkiem naturalną, że w miarę potrzeby drobiazgowo je analizuje. W okresie wielkiej suszy tylko wnętrza bobków może udzielić wiążącej odpowiedzi o ich wieku. Trzeba je rozciąć drewnikiem i zobaczyć, jak głęboko zachowały wilgoć. Prawdziwy łowca afrykański nie boi się wetknąć palca w „jabłko” słonia. Tropiciele tubylcy robią to paluchem, bo nie noszą butów. Jeżeli wnętrza jest jeszcze ciepłe, słoni nie może być daleko. Idąc po jego tropach odkrywamy, że nagle dostał rozwolnienia i dalsze tropienie zwierzęcia przeważnie nie ma sensu. Prawdopodobnie popełniło się błąd, który został zauważony. Strach przed groźącym niebezpieczeństwem odbił się niekorzystnie na żołądku słonia.

Czy bardziej wskazane jest polowanie z podchodu, czy też cierpliwe oczekiwanie w zasadce, wynika to ze sposobu bycia różnych gatunków dzikich zwierząt. Myśliwy powinien je znać na wylot. O naszym polowaniu na dużego białego koźła opowiedziałem tylko dlatego, żeby pokazać na przykładzie Dicka Draughtona, jak należy dostosować własne zachowanie do zachowania się dzikiego zwierzęcia. Zwierzę nieodmiennie kieruje się instynktem, podczas gdy myśliwy postępuje dowolnie, zgodnie z rozsądkiem. Celowick winien wykorzystać tę przewagę, żeby zależeć od sytuacji podejmować zmienne decyzje. Kto dokładnie zna motywy postępowania zwierzęcia, temu prawie zawsze uda się je przechytrzyć. Dlatego też nie bez racji można twierdzić, że intelektualne i fizyczne uzdolnienia poszczególnych myśliwych bardzo się od siebie różnią.

Podobnie zresztą różni się zachowanie poszczególnych zwierząt, choć większość z nich cechuje określona przezorność i nawyk sprawdzania co jakiś czas, czy nie zagraża niebezpieczeństwo.

Dlatego myśliwy może podchodzić jedynie wtedy, kiedy zwierzyna najęta jest żerem. Trwa to zazwyczaj krótko. W chwili gdy zwierzę podnosi wzrok, myśliwy musi stanąć jak wryty i zamienić się w posąg. O ile wiatr wieje w jego stronę, zwierzyna przeważnie nie wyczuje obecności człowieka, chyba że znajduje się on bardzo blisko. Gdy myśliwy kolorem i postawą niejako dopasuje się do otoczenia, zwierzę myśli, że jest on częścią krajobrazu i czymś nieszkodliwym. Przeraza je tylko ruch, nie zaś nieruchoma postać stojąca pod wiatr.

Wystarczy najłżejszy, dla nas prawie niewyczuwalny powiew, żeby zwie-



Woreczek z luźno tkanego materiału napelnia się popiołem drzewnym. Woreczek przytka się lekką palcem. Wydobywający się pył wskaże kierunek wiatru

rzę nieskończenie czułym węchem zwierzyło obecność każdej żywej istoty, która nie jest zbyt drobna i bez znaczenia. Na przykład na odkrytej równinie niedźwiedź brunatny zwęszy człowieka z odległości pięciu do sześciu kilometrów.

Jak wiadomo, ciepłe powietrze unosi się do góry, a zimne opada. Tak więc górskie powietrze przez całą noc opada w doliny. Dopiero gdy wstaje dzień i góry ogrzewa słońce, dzieje się odwrotnie. Toteż myśliwy powinien zacząć wspinaczkę jeszcze nocą, a w każdym razie przed wschodem słońca, o ile przewiduje, że zwierzyna znajduje się na szczytach lub na zboczach. Wspina się więc pod wiatr i nie zostaje zwierzony. Gdy jednak słońce ogrzewa szczyty i zbocza, co dzieje się nawet wtedy, gdy ukryte jest za chmurami, powietrze unosi się do góry. Myśliwy może teraz podchodzić od strony wierzchołka i znów będzie siedzi pod wiatr. Oczywiście ta ogólna zasada obowiązuje tylko w czasie dobrej pogody.

W terenie zawsze jest powiew, nawet wtedy gdy laikowi wydaje się, że jest całkiem bezwietrznie. Nasi myśliwi dopomagają sobie zapalką lub dymem z papierosa. Niegdyś do wizerunku starych tropicielei należała kopcąca fajka. Wolałbym tego nie doradzać na terenach, gdzie dzika zwierzyna nie przywykła do dymu z wiosek lub chat. Najlepszym sposobem na ustalenie najbliższego nawet powiewu wydaje się być metoda stosowana przez łowców w sercu Afryki, mianowicie „puhpuh”. W każdym razie tak zwą ją czarni. Rzecz składa się z luźno utkanego galganka wielkości chustki do nosa, napelnionego popiołem drzewnym i związanego na rogach. Gdy przytknąc w niego palcem, z woreczka wydobywa się biały obłoczek, wskazujący kierunek wiatru.

W owc wyjątkowo rzadkie dni, kiedy istotnie panuje kompletna cisza, nasz wstrzy ludzki zapach rozprzestrzenia się równomiernie na wszystkie strony z przeciętną szybkością metra na minutę. W gęstym lesie, zwłaszcza w tropikalnej dżungli, powinno się co kilka minut sprawdzać kierunek wiatru.

Kto wyrusza na polowanie, za nic w świecie nie powinien nosić białej koszuli, a w ogóle jasny strój jest niewskazany. Trzeba w miarę możliwości starać się upodobnić do otoczenia i nosić ubiór w takich kolorach, które w danej okolicy są najpospolitsze: u nas bladoszare, ciemnozielone i wszelkie odcienie brązu. Podobnie, jak ma to miejsce z ubiorem maskującym we współczesnym wojsku, myśliwy powinien „optycznie” dostosować swój wygląd za pomocą różnych kolorów dopasowanych do otoczenia. Taki efekt można osiągnąć kombinowanym strojem, na przykład ciemnozielonym kamizeluszkiem, białą kurtką, ziemistobrązowymi spodniami oraz powiedzmy szarymi owijaczami i piaskową koszulą. Tak ubrany człowiek nawet z bliska utapia się w tło. Do polowania w zaśmieczonym terenie, gdzie nie można się ukryć wśród drzew i krzewów, polujący z pochodu przywdziewa biały poniewoc.

Dzika zwierzyna toleruje każdy naturalny odgłos, do którego przywykła. Nawet loskot lawiny kamiennej działa tylko na bezpośrednio zagrożone zwierzęta. Natomiast najszubszy nienaturalny dźwięk działa jak sygnał alarmowy i zmusza wszelką zwierzynę do panicznej ucieczki. Do takich dźwięków należy przede wszystkim brzęk metalu, a często nawet uruchomienie kamery. Dlatego też w podkutyh butach i z laską o metalowej końcówce trzeba się poruszać bardzo ostrożnie. Najlepsze do polowania z pochodu są buty na gumie. Ciąpage można sobie samemu wyciąć. Nawet wtedy gdy nie ma metalowej końcówki, nie należy nią zbyt głośno stukać o skały. Plecak musi być tak zapakowany, żeby nic w nim nie pobrzękiwało. Normalne luziki warto obszyć materiałem lub zastąpić skózanymi. Lornetka winna mieć pokrowiec z materiału, żeby zapobiec nawet najmniejszym odgłosom metalu, w razie gdyby trąciła o lunę strzelby. Buty nie mogą skrzypieć, a także i inne przybory skórzane nie powinny szeleścić. Nieprzemakalne płaszczki nylonowe i gumowe mają tę wadę, że „szumią” i ocierając się o gałęzie wydają nienaturalny dźwięk. Należy się powstrzymać od kaszlu i kichania. Gdy nie można nad nimi zapanować, trzeba stłumić niemiłe odgłosy chustką do nosa.

Dzikiej zwierzynie potrzebne są do życia trzy rzeczy, a mianowicie: paśna, woda i kryjówka. Ostatnia z nich do wypoczynku i schronienia się przed prześladowaniem. Jeżeli zabraknie chociaż jednego z tych niezbędnych do życia składników, zwierzę nie może egzystować.

Zwierzynę rąbicową można najłatwiej spotkać na obrzeżach lasów, w pobliżu których znajdują się żerowiska. Na zasadkę myśliwy wybiera miejsce;

godzie może się schować. Nie musi przedzierać się przez zarośla, wystarczy żeby miał ciemne tło. Może się zamaskować u stóp drzewa, przed jakimś krzakiem lub w stercie kamieni. Czekać trzeba się wystrzegać gwałtownych ruchów. Cokolwiek się robi, trzeba robić cicho i powoli, można powiedzieć w tempie kamery do zwolnionych zdjęć.

Dobra pogoda nie jest najlepszą pogodą dla myśliwego, który chce podejść zwierzę. W czasie deszczu i po deszczu mokre podłoże tłumi odgłosy kroków. Nie szeleszczą zeschnięte liście, a suche gałązki, na które się niebażownie nadeptnie, nie trzaskają tak głośno. Gwałtowny wiatr więcej w stronę myśliwego przynosi jego woń. Gdy się już wykryło zwierzę, podchodem sprzyja lekka mgła. Po długotrwałych deszczach zwierzę wychodzi na otwartą przestrzeń, nie lubi stać pod drzewami, z których kapie woda. Ogólnie biorąc, najlepszą porą na łowy są wczesne poranki i późne popołudnia. Właśnie wtedy zwierzę wychodzi z gestwiny na żer i zdąża do najbliższego wodopoju. Natomiast w ciągu dnia, przeciętnie od wpół do jedynastej do trzeciej, a czasem i dłużej, przeważnie ukrywa się, zwłaszcza przed słońcem. W jasne księżycowe noce prześladowana zwierzęta łowna, na którą polują także i drapieżniki, w ogóle nie wychodzi na otwarty teren.

Podchód do zwierzę wypoczywającej w otwartym terenie jest bardzo trudny, bo wybiera sobie miejsca zapewniające jej maksymalne bezpieczeństwo i wykluczające niespodzianki. Stamtąd, gdzie myśliwy spodziewa się znaleźć najlepszą kryjówkę, żeby móc zapolować, więcej w kierunku zwierzę wiatr. Resztę wolnej przestrzeni zwierzęta mogą obserwować swoim dalekosiężnym wzrokiem. Gdy zwierzęta są w stadzie, zazwyczaj jedno z nich trzyma wartę. Radziłbym myśliwemu odczekać, aż skończy się poobiednia sješta. Latwiej będzie można podejść płochliwą zwierzę, gdy znów zacznie żerować.

Prawie wszyscy niefachowcy sądzą, że najczęściej zwierzę jest w lesie. A przecież tym zwierzętom, które przedstawiają dla myśliwego jakąś wartość, przede wszystkim zaś zwierzęcie racicowej, potrzebne są rozległe żerowiska. Dlatego w jednolitym kompleksie leśnym, ciągnącym się bez prześwitów na wiele mil wzdłuż i w poprzek, przebywa bardzo mało bądź też w ogóle nie ma zwierzę łowne.

Wilgotne, mroczne, dziewicze dzungle tropików dają schronienie tylko drobnej zwierzęcie. Natomiast gruby zwierz trzyma się chętnie na obrzeżach, bo na zewnątrz znajduje żerowiska, a wewnątrz osłonę przed palącymi promieniami słońca. Miejscami spotkać zwierzęta są leśne polany. Tropy na polanie mówią myśliwemu, czy warto rano lub wieczorem zasadzić się. Prawie zawsze będzie to sprawą przypadku. Opuszczone pola i porzucone plantacje bardzo nęcą wszelką zwierzę. To, co kiedyś sadził i uprawiał człowiek nadal bujnie się pieni i jest żerem dla zwierzę.

W górach warto polować z podchodu powyżej granicy lasów. Owe przebiegi i przesmyki wiodące z doliny do doliny są ulubionymi ulicami skalnych zwierzę. Zielone dno doliny oblamowane lesistymi stokami stanowi naturalne żerowisko dla innych dużych zwierzę już choćby dlatego, że przeważnie są tam wodopoje.

Mówi się, że w czasie polowania większość zwierzęta woli „przebiegać niż niekładać”. Cicho siedząc i cierpliwie obserwując myśliwy zobaczy więcej zwierzęta niż w czasie polowania z podchodu. Widzi, sam nie będąc widzianym. Poznaje miejscowe nawyki, a potem może je wykorzystać. Zasadka jest najlepszym przygotowaniem do polowania z podchodu. Gdy się bowiem dojdzie do przekonania, że prawdopodobnie żadne zwierzę nie zbliży się na dostatecznie bliski dystans, uzyskuje się dość prawidłowy pogląd na to, jak zaplanować podchód. Wie się teraz, którądy chadza zwierzę, a także, gdzie po drodze są kryjówki. Zasadka musi się jednak odbywać w miejscu, z którego rozciąga się rozległy i swobodny widok.

Na równinie trudno jest znaleźć dobre punkty obserwacyjne. Nierzadko trzeba będzie zacząć podchód jedynie na podstawie nadziei, że znajdzie się zwierzę, ponieważ wskazują na to okoliczności. Wtedy należy nieustannie wypatrywać, rozglądać się na wszystkie strony i w każdej chwili być gotowym do użycia broni. Gdy zwierzę zmienacka ujrzy człowieka, przeważnie przez chwilę wietrzy. W tym momencie, trwającym zwykle dwie do trzech sekund, myśliwy musi szybko, lecz z chłodnym wyrachowaniem podjąć decyzję.

Niektóre zwierzęta, na przykład koczice czy też karibu, są z natury ciekawe. Jeżeli nie złapią wiatru obcej postaci, czasem nawet wychodzą z kryjówek. Może się wtedy zdarzyć, że umykające zwierzę po krótkiej ucieczce lub też przed definitywnym zniknięciem jeszcze raz przystanie, żeby się obejrzeć.

Kto nie ma broni palnej i może liczyć tylko na oszczep, strzałę a nawet zwykły nóż, powinien się postarać zdobyć zaufanie ofiary miłym, spokojnym sposobem hycia. Trudno wprost uwierzyć, jak łatwo można to czasem osiągnąć, zwłaszcza wśród zwierzęta, które nie znają ludzi i ich podłości. Trzeba się zawsze starać o to, żeby być mniejszym od zwierzęcia, a więc położyć się lub usiąść i prawie się nie ruszać. Potem cichym, łagodnym tonem zaczyna się przemawiać lub śpiewać, można też z cicha pogwizdywać lub mucić. Zwierzę dziwi się, zbliża się niezdeterminowanie, wreszcie zaciekawione podchodzi coraz bliżej i bliżej, aż w końcu spełnia się jego los.

O tym, co może zdziałać ludzki wzrok, przekonaliśmy się w dziewiczych puszcach Kamerunu. Towarzyszyło nam trzech Bahingów, ludzi z owej do dziś nie do końca zbadanej pierwotnej rasy, niemal równie małych jak Pigmeje, lecz o ciemnozielonej cerze. Jeden z nich posiadał dar hipnotyzowa-

na ptaków. Inaczej nie mogą tego określić. Gdy tylko popatrzył na perliczkę, wlepiła w niego wzrok, zamierała w bezruchu i pozwalała maćmu człowiekowi do siebie podejść. Chwytał ofiarę i nicspiesznie ukręcał jej szyję. Pozostali Babingowie nie widzieli w tym niczego nadzwyczajnego i, jak sądziłem, w ich hordzie było więcej takich „hipnotyzerów”.

Od pewnego laotańskiego księcia nauczyłem się triku, który chciałbym polecieć wszystkim myśliwym, także i tym z mojej ojczyzny. Nie jest on niczym innym niż „nieprawidłowym chodzeniem” na podchód. Rzecz polega na tym, że zwierzęta nie tylko słyszą obce kroki, lecz także wyczuwają kroki dużego stworzenia po drzewu ziemi. Ponieważ w odróżnieniu od zwierząt człowiek stąpa miarowo, zostaje natychmiast zidentyfikowany jako istota niebezpieczna. Gdy się jednak naśladuje zwierzęta, to znaczy gdy się stawia kilka krótkich kroków albo skacze, a potem przystaje, wprowadza się w błąd swoich przeciwników. Najpierw stawia się trzy, cztery szybkie kroki, potem dwa lub trzy długie, można też skoczyć i zatrzymać się. Tu i ówdzie zrywa się kilka liści, stąpa się ciężko, a równocześnie lekko potrąca ręką krzewy. Ale i wtedy trzeba uważać, żeby się nie zbliżyć w linii prostej. Należy podchodzić zakosami i wracać, pamiętając, żeby przez cały czas iść pod wiatr. Nie należy dopuścić, by zwierzę zauważyło nas, kiedy się poruszamy. Najłatwiej tego uniknąć wśród wysokich zarośli i w gęstym lesie.

Kto poluje bez broni palnej, musi wejść w głąb lasu i możliwie jak najlepiej się zamaskować. Powinien podchodzić trzymając przed sobą niewielki krzak, który by go zasłaniał i korzystając z tej osłony stopniowo się zbliżać. Obserwując poprzez gałęzie wieniec wykorzystywać chwile, gdy zwierzę opuszcza łeb, natychmiast zachowywać bezwzględna ciszę, gdy znów czuwa. Wtedy i krzak musi stać nieruchomo. Krzak ten powinien pochodzić z najbliższej okolicy.

Inną metodę kamuflażu, jeszcze lepszą niż podchód z krzakiem, znamy z przekazów obrazkowych, których wiek ocenia się na dwadzieścia tysięcy lat. Rysunki naskalne z Altamiry, Lascaux i Font de Gaume przedstawiają myśliwych noszących wieniec jelenia, a nawet częściowo odkrytych jelenimi skórami. Nosząc taki strój musieli także naśladować zachowanie zwierzęcy płowej. Jako ludzie pierwotni i dzieci natury lepiej znali obyczaje dzikich zwierząt od jakiegokolwiek współczesnego myśliwego. Zнали sposób poruszania się zwierząt i na pewno tak ludzko umieli naśladować ich głosy, jak nikt dzisiaj. Gdy jednak okoliczności zmuszają kogoś do zaatakowania ofiary z bliska, musi on zagrać rolę wilka w owczej skórce. Według niektórych autorów syberyjscy Samojedzi podohnie jak alaskańscy śródlądowi Eskimosi zamieszkujący Góry Brooks od stuleci przebiegają się w skóry i zakładają wieniec karibiu, żeby się dobrać do stada. Potem maczują przetrącając swoim ofiarom kregosłupy. Kiedy teren nie nadaje się do takiego „polowania na

wilk”, należy celowo odwrócić uwagę zwierząt. Jest to wskazane, gdy spotykamy się z obecnością zwierząt w gęstym lesie i nie możemy ich podejść, bo nie ma widoczności, a suche gałęzie czynią za dużo hałasu. Wtedy jeden z myśliwych musi się ukryć na skraju lasu poza jego obrębem, podczas gdy drugi wchodzi do lasu z w i a t r e m, z przeciwnej strony. Nie krzyczy on ani nie postukuje, jak to czynią nagoniacze w czasie polowania z nagonką, tylko postępuje się z wolna bez zbytecznego hałasu. Wystarczy jego obecność i wiatr, żeby zwierzęta wygnąć z gestwiny. Nie rzucą się one do panicznej ucieczki, tylko przeczynnie zaczęły wychodzić z lasu. Myśliwy, który znajduje się na zewnątrz, trwa nieruchomo w kryjówec znajdującej się pod wiatr i nie zostaje zauważony.

Gdy chcemy się zasadzić na zwierzęta obok przesmyku albo przy wodopole, gdzie nie ma kryjówek, sami musimy ją sobie zrobić. Wbijają się więc w ziemię zaostrome gałęzie. Jest to tak zwany parasol. Jeżeli nie ma gałęzi, z mniej więcej jednakowych otoczek wznosi się nieregularny murk. Oczywiście zarówno w parasolu, jak w murku i w ogóle w każdej kryjówec pozostawia się otwór, przez który można obserwować zwierzęta i strzelać. Poleca się także zasiadkę na jakimś pagórku lub na wierzchołku drzewa, bo łatwiej uchodzi ona uwagi zwierząt. Gdy zasiadka trwa długo, myśliwy nie może polegać na tym, że wiatr nie zmienił kierunku. Im wyżej jednak siedzimy, tym większa szansa, że nie doniesie on naszej woni i nie będziemy zauważeni.

Gdy myśliwy chce się zasadzić na skraju lub p o n a d przesmykiem, ładen konar nie będzie dla niego zbyt miękkim jaśkiem. Musi się urządzać wygodniej i zbudować sobie małą ambonę, zwłaszcza wtedy, gdy przyjdzie mu czekać przez całą noc. Tego rodzaju ambonę zwą w indyjskich dżunglach machan, a w dziewiczych lasach Indonezji pagau. Można w niej umieścić ławkę, a nawet przykryć ambonę daszkiem, zrobić drabinkę sznurową lub drabinę z gałęzi. Gdy się poluje na drapieżniki, trzeba bardzo starannie zatrzeć na ziemi wszelkie ślady pracy, usunąć wióry i resztki drewna. Drabinkę wciąga się na górę. Tygrysy i pantery wykryją wszelkie nienurowalne zmiany.

Gdy zasiadki nie buduje się samemu, tylko bierze się do pomocy ludzi, to po wejściu myśliwego na górę pomocnicy powinni odchodzić hałasując i głośno rozmawiając. Drapieżnik może przecieć być w pobliżu i wszystko obserwować. Nie umie jednak liczyć i będzie pewny, że odeszli już wszyscy, którzy zakłócili mu spokój.

Jeżeli polowanie ma się odbywać przy świetle księżycy, ponieważ zwierzę wychodzi na otwartą przestrzeń wyłącznie nocą, na zasiadkę wybiera się takie miejsce, z którego dobrze widać jasne plamy piaszczystych pól lub wyschnięte koryto rzeki.



Niewidoczny dla zwierzyny myśliwy ukrywa się za osłoną. Może nią być parawan z gałęzi lub sterła otoczków



Wielkie drapieżniki wabi się w ten sposób, że w miejscach oświetlonych nocą światłem księżycy przywiązują się na mocnym drucie przynętę, której drapieżnik nie zdoła porwać. Na przynętę najlepiej nadaje się żywe zwierzę, przeważnie koza lub świnią. Najczęściej wystraszone zwierzę uchodzi z życiem. Jego rozpaczliwy lament zwiastuje nadejście mordercy, toteż myśliwy prawie zawsze zdąży strzelić nim zwierzę zostanie rozszarpane.

Gdy rozbójnik upoluje takie zwierzę, którego nie zdoła pożreć od razu, najprawdopodobniej powróci następnej nocy. Jeżeli było to zwierzę domowe, sztuka bydlę czy wręcz bawół, oczywiście jeszcze tego samego dnia dowie się o tym cała wioska. Dowie się też myśliwy i zbuduje sobie w pobliżu zasiadkę. Będzie miał wielką szansę przydybania drapieżnika już w ciągu najbliższej nocy.

Najtrudniejsze, a zarazem najbardziej podniecające jest polowanie na tygrysa. Myśliwy musi przez wiele godzin bezszelestnie wyczekać na drzewie. Tygrys, zanim się ukaze, potrafi godzinami leżeć w zaroślach na skraju polany sprawdzając bardzo dokładnie, czy istotnie nie grozi mu niebezpieczeństwo. Tygrys, jak wiadomo, jest kotem, a koty w gwiaździste noce widzą prawie równie dobrze, jak w dzień. Mają niestety czuły słuch. Tygrys

dosłyszy nawet przyspieszony oddech i dostrzeże ruch dłoni. Dopiero wtedy gdy wielki kot zbliża się do przynęty, myśliwy może być pewny, że nie został wykryty. Od tej chwili cała uwaga zwierzęcia koncentruje się na przynęcie i ostrożnie można skierować w jego stronę luźną broń.

Do zwabiania wielkich drapieżników, zwłaszcza wilków i niedźwiedzi, poleca się „włók”. Do tego celu nadaje się martwe zwierzę lub jego część. Im bardziej krwista i cuchnąca, tym lepsza. Krwawy bagaż wlecze się na długim sznurze wzdłuż i w poprzek terenu, jak najczęściej przecinając przesyrok drapieżnika. Trop kończy się pod zasiadką. Zostawia się tam odrażający bagaż lub zastępuje się go inną przynętą. Z nastaniem nocy pozostaje tylko wejść do zasiadki i czekać.

O ile ktoś się uprze, żeby uwiecznić polowanie najświetniejszą zdobyczą, tygrysem, który spadł aż tak nisko, że kusi go tylko mięso żywego człowieka, najbardziej celowe wydaje się być znalezienie kogoś, kto zgodzi się wystąpić w charakterze przynęty. Na pewno jednak nie znajdzie się nikt, kto by się tego podjął! Myśliwy musi więc zaofiarować zwierzęciu samego siebie, wierząc, że mu się uda celnie strzelić, zanim morderca zdąży do niego przyskoczyć.

Gdy w mroźne dni w północnej Kanadzie, na Alasce lub na Syberii bądź też w Laponii albo u wybrzeży Spitzbergenu dojrzy się unoszącą się nad śnieżnym smugę dymu, nie pochodzi ona od ognia ani wulkanu, tylko od pograżonego w zimowym śnie niedźwiedzia. Rzekomy dym to jego oddech, który z przerwami wydobywa się na zewnątrz przez wytopioną tymże oddechem cienką szparę. Gdy zacznie się kopać (co obecnie w ogóle jest zahronione!), można się wkrótce dokopać do niedźwiedzia. Może się zdarzyć i tak, że obudzi się, a wtedy będzie na dobre rozeźlony, że mu się przeszkadza.

Miłość zaślepia, a zwierzętom przytrafia się to częściej niż ludziom. Kochają się jednak tylko w pewnych okresach, to znaczy w czasie godów, podczas cieczki i tokowania, lochania się i rykowiska bądź też łączenia się w pary, co dotyczy niektórych gatunków dzikich zwierząt.

Gdy wówczas jeleni, kozioł, łos lub karibu i w ogóle jakiś samiec z gatunku zwierzyny rądcowej znajdzie się z tyłu za samicą, zapomni o elementarnych zasadach ostrożności. To samo dotyczy głuszcza, cietrzewia, pardwy i wielu innych gatunków dzikiego ptactwa. Najłatwiej je podejść, gdy ptaki abierają się tu i ówdzie, a ich głosy niosą się hen, daleko, wabiąc samice.

Nie dość na tym, myśliwy sam może naśladować głosy i zwabiać dziką zwierzynę. Jelenie i byki łosi podejrzewają wtedy, że są to ginsy konkurentów i przychodzą, żeby im stawić czoło w polu. Trzeba jednak bardzo dużo ćwiczyć, a często nawet korzystać z odpowiednich instrumentów, żeby móc w sposób ludzko podobny imitować głosy zwierząt. Do naśladowania jeleni służą konchy, do naśladowania kozłów liście i tak dalej. Ale prawdziwy

znawca dokonuje tego wszystkiego posługując się własnymi ustami i zgiętą dłonią. Niektóre zwierzęta łatwo można przechytrzyć, inne w ogóle nie dadzą się nabrać. Kto zamierza przez dłuższy czas żyć wśród natury, a zwłaszcza wyżyć jedynie z polowania, powinien przedtem brać lekcje u mistrzów naśladownictwa, imitujących głosy dzikich zwierząt. Na pewno się to opłaci, a zarazem trudno sobie wyobrazić bardziej podniecający sposób polowania, niż wabienie za pomocą naśladowania zwierzęcego zewu. Ten, kto dysponuje wyłącznie jakąś prymitywną bronią, powinien dokonać próby zwabienia zwierzęcia na odległość rzutu oszczepem.

Osobliwą metodę stosują samce losi, żeby się jak najlepiej zaprezentować w czasie rui. Na wybranym miejscu wybijają przednimi kopytami płytki dół, w którym deponują swoje bobki, a następnie je moczą. Potem rozdeptują to wszystko na obrzydliwą papkę, której przenikliwa woń rozprzestrzenia się w okolicy. Wprost nie chce się wierzyć, że jest to zaproszenie na randkę. Toteż gdy myśliwy urządzi załadunek w pobliżu takiego „wabiącego” dołka, może mu się nadarzyć znakomita okazja. Łoś wróci prędzej czy później, żeby kontynuować dzieło lub powitać samicę na miejscu spotkania.

Nie wierzyłem własnym oczom, gdy polujący w lasach norweskiego Trondelagu mój przyjaciel Jaumo umoczył w takim „wabiącym dołku” obydwa końce wełnianego szala i założył go sobie na szyję. Namawiał do tego także i mnie. Nie miałem jednak ochoty.

To, co zrobił Jaumo i do czego chciał mnie przekonać, było tylko odmianą kamuflażu, prastarym podstępem łowczych ludów, mającym na celu upodobnienie własnej woni do woni zwierząt.

Maskowanie się za pomocą świeżych bobków jest dla białych myśliwych odrażające, a przecież bywa to jedyny sposób, żeby podejść z wiatrem bezpośrednio do zwierząt. Dlatego w nagłej potrzebie nie wolno odmawiać „maskowania się za pomocą smrodu” zwłaszcza wtedy, gdy trzeba się posługiwać prymitywną bronią.

Ten, kto wędruje wśród dzikiej okolicy, nie może poświęcić całego czasu wyłącznie polowaniu. Chce iść dalej, dążąc do jakiegoś określonego celu i przeważnie się porusza. Musi się więc starać o zdobywanie łupu po drodze. Nie może jednak nieustannie maszerować pod wiatr, toteż jego woń niejednokrotnie wyprzedza go o wiele mil.

W takich razach nie wolno mu iść prosto przed siebie, musi się posuwać zakosami. Wprawdzie cel wędrowki będzie ten sam, ale dojdzie do niego drogą okrężną, zbaczając z linii wiatru raz na lewo, raz na prawo. Jeżeli widnieją przesmyki i tropy pozwalające przypuszczać, że chadza tędy zwierzę i to pod wiatr względem myśliwego, musi się zatrzymać w odległości co najmniej stu metrów od przesmyku i przekroczyć go kilkakrotnie tam i z powrotem, tak żeby tropy po obu stronach znajdowały się w tej samej od-

ległości. Poza tym wędrowiec winien wejść na pobliskie wzniesienie, żeby mieć dobry punkt obserwacyjny.

Gdy wreszcie zobaczy w oddali zbliżające się z wiatrem stado, musi zająć pozycję w hok od biegnących zwierząt, lecz w takiej odległości, która pozwoli na pewny strzał. Tam, według wszelkiego prawdopodobieństwa, żadne ze zwierząt nie zwietrzy go, nie wypatrzy ani nie dosłysz.

Niektóre zwierzęta, na przykład losie, dzikie owce i różne inne mają zwykłą zataczać łuk przed poobiednią drzemką. Zawracają i przez chwilę idą obok pozostawionych własnych tropów, zanim się położą w bezpiecznej kryjówce. Mogą stamtąd obserwować, czy nie tropi ich wróg. Wtedy, ma się rozumieć, polującemu z podchodu myśliwemu nie może się powieść. Pod tym względem żadne inne stworzenie nie jest tak wyrafinowane jak afrykański dziki bawół, którego wielu znawców w ogóle uważa za najbardziej niebezpieczne zwierzę. Kiedy bawół orientuje się, że jest tropiony, zatacza wielki łuk powracając na własne tropy i sam napada na prześladowcę. Podczas gdy cała uwaga tropiciela koncentruje się na tym, co się dzieje z przodu, on sam zniemacka zostaje uderzony z tyłu. W ten sposób zginęło wielu i to nawet doświadczonych myśliwych.

Działo się to na skraju Wingfoot, rozległej plantacji kauczuku Goodyear Company na Sumatrze, gdzie byliśmy świadkami, jak tygrys uderzył na kłopot broni i wpakował sobie w czaszkę porcję ołowiu.

Długo administracja nie mogła się inaczej uporać z coraz to bardziej rozszalonymi tygrysami stanie się jasne, gdy się zrozumie stosunki panujące wówczas u bogatego Achmeda Sukarna. Z wyjątkiem nielicznych, do których przez kilka miesięcy powinno się zaliczyć także i mnie, istniał dla białych surowy zakaz posiadania broni palnej, a nawet obawa, że i tubylcy mogliby jej użyć do wywołania zamieszek i zorganizowania band rabunkowych. Na skutek tego tygrysy rozmnożyły się w zastraszający sposób. Ci władcy dżungli stali się tak pewni siebie, że po nocach przychodzili do wsi, żeby porwać świnie, kozy i kury, mimo że obory wznoszone były na palach okręconych drzewem kolczastym. Nie dość na tym, pojawił się jeden z owych przerażających man-eater*, którego ofiarą padło w ciągu pięciu miesięcy nie mniej niż jedenastu ludzi.

W obliczu ustawicznej groźby, wśród zatrudnionych na plantacji tysięcy dwustu robotników doszło do poważnych rozruchów i policja musiała w końcu udzielić przedsiębiorcy zezwolenia na posiadanie j e d n e j sztuki broni palnej. Nie dostał jej żaden z białych dyrektorów, tylko Chińczyk Kim Hong, który za czasów kolonializmu pracował na plantacji jako zawodowy łowca tygrysów. Gdy wreszcie po wielomiesięcznym załatwianiu for-

* Ludojad (shuc.)

malności nadeszła broni, okazało się, że jest nią stara dubeltówka. Nadawała się najwyższej do tego, żeby zastrzelić z bliska kilka kur. Do niczego więcej.

Kim wpadł jednak na pomysł, żeby ją wbudować w spring-gun*. Od szukał zgrzybiałego kacyka, który jeszcze pamiętał, jak to kiedyś robili gwardziści sułtana z Delhi. Rzeczywiście na rezultat długo nie czekano, mniej więcej w ciągu czterech czy pięciu tygodni udało się Kimowi zabić przegowanego rozbójnika, naturalnie nie man-eatera, który łaknął wyłącznie żywego ludzkiego mięsa, jakim ze zrozumiałych względów niki nie dysponował.

Właśnie wtedy, gdy gościłem w Wingfoot, Kim zajął się budową spring-gun i można się było temu przyrzec. Zaczął od tego, że zarzął czarną świnię, bo podroby były mu potrzebne na przynętę. Wsadził je do starego worka, a potem przez dwa dni włożył wzdłuż i w poprzek po okolicy, zwłaszcza tam, gdzie widniały świeże tygrysię ślady.

Trop o silnej woni ciągnął się aż do miejsca, które Kim obrał na budowę spring-gun. Okolica była porośnięta krzewami i wysokim na metr bambusowym zagajnikiem, nadawała się więc na kryjówkę, jako że tygrysy lubią się zakradać w takie miejsca.

Najpierw Kim kazał ścinać trzy tuziny grubych jak ręka pali, ale nie obok pułapki, tylko w miejscu oddalonym o kwadrans drogi, żeby nie wzbudzić podejrzeń rabusiów, które natychmiast zauważyłyby wyraźne zmiany w noczeniu. Pale były półtora- i półmetrowe. Zostały z jednej strony zastrzeżone, bo Kim chciał je mocno wbić w ziemię.

Wbito je w kształcie litery V, zostawiając u wierzchołka szczelinę szerokości dłoni. Z przodu pułapka miała jakiś metr szerokości, a boki po przeszło dwa metry długości. Wejście było na tyle wysokie, żeby się w nie zmieścił każdy dorosły tygrys. Była jednak coraz niższa ku tyłowi, a na końcu tak niska, że z trudem zmieściłby się w niej lew tygrysa, który by się wczoił do środka. Na koniec całą konstrukcję pokryto pozostałymi drągami. Obydwa boki i dach zasypano ziemią, tak że całość przypominała mały pagórek z mroczną norą. Żeby złudzenie było pełne, Kim dodatkowo zasadził na pagórku rozmaite krzewy, tworząc zarośla.

Potem przystąpił do rzeczy najważniejszej, do wbudowania starej dubeltówki. Zładował ją własnoręcznie wykonanymi nabojami, zawierającymi ołowiane kulki wielkości grochu. Dubeltówka została umieszczona na zewnątrz i to w najniższym miejscu pułapki. Tylko przez szparę sterczał do środka na długość palca wylot lufy. Żeby ją całkowicie unieruchomić, Kim zakleszczył kolbę i lufę drewnianymi klinami, a w dodatku owiązał wszystko mocnym drutem. Potem wziął solidny konopny sznurcek, przywiązał go

* Samostrzał (przepr. *ibm.*)

mocno do spustu dubeltówki, przelożył z tyłu przez bloczek i na powrót wprowadził do pułapki. Wewnątrz owiązał nim cuchnącą przynętę. Kim wetknął przynętę bardzo głęboko, aż do samego wylotu lufy i zadbał o takie ułożenie, żeby napinała do końca języczek spustowy broni.

Gdy tylko tygrys wpadnie na ślad wleczonej przynęty, tak długo będzie szedł tropem woni, aż w końcu trafi na spring-gun. Ponieważ zastanie tam całkowity bezruch i po długiej obserwacji upewni się, że nic mu nie grozi, stopniowo osłabi czujność i wejdzie do nory. A tam wewnątrz, im głębiej tym niżej, będzie się więc musiał czołgać na brzuchu i dotąd wypychać łeb pomiędzy schodzące się ściany, aż w końcu łeb znajdzie się tam, gdzie zaplanowano, to znaczy u wylotu starej lufy. Gdy tylko szarpnie pakupek z mięsem, huknie strzał i kawałki ołowiu ugrzęzną mu w mózgu.

Podobną metodę widzieliśmy w innym rejonie, mianowicie na Wyspie Nadziei na Oceanie Lodowatym. Samostrzelną pułapkę budowano tam jednak w sposób znacznie bardziej prymitywny niż spring-gun na Sumatrze, bo białe niedźwiedzie są o wiele mniej przezorne od tygrysów. To, co na Wyspie Nadziei wzniosło pięciu mieszkańców, stanowiących załogę stacji meteorologicznej, było po prostu drewnianą skrzynią z umieszczonym z przodu na tyle dużym otworem, żeby zmieścił się w nim łeb niedźwiedzia. Do skrzyni wkładano zjeżdżałe mięso fok i przymocowywano je drutem do spustu broni. Znając ciekawość niedźwiedzi wykorzystano ją w ten sposób, że w odstępach pięćdziesięciometrowych wbijano w śnieg rząd długich kijów i wieszano u góry łopoczące na wietrze kolorowe gałganki. Ponieważ niedźwiedzie polarne są z natury ciekawe, chciały rzecz obejrzeć z bliska. Szły wzdłuż kijów równie wytrwale jak tygrys cuchnącym tropem. Niedźwiedź dochodził więc do śmiercionośnej skrzyni, znajdował focze mięso i sam sobie zadawał śmierć.

Vilhjálmur Stefánsson, wielki nauczyciel kwestii życia i przetrwania na Arktyce, nauczał, że podróżnicy, którzy na Dalekiej Północy chcą wyżyć z polowania, winni się podzielić na dwie grupy. Jedna z nich wraz z całym bagażem powinna jechać jak najprostszą drogą psim zaprzęgiem, aż do końca dziennego etapu, nie zwracając uwagi na pojawiającą się dziką zwierzynę. Druga grupa przeznaczona wyłącznie do polowania musi przemierzać okolicę wielkim łukiem, tak aby wieczorem przybyć do wyznaczonego miejsca spotkania. Jeżeli zdobędzie na tyle ciężki łup, że nie zdoła go sama przetransportować, przywiezie się go później do obozu saniami. Ta grupa, która pierwsza dotrze do celu, w uprzednio ustalonym terminie zawiadomi o tym za pomocą sygnałów dymnych, w nocy świetlnych, a w czasie gęstej mgły kilkoma strzałami.

Podczas gdy na Dalekiej Północy grupa myśliwych nigdy się nie rozprasa, w lasach i górach rozdzielają się, bo z osobną zyskują większą szansę.

Mają tam ograniczone pole widzenia, toteż rozdzieleni zobaczą więcej zwierząt i więcej ich upolują. Należy uprzednio precyzyjnie określić miejsce zbiórki, żeby potem móc się odnaleźć.

Szeroko rozpowszechnione i całkiem zrozumiałe jest mniemanie, że miejscowy myśliwy lepiej zna tajniki polowania we własnym kraju niż ktokolwiek obcy. Czasami twierdzi się też, że uzdolnienia białych myśliwych nie dorównują zdolnościom ich kolorowych kolegów. Tego rodzaju uogólnienia są niesłuszne.

Oczywiście, człowiek, który poluje zawsze w tej samej okolicy, lepiej zna miejscową zwierzynę i jej zwyczaje od obcego przybysza. Na pewno też wśród ludzi pierwotnych i ich na wpół ucywilizowanych potomków zdarzają się wielce utalentowani tropiciele.

Gdy jednak biały myśliwy ma dostatecznie dużo czasu, żeby w nie znanym sobie terenie móc się zapoznać z rodzajem trupów i obyczajami zwierzyny, przeważnie wkrótce uzyskuje przewagę nad tubylcem. Według jakich kryteriów kolorowy myśliwy ocenia ślady i jakich używa podstępów, nie jest aż tak tajemnicze, jak się to początkowo wydaje komuś, kto w danym terenie jest nowicjuszem. Kto gdzie indziej był dobrym myśliwym, ten wkrótce się przyuczy. Podstawowe zasady łowiectwa są wszędzie jednakowe, musi się tylko zapoznać z miejscowymi warunkami i swoistymi cechami nie znanych sobie zwierząt. Krajowcom przeważnie brak zdolności do skomplikowanego kojarzenia. Nie umieją za pomocą logicznego rozpatrzenia rozmaitych okoliczności przewidzieć, co stwarza im największe szanse. Biały myśliwy, który dość długo przebywa na danym terenie, pewnego dnia nie weźmie na przewodnika tubylca, tylko przejmie dowództwo albo pójdzie samotnie.

Nie bez racji zapyta wielu miejscowych myśliwych, jak się przedstawia sprawa z najwierniejszym przyjacielem i czy nie przydałby się wśród odłudzi pies? Na co, niestety, będę musiał odpowiedzieć, że poza obrębem cywilizowanych krajów bardzo rzadko spotykałem myśliwych, którym towarzyszyłby czworonożny pomocnik. Zapewne ten i ów traper ma psa. Przeważnie jednak ma go tylko do towarzysztwa, nie zaś do pomocy w polowaniach.

Wśród pustkowi pies często bywa raczej przeszkodą, bo jego możliwości są nieproporcjonalnie małe do ewentualnych wymogów, a ponieważ dobry traper zawsze stara się położyć zwierzę jednym strzałem i bardzo rzadko musi go potem szukać, może zrezygnować z pomocy psa.

Nie może jednak zrezygnować z psów do zaprzęgu sni. Uwolnione od sznurów i puszczone luzem przez chwilę stawia czoła medźwiedziowi, a często jeden lub kilka z nich przypląca to śmiercią. Na lodzie, w zawianych śniegiem otworach do oddychania, pies odnajdzie fokę i inne płetwonogie, trzeba go jednak trzymać od nich z daleka na długiej linie, bo zaniepokoj-

ne zwierzęta nie ukazą się. Wreszcie w razie skrajnej konieczności mięso psów pociągowych ratuje ich właścicieli od głodowej śmierci. Dawnymi czasy niektórzy badacze polarni od razu zaprzękali je w charakterze prowiantu na drogę, by w końcu, gdy zgadzał się rachunek, powrócić w zdrowiu, ale bez psów.

Gdy poluje się, żeby przeżyć, a nie po to, żeby zdobyć cenne trofea, wysiłek musi pozostawać w jak najkorzystniejszej proporcji do ilości mięsa, które chce się zdobyć. Czyha się więc zawsze na zwierzę z największego gatunku, jaki można upolować w danej okolicy. Zawsze trzeba się też starać o zdobycie jak najtłustszego zwierzęcia. Za najlepsze pożywienie poczytywany jest samiec zwierzyny racicowej na krótko przed rykowiskiem. Na przykład z losia otrzymamy w tym okresie tyle mięsa i tłuszczu, że wystarczy go na cały rok. Począwszy od okresu godowego, aż do wiosny samice są bardziej pożywne od samców.

Jesienią zbierają plony nie tylko ludzie, lecz także wiele gatunków zwierząt. Te z nich, które nie przechowują zapasów w norach, gniazdach i innych kryjówkach, przemieniają je w tłuszcz, który je obrasta. Myśliwy, który w czasie jednego polowania chciałby zdobyć zaopatrzenie na cały rok, powinien oczywiście wyruszyć na łowy jesienią. Do sztuki polowania należy także umiejętność takiego zaplanowania i zrealizowania łowów, żeby jak najmniejszą ilością ofiar zaspokoić jak największe potrzeby.

Prymitywna i nowoczesna broń

Pomijając kamienie, maczugi i ogień, to znaczy rzeczy i zjawiska naturalne, pierwszą bronią myśliwską wykonaną przez człowieka był oszczep. Najstarszy ze znanych nam egzemplarzy tkwił pomiędzy żebrami słonia, którego znaleziono w głębi bagien i to nie w Afryce, lecz w Niemczech. Jest nim tak zwany oszczep z Leerungen, smukły kij dębowy, którego ostrze zostało zahartowane w ogniu. Jego wiek ocenia się na około stu pięćdziesięciu tysięcy lat.

I dziś, jak ongi bezbronny człowiek może sobie sporządzić podobny oszczep najdalej w ciągu pół godziny. O połowę młodszy i dlatego znacznie lepszy jest oszczep z Detteln. Jego ostrze zostało wyposażone w starannie oszlifowany kawałek kości z zęba mamuta. Także i tę broń można w razie potrzeby skopiować bez specjalnego wysiłku. Grot prymitywnego oszczepu, a więc oszlifowaną kość lub kamień wkładano w rozszczerzone z przodu drzewce. Potem owijano je bardzo mocno i dokładnie cienkimi przetluszczonymi rzemieniami lub ścięgna. Następnie trzymano nad zarzającym się ogniem. Tłuszcz wysychał, a rzemień kurczył się. Dzięki temu powstawało wyjątkowo trwałe połączenie oprawy z grotem.

Człowiek, który ma nóż, ma także i dziąg. Może on w identyczny sposób połączyć brzeszczot noża z oszczepem. Dzięki temu powstanie broń bardzo przydatna do pchnięcia lub rzutu.

Osobliwą odmianą dziędy jest diabelski przedmiot do polowania na goryle, który widziałem u leśnych ludów Gabonu. Składa się on z grubego półmetrowego drzewca z grotem wykonanym z kutego żelaza lub pociętych kości, zaopatrzonym w dwa zadziory. Nie jest on na stałe przymocowany do drzewca, lecz luźno na nim osadzony. Drzewce w połowie długości przywiązane jest grubym konopnym, metrowym sznurem do luźno osadzonego grotu.

Myśliwy podkrada się z tą bronią jak najbliższej ofiary. Gdy trafi, nieszczęsne zwierzę rzuca się do panicznej ucieczki. Wtedy grot zsuwa się

z draga, a jego okrutne zadziory nadal mocno tkwią w ciele zwierzęcia. Wlecząc ono za sobą drag na krótkim konopnym sznurze. Ponieważ jednak sznur przymocowany jest pośrodku draga, drag ustawia się w poprzek i prędzej czy później zaczepia się o poszycie leśne. Nieszczęsne zwierzę szamocze się i targa więzy, nie zdola jednak uciec i tylko powiększa swoje rany. Myśliwy wnet je dogania i z bezpiecznej odległości kładzie kres cierpieniom ofiary za pomocą strzały, rzutu oszczepem lub w jakikolwiek inny sposób. Natomiast zdolne do obrony zwierzę, jakim jest goryl, nie może już napaść na wroga. Zawisa bezradnie na zaczepionym dragu. Okrucieństwo tej metody nie wymaga komentarza.

Noże-rzutki używane do dnia dzisiejszego przez niektóre plemiona afrykańskie nie są aż tak okrutne. Do krótkiej rękojeści przytwierdzone jest ostrze wygięte w kształcie półksiężyca, a nawet dwa lub trzy podobnie wygięte ostrza. Rzecz polega na tym, że gdy się trafi taką bronią, istnieje maksymalna szansa co najmniej na przebitcie skóry w płaszczyźnie przekroju ciała zwierzęcia. Najczęściej myśliwi leżą w pobliżu wodopoju i czekają cierpliwie, aż jakieś zwierzę przyjdzie się napić. Z boku ciskają tą bronią w zwierzę z odległości około dziesięciu metrów. Gdy rzut jest celny, nie będzie ono długo cierpieć. Śmiercionośna broń od razu przetnie jej gardło na wyłot.

Znacznie bardziej znany jest bumerang australijskich aborygenów, który w czasie łowów wymaga tak szczególnych umiejętności, że w razie potrzeby bodaj nie nadaje się dla białego człowieka. Rzadko który z dzisiejszych aborygenów umie się nim jeszcze posługiwać. Na stacji misyjnej pod Hermannsburg zaprezentowano nam najlepszego miotacza, któremu z odległości około trzydziestu metrów dopiero za trzecim rzutem udało się rozwalić stare pudło do butów. A jednak kiedyś czarni Australijczycy umieli w ten sposób skutecznie zabić dzikie psy i małe kangury. Prawdę mówiąc, nie używają oni bumerangów, jak to sobie wyobrażamy, a raczej miotają długą, wąską i lekko wygiętą maczugę.

Mniejszym i znacznie bardziej wygiętym bumerangiem, który po udanym rzucie wracał do właściciela, rzucano w stada ptaków i zawsze kilka z nich spadało ze złamanymi skrzydłami. Nie widzieliśmy jednak nikogo, ani nie słyszeliśmy o nikim, kto umiałby to robić obecnie.

Co się tyczy łuku i strzały, o których w razie potrzeby myślimy jako o teoretycznie najprostszej broni, w szkołach survivalu nie przyucza się do władania nimi, ponieważ ich wykonanie byłoby na łonie natury zbyt czasochłonne i za bardzo kłopotliwe. Nie jest wykluczone, że można by je zrobić w dobrze wyposażonym domowym warsztacie, mając do dyspozycji potrzebne materiały, ale nie na pustkowiu, gdzie brak odpowiednich narzędzi i niesłychanie rzadko można spotkać odpowiednie drewno na taki łuk.



1. *Dszczęp z luźno zatkniętym grotem. Grot z kości lub metalu po rzuceniu zsuwa się z oprawy, jest jednak przywiązany rzemieniem. Gdy trafione zwierzę umyka, oprawa ustawnia się w poprzek i zaczepia o krzak!*

2. *Dmuchała z zatrutymi strzałami. Końce strzał są owinięte włóknem bawełnianym*

3. *Bolas*
Trzy okrągłe kamienie obciążają skórę i przymocowują do trzech sznurów o jednakowej długości. Chwyta się za jedną z kul, okręca się bolas nad głową i gdy się nabierze odpowiedniego rozmachu rzuca się nim w zdobycz



2.



3.

Zapewne wykonanie zwykłego łuku niedługo by trwało, lecz pozywienie można zdobyć wyłącznie za pomocą łuku myśliwskiego i specjalnych strzał o zdumiewającym zasięgu i sile przebicia.

U nas tylko niewielkie grono wtajemniczonych zna współczesny łuk myśliwski. Niezależnie od tego w Republice Federalnej Niemiec, a jak mi wiadomo we wszystkich krajach europejskich, istnieje surowy zakaz polowania na pomocą łuku i strzały. Inaczej ma się rzecz w USA, Kanadzie i w większości państw afrykańskich. W Ameryce są nawet wyznaczone specjalne terytory lowieckie, przeznaczone wyłącznie do polowania z łukiem, a na innych wyznacza się określone terminy lowieckie. Istnieje tam elita mistrzowska, która wyłącznie z łukiem i strzałą dybie na zwierzyinę łowną.

Niedźwiedzie i losie, lwy i hipopotamy, a nawet niektóre słonie upolowano strzałą wypuszczoną z łuku. Naturalnie jest to zadanie wyjątkowo ryzykowne i niezwykle trudne, które udaje się tylko nielicznym specjalistom.

Co do współczesnej kuszy, to jest ona znacznie sprawniejsza od średniowiecznych prawzorów, gdyż obecnie dysponuje się najlepszą stalą, ciężką i najbardziej sprężystych włókien sztucznych i gładkimi strzałami o aerodynamicznej linii. Z odległości pięćdziesięciu do sześćdziesięciu kroków przebijają one deskę grubości dłoni. W kilka lat po wojnie bywały w pewnej monachijskiej firmie, która na specjalne zamówienie produkowała kusze do polowania. Sam wtedy postarałem się o jedną i poszedłem polować na lachy. Jednakże ze względu na brak doświadczenia rezultat był w najwyższym stopniu opłakany. Tylko raz z odległości niespełna trzydziestu kroków udało mi się zabić niewielkiego odyńca. Strzała przebiła ciało na wylot i wyszła z drugiej strony, zawisając lotkami na skórze. Sprawny kusznik może taką bronią upolować nawet grubego zwierza. W każdym razie kusza podobnie jak łuk myśliwski ma tę przewagę, że nie czyni hałasu. Mimo to także i kuszy nie wolno u nas używać jako broni myśliwskiej. Można jednak przyjąć, że pośród obcych pustkowi, gdzie wolno strzelać z łuku, i ona znajdzie zastosowanie.

Inną bronią całkowicie bezgłosną jest dmuchała. W długą wydrążoną rurę, na którą najlepiej się nadaje bambusowy pręt, wsuwa się z przodu małą strzałkę. Jest ona umieszczona w środku miękkiej zatyczki, którą można wystrzelić za pomocą silnego dmuchnięcia. Żeby nią zabić grubszą zwierzyinę, musi mieć zatruty koniec, przy czym wchodzi w rachubę tylko taka trucizna, która nie sprawi, że zdobycz stanie się niejadalna; na przykład Indianie południowoamerykańscy używają kurary.

Ten, kto się znajdzie w tropikalnej dżungli i zna rośliny, z których można przyrządzić taką truciznę, nie będzie miał trudności z wykonaniem dmuchawy. Jednak nie tak łatwo trafić z niej zwierzę i człowiekowi nie mającemu wprawy może się to udać jedynie z bliska.

W powieściach o Dzikim Zachodzie często występuje lasso. Trudno się nim jednak posługiwać na polowaniu. Do rozwinięcia lassa potrzebna jest otwarta przestrzeń i zwierzę prawie nigdy nie przeoczy rzutu. W dodatku słyzy poświsł długiej liny. Toteż tylko wtedy, gdy myśliwy jest konno i może gonić zwierzę, zdola jej zarzucić pętlę na szyję lub biegi, o ile uda mu się podjechać dość blisko. Niektórzy kowboje z południowych stanów USA traktują to jako zaskakujący sport, mimo że władze myśliwskie spoglądają niechętnym okiem, a lasso jest właściwie przeznaczone do innych celów.

W przeciwieństwie do lassa tak zwane bolas na pewno przeznaczone jest wyłącznie do polowania. Wynalezione przez pierwotnych mieszkańców Patagonii, którzy polowali nim na guanaco (podrodzina dzikich lam) i nandu (strusiopodobny ptak biegnący), do dnia dzisiejszego służy okazjonalnie tamtejszym gauchos. Na ten sam pomysł wpadli Eskimosi i używają podobnego przyrządu do polowania na ptaki.

W zasadzie bolas jest lassem, do którego w pewnych odstępach przytwierdzone są kamienne kule wielkości pięści. Służy do gruchotania ofiarom kości, a przede wszystkim kości biegów. Podczas gdy lasso używa się głównie do chwytania żywcem, bolas ma zabijać, a co najmniej tak ciężko ranić zwierzę, żeby się już nie mogło podnieść i stało się dla myśliwego pewnym łupem. Szczególnie skuteczne jest polowanie za pomocą bolas, gdy składa się ono z trzech niespełna trzymetrowych, z jednej strony związanych ze sobą rzemieni. Na luźnych końcach rzemieni znajdują się obciążone skórą kamienne kule. Myśliwy bierze w rękę jedną z kamiennych kul i ruchem obrotowym wywija dwiema pozostałymi nad głowę. Potem, nie spuszczać ofiary z oka, ciska w nią bolas. Jeżeli trafi, rzemień obciążony kamieniami owija się wokół ciała zwierzęcia. Pętają je lub gruchocą mu biegi. Myśliwy czym prędzej lubija zwierzę nożem lub dźwig. Nie chciałem się jednak temu przyglądać, jest to chyba okropny widok.

Lżejszą odmianą bolas, składającą się z wielu cienkich rzemyków z lekkimi kamykami, bez wieloletnich ćwiczeń można miotać w zrywając się stado kaczek. Jeśli się jako tako uda, zaplączą się w nim i spadną ze dwie albo i trzy kaczki. Wystarczy trafić w skrzydło chociaż jedną.

Ów rodzaj procy do miotania kamieniami, której mały Dawid użył przeciwko wielkiemu Goliatowi, obecnie nie jest już nigdzie stosowany. Praca, jaką w razie potrzeby możemy sobie zrobić sami, wystarczy najwyżej do zabicia drobnej zwierzyny. Zanim Numarnicy, resztki eskimoskiego plemienia mieszkającego w głębi alaskańskiego lądu, przed około pięćdziesięciu laty doszli do posiadania broni palnej, byli tam łowcy futer, którzy z odległości trzydziestu kroków umieli z owej procy tak mocno trafić w lisa, że zwierzę padało martwe, a co najmniej ogłuszone.

Ogólnie rzecz biorąc, w poczet broni na pewno trzeba zaliczyć także i stalowe potrzaski fabrycznej produkcji. W zasadzie produkuje się je dla traperów polujących na zwierzęta futerkowe. Kule dziurawią futro i staje się ono bezwartościowe. Trzeba jednak powiedzieć, że dotychczas powszechnie stosowane potrzaski należą do najgorszych katowskich narzędzi, jakich kiedykolwiek używał człowiek przeciwko zwierzętom, bo nigdy nie dawały gwarancji, że zwierzę, które w nie wpadnie, natychmiast zginie. Jeżeli potrzask chwyci je tylko za nogę, biedne stworzenie nicraz przez wiele dni zność będzie mękę, zanim wyzwoli je śmierć. Musi się wykrwawić, zagłodzić lub zostać rozszarpane przez inne zwierzę. Czasem schwytywany więzień zdolny jest sam sobie odgryźć łapę i ucieść jako kaleka. Może się też zdarzyć, że przy chwyceniu przynęty zostanie złapany za dolną szczękę. W konsekwencji dopiero przybycie trapera kładzie kres długotrwałym mękom.

Mogą one trwać bardzo długo, bo linie sideł ciągną się dziesięć, a nawet i dwadzieścia kilometrów. Przewodnie traper zakłada równocześnie kilka rzędów sideł, które rozstawia w różnych kierunkach od chaty. Dobry traper zakłada do stu potrzasków, których nie może codziennie sprawdzać, zwłaszcza w czasie złej pogody i śnieżnej zimy. Futra, na których mu najbardziej zależy, nie na tym nie ucierpią, bo właśnie w zimie są one najlepsze.

Na każdy gatunek zwierząt są inne pułapki o różnej wielkości i działające w odmienny sposób. Futra mniejszych zwierząt, takich jak norka i gronostaj, które są przeznaczone na wyroby futrzarskie, nie mogą zostać uszkodzone uderzeniem ciężkiego potrzasku. Poza tym ciężki uchwyt z trudem udało umieruchomić filigranowe zwierzątko. Narzędzia mordu przeznaczone są dla wilków i niedźwiedzi, ostatnio jednak we wszystkich krajach zabroniono zastawiania na niedźwiedzie stalowych potrzasków, gdyż są one niebezpieczne dla ludzi.

Napięte potrzaski z założoną przynętą zakłada się na przesmykach zwierzyny. Muszą być niezwykle starannie zamaskowane i nie w pobliżu nie może zdradzać, że krzątał się tu człowiek. Trzeba je przysypać cienką warstwą ziemi, suchymi liśćmi lub śniegiem. Najczęściej wabi się zwierzęnę kawałkami mięsa. Pułapki — o ile w ogóle jest możliwe, żeby zwierzę, które się złapało mogło je za sobą wleść — powinny być dodatkowo przymocowane stalowym łańcuchem do najbliższego rosnącego drzewa.

Obecnie większość skór na modne futra pochodzi z farm zwierzyny futerkowej, gdzie ofiary zabija się szybko i bezboleśnie. Garść starych traperów z trudem wytrzymuje konkurencję z hodowcami zwierząt futerkowych i miejny nadzieję, że dzięki temu wkrótce skończy się polowanie za pomocą pułapek. Niestety, nie dotyczy to lampartów, ocelotów i spokrewnionych z nimi żbików, których hodowla i rozmnażanie są nieopłacalne. Będzie się na nie polować w mniej lub więcej legalny sposób, na przykład zakładając ok-

rutne potrzaski w otwartych rezerwatach łowieckich, niejednokrotnie sprawiając zwierzętom straszliwe wielodniowe męczarnie. Gdy wreszcie zjawi się myśliwy, nie chcąc uszkodzić cennego futra nie skroci mąk stworzenia jednym strzałem. Zabije je ciężką pałką lub żelaznym drągami. Każdy może sobie obliczyć, ile razy powtórzy się ten okrutny proceder, zanim zbierze się dostateczną ilość skór na pięknie skrojony futrzany płaszcz.

Gdy potrzebna jest żywność, w ostateczności można użyć i stalowych potrzasków. W ten sposób trudno jest jednak zdobyć smaczną dziczyznę, łatwiej o tykwate mięso młodych i średnich drapieżników. Na szczęście nie ma przemysłowej produkcji sidiel na zwierzynę rąbicową. Człowiek bez broni radzi sobie za pomocą opisywanych już przez nas wilczych dołów i pułpek.

W normalnych okolicznościach myśliwy nosi ze sobą broń. Zgodnie z tendencją zmierzającą w stronę specjalizacji ustawicznie rośnie ilość jej typów, kalibrów i rozwiązań konstrukcyjnych. Mimo to prawdziwy traper zabiera tylko jedną fuzję i to zawsze tę samą.

Kto pieszo przemierza dalekie szlaki, nie może nosić ze sobą więcej niż jednej sztuki broni palnej. Kto poluje wyłącznie w celu zdobycia żywności, tylko w razie pilnej potrzeby zabija drobną zwierzynę. Kaliber i skuteczność posiadanej broni pozwalają mu zabić zwierzę, z którego uzyska maksymalną ilość mięsa. Przy tym, jak poucza doświadczenie, myśliwy strzela najszybciej i najciszej, gdy posługuje się zawsze tą samą bronią.

Jaka więc powinna być ta broń? Na tak postawione pytanie nikt nie może udzielić wiążącej odpowiedzi. Zależy to od gatunku zwierząt, które przeważają w danym terenie i najbardziej nadają się do jedzenia. Jeżeli będą to duże zwierzęta, trzeba mieć dość duży kaliber broni. Gdy się uwzględni wielkość naszej zwierzyny, broń musi się nadawać do zabicia każdej sztuki, począwszy od siuty, a skończywszy na tłustym jeleniu. Nie można tak rozzerwać pociskiem małego zwierzęcia, żeby dziczyzna nie nadawała się do zjedzenia i odwrotnie, trzeba mieć jednym strzałem powalić rosnącego jelenia.

W Kanadzie i na Alasce potrzebna jest broń wielkokalibrowa, bo nie ma tam siuty, są za to ogromne losie i potężne niedźwiedzie. I wręcz przeciwnie, w Ameryce Środkowej trzeba się zadowolić względnie lekką bronią, bo żyje tam wyłącznie drobna zwierzyna, podczas gdy w Afryce (na południe od Sahary) traper musi używać broni, z której będzie mógł zastrzelić każde zwierzę, począwszy od smukłej antylopy aż po hawola afrykańskiego.

Kto poluje głównie w celu zdobycia żywności, nie sni o śrutówce. Zależy mu na tym, żeby jak najmniejszą ilością strzałów zdobyć jak największą ilość dziczyzny. Śrutówka niesie na krótki dystans, bo jest przeznaczona głównie do polowania na zające, króliki i dzikie ptactwo. Naboje śrutowe obciążają ponad miarę nawet wtedy, gdy każdy strzał jest celny, na co nikt nie może liczyć.

Natomiast dobremu strzelcowi wystarczy jedna kula do powalenia wielkiego losia, a więc do zdobycia od trzystu do pięciuset funtów jadalnej dziczyzny.

W czasie półtorarocznej wędrowki Vilhjálmur Stefánsson liczył każdy strzał, a także prawdopodobną wagę każdego zabitego zwierzęcia i w rezultacie na jeden nabój — wliczając w to pudła — przypadło sto dwadzieścia funtów dziczyzny. Najbardziej zaskakujący w jego wyliczeniach jest fakt, że w krainie wiecznych lodów na jeden nabój przypadło więcej mięsa niż na stałym lądzie. Co prawda Stefánsson strzelał także do niedźwiedzi polarnych, z których każdy przysparzał jego ekspedycji do tysiąca funtów żywności. W czasie trwania tej długiej wyprawy badawczej sprzed pięćdziesięciu lat, karmił prawie wyłącznie upolowaną zwierzyną nie tylko siebie, lecz także sześciu współtowarzyszy i tyleż psów z zaprzęgu sani, a przy tym zużył tylko tę amunicję, którą zabrał wyruszając w drogę. Miał raptem piętnaście pudełek po dziesięć naboju. Starczyły one do utrzymania uczestników wyprawy w pełni sił, na trasie wynoszącej siedem tysięcy kilometrów. Stefánsson używał Mannlichera-Schönauera 6,5mm, według dzisiejszych pojęć broni o wiele za słabej do polowania na olbrzymie medźwiedzie Dalekiej Północy. Lecz w jego rękach ten kaliber okazał się całkowicie wystarczający.

Broń myśliwego musi być bardzo solidna, żeby mogła stawić czoło wiatrom i śtorom. Nie można się ustrzec od silnych sztormów, jest wystawiona więc na deszcz i śnieg oraz na różnice temperatur.

Gdy kilka osób poluje popołudniu przez dłuższy czas, powinny one mieć taką samą broń o tym samym kalibrze. W razie czego mogą się podzielić nabojami. Jeżeli w dwóch fuzjach zostaną uszkodzone dwie różne części, to zawsze z dwóch popsutych da się zrobić jedną sprawną.

Czasami niektórzy myśliwi bardziej się interesują konstrukcją i balistyką swojej broni niż samym polowaniem. Produkcja naboju i konstrukcja broni wydają się mieć dla nich większe znaczenie niż ich zastosowanie w obwodach łowieckich, gdzie często zdarzają się nieoczekiwane sytuacje. Nie mogę jasno i jednoznacznie stwierdzić, jaka broń jest najbardziej uniwersalna wśród dzikiej natury; ani udzielać porad co do rodzaju amunicji. Jest to kwestia zapatrywania i w znacznym stopniu zależy od osobistego doświadczenia.

Kto przywykł wyruszać z jednostrzałówką, na pewno nie narzeka. Ma ona łatwiejszą i prostszą konstrukcję od karabinka powtarzalnego. Nie posiada magazynka, wyciągacza i innych skomplikowanych części, które na dłuższą metę nie mogą sprostać trudnym warunkom i złemu traktowaniu. Kurz i błoto zakłócają niekiedy prawidłowe funkcjonowanie wielu wystających części. Gdy wcisną się gdzieś listki, żółta trawa lub ziarenka piasku, to i owo może się czasem zaciąć. Jednostrzałówka nie jest aż tak wrażliwa,

jej solidny mechanizm nie zamie się z byle powodu. Można z niej jednak tylko raz strzelić i trzeba ją na nowo załadować. Jednakże dla dobrego strzelca, który nie naciśnie spustu, dopóki nie ma pewności, że odda śmiertelny strzał, jednostrzałówka jest odpowiednią bronią. Wśród myśliwych pierwszej kategorii broń ta uznawana jest za broń rasowego trapera. Przeciwno zdolnym do obrony i niejednokrotnie agresywnym zwierzętom, do których należą bawoły, nosorożce, słoń i wielkie drapieżniki, używa się dwururki. W miarę możliwości myśliwy stara się podejść jak najbliżej do zwierzęcia, pragnąc powalić je jednym strzałem.

Gdy strzelec musi mierzyć do drobnej zwierzyny celuje w łeb, żeby nie rozniosło cennej dziczyzny. Jeżeli podchodzi do zwierzęcia, które padło, ale jeszcze żyje, powinien je usmiercić szybkim cięciem lub pchnięciem noża myśliwskiego.

Jeśli postrzelone zwierzę zniknęło z pola widzenia, strzelec powinien odczekać. Natychmiastowe czy wręcz gwałtowne poszukiwania sprawią, że pożałowania godne stworzenie poderwie się na nogi, przedłużając tylko własne cierpienia i drogę prześladowcy. Biedne zwierzę winno spocząć w legowisku. Tam zeszywnieją mu członki. Gdy jest ciężko ranne, z trudem będzie się mogło dźwignąć. W każdym razie nie będzie już uciekać tak łatwo, jak przedtem. Możliwe, że zanim zjawi się człowiek, zwierzę już zdechnie. Jakkolwiek by było, myśliwy musi uczynić wszystka, by uwolnić zwierzę od cierpień, nawet gdyby wymagało to wysiłku i miało długo trwać.

Wskazana jest szczególna ostrożność, gdy myśliwy zbliża się do powalonego grubego zwierza. Widząc wroga i czując jego woń, zwierzę może się podierać i dobywając resztek sił zaatakować swego mordercę. Pod tym względem szczególnie niebezpieczne są bawoły i niedźwiedzie, które już niejednego myśliwego zabrały ze sobą do krainy wiecznych łowów. Należy podchodzić z gotową do strzału bronią i zawsze zwracać uwagę na to, czy zwierzę jeszcze oddycha. W razie wątpliwości należy się upewnić, rzucając mu w oczy garść ziemi lub liści. Jeżeli nie drgnie, na pewno już nie żyje.

Konieczność jak najoszczędniejszego gospodarowania amunicją nie pozwala myśliwemu decydować się na niepewny strzał. Myśliwemu, który poluje dla zdobycia żywności, nie wolno spudłować, żeby łalal nie wypłoszył okolicznej zwierzyny, bo w końcu poszukiwania zawiodłyby go zbyt daleko od domu, czego by zapewne nie chciał. Ludzie, którzy strzelają jedynie po to, żeby mieć co włożyć do garnka, postępują ze zwierzyną znacznie oględniej od myśliwych ogarniętych nieprzepartą żądzą polowania. Dopóki polujący na żywność jest syty, dopóty jego broń milczy.

Obok broni i naboju najważniejszym czynnikiem polowania jest lornetka. Sprawia ona, że człowiek ma orli wzrok, a także rozjaśnia zmiernych.

szkła powinny powiększać sześć- lub najwyżej dziesięciokrotnie, nie więcej, bo wtedy zmniejszy się pole widzenia. Poza tym lornetka powinna być tak lekka, żeby obiema rękami można ją było nieruchomo utrzymać przed oczami. Przez ciężką lornetkę tylko wtedy można dokładnie obserwować, gdy opiera się ona na nieruchomej podpórce. Nie tak łatwo ją znaleźć akurat wtedy, gdy jest potrzebna.

Chcąc ochronić wrażliwą lornetkę przed zdradliwie postępującymi w nią twardymi przedmiotami, powinno się ją nosić w miękkim pokrowcu z materiału lub ze skóry, a okulary przykryć łatwymi do zdejmowania wyczkami, by osłonić je przed deszczem i śniegiem.

Mówiliśmy już o tym, że zazwyczaj „więcej zwierząt przeczeka niż ucieka”, ważne jest więc cierpliwe poszukiwanie dzikiej zwierzyny za pomocą lornetki. Nowicjusze w „sztuce lornetowania” przeważnie popełniają ten błąd, że za często sięgają po lornetkę. Dany wycinek terenu należy dokładnie i uważnie obserwować przez jakies piętnaście minut. Potem kieruje się szkła na dalszy wycinek widnokągu. Potem na następny. Postępuje się tak, stopniowo obserwując teren najpierw z jednej, później z drugiej strony, aż przeszuka się wszystkie pasma. Wtedy wznawia się obserwację o piętro wyżej lub niżej, by tam z podziwu godną cierpliwością postępować w identyczny sposób. Na tym zajęciu może upłynąć wiele, wiele godzin, spędza się je jednak w sposób znacznie pożyteczniejszy, niż gdyby się miało przemierzać całą okolicę, podkradając się pieszo.

Gdy obserwator nie jest całkiem pewny, czy w tym lub w innym miejscu nie ma jakiegoś zwierzęcia, musi dokładnie zapamiętać dane miejsce i po upływie pewnego czasu znów mu się przyjrzeć, żeby ustalić, czy obiekt się poruszył i przesunął.

W czasie silnych mrozów nie należy przykładać lornetki do samych oczu. Trzeba zachować pewną odległość. W przeciwnym razie zapotniczą szkła.

Gdy poluje więcej osób, dobrze by było, żeby jedna z nich dysponowała najmniejszą lornetką o dwunastokrotnym, a nawet większym przybliżeniu. Może ona — z nieruchomej podpórki — użyć lornety wtedy, kiedy przez normalną lornetkę nie da się czegoś zidentyfikować.

Do dokładnej lokalizacji rozpoznanego, lecz znajdującego się bardzo daleko, zwierzęcia służy prawdziwa luneta, przybliżająca czterdziesto- lub sześćdziesięciokrotnie. Nasi strzelcy górscy zwą „spektralnymi” składane lornety, które można rozciągnąć na metr i obserwować, opierając je o nieruchomą podpórę. Dla myśliwych, którym zależy na jak najszybszym zdobyciu dziczyzny, tego rodzaju ciężki instrument jest zbyt kłopotliwy.

Na Dalekiej Północy, gdzie lasy i tu rzadsze niż u nas rosną tylko w dolinach, myśliwy z lornetką wspina się jak najwyżej na górskie zbocze, skąd już kątem obserwuje, co się dzieje na dole. W ten sposób może zajrzeć w głąb lasów.

W całkowicie płaskim terenie, tym bardziej na rozległych płaszczyznach pokrytych śniegiem i lodem, zwykle przecenia się odległość. W tym względzie nie pomaga nawet długoletnie doświadczenie. Natomiast w górach, gdy jest czyste powietrze, sprawa przedstawia się całkiem odwrotnie. Wydaje się, że jest znacznie bliżej niż w rzeczywistości.

Koniec końców, co się tyczy strzału, określa się to w myśl starego powiedzenia: gdy się wchodzi pod górę, jest już niżej... gdy się schodzi w dół, jest jeszcze niżej! Mówiąc to, ma się na myśli, że do stojącego u góry zwierzęcia trzeba celować nieco poniżej miejsca, w które celowałoby się w normalnych okolicznościach i jeszcze niżej, gdy się samemu stoi u góry, a zwierzę znajduje się pod nami. Cel wydaje się mniejszy niż wtedy, gdy jesteśmy na tym samym poziomie, bo patrzenie pod ostrzejszym kątem sprawia, że zwierzę widziane z boku wydaje się chudsze. To samo odnosi się do terenów położonych na wysokości tysiąca metrów nad poziomem morza albo i wyżej, gdzie rozrzedzone powietrze sprawia, że trzeba celować odpowiednio niżej. Jednak nowoczesna broń i pocisk o dużej płaskości toru, a więc o wydłużonej trajektorii sprawiają, że cała ta kalkulacja jest zbędna. Zresztą, gdy trzeba natychmiast strzelać, rzadko kiedy bywa ona niezawodna. Pomijając sytuacje wyjątkowe, najlepiej celować do obiektu w normalny sposób.

Przy dalekich strzałach oczywiście obniża się tor pocisku. Przeciętnie już po stu pięćdziesięciu metrach, zależnie od kalibru broni, z której się strzela.

Wtedy pocisk obniża lot średnio o pięć centymetrów na sto metrów. Należy to uwzględnić w swoich rachubach. Dobry strzelec zna jednak nośność własnej broni i wie z doświadczenia, jaką musi przyjąć nadwyżkę.

Jeszcze przed trzydziestu, czterdziestu laty myśliwi pod różnymi pretekstami nie zakładali na broń celowników teleskopowych, między innymi dlatego, że uznali je za prowizoryczny środek pomocniczy dla miernych strzelców. Dzisiaj nie myśli się już w sposób tak ograniczony i nawet zawodowi myśliwi powszechnie używają lunety celowniczej, bo nie tylko wielokrotnie powiększa zwierzę, do którego się celuje, lecz także rozjaśnia smierch. Mając lunetę celowniczą, wyraźniej niż za pomocą muszki i szarżbiny można zauważyć, czy broń nie drży w dłoni i czy się nie chwycie. Gdzie są zaloty, tam są i wady: celownik optyczny jest delikatny, może go uszkodzić lada gwałtowny ruch. Pozostanie jednak przez długie lata zdany do użytku, gdy się o niego odpowiednio dba. Powinno się go nosić w wyszczelnianym futerale i zakładać dopiero przed strzałem.

W czasie chłódów, a zwłaszcza podczas silnych mrozów, nie powinno się wносить lufy, lornetki i lunety celowniczej do ogrzanych pomieszczeń. Będą się wewnątrz „pocić”, a po wyjściu ta wilgoć zamrze. Na skutek tego zamkleszczą się zamki, a szkła będą oszronione. Nie pomoże wycieranie, bo zapotnieją i z zewnątrz, i od środka. Czasem może to długo potrwać, nim para

się ulotni. Tak więc broń i lornety zamyka się w szopie lub w obawie przed wroździejami ukrywa na najbliższym drzewie. Także i w domu powinny wisieć w suchej piwnicy lub w chłodnej sieni.

Wylot lufy winien być zawsze osłonięty pokrowcem. Chroni on przed śniegiem i kroplami deszczu, a także przed dostaniem się ziarenek piasku, kawałków liści i okruchów gałązek. Zanieczyszczenie lufy nie tylko wpływa na celność strzału, lecz także może doprowadzić do wyrwania zamka broni. Spowoduje też pęknięcie lufy i całkowite zniszczenie broni, a czasem nawet śmierć strzelca.

Na temat pielęgnacji broni nie da się powiedzieć zbyt wiele. Po skończonym polowaniu strzelbę trzeba starannie oczyścić, a gdy się z niej strzelało, należy przetrzeć wewnątrz lufę. Kto nie ma odpowiednich przyborów do czyszczenia, może się posłużyć sznurkiem z umieszczonymi na końcu krawkami materiału.

Co jakiś czas powinno się wyjąć zamek i wszystkie części delikatnie nawilżyć. Byle nie za obficie, bo zaleje się kolba i lufa. Niezależnie od tego przed rozpoczęciem każdego polowania trzeba przetrzeć wnętrze lufy.

Istnieje zresztą specjalna broń tak krótka i lekka jak piórko, że nie czuje się prawie jej ciężaru. Można z niej jednak położyć grubego zwierza. Jest to tak zwany survival-gun⁴, jeden z ważnych przyborów znajdujących się w worku zabieranym przez załogi samolotów wojskowych po to, żeby móc przetrwać w czasie przymusowego lądowania. Ten cud techniki ma zamiast lufy pałąk z lekkiego metalu, komora, języczek spustowy i bezpiecznik są natomiast proste i nieskomplikowane. Lufa jest względnie krótka, za to z najlepszej stali. Ładuje się ją jednym nabojem i można skutecznie strzelać zaledwie na odległość pięćdziesięciu do siedemdziesięciu metrów. W razie potrzeby musi to wystarczyć, a jak wykazuje doświadczenie, istotnie wystarczy. Survival-gun da się złożyć i schować do każdej głębokiej kieszeni, bo nie waży i trzech funtów. Nie jest jednak sprzedawana na wolnym rynku, bo za bardzo nadawałaby się dla kłusowników.

Do kłusowniczych praktyk od dawien dawna należało zabronione u nas polowanie z użyciem silnego światła. Kto znalazł się w prawdziwej potrzebie i mimo rzetelnej farygi nie upolował niczego w ciągu dnia, może nocą zapoławać na zwierzynę, dopomagając sobie światłem.

Myśliwy czyha na zwierzynę na jej przesmyku lub u wodopoju. Oczywiście kryjówka musi się znajdować pod wiatr, a myśliwy winien mieć w przygotowaniu latarkę. Gdy zbliży się jakieś zwierzę, zapala latarkę i świeci zwierzęciu prosto w oczy. Zwierzyna racicowa najdłużej znosi tę niespodziankę, niekiedy aż do pół minuty. Stoi bez ruchu jak zakłęta i gapi się w światło. Dzięki temu przypieczętowuje swój los.

⁴ Z ang. oznaczono karabin lub rewolwer (przyj. tłum.).

Pontaważ myśliwy nie może równocześnie przyświecać sobie i strzelać, wtyka lampę pomiędzy nogi lub trzyma ją w zębach. Może ją także przymocować do czoła.

W krajach, w których wolno polować nocą na drapieżniki, można kupić lampę nagłówną. Oprawka wraz z reflektorem przymocowana jest do szerokiej gumowej opaski, którą myśliwy zakłada na czoło. Jeden z elastycznych przewodów wieszki do umieszczonej w kieszeni baterii, drugi do wyłącznika przyciskowego przylepionego tuż obok języczka spustowego strzelby. Lepsza od niej jest z pewnością lampa myśliwska umieszczona na lufie i świecąca dokładnie tam, gdzie zwraca się wylot lufy. Oszczędza ona celowania za pomocą muszki i szczyrbiny, co możliwe jest tylko wtedy, gdy lampa równocześnie oświetla broń. Jeżeli nagle wynurzy się tygrys, pantera lub wilk, ma się raptem kilka sekund. Znicznacka zapalone światło poczytują one wprowadzić za błyskawicę z ciemnego nicba, pioszą się jednak, gdy ta błyskawica trwa nienaturalnie długo. Błysk i strzał muszą nastąpić tuż po sobie.

Kuchnia pozbawiona komfortu

Ja być Apolinary — uśmiechnął się czarny — i ja się przedstawiać, ja być kucharz monsieur i madame.

Rzeczywiście nosił to imię, pobożny misjonarz nadał mu je na chrzcie ku czci świętego Apolinarego, z którego dzielny młodzieniec z plemienia Kokotów * miał brać przykład. Bądź co bądź nasz Apolinary zaszedł już tak daleko, że z prawie nagiego dzikusa z głębi buszu awansował na szefa kuchni pułkownika Thibaut, któremu podlegały sprawy polowań i kłusownictwa na terenie całej kolonii. Odpowiednio godny był wygląd jego kucharza. Znakomicie odprasowany garnitur z białego lnu opinał krępa sylwetkę, na nogach miał wyglansowane skórzane buty, a na powitanie zerwał z nauliowanej fryzury sztywny tropikalny hełm. Sprawił sobie także okulary (ze szkła od lornetki), dzięki którym miał uchodzić wśród towarzyszy plemiennych za człowieka wyjątkowego. Mimo chępliwości Apolinary sprawiał dobre wrażenie, chciałoby się rzec wręcz za dobre, bo jak na safari po wertepach buszu był właściwie zbyt wytworny. Jednak pułkownik Thibaut, który tego dnia wyjechał na urlop do kraju, polecił nam swego kucharza tak kategorycznie, że nie mieliśmy w ogóle wyboru.

Był to pomyślny układ, bo z jednej strony w czasie nieobecności szefa Apolinary znalazł się pod dobrą opieką, z drugiej zaś mieliśmy człowieka, który poza kucharzeniem mógł nam służyć jako tłumacz.

— Czy to znaczy, że umiesz gotować tak jak biali? — zapytała Marianna, choć właściwie rozumiało się to samo przez się, bo już od lat służył w domu Thibaut.

— Ja móc wszystko zrobić jak madame pułkownik... pierwszorzędny kuchnia z sam Paryż...

Brzmiało to nad wyraz przekonująco i na pewno w głębi afrykańskiej duszy nie liczyliśmy na taki luksus.

* Kokotosi lub Makari, afrykańskie plemię na południu Czadu (przepr. *idem*).

— Kiedy sobie wyobrazę — powiedziała Marianna — jak ubrany na biało kucharz serwuje nam wyszukane przekąski... doprawdy w naszym obozie nie będzie zbywała na elegancję.

Gdy jednak rozbiliśmy pierwszy obóz w cieniu rozłożystej akacji nad brzegiem rzeki Chari, Apolinary miał na biodrach nader skąpą opaskę, która przykrywała tylko to, co musi być zakryte. Pomyśleliśmy, że to strój podróżny na pełną kurzu drogę i że do obiadu przywdzieje niezakazaną biel. Okazało się jednak, że ów piękny garnitur, podobnie jak buty i hełm, Apolinary wypożyczał i zakładał tylko „pour faire joli”*, jak nas zapewniał z rozbrajającą naiwnością.

— Która puszka brać, madame, co państwo zjeść?

I dorzuczał, że doskonale zna się na tym, jak się otwiera puszkę z konserwami. Nasz kucharz umiał nawet podgrzać ich zawartość, trzeba mu tylko było powiedzieć, jak długo garnek ma stać na ogniu. Potem nakładał na tulerze i podawał do stołu.

— Ja bardzo prędko otwierac konserwa — uśmiechał się z dumą — ja się dobrze nauczyć od moja madame.

Taki więc był ten znakomity paryski kucharz! Prawdopodobnie rodzina szefa kłusowników odżywała się głównie konserwami sprowadzonymi z Paryża. Apolinary nie umiał odczytać napisów i kierował się głównie obrazkami na etykietkach.

Przeżyliśmy więc gorzkie rozczarowanie już choćby dlatego, że nie zabraliśmy ze sobą dostatecznej ilości konserw. Przede wszystkim chcieliśmy się odżywiać upolowaną dziczyzną. Do jej przyrządzenia, na dobrą sprawę, Apolinarygo nie można było dopuścić. Marianna sama musiała się tym zająć. Pozostało mu więc zmywanie i tłumaczenie poleceń miejscowym tragarzom. Uprzejmy ten człowiek starał się jednak pomagać, jak umiał. Przeważnie chadzał z nami na polowania, dźwigał kanister z wodą i władczo dbał o dobre sprawowanie się reszty czarnych.

Pewnego ranka wzięliśmy oprócz niego jeszcze tropiciela i dwóch tragarzy. Reszta miała w tym czasie zwinąć obóz i udać się z całym bagażem o dzień drogi w górę rzeki. Mieliśmy się spotkać wieczorem. Miejsce zostało dobrze wybrane i nie trzeba było niczego wyjaśniać. Wznosił się tam z dala widoczny, łysy skalny stożek.

Był upalny dzień. Widzieliśmy niewiele zwierząt, bo wszelka zwierzyna wycofała się w głębokie cienie gęstwiny. W ciągu dnia upolowaliśmy jedynie tłustego guźca. Zastrzeliłem go na prowiant dla ludzi, bo jego krótkimi krzywymi kłami nie było się co popisować. Dwaj czarni niesli świnię na drągu i szli żwawo, jak nigdy dotąd, bo ich kroki uskrzydlał przedsmak syntetycznej kiełbki.

* 3. franc. „żeby ładnie wyglądać” (przyp. tłum.)

Gdy przybyliśmy na umówione miejsce, nie znaleźliśmy ani obozu, ani pozostawionych w nim ludzi. Ponieważ zbliżał się wieczór, nie należało oczekiwać, że zjawią się jeszcze tego samego dnia. Żaden czarny nie zgodziłby się wędrować w czasie zapadających ciemności. Nocami grasuje za dużo upiórów i żarłocznych drapieżników. Lepiej zostać na miejscu, rozpaść ogień i pod jego osłoną przeczekać do następnego dnia.

Od wczesnego ranka nie mieliśmy nic w ustach. Wszystkie garnki i naczynia wraz z pozostałym wyposażeniem obozu zostawiliśmy tragarzom. Nic można było zrobić nic innego, jak upiec na rożnie kilka kawałków guźca.

— Lepiej, monsieur, upiec w prawdziwy piec — zaproponował Apolinary.

— Na pewno byłoby lepiej, tylko niby skąd mielibyśmy wziąć piec?

— Ja zrobić piec bardzo prędko — wyjaśnił skwapliwie kucharz — być na to bardzo dobre miejsce.

Marianna powiedziała, że powinienem go zostawić w spokoju. Może przy okazji będziemy się mogli czegoś nauczyć.

— No, cóż, pięknie Apolinary, więc buduj ten swój piec.

— Ja zrobić piec jak Koroko... być lepszy jak żelazna piec madame pułkownik.

Powiedział te ważne słowa i z miejsca zabrał się do roboty.

Z najbliższego drzewa kucharz odciął siekierą grubą gałąź, zaostrił z jednej strony i poszedł z nią na nadbrzeżną skarpe. Na odległość ramienia od skraju trzy- lub czterometrowego stoku wbił gałąź pionowo w ziemię na głębokość metra, potem stanął obok stromego urwiska i obiema rękami zaczął wygrzebywać poprzeczny korytarz. Wyglądało na to, że nasz tropiciel zna jego zamiary, bo dzielnie mu pomagał. W ten sposób powstawała na skarpie niewielka nora, na tyle jednak obszerna, że mogła się w niej zmieścić cała świnka. Przy okazji dokopali się do pala, który przedtem Apolinary wbił w ziemię. Obecnie został on wyciągnięty przez pionowy otwór szeroki na trzy palce, którym miał potem uchodzić dym. Chyba nie można by zbudować komina w łatwiejszy i prostszy sposób. Apolinary zrobił piec zbliżony kształtem do ulara, o sklepionym wnętrzu, płaskiej podłodze i względnie małym otworze wlotowym. Kazał jeszcze przynieść z rzeki mokrej gliny i wysmarował nią ściany.

W tym samym czasie nasi tragarze zdążyli ściągnąć ze świni ciemnoszarą, lśniącą się z brudu skórę, a także odciąć łeb i nogi. Wszystkie wnętrzności umiemy z niej, rzecz jasna, zaraz po zastrzeleniu. Było jednak za wcześnie na to, żeby ją wsadzić do pieca. Przedtem wypełniono go równo ułożoną stertą drewna. Płomień buchnął już od pierwszej zapalki, co w głównej mierze należało zawdzięczać znakomitemu przewiewowi komina. Apolinary zadowolony z efektu, zostawiając tylko niewielką szparę i prosił, żeby oka-

zać jeszcze trochę cierpliwości. Okazywaliśmy ją mniej więcej przez pół godziny. Potem budowniczy wyrwał glinę, którą zalepił otwór i gęsto ułożoną gałęzią wymiół głównie i rozżarzony popiół. Wilgotne gliniane ściany stwardniały w ogniu na kamień i był z nich potężny żar. Kuchary czym prędzej ułożył wewnątrz warstwę zielonych liści i położył na nich świnie. Potem zalepił otwór mokrą gliną, tym razem całkowicie. Na koniec zatkał kamieniem także i wylot kominu, żeby z pieca nie uchodziło ciepło.

Podczas gdy krótki zmierzch został połączony przez noc, my nadal musieliśmy czekać, a nasza wytęskniona potrawa leżała w zamurowanym piecu.

— To trwa już blisko godzinę — zwróciłem się do Apolinarego. — Jesteśmy coraz bardziej głodni!

— Biały człowiek patrzyć na zegar, dlatego wiedzieć, kiedy być głodny... czarny człowiek nie mieć zegar, dlatego być zawsze głodny.

Doświadczenie podstępnie mu, że świnia zdążyła się już dobrze uprzyżyć. Rozbił kamieniem na kawałki zamurowany otwór pieca. Leżała w nim upieczona na złocisto-brązowy kolor i wyglądała nadzwyczaj apetycznie.

Podzieliłiśmy chrupiące mięswo, trzymaliśmy w rękach gorące, ociekające tłuszczem kawałki i jedliśmy łapczywie. Każdy kęs był kruchy, soczysty i niezwykle smaczny. Nawet gdybyśmy nie byli tacy głodni, musielibyśmy uznać tę pieczoną świnie za najlepszą potrawę od wielu tygodni.

— A jednak jest to znakomity kucharz — powiedziała Marianna.

— Tylko przejściowo zdeprawowany przez cywilizację — przytaknąłem — ale jeżeli nadal będzie gotował jak dzicy Kukotośi, codziennie będziemy ucztować.

Tak się też i stało. W mistrzowskich dłoniach Apolinarego nawet najtwardsza perliczka zamieniała się w smakowitego pieczonego kurczaka. Piekl krokodyle ogony, które smakowały jak indyki, a z mięsa hipopotamów robił soczyste befsztyki. Jego zupy z utartej trawy słoniowej, kotlety schabowe z antylapy gnu i befsztyki z elandów należały do największych smakolików, jakie kiedykolwiek oglądaliśmy na naszych blaszanych talerzach.

Za nic na świecie żaden inny Afrykanin nie umiałby tak smacznie przyrządzić upolowanej złośnicy. Pierwszorzędnego kucharza spotyka się wśród dzikich równie rzadko, jak w drogich hotelach. Apolinary był artystą w swoim zawodzie. Nigdy nie spotkaliśmy czarnego, który z równym powodzeniem pochwyciłby się rodzimej sztuce kulinarnej. Szkoda tylko, że Apolinary nie mógł zaprezentować swich umiejętności w europejskiej kuchni. Oczywiście nie widział pokrewieństwa pomiędzy własnoręcznie wygrzebanym piecem na nadbrzeżnej skarpie i elektrycznym piecykiem w kuchni pani pułkownikowej. Poza tym miał myśleć mniemanie, że wszystkim białym znacznie lepiej smakują konserwy z blaszanych puszek niż świeża żywność z buszu. Dopiero owego wieczoru, kiedy przejściowo znalazł się w przymusowym położeniu, odważył się powrócić do starych praktyk.



W skraj stoku wciska się drąg. Z boku wykopuje się dziurę wciągającą drąg i wydrąży się stożkoła niego jamę w kształcie ula. Na koniec wyciąga się drąg, a jamę wylepia się mokrą gliną.



Podobny piec wolnostojący. Rusztowanie z gałęzi i gałązek należy z zewnątrz i od środka obkleić mokrą gliną. Już pierwszy żar wypali glinę, tworząc z niej twardą ścianę.

Pieczenie i gotowanie najprostszą metodą



Wyrzebuje się w ziemi dół kuchenny o głębokości pół metra. Na dnie dołu uклада się kawałki mięsa owinięte w duże liście i świeżą trawę. Następnie przysypuje się wszystko ziemią i rozpala się na niej ogień.

Do budowy pieca, jaki zrobił Apolinary, potrzebna jest skarpa, gliniaste podłoże i bliskość wody. Gdy jednak mamy do dyspozycji glinę, krzewy i wodę, obejdzie się bez skarpy. Z gałęzi i konarów buduje się szkielet pieca. To podobne do kosza rusztowanie pokrywa się z zewnątrz wilgotną gliną, a od środka wylepia się warstwą grubości pięści. Tak przygotowaną kopułę, zaopatrzoną w wyciąg dymowy, wypalamy od środka na kamień, podobnie, jak to zrobił Apolinary na nadbrzeżnej skarpie. Piec zbudowany na rusztowaniu nie jest jednak równie szczelny jak piec na skarpie.

Mokra glina może się zawsze bardzo przydać, gdy się nie ma garnka ani brytfanny. Surowe mięso oblepia się grubą na trzy palce warstwą gliny. Następnie wkłada się tę bryłę w żar ogniska i przykrywa ją wypalonymi polanami. Nie muszą się one palić płomieniem, żar tłącego się drewna jest bardziej odpowiedni. Powinien jednak grać równomiernie ze wszystkich stron. Pieczeń jest gotowa najdalej w ciągu godziny. Rozbija się twardą wypaloną skorupę i ma się gotowe danie.

Mniejszą zdobycz jak cietrzewie i cyrunki należy wypatroszyć, ale nie trzeba jej skubać. Ich pióra przylgną do wypalanej gliny i same wyjdą z upieczzonego ptaka. Poza tym taki sposób przyrządzania ma tę przewagę, że wszystkie sok zawierający składniki odżywcze i witaminy pozostaną wewnątrz potrawy. Nie ulotni się ani nie wyparuje. Starym cygańskim sposobem przyrządza się tak jeze i jeżozwierze. Oszczędza to uciążliwego usuwania igiel. W glinie piecze się także ryby razem ze skórą.

Gdy brak mokrej gliny, od hieły można użyć mokrej ziemi. Musi jednak ściśle przylegać, kiedy wkłada się bryłę do żaru. Dla pewności można ją jeszcze owinąć mokrymi liśćmi. Zanim się zwęgla, gruda zdąży zapiec się w ogniu.

Traper może sobie przyrządzić potrawę na wiele różnych sposobów, na przykład w tak zwanym dole piekarskim. Jest obszerniejszy od glinianego opakowania i sięga na jakieś pół metra w głąb ziemi. Mięso mie się na kawałki wielkości pięści. Ryby, o ile nie są większe od pstrągów, tylko się patroszy. Podobnie postępuje się z małymi zwierzętami, z których jednak trzeba przedtem ściągnąć skórę. Potem owija się ryby, czy też kawałki mięsa w duże świeże liście lub otula zieloną trawą. Następnie kładzie się zawiniątko na dnie dołu. Przysypuje się je na grubość palca warstwą ziemi lub piachu. Na wierzchu rozpala się ogień, który musi płonąć co najmniej przez godzinę. Potem rozsuwa się żar, najlepiej za pomocą dwóch rozwidlonych gałązek, i wyciąga się rozprazone zawiniątko. W podobny sposób można przyrządzać jarzyny, małże, prątki i ślimaki.

Może się zdarzyć, że ziemia będzie za twarda, żeby wykopać dół. Zamiast kopać wkłada się w ogień tuzin albo i więcej kamieni wielkości pięści i zostawia się je na niespełna pół godziny. Potem się czeka, aż ogień wypali się do dna

wkłada pomiędzy rozpalone kamienie owinięte w liście ryby, mięso bądź też jarzyny. Przykrywa się z wierzchu pozostałymi kamieniami i okrywa liśćmi, trawą, trzcinią lub trawą morską, poczem zasypuje się piaskiem, żwirem i ziemią. Mniej więcej po upływie godziny potrawa jest gotowa.

Gdy trzeba przygotować większą ilość jedzenia, poleca się jeszcze inny sposób. Wykopuje się w ziemi dół, którego szerokość jest dwa razy większa niż głębokość. Przykrywa się go długimi świeżymi gałęziami grubymi jak ramię, w których jeszcze krążą soki. Układa się na nich tuzin różnej wielkości kamieni, poczynwszy od małych, jak zaciśnięta pięść, a skończywszy na takich jak główka małego dziecka. Kamienie obkłada się i przykrywa warstwami suchego drewna. Zapala się je i muszą płonąć dotąd, aż się zwęgla grube gałęzie leżące pod spodem. Gałęzie te załamują się i rozpalone kamienie wpadają do dołu. Uprzednio rozpala się drugie ognisko i rozgrzewa się w nim jeszcze większą ilość kamieni.

Po chwili za pomocą rozwidlonych gałęzi usuwa się z dołu kamienie, popiół i rozżarzone resztki drewna. Potem wtacza się do dołu kamienie z drugiego ogniska. Przykrywa się je warstwą ziemi lub piachu, na wierzchu kładzie się mech, trawę, liście albo sypie się żwir. Wreszcie przychodzi kolej na przyszłe danie, to znaczy na mięso, ryby czy też jarzyny. Potem znów przykrywa się wszystko liśćmi, mchem, żwirem i jeszcze jedną warstwą piachu, a na wierzchu kładzie się drugą warstwę rozpalonych kamieni. Na zakończenie usypuje się nad tym kopczyk ziemi.

Zależnie od rodzaju potraw może to trwać od pół godziny do kilku godzin, zanim wszystko się upieczce. Za każdym razem tylko doświadczenie decyduje, kiedy należy odkryć dół.

Naturalnie i ta metoda ma swoje dobre strony. Potrawy nadal zachowują wartość odżywczą i witaminy. Umiarkowana i równomierna temperatura wpływa bardzo korzystnie na smak i zdrowotność potraw. Kiedy na safari wyczerpią się zapasy żywności lub polowanie da kiepskie wyniki, skąpe dania powinno się wyłącznie gotować. W ten sposób można się najlepiej posiłkować. Gdy się osłabło z głodu, organizm najłatwiej przyswaja lekko strawne gotowane potrawy.

Co się tyczy samych jarzyn i innych jaskich dań, traper nie potrzebuje ani dołu piekarskiego, ani nie musi rozgrzewać kamieni. Czeka, nim zgaśnie ogień, odgarnia resztki żaru i po prostu kładzie warzywa na gorącej ziemi. Gdy potem przykryje je rozżarzonym popiołem wystarczy tu całkowicie, żeby warzywa nadawały się do jedzenia. Także i w tym wypadku doświadczenie podpowiada, kiedy je trzeba wyjąć. Gdy się nie ma doświadczenia, trzeba od czasu do czasu uszczknąć kęs i spróbować, czy danie jest już gotowe.

Niezależnie od doświadczenia nie każdy kucharz wie o tym, że można



Wykopuje się nieckę i wykłada skórą odwróconą włosami do ziemi. Dno pokrywa się drobnymi kamyczkami. We wgłębieniu wlewa się zupę którą można ugotować za pomocą rozpalonych kamieni

Zamiast garnka można się posłużyć dużym głazem, który ma odpowiednią wgłębienie. Do płynu wrzuca się gorące kamienie, a dookoła głazu rozpala się ogień



Gruby pręt bambusowy w roli garnka. Wodę doprowadza się do stanu wrzenia, wrzucając rozpalone kamyczki bądź też wręcz za pomocą słabego ognia



gotować zupę bez garnka. Ten, kto upolował jakieś zwierzę, wygrzebuje w ziemi wgłębienie wielkości garnka i wykłada je skórą ściągniętą ze zdobyczy, włosami do spodu. Potem wlewa się do niej wodę albo posokę, wkłada walec, małe kawałki mięsa, szpik kostny bądź też jagody lub inne owoce. I żarów upala się w ognisku kamienie. Następnie wtacza się je do prowizorycznego garnka i czeka, aż się zupa ugotuje. Przeważnie wystarczy już pierwszym razie stopniowo dorzuca się rozpalonych kamieni. Chcąc zapobiec minimalnemu skurczeniu skóry, należy uprzednio wrzucić na dno garnka kilka drobnych nie nagranych kamyczków. Sprawia ono, że rozpalone kamienie nie będą stykały się bezpośrednio ze skórą.

Garnek można także zrobić i bez skóry, zastępując ją brzoźową korą. Najpierw moczy się korę, żeby była elastyczna, potem formuje z niej naczynie. Powstaje ono poprzez zagięcie rogów ku górze. Zakłada się na siebie wszystkie cztery rogi i przetyka przez nie gałązkę, żeby się trzymały. Potem do tego brzoźowego naczynia wlewa się zupę i wieszka się je nad ogniem. Kora jest nasiąknięta wilgocią i opiera się działaniu ognia. Trzeba tylko uważać, żeby płomień nie sięgał ponad poziom zupy. W naczyniu z kory brzoźowej, podobnie jak w naczyniu ze skóry, można gotować posiłki. Dno trzeba jednak pokryć warstwą drobnych nie nagranych kamyczków.

Można się, oczywiście, posłużyć wgłębieniem w jakimś głazie. Wlewa się do niego zupę i gotuje ją za pomocą rozpalonych kamieni. Jeżeli wgłębienie znajduje się w niezbyt dużym głazie, ogień rozpala się wokół niego. Po chwili cały głaz będzie tak gorący, że płyn zacznie się gotować. Ponieważ niewielkie kamienie podobnie jak kafele w piecu długo utrzymują ciepło, ogień już dawno zgaśnie, a zupa wciąż będzie wrząca.

Jak wiadomo, każdy bambus jest wewnątrz pusty, lecz podzielony w środku poprzecznymi przegrodami. Ścina się pomiędzy pierścieniami bambusa grubości 1/2 cala i ma się potrzebne naczynie. Ponieważ zielony bambus, w którym na domiar znajduje się płyn, bardzo wolno się zwęgla, może natomiast służyć jako naczynie. Jeżeli się go nie postawi na ogniu, tylko będzie się gotować za pomocą nagranych kamieni, można go będzie używać mieszającami.

W bambusowej rurze można — gdy się zechce — przyrządzić sobie trochę węża. W tym samym czasie, gdy ktoś ucina zwierzęciu łeb i ściągają jego skórę, druga osoba rozszczebia na całej długości grubego bambusowego pręta na połowę i usuwa ze środka przegrody. Następnie wkłada węża do jednej z wydrążonych połówek, przykrywa drugą i obie razem mocno owiązuje sznurkami trzciny. Wąż leży jak w rurze, a rurę wsuwa się w żar ognia. Po upływie od dziesięciu do piętnastu minut daje się słyszeć trzask.

Pieczeń bez patelni

Rybę, kawałki mięsa, ciasto na chleb lub cokołwłok innego nadzicie na kij i wtknąć go ukośnie w ziemię, aby znalazły się nad ogniem

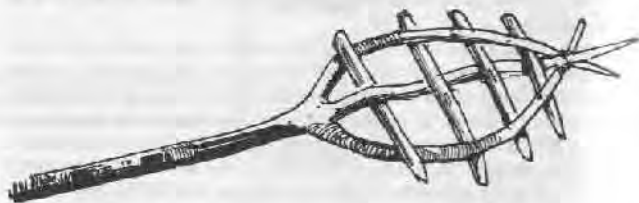
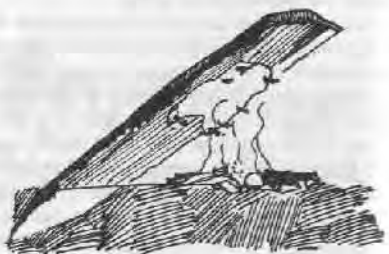


Rożen do obracania

Rybę lub płaty mięsa przybić do deski i opiekąć nad ogniem



Ruszt z zielonych prętów wierzbowych. Ułożyć kawałki mięsa i trzymać nad ogniem



Spieczona na brzą bambusowa rura pęka, a zawartość jest gotowa i soczysta. Gad ma smak pieczonego węgorza. W ten sposób, to znaczy w bambusowej rurze, można przyrządzać cienkie jak palec i grube jak pięść paski świeżego mięsiwa. Każdy, kto widział monachijski festyn październikowy, zna „wtykane rybki”. Wyciąga się je, odcina łeb i ogon, nadziewa na grube jak palec wierzbowe wtki i wtyka się je ukośnie w ziemię obok warstwy rozżarzonego węgla drzewnego. Co jakiś czas obraca się je. Nim minie kwadrans, można częstować klientów pieczonymi rybkami.

W podobny sposób można smażyć ryby na drewnianych deszczulkach. Wypatroszoną i rozciąętą rybę kładzie się — środkiem na zewnątrz — na cienkiej deseczce. Przytwierdza się ją do niej dwiema małymi zastrzonymi gałązkami. Następnie ustawia się deseczkę skośnie nad ogniem. Płomień nie powinien jej dotykać, a jedynie mocno ją przypiekać swoim żarem. Po upływie piętnastu do dwudziestu minut ryba jest usmazona i w dodatku znajduje się na gorącym drewnianym talerzu.

Gdy brak patelni, filety i befsztyki lepiej piec na rożnie. Krajce się mięso na kawałki nie większe od piąstki dziecka. Dziurawi się je nożem i nawleka jeden po drugim na świeżo ściętą gałązkę o grubości palca. Przez trzy do czterech minut obraca się ją wewnątrz płomienia, żeby mięso się zapiekło i nie puściło soku. Gdy kawałki mięsa staną się z zewnątrz ciemnobrązowe, wyjmie się rożen z płomienia i wtyka ukośnie w ziemię tuż obok ogniska. Od czasu do czasu trzeba go potuszać i obracać. Po upływie mniej więcej dwudziestu minut mięso będzie dostatecznie wypieczone.

Piekąc na rożnie zawsze traci się część tłuszczu, nawet wtedy gdy staramy się trzymać rożen pionowo. Kto nie chce stracić ani jednej kalorii, powinien czasem gotować zupę, a potem jeść ją łyżką.

Trzeba pamiętać, że pieczona na rożnie dziczyzna z zajęcy, królików i kuraków zawiera bardzo mało tłuszczu albo nie ma go w ogóle. Bardzo korzystne jest przyprawianie jej słoniną lub tłustym mięsem. Cienkie skrawki słoniny nadziewa się na przemian z kawałkami chudej dziczyzny i tak zręcznie trzyma się rożen, żeby jak najwięcej tłuszczu skapywało na mięso. Można także upieczone już chude mięso, póki gorące, smarować świeżą słoniną lub masłem. W ten sposób należy przyrządzać chude ryby, na przykład pstrągi.

Gdy komuś nie zależy na tłuszczu, może piec dziczyznę popularną metodą barbecue.

Najpierw wykopuje się dołek o szerokości około pięćdziesięciu i głębokości około trzydziestu centymetrów. W dołku rozpala się mocny ogień z rozżarzonego drewna, które musi płonąć dotąd, aż zostanie z niego warstwa rozżarzonego węgla drzewnego. Wtedy układa się nad dołkiem ruszt z cienkich, grubych jak kciuk gałązek i kładzie się na nim kawałki mięsa.

Odwraca się je co dwie minuty, uważając, żeby ich nie przebić. Muszą zachować jak najwięcej soku.

Na różnie można upiec nawet chleb. Bierze się filiżankę mąki, łyżeczkę od herbaty proszku do pieczenia i ćwierć łyżeczki soli. Wszystkie te składniki trzeba wymieszać na sucho i po dodaniu odpowiedniej ilości wody wymiesić na ciasto. Powinno ono być dosyć luźne i miękkie. Potem bierze się półtorametrowy guzowaty kij z twardego drewna i ogrzewa się go nad ogniem. Następnie na dwa palce oblepia się go ciastem. Jeżeli guzy i sęki nie utrzymają ciasta na kiju, okręca się je pasemkami лыka lub kory. Potem trzeba trzymać kij nad ogniem i z wolna obracać. Od czasu do czasu nakłada się ciasto cienkim patyczkiem. Jeżeli po wyciągnięciu okaże się, że do patyczka nie przylgnęło ani trochę ciasta, oznacza to, że chleb się już upiekł.

Kto nie ma ze sobą proszku do pieczenia, nie musi rozpuczać. Może go zastąpić białym popiołem z twardego drewna. Jest on mniej więcej tym samym co potaż, surowiec do produkcji węgla potasu i sprawia, że ciasto „rośnie”.

Przy wypieku chleba na różnie trzeba uważać, żeby rozeń nie pochodził z drzewa iglastego, którego mocny aromat zostałby wchłonięty przez chleb, nadając mu posmak goryczy. Przy wyrabianiu ciasta można, naturalnie, zamiast wody dodawać mleka. W czasie silnych mrozów warto też dodać łyżkę stołową tłuszczu. Wtedy chleb nie zamrznie i dłużej będzie świeży.

Niezależnie od tego, jaką metodą zostanie upieczony chleb, można go będzie przechowywać przez całą zimę. Chleb wkłada się do papierowych torb i, zabezpieczając przed nieproszonymi stołownikami, zawiesza się go na drzewie na jakimś drucie, sznurze lub rzemieniu. Gdy się zmienacka ociepli, wsuwa się go do pierwszej lepszej chłodni, to znaczy w kupę śniegu. Przed zjedzeniem trzeba go przez chwilę potrzymać nad ogniem i jeść na gorąco.

Kto wyrzuca w pobliście zarośla odcięty łeb dużego zwierzęcia ten popielnia czyni marnotrawny. Jadalny jest nie tylko mózg lecz także mięso obrastające czaszkę, przede wszystkim zaś ożór, a w razie głodu nawet... oczy. Jadalne części łba najłatwiej jest przyrządzić w następujący sposób. Ściąga się skórę wraz z futrem. Potem wiesza się łeb nad ogniem, na przykład na drucie przymocowanym do gałęzi. Powoli obraca się łeb, aż stopniowo wszystkie części przypieką się na ciemnobrązowy kolor. Po zjedzeniu mięsa rozbija się czaszkę i wyjmuje upieczony mózdzek.

Poruszając ten temat, w żaden sposób nie da się opisać sztuki kulinarnej stosowanej wśród dzikich ostępów, można tylko wspomnieć o niektórych możliwościach. W praktyce większość przytoczonych przykładów dostosowuje się do aktualnych okoliczności.

Jeśli ktoś nie należy do tych ludzi, którzy upierają się przy przestrzeganiu najczystszej formy survivalu i celowo rezygnują z wszelkich pomocniczych

Folia aluminiowa
idealną pomocą
na odludziu



Potrawę opakowaną w folię można położyć na ruszcie lub wręcz na żarze



Folia rozpięta na rozwidłonej gałęzi z powrotem może zastąpić patelnię



Folię można łatwo uformować. Modelując ją na pietku czy też kamieniu, można z niej robić różną naczynia. Dwijając brzegi wokół gałązki lub drutu uzyskuje się większą stabilność

środków, na pewno zabierze ze sobą niezbędniejsze naczynia kuchenne, do których zalicza się także i staniol.

Nie jest to zwyczajny staniol, tylko tak zwana folia aluminiowa. Jest ona znacznie mocniejsza, a w dodatku da się wyginać, składać i modelować podobnie jak sreberko od czekolady. Ryby, jarzyny i wszelkie inne potrawy można w niej piec tak samo, jak w srebrnej folii.

Opakowane srebrzyste danie kładzie się po prostu na rozżarzone główne obozowego ogniska. Nagarnia się wokół niego popiół, tak żeby wystawał tylko skrawek folii. W jednym miejscu pozostawia się wąską szparkę. Gdy się tego zaniecha, folia zatrzyma całą wilgoć i danie będzie za bardzo gąbczaste.

Z folii aluminiowej można także zrobić brytfannę. Potrzebna jest tylko rozwidlona gałąź ze świeżego drewna. Folię trzeba owinąć dookoła rozwidlenia i równocześnie napiąć, byle nie za mocno, bo musi być wklęsła. Tę foliową brytfannę dopiero wtedy można trzymać nad ogniem, gdy już leży na niej mięso. W przeciwnym razie mogłaby się przepalić nad piomieniem. Na tej osobliwej patelni można smażyć także jaja sadzone. Oczywiście tylko na smalcu, słoninie lub maśle. Można na niej smażyć naleśniki i chrupkie, z obu stron przyrumienione grzanki.

Chcąc zrobić garnek do gotowania kładzie się folię na płaskim pniu lub na kamieniu, wygląda i napina zwisające końce, po czym ostrożnie się ją zdejmuje. Uzyskuje się foliowe naczynie, które wprawdzie łatwo można zgnieść, ale jest zdane do użytku, gdy się z nim ostrożnie obchodzimy. Chcąc wzmocnić obrzeże, można w nim wyciąć niewielkie dziurki i przeciągnąć przez nie miedziany drucik. Z braku drucika można go zastąpić gienką gałązką wierzbową. Jeżeli niewielki garnek wykonać z bardzo mocnej folii, można dorobić uszko i powiesić go nad ogniskiem. Po użyciu warto go rozłożyć, wyczyścić folię i złożyć na nowo.

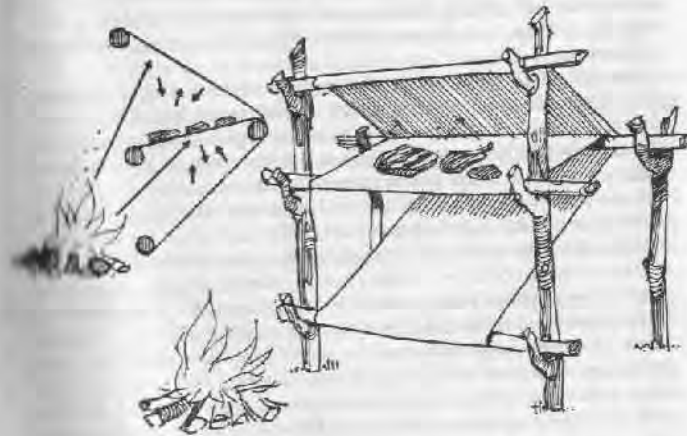
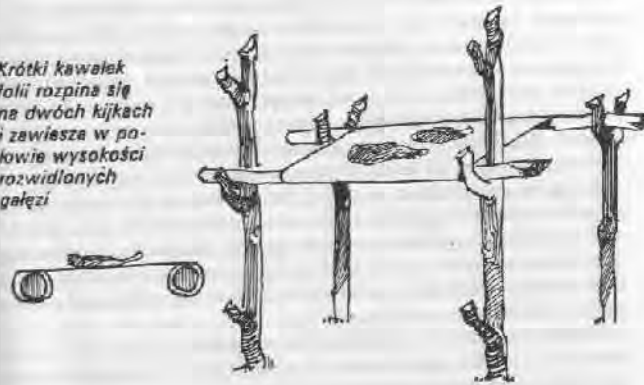
W podobny sposób wykonuje się filiżanki i talerze, a gdy ktoś rozporządza dużym zapasem wszechstronnej w użyciu folii, może w ogóle nie zmywać.

Folię polecałbym zwłaszcza do innego celu, a mianowicie do budowy „reflektora kuchennego”. Składa się on z czterech pionowych palików i tyłu poziomych żerdzi. Trzy poprzeczki zawieszają się mniej więcej w równych odstępach z przodu rusztowania, a jedną z tyłu, o dłoń wyżej od przedniej żerdki znajdującej się w środku. Kto nie ma drutu, sznurka ani długich korzonków, którymi mógłby przywiązać poprzeczki, musi się posłużyć o pionowe paliki z gałązkami rozwidlającymi się w ten sposób, żeby po ich odcięciu na pozostawionych, długich jak palce widelkach można było oprzeć poprzeczki.

Gdy rama jest już gotowa, odcina się z rolki kawałek folii aluminiowej.

Piec reflektorowy

Krótki kawałek folii rozpina się na dwóch kijkach i zawieszają w połowie wysokości rozwidlonych gałęzi



Drugą, dłuższą folię przymocowuje się w podobny sposób pod ostрым kątem, z góry na dół, poza płytą kuchenną. W odległości około pół metra od stojaka rozpala się ogień. Żar wielokrotnie odbija się od folii i dzięki wysokiej temperaturze potrawa szybko się piecze

owija jej koniec wokół przedniej żerdki znajdującej się w środku i delikatnie ukosem naciąga arkusz na tylną poprzeczkę, do której się go równocześnie przymocowuje. Teraz kolej na drugi arkusz folii, dwukrotnie dłuższy od pierwszego. Najpierw owija się go dokola górnej poprzeczki, naciąga się ukośnie, przekłada przez tylną poprzeczkę i ponownie przekłada, tym razem przez najniższą poprzeczkę, znajdującą się z przodu. Gotowy reflektor kuchenny wygląda jak otwarta paszcza potwora ze srebrzystym ozorem. W odległości niepełna pół metra od lśniącej paszczki rozpala się ognisko. Żar będzie się teraz odbijał od wewnętrznej strony skośnego srebrnego dachu promieniując na „ozór”, który także od dołu będzie odbierał odblask od skośnie naciągniętej srebrnej płyty. Nie dość na tym, „ozór” będzie samodzielnie pochłaniał żar płonącego opodal ogniska. Dzięki takiemu potrójnemu ogrzewaniu stanie się prawdziwą płytą kuchenną. Poza tym cała budowa jest równocześnie piekarnikiem, jako że żar odbija się i rozchodzi równomiernie na wszystkie strony.

Następnym ulepszeniem byłby reflektor kuchenny z lekkiej blachy cynkowej lub z aluminium. Ciągnięty na saniach wraz z pozostałym bagażem, przewożony w wagonie towarowym lub w samolocie transportowym, reflektor kuchenny nie stanowiłby zawady, a nad reflektorem foliowym ma tę przewagę, że ustawia się go jednym ruchem dłoni i nie wymaga drewnianego rusztowania.

Przejdźmy teraz do prawdziwych naczyń kuchennych. Przemysł campingowy wyprodukował setki rozmaitych modeli mniej lub więcej praktycznych w użyciu. Prawie wszystkie modele są bardzo lekkie, bo oczywiście kłenci przywiązują do tego wielką wagę. Przedmioty te zajmują jednak miejsce w plecaku, nawet gdy są niezwykle praktyczne. Otóż wszystkie razem nie zajmują więcej miejsca niż jeden duży garnek. W tym garnku muszą się bowiem zmieścić pozostałe garnuszki, filiżanki i talerze.

Nawet ktoś, kto chciałby poprzestać na jak najskromniejszym wyposażeniu, nie może się obejść bez garnka i małej brytfanny. Jest nią pokrywa od garnka mająca uchwyt, który można złożyć lub przykręcić. Ze względu na to, że drugi garnek z metalu niewiele waży, a w dodatku mięci się w dużym garnku, nie powinno się rezygnować z korzyści, jakich w życiu obozowym przysparza dodatkowe naczynie kuchenne. Prawie zawsze potrzebny jest drugi garnek do herbaty, kawy czy też gorącej wody, albo do zbierania owoców. Zawsze znajdzie się miejsce na filiżanki i kubki, naturalnie włożone jeden w drugi. Filiżankę z uszkiem trudno dopasować przy pakowaniu, natomiast miejsce w kubku można wykurzystać na małe zawiniątko z herbatą, kawą, czy też różnymi przyprawami korzennymi.

Uchwyt z obu stron dużego garnka umożliwia przeciągnięcie rzemienia ze sprzączką i zamocowanie całego zestawu. Trzeba go jeszcze wsadzić

w indyjsy woreczek, żeby zakopcone dno garnka i pokrywki — która jednocześnie jest brytfanną — nie powalało sadzą innych rzeczy w plecaku.

Jednoosobowy składany zestaw kuchenny z kubkiem i filiżanką nie waży więcej niż trzy czwarte, a najwyżej jeden funt. Przyborami, które się w nim nie zmieszczą, są sztućce. Te drobne przedmioty zawija się w galganek i wkłada do zewnętrznej kieszeni plecaka.

Przy długotrwałym wędrównym trybie życia pokrywa od garnka nie zastąpi prawdziwej brytfanny. Doświadczony traper nie zważając na objętość i wagę zabiera ze sobą prawdziwą stalową brytfannę z mocnym, poręcznym uchwytem. Zazwyczaj brytfanna potrzebna jest znacznie częściej od dużego garnka. Ma ona dość wysokie pionowe brzogi, żeby bez obawy można było poruszać i odwracać to, co się w niej znajduje. Można w niej także przyrządzać zupy i gotować jarzyny, a nawet smażyć duże naleśniki.

Skoro już mowa o sztuce kulinarnej, musimy wrócić do rozpalać ognia, bo nie każde obozowe ognisko nadaje się na ogień kuchenny. Nowicjusze może rozpalać dziesięć razy większy ogień niż trzeba. Niezależnie od ilości zużytego drewna i fatygi związanej z podsycaaniem ognia, kucharz nie może siedzieć na tyle blisko, żeby swobodnie manipulować patelnią, garnkami i rożnem. Poza tym wysoka temperatura raczej szkodzi niż pomaga. Garnki są zakopcone do samej pokrywki, do brytfanny zaglądną płomienie, a to, co się znajduje na rożnie, zaraz się zwęglą. Ogień do gotowania powinien być względnie mały. Do gotowania i pieczenia wystarczą płomyki wielkości palca. Jeżeli ognisko jest za małe, żeby traper mógł się przy nim poruszać, powinien rozpaść za plecami drugie ognisko.

Może się zdarzyć, że do przyrządzenia potraw potrzebna będzie tylko warstwa żaru, lecz nie chce się rezygnować z ognia z innych powodów. Także i w tym wypadku zaleca się rozpalać dwóch ognisk podobnie, jak przy przyrządzeniu kilku dań, które wymagają różnych temperatur. Wtedy tak należy rozmieścić ogniska, żeby pomiędzy nimi wygodnie siedzieć i obsługiwać obydwa na raz.

Powiadają, że w pogodne dni dym z ogniska zawsze ciągnie w stronę człowieka. Tak jest istotnie, gdyż pomiędzy ogniskiem i człowiekiem powstaje strefa zmniejszonego ciśnienia, do której ciągnie gorące powietrze, a wraz z nim naturalnie także i dym. Można tego uniknąć stwarzając równocześnie próżnię po drugiej stronie, na przykład rozpalając ognisko przed jakimś wielkim głazem, przed rozpiętą płachtą namiotową lub nagromadzoną warstwą kamieni. To samo zadanie spełni leżąca na boku łódź, umieszczona po drugiej stronie ogniska. Gdy przedmiot wywołujący „dewiację” jest większy od człowieka, wytwarza większą próżnię, w którą będzie wpadał dym.

Nawet gdyby się usunąć pilnowało garnka, stawianie go bezpośrednio na ognisku byłoby błędem. Nie wyszłoby to na dobre ani dnu, ani pa-

trawom, które łatwo by się przypaliły. Garnek się przewróci, gdy spali się drewno, na którym stoi. Należy więc zachować pewien odstęp pomiędzy garzkiem i płomieniem. Najlepiej, gdy naczynie kuchenne wisi nad ogniskiem. Gdy się siedzi pod drzewem, którego gałęzie zwisają się nad ogniskiem i można ich dosięgnąć, rozwiązanie jest niezwykle proste. Istnieje jednak metoda, ograniczająca groźbę pożaru. Bierze się mocną gałąź ze świeżego drzewa. Najpierw wycina się w niej wgłębienie, na którym da się zawiesić garnek, potem podtacza do ogniska pniak, ale nie za blisko, żeby się nie zapalił. O pniak opiera się ukośnie gałąź, celując tak, żeby wiszący na końcu garnek znalazł się nad ogniem. Drugi koniec gałęzi przyciska się do ziemi kamieniem lub pniem.

Inny sposób polega na tym, że po obu stronach ogniska wbija się w ziemię rozwidlone słupki i kładzie się na nich drąg. Na drągu zawieszają się garnki. Jeżeli garnki nie mają uszek, na których można by je zawiesić, albo grunt jest za twardy i nie da się wbić słupków, buduje się drewniane rusztowanie. Należy odrąbać lub odpilować z rosnącego drzewa dwa dość grube okrągłaki, ułożyć je obok siebie na ziemi w odległości mniej więcej pół metra i z obu stron zrobić na końcach wręby. W poprzek tych wrębów kładzie się dwa inne okrągłaki, a potem buduje się trzecią kondygnację. Wewnątrz kwadratu rozpala się ogień kuchenny. Na górnych okrągłakach kładzie się dodatkowo kilka poprzeczek ze świeżego drewna. Ustawia się na nich garnki lub brytfannę. Jeżeli mamy gotować tylko w jednym garnku lub w samej brytfannie, kwadrat powinien być na tyle mały, żeby stojący na górze garnek czy też brytfanna nie potrzebowały dodatkowych podpórek. Trzeba oczywiście uważać, żeby w trakcie dłuższego gotowania nie paliło się świeże drewno. Przeważnie potrawa zdąży się już ugotować, zanim się ono zapali. Jeżeli w pobliżu można znaleźć tylko chrust, wtedy okrągłaki trzeba zastąpić kamieniami, układając je w podobny sposób i na tę samą wysokość. Gdy chcemy użyć kilku garnków i brytfann równocześnie, trzeba zawczasu wybrać dogodnie miejsce na ognisko. Podczas silnych mrozów i tak będzie ono potrzebne, żeby człowiek mógł się grzać leżąc. Gdy ktoś podróżując poprzez dzikie okolice dużą łodzią czy wręcz samochodem terenowym albo ma transporty do dźwigania sprzętu doradzałbym mu, żeby wziął ze sobą pokrywę od beczki na benzynę. Jest ona bowiem najprostszą, najbardziej praktyczną i najtańszą płytą kuchenną, jaką można sobie wyobrazić. Trzy lub cztery kamienie położone dookoła ogniska wystarczą, żeby pokrywa zamieniła się w taką płytę. Bardzo prędko się nagrzewa i mamy gotowy piec. Nawet bez brytfanny można na niej smażyć mięso i ryby, a także wypiekać chleb i przysmażać owoce bulwiaste. Garnki i brytfanny stoją na takiej płycie równie stabilnie, jak na domowej kuchni. Ponadto umożliwia ona wypryskiwanie się iskier. Co ważniejsze, dna kuchennych naczyń pozostają czyste, ponieważ nie stykają się z sadzą.

Sposoby zawieszania garnka nad ogniem



Gdy upoluje się duże zwierzę, znacznie łatwiej przenieść pokrywę w pobliże legowiska, niż dźwigać do obozu wielką ilość mięsa. Jeżeli ma się w tym czasie stały obóz, którego zwijanie i rozbijanie jest zbyt kłopotliwe, ściągają się ze zwierzęcia skórę i ciągnie się je za sobą do obozu na jego własnej pokrywie, to znaczy na futrze.

Zalobycz, zwłaszcza w czasie upałów, trzeba od razu wypatroszyć, to znaczy usunąć wnętrzności, a także ściągnąć z niej futro, zwłaszcza gdy chce się je wykorzystać na skórę do noszenia lub garbowaną. Oskórowanie dzierzyny powinno nastąpić niezwłocznie.

Patroszy się w następującej kolejności: po pierwsze trzeba położyć zwierzę na grzbiecie. Z obu stron podkłada się kamienie lub wbija gałęzie, żeby je unieruchomić. Łatwiej pracować, gdy zwierzę leży na niezbyt stromym stokach, zwrócona łbem ku górze. Najpierw nacina się skórę poniżej ogona, prowadzi cięcie do odbytnicy i dookoła genitaliów, które się wycina. Przedtem wyciska się pęcherz, żeby uryna nie wyciekła w głąb jamy brzusznej. Potem prowadzi się cięcie w prostej linii wzdłuż brzucha, przecina także skórę na gardle, aż do dolnej wargi. Wreszcie następuje cięcie po wewnętrznej stronie obu tylnych biegów, aż do stawów i obu stronnie cięcie od górnej powięzi mostka, rozcinające skórę obu przednich biegów. Potem tnie się poniżej uszu (słuchów) i dookoła szyi. Przez cały czas trzeba bardzo uważać, żeby nie uszkodzić wnętrzności (podrobów). Gdyby coś wyciekło z żółdka, jelit, żółci lub pęcherza, byłoby bardzo trudno oczyścić mięso. Część mogłaby się stać niejadalną.

Gdy już z powodzeniem udało się nam dokonać cięcia, usuwa się ze środka wnętrzności, przy czym nowicjusze dziwią się, że w tak niewielu miejscach są one połączone na stałe z resztą ciała. Gardziel (dławik) rozcina się, owija i związuje na supeł odciętą kłosa, żeby się z niej nic nie udało. Teraz można już wyjąć wszystkie oddzielone wnętrzności. Kto często dokonywał tego „krwawego dzieła”, ten w kwadrans opiera się z kózką i kozłem. Sprawianie jelenia, losia i karibu trwa stosunkowo dłużej. Samotny człowiek musi się ciężko napracować, żeby wypatroszyć bizona, bawołu lub dużego niedźwiedzia. Nie sprawi mu trudu rozcinanie i dzielenie, tylko odwracanie ciężkich zwierząt.

Gdy sztuca jest już prawidłowo wypatroszona, odwraca się ją do góry grzbietem, żeby z jamy brzusznej mogła wyciec resztki krwi. Zwierzę musi mieć wtedy rozkręcone biegi. Potem trzeba wytrzeć wnętrze jamy brzusznej trawą, mchem albo liśćmi.

Zazwyczaj myśliwy zatrzymuje dla siebie z podrobów tylko serce, nerki i wątrobę, w razie potrzeby można jednak zjeść prawie wszystkie wnętrzności, a nawet tręś żółdka.

Na koniec zdejmuje się ze zwierzęcia okrycie, to znaczy skórę razem z fu-

tem. Gdy się zamierza wykorzystać skórę albo wygarbować ją i nosić, należy postępować szczególnie ostrożnie. Nóż nie może się posliznąć i przedzielić jej.

Potem kładzie się obok tuszy pokrywę. Służy do ułożenia dzierzyny, która należy w miarę możliwości jak najlepiej podzielić. Także i tego trzeba się nauczyć, wystarczy jednak, gdy się kiedyś widziało przy pracy rzeźnika i zwróciło się uwagę, w jaki sposób rozbiera cielaka na części.

Do ochrony oskórowanej dzierzyny przed muchami najlepsze są plastikowe worki. Gdy się ich nie ma, trzeba podzieloną dzierzynę powiesić możliwie jak najwyżej wśród gałęzi cienistego drzewa, bo muchy przeważnie latają blisko ziemi. Kiedy kawały świeżego mięsa wiszą luźno na drucie, nie dobiórą się do nich wspinające się na drzewa drapieżniki. Tylko ptaki będą dołobać zdobycz. Mogą je przed tym powstrzymać skrawki jaskrawego materiału, staniola lub białego papieru. W czasie wietrznej pogody można przywiązać mięso do wolnostojącego drewnianego rusztowania. Wprawdzie zabezpieczy się je w ten sposób przed muchami, ale nie przed drapieżnikami. Przed niedźwiedziem akurat tyle, co nic.

Jeżeli nie wystarcza czasu na rozbiór mięsa, jeszcze tego samego dnia należy je „zasłepić”. Przykrywa się je stertą gałęzi i stosuje środki odstraszające. Mogą nimi być paski papieru, części jasnej odzieży albo po prostu jakiś przedmiot przesłonięty wonią człowieka. Wszystko to, czego się na co dzień nie spotyka w naturze, działa na dzikie zwierzęta odstraszająco. Po upływie dwóch, trzech dni przewyciężają jednak strach.

Kto nie ma czasu lub możliwości, żeby zakonserwować dzierzynę za pomocą wędzenia, suszenia na świeżym powietrzu lub zamrożenia, powinien najpierw zjadać części, które się najprędzej psują, mianowicie serce, wątrobę i nerki, a także mózg i ozór. Jeżeli bieda zmusza do użycia wnętrzności, trzeba je nawinać na zielone gałązki i upiec na wolnym ogniu. Gdy upolowało się grubego zwierza, pod żadnym pozorem nie wolno zmarnować szpiku kostnego. Dodaje się go do zupy, smaży w brytfannie albo piecze razem z kośćmi w żarze ogniska. Potem rozbija się kości, a szpik wyjada łyżeczką.

Cały nie zużyty tłuszcz, także i tłuszcz otaczający nerki należy przechować. Topi się go, napełnia się nim garnek i zabiera się go na drogę. Gdy niedojdą chude dni, może się bardzo przydać. Można nim smarować pszczoły z zajęcia lub chleb własnego wypieku. Tłuszczem okrasza się zupę, a wreszcie używa się go jako paliwa do prymitywnej lampy.

Potrawy zachowują wartość odżywczą i witaminy, gdy się je gotuje, gotują smażenie, a niższej pieczenie, ale stosunkowo najmniej tracą, gdy się je lekko przysmaży. Tę, kto musi oszczędzać żywność, powinien o tym pamiętać.

Sposoby ustawiania garnka nad ogniem



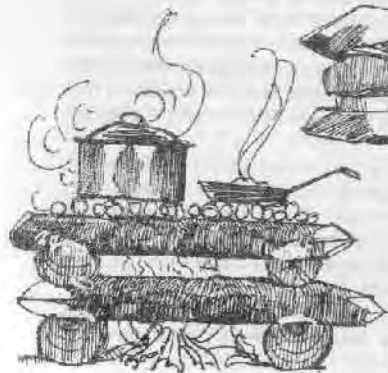
Wykopać wgłębienie. Ognisko wzdłuż kierunku wiatru osłaniać kamieniami, kłodami lub darnią i na ich brzegach ustawić naczynie.



Buduje się kwadrat z ponacinanych pni, na których kładzie się ruszt z zielonych gałęzi. Pod spodem rozpala się ogień.



Ogrzewanie kamiennej płyty



Mięso wrzaca się do wody dopiero wtedy gdy wrze, nie wcześniej. Przedtem krata się je w koszki wielkości pudełka od zapalek. Powinny się one gotować przez pięć minut. Wszelkie jarzyny też wrzuca się do wrzątku. Soli się na samym końcu. Gdy chce się usmażyć mięso w brytfannie, najpierw trzeba przysmażyć tłuszcz, a mięso włożyć dopiero potem.

Gdy się coś za długo gotuje, traci cenne witaminy. Dlatego na ognisku powinno się gotować krócej, niż się to zwykle robić w domu. Nie należy wlewać wody, w której się gotowało mięso, bo można na niej przyrządzić smaczną zupę. Warto dodać trochę świeżej posoki, burówek, dzikich warzyw i kilka łyżek tłuszczu.

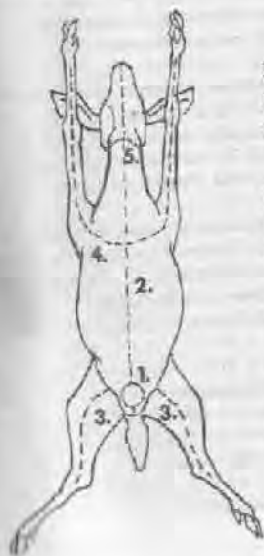
Duże owoce kucharz może zawijać w wielkie liście i piec w żarze ogniska. Nadają się do tego zwłaszcza owoce drzewa chlebowego, mroce bulwiaste, miąższ orzechów kokosowych, banany i julkka. Młode listki wierzbowe zawierają dziesięciokrotnie więcej witaminy C od pomarańczy i dlatego warto używać nimi małe kawałki mięsa, przed uduśzeniem lub upieczeniem. Potem można się listki razem z mięsem.

Dużo witamin zawiera rybia wątroba, zwłaszcza wątroba dorsza. Lepiej wstawić nie jadać wątroby białego niedźwiedzia i fokii białej, bo zwierzęta te często są zakażone trichiną. Niebezpieczeństwo to grozi — jakkolwiek

Patroszenie upolowanej zwierzyny

Zwierzę do patroszenia ułożyć na grzbiecie

1. Oddzielić genitalia
2. Rozciąć w prostej linii skórę na brzuchu i szyi, aż do dolnej wargi
3. Ciąć na wewnętrznej stronie łap (skoków) aż do stawów
4. Przeciąć skórę na przednich łapach od górnej powięzi mostku, aż do stawów
5. Poniżej uszu, dookoła szyi



w znacznie mniejszym stopniu — ze strony wszystkich zwierząt Arktyki. Co ostrożniejsi ludzie krają mięso polarnych zwierząt na kawałeczki i gotują je przez dłuższy czas, zwłaszcza zaś mięso rekinów. Odżywiają się jednak i ryzynami pochodzącymi z ogrodów i pól używanych ludzkim nawozem. W ten sposób przenoszą choroby, przeciwko którym tuhyły są w przeciwieństwie do nich w znacznym stopniu odporni. Jeżeli nie można wyzwać się jarzyn, trzeba je przynajmniej gotować. Łupiny zbóż poznacone czarnymi punktami i żdźbła o poczerwionych końcach oznaczają, że rośliny te chorują na dżdżownicę i są niebezpieczne dla ludzi. Jeżeli ryba nie wygląda na całkiem zdrową, trzeba ją mocno nacisnąć kciukiem. Gdy pozostanie wgłębienie, lepiej takiej ryby nie jeść. Mięso padlinożernych ptaków trzeba gotować co najmniej przez dwadzieścia minut, choćby miało przy tym stracić wiele wartości odżywczych.

Ptaki, które żywią się głównie rybami, często mają smak oliwy i trąci. Można się go prawie zupełnie pozbyć, gdy się obedrze ptaka ze skóry, obłupi gliną i upraży na małym ogniu. Duże ptactwo leśne i pardwy, a zwłaszcza wrony i ptaki drapieżne, też obdziera się dokładnie ze skóry przed przyrządzeniem.

Tłuszczu dodaje się tylko do smażenia chudego mięsa. Zazwyczaj mięso samo jest dostatecznie tłuste. Do smażenia ryb też nie dodaje się tłuszczu, chyba że chce się podnieść ich wartość odżywczą. Zresztą świeże ryby są lekkostrawne i na surowo, a nawet są bardzo smaczne, tylko trzeba się przyzwyczaić.

Do najbardziej zdumiewających przypraw „dzikiej kuchni” zaliczają się płatki śniegu. W razie potrzeby mogą one nawet zastąpić jajka przy wypieku ciasta. Na chwilę przed wypiekiem dodaje się do ciasta garść świeżych płatków, które należy szybko wymieszać. W rezultacie płatki wyparowują z ciepłego ciasta pozostawiając drobne otworki. Dzięki temu ciasto i chleb są lekkie i wyśmienite.

Ze świeżego śniegu można też wyprodukować lody, pod warunkiem, że ma się mleko w proszku. Wlewa się mleko do miseczki i dodaje się do niego dwie łyżki stołowe cukru, a do smaku dwie łyżki kakao lub kawy nesca, sok owocowy albo czekoladę w proszku. Można też dodać tartych jagód. Do tej mikstury dosypuje się płatków śniegu i powoli się wszystko miesza. Po kilku minutach deser jest gotowy.

Z białego i żółtego cukru z dodatkiem kilku ziemniaków można sobie przyrządzić następującą rzecz: w dwóch filiżankach wody tak długo gotuje się sześć lub siedem ziemniaków, aż z garnka wyparuje połowa płynu. Potem stałą maź gotuje się ponownie, dosypując filiżankę białego i filiżankę żółtego cukru. Następnie odstawia się garnek na skraj ogniska, żeby zawartość bardzo powoli stygła. Potem wlewa się lepki płyn do butelki i szczelnie się ją zamyka. Na trzeci dzień mamy w butelce syrop.

Przejeżdżając do jakiegokolwiek kraju zawsze się warto dowiedzieć, jakie przepisy kulinarne stosują miejscowi traperzy. Przeważnie istnieją na ten temat książki i broszury, w których można znaleźć, jak najlepiej spożytkować dary natury. Na ogół wie o tym każdy, kto z przyczyn zawodowych lub dla sportu szuka sobie gdzieś na odludziu własnego intymnego zakątka. Podstawowe przepisy dotyczące kuchni pozbawionej komfortu są wszędzie jednakowe, natomiast różne są sposoby poszukiwania żywności, gromadzenia jej, palowania i łowienia ryb. Najlepiej można się przygotować do kucharzenia w terenie czyniąc odpowiednie próby we własnym domu (byle nie weszła w drogę pani domu!).

Trzeba jeszcze wyjaśnić trzy pojęcia, które odgrywają wielką rolę w polarnych postkowiach, a mianowicie: sourdough, jerky i pemmikan. Wspomniamsię o nich w każdym sprawozdaniu z pobytu na terenie północnych szerokości geograficznych.

Właściwie sourdough jest po prostu kwaśnym ciastem. W przenośni jednak mianem sourdough określa się do dziś dnia każdego trapers, myśliwego i pustelnika, który prowadził kuchnię zgodnie ze starym zwyczajem i związków z czymś sobie piecze chleb. Do pieczenia potrzebne mu jest kwaśne ciasto i bardzo uważa, żeby się nie zmiejszyły jego zapasy. Gdy się więc mówi old sourdough*, ma się na myśli nie tylko kwaśne ciasto, lecz także kogoś, kto najchętniej sobie leni własne towarzysstwo i pędzi w głębi lasów samotny tryb życia.

Podobnie, jak niegdyś robili to nawet gospodynie, sourdough rozpoczyna przygotowywanie kwaśnego ciasta od czterech filiżanek mąki, mieszając ją z taką samą ilością ciepłej wody i wygniatając na miękkie ciasto, do którego dodaje łyżkę drożdży. Wyrobinione ciasto wkłada się do szklanego, glinianego lub porcelanowego naczynia (byle nie metalowego) i zostawia na całą noc w dobrze ogrzonym miejscu. Jeżeli musimy spać na dworze albo w zimnym namiocie, naczynie z ciastem wkładamy do spiwora. Najlepsze miejsce jest w nogach; ciasto ma tam odpowiednią temperaturę i jest dobrze osłonięte. Już na drugi dzień „rozrusznik” jest gotowy.

Ow leśny skrzat wykorzystuje do pieczenia od dwóch (trzech do trzech) kawałków sourdough. Resztę odstawia, ochładza, suszy i szczelnie zamyka. „Rozrusznik” nie powinien zamrażać, bo może się zdarzyć, że trzeba go będzie całkiem wysuszyć i zabrać w dalszą drogę pod postacią sproszkowanej lody.

Ciepłe kwaśnego ciasta przeznaczoną do wypieku miesza się następnie z czterema filiżankami mąki, dwiema łyżkami stołowymi cukru, dwiema łyżkami stołowymi roztopionego tłuszczu i jedną łyżeczką soli. Dodaje się do tego mleka, a gdy go nie ma, zastępuje się je wodą. Tak przyprawione cia-

* W Polsce przyjęło się określenie „schłopiec z kwaśnego ciasta” (przyp. tłum.)

sto zagniatą się na płycie posypanej mąką i wkłada się do wysmarowanej tłuszczem brytanny. Gdy ma się jedynie garnek, należy go napęcznieć więcej do połowy. Na jakieś dwie godziny odszawia się brytannę czy też garnek w ciepłe, lecz niezbyt gorące miejsce i czeka się, aż ciasto urosnie i podwoi objętość. Potem przez niespełną godzinę piecze się ciasto na silnym ogniu i chleb old sourdough jest gotowy. Jest trochę cięższy od zwykłego chleba, za to dłużej zachowuje świeżość.

W całej tej sprawie interesuje nas nie tyle gotowy chleb, co sam „rozruszanik” (zaczyn). Rzecz w tym, że przechowywana część nadal zachowuje aktywność, jeżeli się do niej raz na tydzień doda mąki i wody. Dlatego też już nigdy nie będą potrzebne drożdże! Na Alasce można spotkać rodziny, które z całym przekonaniem utrzymują, że ich cenny „rozruszanik” został zacykowany jeszcze przez pradziada, który siedemdziesiąt lat temu albo i wcześniej przybył tutaj jako poszukiwacz złota. Do tej pory — jak są pewniaki z przekonaniem — nikt nie dodał ani odrobiny drożdży.

Także i u nas można tu i ówdzie natknąć się na stojące na uboczu zagrody, których mieszkańcy nie pamiętają, kto pierwszy zrobił zaczyn z kwaśnego ciasta. Chleb wypieka się tam tylko raz na tydzień. Przy tej okazji używa się kwaśnego ciasta w identyczny sposób, jak to niegdyś czynili wszyscy sourdough na Dzikim Zachodzie.

Jerky jest suszonym mięsem, bardzo lekkim, a mimo to bardzo pożywnym pokarmem. Nie ma co mówić, traper może je jadać przy każdej okazji, a nawet żuć po drodze. Ma ono jednak mdły smak i nikt nie może się odżywiać wyłącznie jerky, bo zawiera ono za mało tłuszczu. Jego wielką odporność na zepsucie i lekkość sprawiają jednak, że jerky stanowi wyjątkowo praktyczny pokarm dla traperów, którym niejednokrotnie brak czasu albo okazji, żeby zjeść normalny obiad. Gdy w dodatku ma się w plecaku puszkę tłuszczu, żeby móc jerky odpowiednio „dowartościować”, wędrowiec może przez wiele tygodni zachować siły.

Jerky przygotowuje się w następujący sposób: ze świeżego mięsa wymiata się tłuszcz, mięso tnie się na paski cienkie jak palec i suszy się na drewnianym sztażu, na wulnym powietrzu. Pod sztażem rozpala się małe ognisko, żeby odpędzić muchy. Nie służy on jednak do wędzenia i nie powoduje zbyt mocno ogrzewać mięsa. Jerky jest gotowe, gdy nabierze czarnego koloru i zachowa zaledwie część poprzedniej wagi. Gdy nie chce się go potem jeść na sucho, można go ugotować albo dodać do zupy lub jarzyn.

W podobny sposób przyrządza się biltong, ulubioną żywność na drogach południowej Afryce. Ponieważ zwykle panuje tam susza i skwar, potrawa mięsa mogą być szerokie jak dłoń, ale nie grubsze niż jerky.

Pemmikanem zwano dawnymi czasy żelazną potęgę wszystkich walorów przemierzających prerię w rejonach polarnych lasów i za kółmi pod-

biegunowym. Odżywiłi się nim ludzie i karmiono psy z zaprzęgu san. Wiele szczerpów indyjskich wymarłoby z głodu, gdyby kobiety nie przygotowały w porę pemmikanu. Zanim na Dalekiej Północy pojawił się samolot i można było kupić dehydratowaną żywność, prawie żadna ekspedycja nie dojechałaby do celu, gdyby nie miała pemmikanu. Nawet i dziś nie można by domowym sposobem spreparować prowiantu, który tak mało waząc posiadałby tyle wartości odżywczych, co pemmikan.

Żeby móc zrobić pemmikan, trzeba mieć przede wszystkim jerky i to w dużych ilościach. W dużym, mocnym, szklanym naczyniu tłucze się suszone mięso, rozdrabniając je na jak najmniejsze kawałeczki, wręcz na włókna. Potem kraje się w kostki zwierzęcy tłuszcz i przysmaża się go na dużej patelni, na mocnym ogniu, uważając, żeby się tłuszcz nie zagotował. Następnie wymiata się wszystkie skwarki i rozposzczonym gorącym tłuszczem zalewa zmieloną masę. Wszystko razem ugniata się i wyrabia, aż powstanie ciastowata masa. Na koniec całą tę mieszkę ubija się jak najdokładniej w wolnoobrotowym naczyniu i ma się gotowy pemmikan.

Pemmikan nie narazony na tropikalne upały, ani nie pozostawiony na dłuższy czas w ciepłym wilgotnym miejscu, przez wiele lat nadaje się do konsumpcji. W stanie, w jakim się znajduje, można go jeść na postoju, w czasie marszu i leżąc w śpiworze. Nawet podczas najsilniejszych urozów da się z niego ukruszyć kawałek, rozpuścić w ustach i żuć. Pemmikan można gotować, dusić, smażyć i piec, a także dodawać do zup i jarzyn.

Jest on tak uniwersalny i praktyczny w użyciu, jak żadna inna potrawa. Brak mu tylko jednego, mianowicie witaminy C. Jednakże ten niedobór zjawia się dopiero po wielotygodniowym odżywianiu się wyłącznie pemmikanem. Wystarczy od czasu do czasu zjeść świeżą rybę, trochę owoców dzikiej róży lub innych, by odżywiając się samym pemmikanem zachować pełnię zdrowia.

Tę samą zaletę co jerky i pemmikan, to znaczy wysokie wartości odżywcze i niewielki ciężar, wykazuje ostatnio żywność dehydratowana. Za pomocą współczesnej techniki i skomplikowanej aparatury odwadnia się ją i zmniejsza jej wagę o sześćdziesiąt do osiemdziesiąciu, a niekiedy i o dziewięćdziesiąt procent. Ponieważ nie da się tego osiągnąć domowym sposobem, trzeba ją kupić i zapakować do plecaka, zanim się opuści cywilizowane okolice. Bardzo się to jednak opłaca, bo na przykład osiem jabłek będzie po odwodnieniu ważyło tyle, co jedno przed zabiegami.

W porównaniu z różnymi gatunkami mięsa o wiele bardziej opłaca się mieć mieleno w proszku.

Dehydraty nie tracą na skutek odwodnienia swoich wartości odżywczych i zachowują prawie wszystkie witaminy. Przed użyciem wystarczy je rozmiększyć, mocząc przez jakieś pół godziny w wodzie. Wyjątek stanowią ar-

tykuły określane jako „instant”, które od razu nadają się do użycia. Przepis jest prawie zawsze załączony na opakowaniu. Dania dehidratyzowane smakują identycznie jak świeża żywność. Mają tylko tę wadę, że odwadniony prowiant trzeba nabyć przed rozpoczęciem podróży. Są także dość drogie, niektóre nawet bardzo drogie.

Mimo tych zastrzeżeń warto zabierać pewną ilość koncentratów i trwałych środków żywnościowych. Jest to tak zwana „żelazna porcja”, do której sięga się tylko w skrajnej konieczności. Gdy nie da się znaleźć żadnego innego pożywienia, prowiant ten pozwala zachować siły. Można mu być za wdzięcznym, gdy pogoda pod psem uniemożliwia wszelkie próby zdobycia żywności. Do wielodniowej bezczynności może zmusić wędrowca skrócenie nóg, a wtedy zdany jest na „żelazną porcję”.

Mając takie zapasy, zagorski wędrowiec może wyruszyć na kilka dni w okolice, gdzie nie ma zwierzyny, nie ma roślin i nie da się znaleźć niczego, co nadawałoby się do zjedzenia.

Jeden gorący posiłek dziennie powinien wystarczyć, a tym posiłkiem jest kolacja. Pod koniec dnia ma się czas na pichcenie i siedzi się wygodnie przy ognisku. Wtedy można sobie wcześniej przygotować śniadanie i wszystko to, co się będzie jeść w czasie przerwy obiadowej. Co się tyczy śniadania, to wielu traperów poprzestaje na wypiciu chłodnej wody lub soku owocowego. Niewyszukany obiad też trwa krótko, a składa się przeważnie z kawałka słoniny albo mięsa i z chleba własnego wypieku lub suchara. Jeszcze nigdy i nigdzie nie podróżowałem z żadnym traperem, któremu zależałoby na zjedzeniu w ciągu dnia pełnego obiadu. Każdy zadowalał się kilkoma sucharami od niechęci wynajowanymi z kieszonki. Wprawdzie ktoś, kto wędruje przez bezdroża, robi sobie przerwę obiadową, ale nie po to, żeby jeść prawdziwy gorący obiad. Wkrótce organizm przyzwyczaja się do tego, że spożywa się tylko dobrą kolację. Zazwyczaj jada się ją przeważnie o godzinę lub dwie wcześniej niż w domu, bo wszystko trzeba przygotować i skończyć pracą zanim zapadnie zmrok, który w krótkie późnojesienne i zimowe dni nadciąga już po południu.

Tam w górze, na Dalekiej Północy przyrządzanie więcej niż jednego posiłku dziennie byłoby zbyt uciążliwe. Za dużo czasu zabraloby szukanie drewna na opał potrzebnego nie tylko do gotowania, lecz także do tego, żeby móc się ogrzać. Praktyczniej jest maszerować robiąc krótkie przerwy, za to wcześniej rozbijając nocny obóz, w którym można się spokojnie posilić. Ten, kto zwykł używać jedynie maszyny opalanej spirytusem, czy też jakimiś sztucznym paliwem musi być szczególnie oszczędny i najwyższej raz na dzień rozpałać ogień. Gdy zabraknie mu tego paliwa i podsyca ogień sadłem lub tranem, ograniczenie się do jednego posiłku dziennie staje się nieodwrotną koniecznością. Można przygotować wielodniowy zapas mięsa. Potem trzeba je tylko podgrzewać.

Kto rozporządza środkiem transportu, dla tego metalowe termosy na napoje i żywność nie będą zbyt wielkim ciężarem. Napełnia się je wieczorem, rano ma się gorącą kawę lub herbatę i aż do południa trzymają ciepło.

Co do ilości pożywienia, to człowiek, który wypoczywa, potrzebuje dziennie czterdzieści kalorii na funt własnej wagi, tak więc komuś kto waży sto pięćdziesiąt funtów potrzebne jest tysiąc pięćset kalorii dziennie. Gdy się jednak poruszamy, potrzebujemy przeciętnie trzy tysiące kalorii. Przy intensywnym marszu lub ciężkiej pracy potrzebne jest nawet cztery tysiące kalorii i więcej. Im niższa temperatura, tym więcej kalorii potrzebuje organizm. Według opinii ekspertów traperów lepiej służą posiłki przy ognisku, niż pieczeniowicie przyrządzone dania we własnym domu, bo są one lepiej przyswajane i nie zalegają w organizmie.

Kto chce zimować w chacie, ten z pewnością musi zadbać o lodownię. Trzeba ją wykopać, dopóki nie zamrznie ziemia. Powinno wystarczyć szybki głęboki tunel mniej więcej na dwa metry. Wnętrze ze wszystkich stron umacnia się palaniną, a z wierzchu przykrywa się warstwą grubych drągów, na których dodatkowo usypuje się pagórek ziemi. Niestety, gdy się chce sięgać po coś z zapasów, za każdym razem trzeba całe przykrycie zdejmować. Na Dalekiej Północy sytuacja jest dogodniejsza. Co prawda, gdy chce się dotrzeć do wiecznej zmarzliny, nie da się unikać rozmrażania ziemi za pomocą ognia, można za to zrezygnować z wszelkich tunelów. W wykopanym szybie wybija się boczną sztolnię na zapasy. Całość wystarczy przykryć zwykłą pokrywą i nie trzeba usypywać nad nią pagórka. Ściany takiej sztolni nigdy nie odlatują, nawet wtedy, gdy przejściowo nastąpi odwilż.

Również wielkie zapasy mięsa przechowywane w wiecznej zmarzlinie przez nieograniczenie długi czas nie ulegną zepsuciu. Będzie je można zjeść choćby i za pięćdziesiąt tysięcy lat.

Na kilka lat przed pierwszą wojną światową, w skutej mrozem ziemi północnej Syberii odkryto całego, w pełni zachowanego mamuta. W zimie przewieziono podzielone na części olbrzymie ciało do St. Petersburga. Tam uczeni z Carskiej Akademii Nauk zasiadli do stołu i z wielkim zainteresowaniem zjedli kotlety z mamuta. Jak mówiono, wszystkim panom wyszło to na zdrowie.

Jak się ubierać?

W listopadzie polowanie na kozice nie jest bagatelką, trzeba znieść temperatury dwadzieścia stopni poniżej zera albo i niższe, dlatego też dr Werner R. Randolf tak się opatulił, jakby chciał zimować na biegunie północnym. Przy tym szło jedynie o dotarcie do Kegelkaunm, gdzie Randolf spodziewał się ustrzelić kozicę w czasie rui. Ponieważ nie znał tych stron i w ogóle po raz pierwszy polował w górach, towarzyszył mu tamtejszy leśniczy rewitowy, dobroduszy skrzat leśny imieniem Franzl.

Zaczęło się od tego, że obaj wyszli z chaty o szóstej rano, na niespełną godzinę przed świtem.

— Pamię doktorze, za ciepło się pan ubrał — powiedział Franzl do gościa — proszę włożyć kożuszek do mojego plecaka.

— Jakże to, w taki mróz?

— Nieśwtego będzie panu gorąco nawet i bez tego wielkiego futra — odpowiadał leśniczy. Randolf nie chciał jednak w to uwierzyć, bo mroźny wiatr wiał mu niezwykle zjadliwie prosto w twarz. Ponieważ jednak Franzl należał do ludzi, którzy po dwa, trzy razy powtarzają dobre rady, pozwolił gościowi bawić się na swój sposób.

Szli więc przed siebie, najpierw przez Neuschnee w dół do rzeki, potem w górę, w stronę Ranggen-Alm. Marsz był trudny, bo grzęźli po kolana w śniegu i musieli się przedzierać przez zarośla, ponieważ na północnym stoku nie było ścieżki. Już w połowie wysokości adwokat z Düsseldorfu tak się zasapał, że coraz częściej musieli przystawać.

— Może by mi pan dał swoją strzelbę? — dopytywał się leśniczy. — (Użyłoby panu.

— Nie mogę pana obarczać, przecież i tak dźwiga pan już wypchany plecak.

Nie uszli jednak stu kroków i Randolf pozwolił sobie odebrać broń. Nie wiele mu to pomogło. Sapał jak miech kowalski i syczał niczym stary parowóz.

— Kiedy wreszcie... dojdziemy... do szczytu?... — zapytał

— Za jakieś dwie godziny — odparł Franzl bez cienia współczucia. — Musi się pan jednak pospieszyć, panie doktorze, bo dopiero tam na górze zaczyna się prawdziwe podchody.

Ponaglany łowiecką pasją Randolf wspinał się sapiąc. Straszliwie się społot, był mokry od stóp do głowy. Nawet w saunie nie wypocząłby w tak krótkim czasie tyle wody. Każdy krok kosztował go wiele wysiłku, a pokonanie każdego metra było bezprzykładną męką. Natomiast Franzl obladowany wypchanym plecakiem i dwiema strzelbami szedł żwawo przed siebie jak młody bóg. Na dojście do Steinbichl gość potrzebował nie dwie, lecz przeszło trzy godziny.

— Odpocznijmy — wysapał. — Koniecznie muszę odpocząć!

Legł na śniegu pozbawiony sił.

— Tak nie wolno, panie doktorze, może się pan nabawić zapalenia płuc albo czegoś jeszcze gorszego. Przede wszystkim dam panu suchą koszulę.

Werner Randolf był taki wyczerpany, że można z nim było zrobić, co się chciało. Franzl ściągnął z niego kożuszek, podbił futrem kamizelkę, robiłby na drutach pulower, potem jedną po drugiej dwie wełnane koszule, a na koniec podkoszulek. Wszystko to było mokre, jak wyciągnięte z bałii.

— Sądzę, że całkiem spokojnie mógł pan zostawić część rzeczy w domu, w szale — powiedział leśniczy i rozemiał się z przekąsem.

Potem wytarł bezwolnego człowieka wełnianym szalem i wciągnął na niego świeżą koszulę. Wyjął jeszcze z plecaka i dał mu własny pulower i długi szalen.

— Teraz już się pan nie spoci, panie doktorze, ani nie zmarzniesz!

Na górze było z pewnością znacznie zimwiej niż w dolinie, a na domiar wiał silny wiatr. Jednak po upływie kilku minut Randolf poczuł się jak nowonarodzony.

— Nie miałem pojęcia, że taki ze mnie kiepski alpinista — powiedział, mówiąc na myśl o minionych trudach. — Jestem już za stary do polowania na kozice.

Przewodnik był od niego o dobre dziesięć lat starszy.

— Włożył pan za dużo ubrań i tyle. W górach nikt w tylu szmatach daleko nie zajdzie.

Odmówił się to nie tylko do gór, lecz w ogóle do wszystkich pieszych wędrówek i to niezależnie od pogody. Kto maszeruje w ziąb, powinien nosić w plecaku ciepłą odzież, a ubrać się tak, żeby po drodze nie zmarznąć. Gdy wyrusza w drogę, powinno mu być nawet chłodnawo. Im bardziej stroma droga i szybszy marsz, tym szybciej piechur się rozgrzewa. Jeżeli wyruszając pocił sweter, zaraz go ściąga, bo myśli, że nie będzie mu już potrzebny. W ogóle rozbiiera się aż do koszuli i spodni, co jest całkiem zbędne. Rzeczy

trzeba nosić w plecaku, przeszkadzają mniej, niż wtedy, gdy jest się w nich ubranym i lżej je nieść. Wyciąga się je stamtąd w miarę potrzeby, przede wszystkim na postojach, zwłaszcza wtedy, gdy się chce usiąść albo położyć. Wprawdzie jeszcze przez jakiś czas jest człowiekowi gorąco, są to jednak najbardziej zdradliwa sytuacja. Właśnie wtedy najłatwiej się można przeziębnić. Wypoczywając, trzeba się ciepło ubrać, bo w czasie wypoczynku musi się człowiek chronić przed wiatrem.

Gdy ktoś jest spocony, powinien korzystać z każdej okazji, żeby się wytrzeć do sucha, a przynajmniej wytrzeć twarz i ciało do pasa, a także włożyć suchą koszulę, którą każdy rozsądny piechur ma w plecaku. W ogóle ma w nim wszystko, co jest potrzebne w danym klimacie stosownie do pory roku, a także i to, co mogłoby być potrzebne.

W czasie marzu, a zwłaszcza podczas górskiej wspinaczki, trzeba być możliwie jak najlepiej ubranym. Gdy człowiek zaczyna się pocić, nie powinien mieć na sobie niczego ponad to, co konieczne. Wilgoć prędko wyparuje z ciała, lecz nie z ubrania. Mokra odzież nie tylko jest ciężka, lecz także traci swoje właściwości ogrzewające, co okutany i spocony piechur uważa dopiero podczas chwilowego postoju. Teraz ogarnia go ziąb, który przez mokre ubranie przenika do bezolniewnego ciała. Szczeka zębami i cały się trzęsie. Podczas wielkich mrozów przepocone ubranie zamrzza. Niebezpieczeństwo zostaje zakuty w rycerską zbroję z chrześcijańskiego ludu. Może go uratować tylko trzaskający ogień na postoju.

Ubrania są równie ciepłe lub zimne jak otoczenie. Mają tylko bardzo zmniejszone korzystne właściwości izolowania ciepła lub zimna. Dzieje się to dzięki milionom komórek zatrzymujących w materiale powietrze. Gdy napełniają się one ciepłym powietrzem, jego temperatura bardzo wolno dostosowuje się do temperatury otoczenia, gdyż komórki te stanowią warstwę izolacyjną, składającą się z niezliczonej ilości pęcherzyków powietrza. Im więcej takich komórek zawiera materiał, tym lepszym jest izolatorem. Dlatego właśnie wełna jest i będzie jedną z najlepszych tkanin. Mimo to nawet w największe mrozy nie powinno się nosić jednej grubej wełnianej koszuli. Lepiej zakładać dwie, a w skrajnych przypadkach i trzy wełniane koszule, jedną na drugą. Będzie w nich znacznie cieplej niż w jednej koszuli o takim samym ciężarze, ponieważ między nimi też powstaje warstwa izolacyjna. Poza tym jest to dogodniejsze, bo można zdejmować jedną koszulę po drugiej. Inaczej mówiąc: ciepłotę można regulować według uznania.

Gdy na dworze panuje bardzo niska temperatura, nawet wrzątek w butelce owiniętej w kilka wełnianych ręczników będzie w miarę wpływu czasu coraz chłodniejszy, aż w końcu zamrznie, bo butelka nie wytwarza ciepła i nie może uzupełniać jego powolnego ubytku. Czyni to jednak ludzkie ciało. Tkwąc ono w ubraniu jak piec opalany wieloma kaloriami w czasie jazdy

go posilku. W naturalny sposób uzupełnia ubytek ciepła ulatującego na zewnątrz. Nie jesteśmy jednak aż tak „naturalni”, jak większość pozostałych stworzeń ciepłokrwistych. Już przed setkami tysięcy lat, a nawet wcześniej utraciliśmy futro, które nas porastało. Dlatego musimy się ubierać stosownie do klimatu i pogody, dzięki czemu możemy się znacznie łatwiej przystosowywać, niż nasi kosciały protoplaści, co jest pod każdym względem korzystne.

Zacznijmy od samego dołu, od obuwia. Półbuty zupełnie się nie nadają do wędrowek po wykotach i kamieniach. Koszki nóg muszą mieć silne wsparcie i ochronę przed skaleczeniem w trudnym terenie. Można to uzyskać dzięki solidnym butom turystycznym, których cholewki nie powinny przekraczać wysokości piętnastu do osiemnastu centymetrów. Prawdziwe buty z cholewami poleca się tylko do konnej jazdy, lub wtedy, gdy się trzeba przedzielać przez bagniska w obawie przed spotkaniem z jadowitym wędłem. Przecież każdy centymetr cholewki waży kilka gramów. Chociaż pozornie wydaje się, że taka nadwaga nie ma znaczenia, odgrywa jednak wielką rolę w czasie długich marszów. Buty podnosimy około dwóch tysięcy razy na kilometr! Przy dziesięciu gramach nadwagi wyniesie to w ciągu dnia mniej więcej tonę zbędnego ciężaru, który musi przemieścić każda noga.

Ostrzeżenie przed niszczeniem wysokich butów gumowych, bo znacznie gorzej się w nich chodzi niż w butach turystycznych. Wprawdzie nie przepuszczają wilgoci z zewnątrz, ale przy dłuższym chodzeniu stają się mokre od środka. Przez gumową przyszwę nie może wyparować pot. Zostaje on wsiąka w skarpety. Przestają grzać. Kiedy jest zimno, zaczyna się marznąć od dołu, a w czasie wielkich mrozów grozi to odmrożeniem nóg. Gumowe buty wkłada się tylko wtedy, gdy trzeba stać w wodzie lub brnąć przez nią. Dopóki nogi nie są zmęczone, pocą się mało albo wcale. Wtedy i gumaki są suche, zwłaszcza gdy się nosi dwie pary skarpet.

Wygodne buty turystyczne powinny być o numer większe od normalnych półbutów, żeby można było włożyć grube wełniane skarpety i pozostawić stopie trochę luzu. Jeżeli chcemy wędrować zimą, należy wkładać dwie pary wełnianych skarpet. Tak więc buty zimowe muszą być o półtora do dwóch numerów większe od butów noszonych na co dzień. Gdy ktoś z jakichkolwiek powodów nie chce wkładać wełnianych skarpet bezpośrednio na gołe ciało, powinien najpierw włożyć cienkie bawełniane skarpetki, a dopiero na nie wciągnąć wełniane.

Do końca można dyskutować o tym, jakie podeszwy są najlepsze. Przede wszystkim zależy to od terenu, lecz i w tym wypadku zdania są podzielone. Twarda, byle nie za twarda gumowa zółwka z przyczepnym spodem w większości wypadków powinna odpowiadać wymogom. Nie nadaje się natomiast do chodzenia po skałach, a tym bardziej po oblodzonej ziemi.

Niezależnie od tego, czy zełwka jest z twardej skóry czy z bardzo twardej gumy, musi być podbita gwoździami. Jest to sztuka, na której zna się nie każdy szewc i której nie rozumie żaden producent fabrycznego obuwia. Nie w tym rzecz, żeby maszerować opierając się o żelazo i stal, trzeba mieć but, który da pewne oparcie na gładkiej skale i nie zesłiznie się z lodu. Sama natura wskazuje nam, jak należy to zrobić. Rzut oka na racice górskich zwierząt pozwala zrozumieć zasadę. Tylko z przodu z obu stron racie znajdują się ostre, twarde jak stal krawędzie. Wewnętrzna powierzchnia jest miękka i prawie nie dotyka ziemi. Tak więc buty do chodzenia po górach powinny być obite jedynie na brzegach i to raczej specjalnymi satyfami przypominającymi siekacze niż prawdziwymi gwoździami. Trzeba je nabić tuż przy sobie wokół czubka buta, a po bokach i na piętach w odstępach o szerokości palca. Niestety, podkute buty myśliwskie mają tę wadę, że głośno postukują o kamieniste podłoże. Jest to właśnie ten metalowy dźwięk, który alarmuje wszystkie dzikie zwierzęta. Można temu zaradzić, stawiając bardzo ostrożnie każdy krok i uważając, żeby nie uderzać o ziemię ani czubkami ani kantami butów. Trzeba to dobrze wyćwiczyć. Na każdym stroimym zboczu, zwłaszcza porośniętym trawą, podkute buty dają lepsze oparcie nawet od przyręczanej gumowej zełwki.

Idealnego obuwia przydatnego w każdym terenie i każdym klimacie nie ma i być nie może. W piaszczystym terenie, gdy jest ciepło, nosi się buty z porowatych materiałów i na stosunkowo cienkiej podszewie, żeby zbędnie nie obciążać nóg. Dzięki temu pot łatwo może wyparować, a chodząc nie hałasuje się. Jeżeli mimo upałów poleca się grube wełniane skarpety, to dla ochrony przed rozpalonym piaskiem i ukrytymi w nim ostrymi kamyczkami. Oczywiście takie lekkie obuwie nie jest trwałe, jest za to tak tanie, że można je bez namysłu wyrzucić przy pierwszych objawach zużycia. Kto planuje wędrowkę przez piaszczyste okolice, powinien zabrać parę zapasowych butów, a może nawet i dwie. Prawie nic nie ważą. Do górskiej wspinaczki są specjalne buty na kotopnych podszewach, które się nie ślizgają. Jedną można je nosić tylko w lecie.

Do wilgotnych tropikalnych dżungli nie nadają się ani półbuty, ani buty z cholewką sięgającą zaledwie do kostek. Trzeba mieć buty z cholewami z przewiewnego płótna, możliwie lekkie i trwałe.

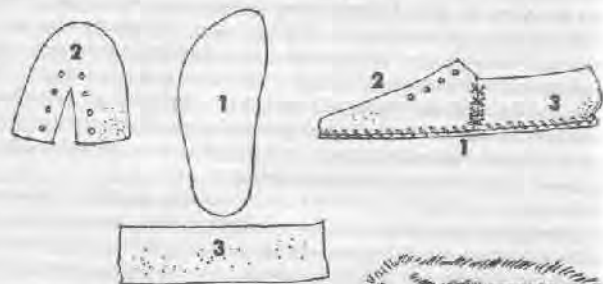
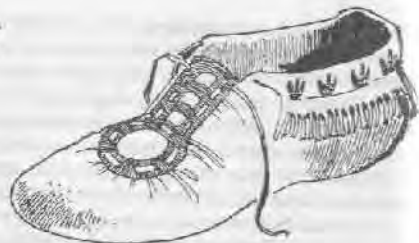
Do wędrowek po stepach i zaroślach w ciepłych krajach najlepsze są buty turystyczne z przyręczną podszewą i cholewką przepuszczającą powietrze. Chronią przed żółtłami o ostrych krawędziach, przed czubkami galezki, kolcami i zadziorami, a także przed różnymi porostami. Chyba nikt przed skorpionami, czerwonymi mrówkami i różnego rodzaju komarami trawającymi na wysokości nóg. Pióciennie cholewki można pod kolanami zapinąć na sprzączkę lub zasznurować tasiemką.

Słynne indyjskie mokasyny są lekkim obuwem z miękkiej skóry. Pierwotnie wykonywano je ze skóry jelenia. Prawdziwe mokasyny wykonuje się z jednego kawałka skóry podbitego futrem. Sięgają prawie do kostki, są ciepłe i dobrze przylegają do nóg, ale nie nadają się do noszenia w szorstkim, kamienistym terenie. Chociaż delikatne podszewy nie na długo starczą na kamienistym gruncie, biali traperzy i osadnicy przejęli mokasyny od czerwono-skórych. A to dlatego, że dawnymi czasy nie było lepszego obuwia do polowania z podchođu. Na takich miękkich podszewach myśliwy mógł się bezgłownie poruszać w terenie. Z tego powodu mokasyny można polecić i dzisiaj. Wsadza się je do plecaka i wyjmuje dopiero wtedy, gdy zaczyna się polowanie. Współczesne mokasyny wędrownicze produkowane przez przemysł mają miękkie zełwki ze skóry lub gumy. O niektórych mówi się nawet, że są wodoodporne. Nie są to już jednak prawdziwe mokasyny, tylko się tak nazywają. Nosząc mokasyny, też wkłada się wełniane skarpety. Indianie, podobnie jak skandynawscy Laponczycy, poprzestają na wyścieleniu ich mechem lub miękką trawą, która często zmieniają. Dzięki temu nie muszą prać skarpet. Mokasyny mają jeszcze i tę dobrą stronę, że można ich nie zdejmować, wkładając nogę w odpowiednią dużą butę.

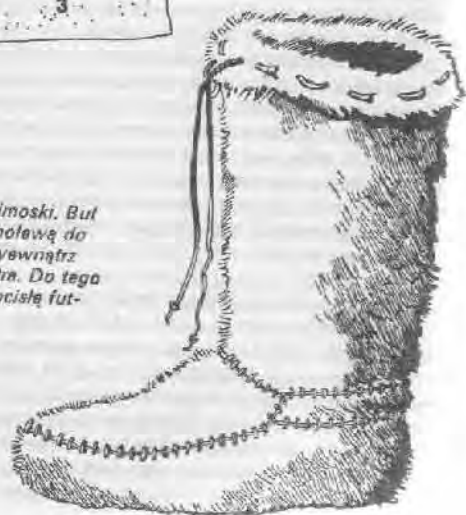
„Kamikoskie „mukluki” są to buty z cholewami z focznej skóry. Wykonane są z jednego kawałka, lecz w środku dodatkowo podbite futrem. Przy tym nawaz jest ono w jak najlepszym gatunku. Najcieplejszym futerkiem na podbitcie jest futerko z cieląt karibu, które nie przekroczyły czterech tygodni życia. Nie koniec na tym, do mukluków wkłada się jeszcze drugie futerko. Te buty, bardzo miękkie i ściśle przylegające do nogi. Obecnie coraz częściej zastępuje się je trzema lub czterema parami wełnianych skarpet. Mimo nietofornego wyglądu mukluki są dosyć lekkie, a miękkie podszewy są na tyle grube, że tylko nieznacznie wyczuwa się ostre kamienie i lodowe wyłapy. Z butów wyparowuje pot, lecz nie przenika przez nie mróz. Wilgoć może przesiąknąć na stałe, ale w czasie ostrych mrozów nie ma wilgoci. Pomimo że jednak mukluki wykonane są z miękkiego materiału, nie są zbyt trwałe. Dobry myśliwy, który stale wędruje, zużywa w ciągu zimy dwie do trzech par.

Jak do tej pory nie ma takiego materiału na buty, w którym mimo wilgoci i zimna noga byłaby sucha i ciepła, w każdym razie żaden nie wytrzymałoby długo w trakcie stałego używania. Obecnie jednak wygląda na to, że problem został rozwiązany. W USA wytwarza się dla celów militarnych gumowe buty wyposażone w wentylację. Powyżej kostek znajduje się wentyl, który można odkręcić i zakręcić. Zamyka się go przechodząc przez strumienie i potoki lub brnąc przez bagna. Poza tym jest zawsze otwarty, zwłaszcza że ma zabezpieczenie przed deszczem. Dzięki temu pot może wyparować. Także w czasie postoju buty odpowietrza się za pomocą wentyla. Na razie

Mokasyn na wzór in-
diański, sporządzony
z miękkiej skóry



Mukluk (but) eskimoski. But
z focznej skóry z cholewą do
kolan, wyłożony wewnątrz
drugą warstwą futna. Do tego
nosi się jeszcze obcisłą fut-
rzaną pończochę



tego rodzaju buty są jeszcze bardzo ciężkie i jak wszelkie gumowe obuwie niezbyt wygodne do chodzenia po szorstkim nierównym gruncie.

Nikt nie powinien wyruszać w drogę w nowych butach, jakiegokolwiek by były, dopóki ich nie „rozchodzi”. W tym celu nie można się od razu wybrać w daleką drogę. Za pierwszym razem wystarczy spacer na dystansie trzech, następnego dnia pięciu, a na trzeci dzień około ośmiu kilometrów. Dopiero wtedy okazuje się, czy but jest dobrze dopasowany do nogi. Może powinno się włożyć wkładkę lub przesunąć obcas. O ile to nie pomoże, nie pozostaje nic innego tylko trzeba wypróbować inne buty. Pod żadnym pozorem nie wolno liczyć na to, że buty z czasem same się dopasują.

Dobrze dopasowane buty są cennym sprawunkiem i należy o nie dbać, żeby służyły jak najdłużej. Trzeba je często natłuszczać, a świeży, płynny tłuszcz zwierzęcy jest lepszy od wszelkich sztucznych wyrobów. Zdaniem doświadczonych traperów najlepszy jest tłuszcz z bobrów i świstaków. Jeżeli buty odstawia się na dłuższy czas, należy je wypchać suchym mchem, miękkim sianem albo wełnianymi szmatami. Stawianie mokrych butów tuż przy ogniu, żeby wyschły, najbardziej im szkodzi. Skóra pęka lub twardnieje na kamień i buty nie nadają się do noszenia. Wśród pustkowi równa się tu nieszczęściu. Jeżeli nie ma się zapasowej pary, nie pozostaje bosonogiemu człowiekowi nic innego, jak uszyć sobie zastępcze buty ze skóry jakiegoś zwierzęcia, co jest trudnym zadaniem dla kogoś, kto się tego nie wyuczył.

Ciasne buty są okrutnym narzędziem tortur. Uniemożliwiają prawidłową cyrkulację krwi, nogi puchną, a człowiek utyka jęcząc. Za duże buty stwarzają znacznie mniej kłopotów. Prawie zawsze można wyrównać różnicę dodatkową parą skarpet. Nie mogą być jednak przesadnie duże, bo w zbyt wielu parach skarpet noga nie miałaby pewnego oparcia.

Wnosząc się nieco wyżej, dochodzimy do spodni. Także i w tym wypadku większość specjalistów zaleca wełniane materiały, lżejsze lub cięższe, zależnie od klimatu. Bywają jednak inne dobre materiały, zwłaszcza ze sztucznego tworzywa. W każdym razie materiał musi być trwały, odporny na podarcie i nie wchłaniający wody, poza tym lekki i na tyle ciepły, na ile jest to potrzebne. Spodnie muszą być luźne i nie kępować ruchów. Bryczesy nawiązują się tylko do konnej jazdy, szorty i krótkie skórzane spodnie jedynie do dziennych wycieczek. Spodnie powinny osłaniać kolana. Czasami trzeba się wspinać i wtedy kolana muszą być chronione. To, czy ktoś woli chadzać po lasach i ostępach w pumpach, czy w długich spodniach z kantami zależy od jego osobistych upodobań. Pod warunkiem, że będą wygodne.

Szerególnie starannie wykonywane skórzane spodnie mają w rzeczywistości więcej wad niż zalet. Na deszczu i podczas marszu przez mokre zarośla, a nawet wśród wysokiej zroszonej trawy zaraz przemiekają. Wciągają wilgoć jak gąbka, a potem bardzo długo schną. Ten, kto usiadzie na śniegu

w skórzanych spodniach, przez resztę dnia ma mokre siedzenie. Skóra nadaje się do użytku jedynie podczas kompletnej suszy i w czasie silnych mrozów. Zachowuje ciepło, chroni przed silnym wiatrem i jest wyjątkowo odporna.

Z jakiegokolwiek materiału byłyby spodnie, nie mogą mieć mankietów ani być za długie. Powinny sięgać do kostek. W przeciwnym razie będą się ustawicznie zaczepiać o poszycie leśne i krzewy. Gdy ktoś nosi dwie pary wełnianych skarpet, te, które są pod spodem, powinien podciągnąć aż do łydki, a wierzchnie zwinąć na szerokość dłoni i wyłożyć na cholewki. Zapobiegnie to weiskaniu się kamyków, a co najmniej utrudni. Kiedy jest mokro i zimno, rzadziej wkładać wełniane lub filcowe sztylpy, ale nie takie owijaczki, które mają tendencję do rozwijania się. U dołu przymocowuje się je sprzączkami do butów, a góry poniżej kolan. Gdy z wierzchu porządnie nasmaruje się sztylpy tłuszczem, będzie z nich sływać woda. W sięgającej do kolan sztylpy można wetknąć spodnie.

Traper nosi na wszelki wypadek pasek, już choćby po to, żeby na nim powiesić nóż. Spodnie trzymają się jednak na szelkach. Pozostawiają wędrowcowi większą swobodę ruchów i nie musi tak zaciskać pasa. Większość drobiazgów nosi w kieszeniach. Dlatego spodnie podróżne są cięższe od spodni, w których chodzi się po ulicy i szelki muszą być mocne.

Wspominaliśmy już wcześniej o koszulach. Gdy jest zimno, lepiej założyć dwie lekkie wełniane lub flanelowe koszule niż jedną grubą. W czasie trzaskających mrozów można założyć i trzecią. Każda z nich ma na piersiach zapinaną kieszonkę, w której można nosić kompas, okulary przeciwsłoneczne i inne łatwe do uszkodzenia przedmioty. Nie należy zastępować tej lub innej koszuli pulowerem. Lepiej nosić dzimny sweterek, zapinany na guziki. Można go w miarę potrzeby odpinąć, gdy jest za gorąco i bez trudu zdjąć.

Podróżna kurtka ma dwie kieszenie na piersiach, dwie wewnętrzne i naturalnie dwie boczne z patkami zapinanymi na guziki. Często trzeba się przedzierać przez zarośla, przeskakiwać przez strumienie i wspinać na skały. Z otwartych kieszeni mogłyby wtedy powypadać różne przedmioty. Myśliwy musi mieć guziki obciążone skórą lub materiałem, żeby nie porzuciła o nie lornetka ani strzelba. Bardzo wskazane jest przyszyć dużych guzików na ramionach, tam gdzie wszyte są rękawy. Zapobiegają one zsuwaniu się pasek, na których się nosi broń i plecak. To samo zadanie spełnia walek z materiału lub ze skóry, a w ogóle ramiona powinny być wypchane, gdy się na nich coś dźwiga. Nie trzeba dodawać, że kurtka musi być lekka i dość luźna. Nie może krępować swobody ruchów. Dotyczy to zwłaszcza ubrania pod pachami.

Żaden wędrowiec nie powinien się wybierać w drogę bez wierzchniego

okrycia, chroniącego przed deszczem i wiatrem, przy czym ochrona przed przenikliwym wiatrem bywa ważniejsza niż przed deszczem. Lodeniu mimo jego licznych wad nie da się zastąpić niczym lepszym. Jest ciepły, nie przepuszcza wiatru, a na postojach można na nim usiąść. Śpiącemu na łożku połowym zastępuje koc lub poduszkę. Nie szeleści podczas przedzierania się przez zarośla. Loden jest jednak stosunkowo ciężki, a podczas długotrwałych deszczów staje się jeszcze cięższy. Tylko początkowo sływa z niego woda. Gdy jednak pada godzinami lub wręcz leje, płaszcz zaczyna przepuszczać wodę i zmienia się w nasiąkającą gąbkę. Lżejsza od płaszcza typu loden jest lodenowa peleryna, tak zwany koc. Nie ma rękawów, a tylko z przodu obszywkę zapinaną na guziki. Plecak i karabin nosi się pod peleryną. Jakkolwiek na długotrwałe deszcze jest równie mało odporna jak loden, peleryna znakomicie chroni przed wiatrem i śniegiem, natomiast w czasie silnych mrozów nie grzeje tak dobrze jak płaszcz.

Prawdziwie wodoodporny jest tylko gumowy lub doskonale impregnowany materiał. Musi mieć jednak wentylację, żeby nie zatrzymywał wilgoci od wewnątrz. Na przykład gumowe płaszcze z podpinką mają naprawdę dobre odpowietrzenie. Miewają także przypinane futrzane podpinkę, tak że nie grzeją. Płaszcze gumowe mają jednak tę wspólną wadę, że szeleszczą przy zetknięciu z krzakami i gałązkami. Myśliwy nie może ich nosić w trakcie polowania z podchochu. Draj się o wiele łatwiej niż loden i nie są zbyt miłym okryciem w czasie postoju na zimnej lub mokrej ziemi. Z drugiej strony jednak nie zajmują dużo miejsca w plecaku.

Niezależnie od tego, jaki płaszcz wybierzemy, będzie z niego ściekał deszcz. Będzie kapał na kołana i na spodnie, bo ani płaszcz, ani peleryna nie trzymają do tydek. Pozostaje więc do wyboru albo bardzo długie okrycie, które na bezdrożach przeważnie przeszkadza, albo strój dwuczęściowy, to znaczy nieprzemakalna kurtka i także spodnie. Na podstawie własnego doświadczenia wybrałbym to drugie rozwiązanie, już choćby dlatego, że takie spodnie mogą leżeć w plecaku dopóki nie będą potrzebne. Są one wykonane z materiału nie wchłaniającego wody, ale nie w pełni wodoodpornego. Te „zwierzchnie spodnie” ze ściśszego materiału lepiej chronią w czasie wyjątkowo złej pogody od właściwych spodni, zwłaszcza przed powiewami zimnego wiatru. Zawijają się je u dołu na butach przewlekając przez materiał taśmanką. Za pomocą drugiej taśmki ściąga się je na biodrach, można je także zawiesić na szelkach.

Kółdane wyekwipowany podróżnik nosi jeszcze jakieś wierzchnie okrycie, najlepiej skafander wykładany na spodnie i sięgający do ud. Jego wkładanie i zdejmowanie ułatwia taśmka z naszytymi guzikami, a najlepszy jest suwak. Taśmki skafander trzeba ściągnąć przez głowę, bywa to czasem uciążliwe, bo przede wszystkim stanowi on osłonę przed wiatrem i dlatego jest szczel-

nie zapięty. Szyję osłania kołniercz, który można podnieść i zapiąć na guzik. Kaptur jest połączony ze skatandrem na stałe. Powinien być jednak na tyle obszerny, żeby można było pod nim nosić wełnianą lub futrzaną czapkę albo kuszki. Ściągacz powinien umożliwić tak szczelne zaciągnięcie kapturu, żeby wystawały jedynie oczy, usta i nos. Oczywiście skafander też ma na piersiach dwie kieszenie zapinane na guziki i przykryte palcami. Inna kieszeń — na rękawiczki i lornetkę — winna się znajdować na brzuchu, a jeszcze inna na plecach. O ile pozwolą na to wiatr, chłód i pogoda kołnierzyk, nosi się rozpięty, a ściągacz rozluźniony.

Co się tyczy deszczu, to najlepiej chroni przed nim poncho. Robi się je z całkowicie wodoodpornej gumowej lub plastikowej, mniej więcej półmetrowej płachty. W środku jest szelczyna, przez którą można wetknąć głowę. Plecak, a najczęściej i karabin nosi się pod poncho. Okrywa ono ręce i dłonie. Gdy trzeba coś zrobić zarzuca się poncho na ramię. Jeżeli przez cały czas chce się mieć obie ręce wolne, robi się po obu stronach poncho rozporzki. Zaletą tego rodzaju peleryny jest jej lekkość. Złożona mieści się w kieszeni kurtki lub w bocznej kieszeni plecaka. Jej wadę stanowi wydawanie szeleszczących odgłosów przy ocieraniu się o gałęzie.

Z pewnością lekkie deszczowice też ma swoje dobre strony. Jest całkowicie nieprzemakalny i waży zaledwie kilkadziesiąt gramów. Jako płaszcz, w przeciwieństwie do poncho, chroni także i kolana. Ale cieniutsejki płaszcz przeciwdeszczowy jest tak wrażliwy na ocieranie się o krzewy i suche gałązki, że lepiej wędrować w nim po przetartych szlakach. Kto mimo to chciałby go zabrać, dobrze zrobi zabierając równocześnie taśmę samoprzylepną, żeby móc go załatać. Przyda się ona także dla poncho i wszelkich innych części odzieży wykonanych z delikatnych materiałów.

Na głowę wkłada się zazwyczaj lekką, w miarę możliwości wodoodporną kapturkę z szerokim rondem. Można go zwinąć i wetknąć do kieszeni. Jeszcze lepsza jest czapka z daszkiem i nausznikami. Gdy są niepotrzebne, podnosi się je i zawiązuje nad głową. Zimowe czapki i nauszniki są podbite miękkim futrem. Ważny jest zawsze szeroki wystający daszek, który osłania oczy i twarz przed słońcem, deszczem i śniegiem. Przed ulewnym deszczem i porywistym wiatrem najlepiej chroni tak zwana zydwestka, jaką noszą marynarze. Ma ona także i z tyłu daszek, który osłania kołniercz i odprowadza wodę. Okalające ją spadziste rondo chroni ze wszystkich stron i nie zasłania uszu. W głębi kraju i w górach „zydwestka” może sprawić osobliwy widok, lecz skoro spełnia swoje zadanie na pełnym morzu, nie inaczej jest i na lądzie.

W północnych szerokościach geograficznych nosi się zimą tak zwane bliźniaki. Przypominają skafander podbity futrzanym ocieplaczem. Zzewnątrz pokryty jest on wodoodpornym materiałem lub skórą foli.

Także i „bliźniaki” mają kaptur na stałe przymocowany do kołnierza, niezwykle obszerny i oczywiście podbity futrem. Otwór na twarz obszyty jest długowłosem zimowym futrem polarnego wilka. Po zaciągnięciu otworu włosy tworzą przed twarzą znakomitą kratownicę, przez którą widać, a która jednak powstrzymuje śnieg i napór wiatru.

W porównaniu z innymi ubiorami futra są stosunkowo ciężkie. Przeszkadzają w szybkim poruszaniu się i sprawiają, że długie marsze są niezwykle męczące. W ostatnim dziesięcioleciu ekspertom od spraw survivalu udało się wyprodukować nową, znacznie lżejszą odzież chroniącą przed zimnem. Ten strój polarny pomyślany przede wszystkim jako wyposażenie specjalnych ekspedycji pracujących w arktycznym klimacie, obecnie produkuje się także dla potrzeb cywilnych. Składa się on ze specjalnej tkaniny nylonowej pokrywanej prawdziwym bądź sztucznym puchem. Te polarne stroje wyglądają na pułóć ciężko i niezgrabnie, są jednak zdumiewająco lekkie i ciepłe jak najlepszy spiwór. Można się w nich swobodnie poruszać, jak w normalnym ubraniu. Nie można gwarantować ich wodoszczelności, bo mają wszędzie na stałe wentylację, zresztą podczas silnych mrozów i tak nie należy się spodziewać deszczu.

Rękawice wykonane są w ten sposób, że nie tylko jest ciepło w ręce, lecz także można nimi torować drogę. Gólimi rękami nie da się usunąć kolczastych gałęzi ani pomagać sobie przy wspinaczce na strome zbocza pokryte porostkami, klującymi porostami. Na rozpalonych kamieniach pustynnych skal prawie nie można się omyć bez rękawiczek. Najbardziej odpowiednim materiałem dla ochrony rąk przed obrażeniami jest na pewno mocna skóra. Jednakże gdy jest zimno i mokro, wchłania ona wilgoć i nie ma mowy o ochronie przed chłodem. Znacznie lepsze jest wodoodporne tworzywo ocieplaczem. Nawet gdy pocą się ręce, będzie w nie ciepło, dopóki się one nie zdejmą. Drugą parę rękawic na zmianę można nosić w plecaku. Rękawice myśliwskiego mają szparę pod spodem prawego palca wskazującego. Dzięki temu nie zdejmując rękawic, można nacisnąć cyngiel gołym palcem. W przeciwnym razie, strzelając, trudno byłoby uniknąć błędów.

W czasie wielkich mrozów, tylko w rękawicach o jednym palcu nie marzną ręce. Cztery palce ogrzewają się nawzajem, podczas gdy kciuk tkwi w szczególnej grubej osłonie. Pomiedzy pozostałymi palcami brak miejsca, żeby można je tak dobrze opatulić. Nosząc tego typu rękawice nie można się posługiwać poszczególnymi palcami, tylko trzeba chwycić całą dłoń i kciukiem. Można sobie ułatwić sprawę, nosząc w rękawicach u jednym palcu lekkie pięciopalcowe rękawiczki jedwabne, bawełniane lub nylonowe. W trakcie wykonywania pilnych i koniecznych prac po prostu zdejmuje się jedno-palcówki.

Ważny wódek lodów, w czasie zawiści śnieżnej i wichury zawsze może się

zdarzyć, że się zgubi rękawice. Strata może się przerodzić w nieszczęście, gdy potrzebne są do pracy obie ręce naraz, a nie mamy na nie co włożyć. Istnieje bardzo prosty sposób, żeby we wszystkich okolicznościach uniknąć tego niebezpieczeństwa. Każdą rękawiczkę przymocowuje się mocnym sznurkiem do rękawa. Jeszcze lepiej przymocować obie rękawiczki do jednego sznura. Przeciąga się go przez mocną pętelkę wszytą pod kołnierzem kurтки. Gdy rękawice są niepotrzebne, po prostu przetrząsa się je przez ramię. Mimo tych środków ostrożności, wędrując przez różne okolice zawsze trzeba mieć w plecaku drugą parę rękawic.

Tropikalne słońce i pustyne upały zmuszają do noszenia lekkiego, lecz kompletnego stroju. W krótkich spodniach i rozpiętej koszuli z krótkimi rękawami bardzo przyjemnie jest spacerować w słońcu nad brzegiem morza, nie nadają się one jednak na safari wśród stepów, buszu i dżungli. Potrzebna jest osłona przed wysokimi, ostrymi trawami i nie należy do przyjemności, gdy zagładające drogę gałęzie i ciemiste krzewy kaleczą gołą skórę. Niezliczone roje much szukają miejsca, w które mogłyby zapuścić swoją pompę ssącą, pijawki i inne robactwo usiłuje się usadowić na gołych nogach. Nosi się więc długie spodnie, przy czym warto uszczelnić nogawki. Albo wciga się na nie skarpetki, albo się je zawiązuje. Najpraktyczniejsze spodnie do wędrowek po buszu są zaopatrzone w sprzączki lub wszyte tasemki. Lekka koszula z porowatego materiału jest luźna, przewiewna i kończy się o dwie, trzy szerokości dłoni powyżej spodni. Rękawy sięgają do przegubów rąk i można je ciasno zapiąć. Nie trzeba dodawać, że każda koszula przeznaczona do przebywania w buszu ma cztery kieszenie, oczywiście z patkami zapinanymi na guziki. Wszystkim ludziom o wrażliwym żołądku, nerkach lub wątrobie zaleca się, żeby mimo upałów nosili wełnianą opaskę brzuszną, bo zawsze może się zniemacka ochłodzić. Nawet w tropikach bywa bardzo zimno.

Na temat najlepszego tropikalnego nakrycia głowy istnieją skrajnie różne poglądy. Obciągnięty materiałem tropikalny korkowy hełm jest lekki, dość chłodny i znakomicie chroni przed słońcem, gdy jednak idzie o myśliwych, ma tę wielką wadę, że przy potrąceniu łada gałązki wydaje dźwięk odgłos. Ma się więc na głowie coś w rodzaju wrebła. Poza tym hełmy tropikalne wyszły z mody i człowiek wygląda w nich jak były kolonialista.

Pogląd, że koniecznie trzeba nosić nakrycie głowy, by nie dostać porażenia słonecznego, jest przestarzały. Europejczycy, krótko od wielu lat przebywają w ciepłych krajach, przeważnie nie noszą kapeluszy, a mimo to są zdrowi, co jednak nie znaczy, że obcy przybysz też może do tego szybko przywyknąć. Usilnie radzimy nosić, jak megdyś, kapelusz, zwłaszcza tu pustyń i na odkrytych przestrzeniach stepów. Kapelusz winien być lekki i mieć bardzo szerokie rondo. Powinien on chronić przed silnie operującym

słońcem nie tylko czoło i oczy, lecz także kark. Na safari w stepie i buszu najlepsze są takie kapelusze, których rondo można z każdej strony podnieść i pozostawiać w dowolnej pozycji. Bowiem podczas wędrowki przez wysokie trawoła i krzewy, ustawiając rondo mogłoby przeszkadzać.

Biały kolor nadaje się tylko do chodzenia po mięsne, promenadzie i hotelowym westybulu. W buszu i na stepie, a zwłaszcza w trucznej dżungli kłująca biel bardzo prędko zamienia się w znieczulenie brudnych plam. Nosi się kolor khaki albo piaskowy, a myśliwym doradza się nawet strój maskujący w różnobarwne plamy. Biel prawie nie występuje na dalekim południu i każda jasno błyszcząca plama z miejsca rzuca się w oczy, jako coś obcego. Wszelka dzika zwierzyzna narychmiast zrywa się do ucieczki.

Wśród dzikiej przyrody także i kobieta powinna być podobnie ubrana. Wygodniczki całkiem się nie nadają do pierwotnej gluszy, bo zaczepiałyby o krzaki i wręcz utrudniałyby swobodę ruchów. Kto spotka grupę traperów, powinien się z bliska dobrze przyjrzeć, czy nie ma wśród nich kobiety. Kobieta, która poświęciła się traperstwu, musi z wielu rzeczy zrezygnować. Jej strój ma być jedynie praktyczny, w żadnym wypadku modny. Im bardziej naturalnie zachowuje się kobieta w takim stroju, tym lepiej wygląda. Tajemnica elegancji polega między innymi na tym, że trzeba się ubierać stosownie do okoliczności.

Co ze sobą zabrać?

Aleksander Mackenzie był pierwszym białym, który przemierzył całą Amerykę Północną. Wyruszając z kompanii handlowej Fort Chipewywn nad wielkim jeziorem Athabasca Luce wspiął się na Peace River, przekroczył Góry Skaliste i po długiej pieszej wędrówce 22 lipca roku 1793 dotarł do Oceanu Spokojnego. Poprzednio podczas innej, równie śmiałej, studiowej wyprawy odkrył — nazwana później jego imieniem — MacKenzie River i dotarł aż do Północnego Oceanu Lodowatego. Aleksander Mackenzie nigdy nie stracił żadnego ze współtowarzyszy i z wielkiej ekspedycji badawczej wszyscy powrócili zdrowi. W owych czasach zakrawało to na cud, bo przecież wiele ekspedycji przepadło bez śladu. Spośród innych tylko nieliczni powracali cali i zdrowi. Bezprzykładne sukcesy Aleksandra Mackenzie należy zawdzięczać jego przezorności i talentowi organizacyjnemu. Obliczał wagę niezbędnego ekwipunku nie tylko co do funta, lecz co do grama. Mimo to nie brakowało niczego, co później mogłoby się okazać niezbędne do przeżycia. Tubylcy zwali go „Kitschi Emko”, „Prędki Człowiek”, a to dlatego, że chociaż nie zabierał ni funta ponad miarę, miał kompletne wyposażenie, szybko posuwał się naprzód i własnymi siłami umiał przezwyciężyć wszelkie trudności. Przy wyborze ekwipunku kierował się metodą, która warto polecić także i dzisiaj.

„Po dojrzałym namyśle sporządziłem trzy wykazy — donosił kuzynowi Roderykowi Mackenzie — na trzech osobnych arkuszach papieru. Pierwszy wykaz obejmuje wszystko, co jest niezbędne, drugi wszystko, co absolutnie konieczne, podczas gdy na trzecim arkuszu spisałem wyłącznie to, co wydawało mi się nieudłowne, żeby móc przeżyć. Potem straciłem ze stołu dwa pierwsze wykazy, a na trzecim napisałem: zredukować o połowę”.

Zostało więc to, czego Mackenzie naprawdę potrzebował.

Odkrywcą postępowal tak nadal i po gruntownym przemyśleniu osobno zapakował sprzęt i prowiant, a każdy niósł tylko tyle, ile mógł dźwigać bez

nadmiernego wysiłku. Pakunki były tak pomyślane, że w razie potrzeby do wszystkiego można się było dostać. Rzeczy poukładane na sobie w takiej kolejności, w jakiej ich się zwykle używa. Nie trzeba było tracić czasu na szukanie.

Sposób, w jaki Mackenzie porobił zestawy i podzielił ekwipunek, można bez zastrzeżeń stosować i dzisiaj.

W kieszeniach względnie za pasem powinno się nosić tylko najniezbędniejsze drobiazgi, to znaczy te, które mogą być potrzebne w czasie marszu. Resztę nosi się w plecaku. Plecak jest i będzie najlepszym środkiem transportu dla człowieka, który osobiście dźwiga swoje manatki. Plecak powinien mieć jak największą zewnętrzną kieszeń ze szczelnymi niezawodnymi zamkami. Trzeba mieć możliwość sięgnięcia po każdą rzecz potrzebną w ciągu dnia. Należy to uwzględnić przy pakowaniu plecaka. Wszystkie przedmioty, które niezbędne będą dopiero wieczorem, powinny być ułożone w plecaku w takiej kolejności, w jakiej będzie się z nich korzystać. Garnki, puszki i pozostałe naczynia, i w ogóle wszelkie przedmioty o osmych krawcach należy tak zapakować, żeby nie uwiierały w plecy. Dla myśliwego jest rzeczą szczególnie ważną, żeby nie w plecaku nic klekotało. Nie lubi tego także żaden krótkiego wypoczynku, powinno się nosić w zewnętrznych kieszeniach. Każdy przedmiot winien się znajdować w przewidzianym miejscu, należy żeby można go było szybko znaleźć. W określonym miejscu należy ulżyć prowiant na obiad, sprzęt kuchenny, lampę i przybory do szycia. Polujący z podchodu musi pamiętać, że plecak może być nagle potrzebny jako podpórka dla szucera. Byłoby więc dobrze, żeby żadne zbędne wyposażenie nie przeszkadzało w ustawieniu go w statycznej pozycji.

Także i w samym plecaku nie należy wszystkiego wywracać. Rzeczy powinny być zapakowane w kolorowe woreczki. W każdym winien się znajdować określony zestaw przedmiotów o pokrewnym przeznaczeniu. Na przykład przybory do mycia wkłada się do białego woreczka, a wszelkie przybory myśliwskie do zielonego. Lekarstwa umieszcza się w żółtym woreczku, a określoną żywność w niebieskim. Lniane płótno stanowi najlepsze opakowanie, plastik bywa za delikatny. Jednakże plastikowe woreczki nadają się do przechowywania maki, cukru i soli. Niezależnie od tego należy je potem włożyć w woreczki z lnu. Komu nie chce się codziennie czyścić zapakowanych garnków, powinien owijać je w papier lub w liście, zanim znajdą się w plecaku. Zresztą cały komplet wkłada się do woreczka.

Ma się rozumieć, że plecak musi być wodoszczelny, niezależnie od tego, z jakiego materiału jest wykonany. Skóra jest odporna na podarcie, ale w czasie dłuższej ulwy w końcu przemieęka. Mocne, ściśle i dobrze impregnowane płótno żaglowe jest daleko bardziej praktyczne. W trudnych warunkach,

przy nieodpowiednim traktowaniu nie zawsze można polegać na prawidłowym funkcjonowaniu zamków błyskawicznych. Najbardziej niezawodnym jest stare pospolite zapięcie na skórzane paski ze sprzączkami. Plecak powinien wisieć na ramie z lekkiego metalu ze skrzyżowanymi szerokimi pasami, żeby nie dotykał bezpośrednio do pleców. Troki powinny być jak najszersze i miękko wyścielone tam, gdzie opierają się o ramiona. Nie należy nosić plecaka za wysoko, pasy powinny być na tyle luźne, żeby dolny brzeg ramy sięgał do paska. Dzięki temu ciężar opiera się głównie na biodrach, co zmniejsza nacisk na ramiona. Łodem, względnie jakiegoś innego wierzchnie okrycie zasznurujemy się pod klapą plecaka. W razie potrzeby rzeczy te najłatwiej stamtąd wyjąć. Kto w czasie deszczu zmienia koszulę, mokrą wiesz po prostu na plecaku.

Oprócz plecaka istnieje jeszcze tak zwany packboard, rodzaj nosiłek. Długość ma około pięćdziesięciu—sześćdziesięciu centymetrów długości i trzydziestu do trzydziestu pięciu centymetrów szerokości. Z obu stron jest murek więcej na szerokość łożni wygięta ku środkowi. Między brzegami sklepienia napięte jest płótno żaglowe, które opiera się o plecy noszącego. Pomiędzy nosiškami i płótnem znajduje się wolna przestrzeń. U dołu nosiłek wystaje w tył pod kątem prostym deseczka, na której wspiera się ciężar. Zanim rzeczy umieści się na nosiškach, trzeba je najpierw zapakować w dużą wodoszczelną plachtę i zasznurować. Następnie pakunek przymocowuje się do nosiłek sznurami przeciągniętymi przez umieszczone na brzegach dziurki lub pętelki. Niedługo północnoamerykańscy traperzy nie mieli innych środków transportu niż packboard. Miały tę przewagę, że można było do nich przywiązywać duże części dziczyzny, wręcz całe sadze łosia lub karibiu. Gdy jednak chce się sięgnąć po osobiste rzeczy, trzeba najpierw rozsznurować i zdjąć cały ciężki pakunek. Zdecydowanie lepszy jest plecak z wieloma zewnętrznymi kieszeniami. Warto wiedzieć, że stopniowo wypiera packboard.

Tu i ówdzie używa się koszy z wikłowej plecionki, ale nie nawiązuje się one do długich marszów. Przydają się tylko do przenoszenia bagażu na krótkich dystansach. Jeżeli idzie o tubylców, to oskórowaną zdobycz męchów dźwigają do domów przede wszystkim tamtejsze kobiety.

Gdy w gromie ekspertów omawia się, co trzeba zabrać w drogę, toczą się gorące spory, bo idzie tu o odwieczny dylemat pomiędzy przydatnością bagażu a jego wagą. Decydującą rolę odgrywa zazwyczaj osobista zdolność do dźwigania i umiejętność przetrwania ze skąpym wyposażeniem we wszelkich możliwych sytuacjach. Bagaż w żadnym razie nie może ograniczać zdolności poruszania się, zaś z drugiej strony nie może czegokolwiek zahamować na skutek zaniedbania. Rady bywają dobre i szczerze, lecz traper sam musi dokonać ostatecznego wyboru. Czy zrezygnuje z tego lub innego mi-



Traper z plecakiem na łożu. Tego rodzaju stelaż jest szczególnie przydatny do przenoszenia dużych pakunków i dziczyzny

podnienia, zależy to od umiejętności współzycia z naturą i eksploataowania jej. Wygody postoju piechur zawsze przyplaca niewygodami marszu. Gdy zakłada się stałe obozowisko, żeby podjąć z niego codzienne wycieczki, większość ekwipunku pozostawia się oczywiście w obozie. Lecz nawet robiąc dzienne wycieczki należy się liczyć z koniecznością noclegu, przede wszystkim wtedy, gdy na polowaniu ubije się z dala od obozu grubego zwierzka. Także niepogoda i nagła mgła mogą zmusić do nieprzewidywanego noclegu. Trzeba być na to przygotowanym.

Najpierw zastanówmy się, co traper nosi w kieszeniach. Zawsze to, czego będzie potrzebował w czasie marszu. Spis rzeczy powinien wyglądać w sposób następujący: zapalniczka w wodoszczelnym pudełku, o czym wspominałem już przy innej okazji, uniwersalny szczytyk zawieszony gdzieś u pasa na mocnym łańcuszku, następnie mapa terenu i kompas, płaski kubek z piastyku, notes i ołówek, a także chusteczkę i okulary przeciwsłoneczne. Myśliwy musi pod ręczną naboje w lewej kieszeni na piersiach, a u pasa nóż myśliwski. Oczywiście zegarek, a nawet wskazane są dwa zegarki, jeden noszony na przegubie lewej ręki, a drugi ze świecącym cyferblatem w wewnętrznej kieszeni na piersiach. Obydwa zegarki muszą być wodoszczelne i wstrząsoodporne. Zapewne nosi w kieszeniach wiele innych rzeczy według własnego

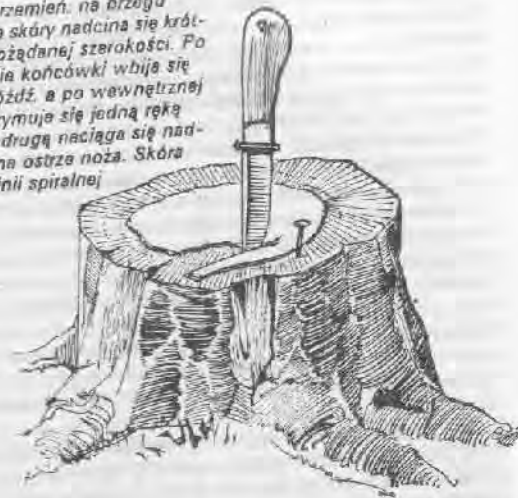
uznania i osobistych potrzeb. Palacz musi mieć fajkę i pudełko z tytoniem lub plastikowe pudełko z papierosami. Jeden zawiesza sobie lornetkę na szyi, inny pod kurtką, a jeszcze inni wkładają ją do obszernej kieszeni.

To, co będzie potrzebne w czasie wypoczynku lub w razie nagłej zmiany pogody, powinno się — jak już o tym mówiliśmy — umieszczać w zewnętrznych kieszeniach plecaka. A więc prowiant na przelaskę, wodoszczelną lartarkę, poncho na niespodziewane ulewy, wełniane skarpety na zmianę, tęcznik i mydło, żeby się można po drodze umyć, a gdy jest zimno — wełniany szal. Nie powinno zabraknąć środka przeciwko komarom. To, czy rękawiczki lub rękawice o jednym palcu nosić w kieszeni kurtki, w wewnętrznej kieszeni plecaka, czy w samym plecaku, zależy oczywiście od pogody. Gdzie i jak traper nosi kamerę filmową, zależy od przyzwyczajenia. Nie powinna się jednak ubijać i musi się znajdować w odpornym na uderzenia futerału. Jedną zapasową rolkę filmu warto nosić w kieszeni spodni, a drugą w pierwszej lepszej zewnętrznej kieszeni plecaka, naturalnie w wodoszczelnym opakowaniu. Kto chce od czasu do czasu łowić ryby, powinien w zewnętrznej kieszeni plecaka mieć linkę do wędki i haczyki. Gdy wybieramy się w dalszą drogę nie wolno zapomnieć o trzy lub czterometrowym nylonowym sznurze i równie długim kawałku miedzianego drutu, które potrzebne są w czasie długich wędrówek podobnie jak przybory do szycia, guziki, sznurawadła, taśma klejąca i przyklepac. Wszystkie te rzeczy umieszcza się również w zewnętrznej kieszeni. Także i siekiera powinna być przymocowana do plecaka dwiema petelkami.

Gdy ktoś wędruje przez okolice, w których rzadko gdzie można znaleźć świeżą wodę, musi zabrać ze sobą pełną manierkę. Wkłada się ją do futerału, żeby nie klekotała i przywiązuje do plecaka. Jeżeli w czasie upału i suszy zwilżymy futerał, zawartość manierki pozostanie w marzę chłodną. Jak się już rzekło, najskuteczniej gasi pragnienie nie słodzona herbata.

Gdy się poluje i zdobędzie się świeżą skórę, można sobie samemu zrobić skórzane paski, które są bardzo często potrzebne. Wycina się okrągły kawałek skóry. Kładzie się go na płaskim drewnie, na przykład na pniu drzewa i z boku wbija się gwoździem. Można go zastąpić drzazgą, widelcem lub wręcz jakimś spiczastym przedmiotem. Potem nadcina się brzeg skóry mniej więcej na długość palca. Należy nadcinać równie szeroką lub wąską końcówkę, tak jak szeroki lub wąski ma być pasek. Tę końcówkę dociska się obrzeżem do białego w drzewo gwoźdź, a wewnątrz rozcięcia wbija się nóż. Musi on tkwić prostopadle, zwrócony ostrzem w stronę skóry i to w tym miejscu, gdzie odstaje od niej nadcjęta końcówka. Nóż nie powinien się znajdować na wprost gwoźdź, lecz o trzy do czterech centymetrów przed nim. Tak więc końcówka znajduje się pomiędzy nożem i gwoździem, a jej szerokość równa jest odstępowi pomiędzy nimi.

Tak oto powstaje ramię. Na brzegu okrągłego kawałka skóry nadcina się krótką końcówkę o pożądanej szerokości. Po zewnętrznej stronie końcówki wbija się w podkładkę gwoździem, a po wewnętrznej nóż. Teraz przytrzymuje się jedną ręką kawałek skóry, a drugą naciąga się nadcjętą końcówką na ostrze noża. Skóra przecina się po linii spiralnej



To, co potem następuje, łatwiej jest zrobić niż opisać. Lewą ręką ciągnie się za końcówkę, podczas gdy prawą z wolna obraca się i coraz dalej przecina skórę. Dzięki temu nóż automatycznie wycina pas pożądanej szerokości. W ten sposób kawałek skóry zamienia się stopniowo w ramię. Żeby użyć tego mocnego ramienia do ciągnięcia łodzi lub sani, trzeba spleść lub związać kilka pasów. Dalsza obróbka jest zbędna, bo świeża surowa skóra jest samoczynnie odporna na zerwanie. Z garbowanej skóry można w podobny sposób zrobić rzemienie dla psiego zaprzęgu bądź też naciąg do namiotu, troki do plecaka, wiązania nart i tratwy. W żargonie traperskim te własnoręcznie wykonane rzemienie zwą się „niemowlakami”. Kto nie poluje, powinien mu wszelki wypadek zabrać ze sobą kawałek surowej skóry. Bardziej się to przydaje niż zabieranie gotowych rzemieni, bo nikt nie wie z góry, kiedy i jakie rzemienie będą w danych okolicznościach potrzebne.

W plecaku umieszcza się przybory do mycia, kieszonkowe lustro, śpiwór, płachtę namiotową lub mały namiot, a także kilka zmian bielizny i ciepłych rzeczy, o ile przewiduje się znaczne wahania temperatury. Poza tym w plecaku znajdują się: garnek, patelnia, filiżanki i nakrycia stołowe, a także zmywak do garnków i siekierka do naczyń. Do tego dochodzą: nóż do otwierania konserw, o ile się zabiera konserwy, oliwa i przybory do czy-

szerzenia broni, tłuszcz do butów, dla pewności druga latarka z zapasową baterią lub zamiast niej świece. Przewornie ludzie zabierają zapasowy kompas, drugie pudełko z zapalnikami, a na wszelki wypadek także i nylonową linkę. Gdy przewiduje się kilka noclegów, nie powinno zabraknąć i ościelki. Trzeba też zabrać najważniejsze środki pierwszej pomocy i tabletki do oczyszczenia brudnej wody. Trudno się obyć bez lekkich pantofli z nieprzemakalną podeszwą. Dzięki nim można szybko opuścić obóz, nie wkładając turystycznych butów. Radio tranzystorowe z wyciąganą anteną udzieli nam — może lub bardziej wiarygodnych — informacji o pogodzie na dzień następny.

Najważniejszy jest naturalnie prowiant, jeżeli ktoś nie chce się całkowicie zdać na dary natury. Nadmieniliśmy już o tym, że waga zabranego prowiantu powinna pozostawać w jak najbardziej korzystnym stosunku do jego wartości odżywczej. Pomijając żywność dehydratyzowaną, szczególnie pożywne i względnie lekkie są: smalec, tłuszcz palmowy, słonina, oliwa i oliwek, margaryna, masło, serwołka, czekolada mleczna i tusty ser, mniej więcej w wymienionej kolejności. Spośród nich jedynie słoninę, czekoladę i kielbasę można przez dłuższy czas przechowywać i łatwo transportować. Smalec, tłuszcz palmowy, masło i oliwa muszą się znajdować w zamkniętych puszkach. Wyjątkowo pożywne i przydatne, a także łatwe do transportu i dające się długo przechowywać są poza tym peklowina, mąka pszenna, mąka kukurydziana, ryż i płatki owsiane, orzeszki arachidowe, nardzyny, daktyle i inne słodkie owoce, a także kakao, cukier, ekstrakt miodowy, szynka wędzona, jajka w proszku i mleko w proszku. Do tego dochodzą herbata, kawa i orzeźwiający napoje w proszku. Z przypraw korzennych powinno się zabierać pieprz, a także dużo soli. Do przyrządzania większości potraw potrzebna jest woda, choćby w postaci śniegu lub lodu. Dla człowieka dźwigającego ekwipunek w bezwodnych lub ubogich w wodę okolicach, zaopatrywanie się w nią we własnym zakresie jest trudnym i ryzykownym zadaniem, którego się lepiej nie podejmować.

Mały lyczek przed snem jest nie do pogardzenia. Butelki są jednak ciężkie i łatwo się tłuką. Ze względów oszczędnościowych w grę wchodzi tylko mocne trunki. Najmocniejszy i najłatwiejszy jest wysokoprocentowy wino, ale trzeba go rozcieńczać herbatą. W tym wypadku maniierka osiemdziesięcioprocentowego rumu powinna wystarczyć na długo. Alkohol należy jednak pić tylko wieczorem, bo w ciągu dnia wywołuje zmęczenie.

Mogłoby się wydawać, że w plecaku znajdzie się bardzo dużo różnych rzeczy. Gdy jednak każda część ekwipunku i każdy rodzaj żywności starannie dobierzemy uwzględniając ich wagę, nie będzie się dźwigać więcej niż dwadzieścia pięć do trzydziestu funtów. Tylko w niezwykle zimnym klimacie nosi się cięższy śpiwór i ciepłą odzież.

W umiarkowanym klimacie od wczesnej zimy do późnej jesieni całkowi-

cie wystarczy normalny puchowy śpiwór, ważący około czterech, pięciu funtów, a szczególnie wysokiej jakości i drugi jest jeszcze lepszy. Jest on dobrze napełniony puchem i ważąc sześć do siedmiu funtów zapewnia ciepłą nocleg nawet w czasie nocnych przymrozków dochodzących do dziesięciu stopni Celsjusza poniżej zera, podczas gdy waga śpiwora przeznaczanego na polarne mrozy dochodzi do ośmiu, dziesięciu funtów. Zapewne, wata, wełna i różne sztuczne tworzywa dobrze izolują, ale stosunek wagi do ciepłoty nie jest tak korzystny, jak w przypadku śpiwora z wysokogatunkowym, prawdziwym puchem. Korzystniejsza jest tylko cena, bo pierwszorzędne puchowe śpiwory są bardzo drogie.

Ponieważ w czasie podróży śpiwór traktowany jest po macoszemu, trzeba go pokryć odpornym na podarcie materiałem. Poszewka nie może być jednak w żadnym wypadku wodoodporna. Ciało śpiącego musi oddychać, a paru się ulatniać.

Kto tygodniami sypia w śpiworze, powinien się owijać w lekkie wełniane prześcieradło. Zszywa się je jak worek i od czasu do czasu trzeba je zmieniać. Taka wkładka nie tylko służy higienie, lecz także ochrania i ociepla śpiwór.

Włóknosć śpiworów jest zapinana na suwak. Bywają i takie, w których suwak sięga aż do nóg, dzięki czemu cały śpiwór da się rozłożyć. W domu może zasnąć koldrę, toteż kupno podwójnie się opłaca. Niestety, suwaki mają to do siebie, że, gdy się z nimi źle obchodzić, niekiedy się zacinają. Zdecydowanie bardziej praktyczne są duże solidne zatrzaski. Gdy trzeba szybko wstać, można je wszystkie rozpiąć za jednym zamachem. Poza tym zatrzaski mają tę przewagę, że podniszczone można po prostu wymienić.

W ciepłym śpiworze bardzo przyjemnie jest spać całkiem nago. Śpiwór bowiem wszystko nie jest tak szeroki jak zwykle domowe łóżko i nie należy go owijać, ubierając się do snu. Gdy jednak trzeba włożyć coś ciepłego, rzecz powinna być wykonana z materiału przepuszczającego powietrze, a więc najlepiej z wełny. W nieodpowiednim śpiworze najpierw zmarzną nogi. Można temu zaradzić, wkładając owe puchowe pantofle, o których wspomina-

liśmy przy innej okazji. Śpiwory przeznaczone do spania w niskich i najniższych temperaturach wyposażone są w kaptury z tego samego materiału z takim samym wypełnieniem. Można je wkładać na głowę i zawiązywać pod szyją. Wystaje i mieć tylko twarz. Gdy ktoś się obawia, żeby w nocy nie odmrozić sobie ust i uszka nosa, owija twarz wełnianym szalem. Musiałby jednak wtedy panować barbarzyński mróz. W normalnych warunkach wystarczy ciepłota ciała, jeśli twarz była dostatecznie ukrwiona. W czasie silnych mrozów oddech śpiącego ostada na górnych częściach śpiwora i zamienia się w warstwę lodu. Wtedy nie ma na to lekarstwa. Nie to jednak nie szkodzi, bo w ciągu dnia nosie plamy znów wysychają.

Ubrania wywieszają się na noc, żeby się przewietrzyły i ewentualnie wyschły, powinny więc wisieć luzem. W czasie mrozów ranki są lodowato zimne i nie można od razu włożyć ubrania, tylko razem ze skarpetami trzeba je wciągnąć na jakieś pół godziny do śpiwora.

Dwa lub trzy funty nadwagi nie grają roli, toteż powinno się ze sobą zabierać na podkładkę nadmuchiwaną materac, choć nie jest on rzeczą niezbędną. Za pomocą małego mieszka albo własnych płuc można go w kilka minut napompować i będzie najlepszym podkładem dla przytulnego śpiwora. Nie trzeba wyrównywać małych nierówności na ziemi. Nie należy go jednak za mocno nadmuchiwać. Prawidłowo nadmuchany jest wtedy, gdy leżąc na boku kością biodrową prawie dotyka się ziemi. Po bokach i w nogach materac winien nieco odstawać od ziemi, żeby, ktoś, kto niespokojnie śpi, nie stoczył się z niego. Podglówek ma osobno nadmuchiwaną poduszkę powietrzną. Po wypuszczeniu powietrza materac zajmuje niewiele miejsca w plecaku. Tylko jego ciężar decyduje o tym, czy chce się go zabrać, czy nie.

Odwrotny problem stanowi mata izolacyjna, która jest lekka jak pióra, ale nie da się ścisnąć i zajmuje dużo miejsca. Znany ją u nas w kraju (w RFN, przyp. tłum.) przeważnie dzięki wyrobom ze znakiem firmowym „Isolterra”. To miękka mata o grubości dwóch centymetrów ma pod spodem srebrnoszary warstwę izolacyjną, która nie tylko chroni przed ciągłymi od ziemi zimnem i wilgocią, lecz także zachowuje ciepło ludzkiego ciała. Mata izolacyjna jest lekko wypchana, a spód ma powleczoney odpornym na podarcie materiałem i stanowi idealną podkładkę dla śpiwora. Jednak zwinięta mata z trudem da się wpełnić do plecaka. Trzeba ją przywrócić na zewnątrz i to w wodoszczelnym pokrowcu. Bywają maty izolacyjne dowolnej wielkości. Można nimi wyłożyć cały namiot, a wtedy mieszka się na miękkim, ciepłym dywanie.

Ze wszystkich narzędzi trapersa najważniejszy jest nóż. Bywa jeszcze większej i bardziej potrzebny niż siekiera. Jeżeli ktoś się upiera przy tym, żeby zabrać tylko jeden nóż, narzędzie takie nie może być ani za krótkie, ani za długie. Klinga wraz z rękojeścią nie powinny być dłuższe od normalnego stołowego noża. Tylko nóż z pierwszorzędnej stali sprosta różnorodnym zadaniom. Rękojeść powinna naprawdę być adekwatna do nazwy, a więc paręczna. Musi mocno i wygodnie leżeć w dłoni. Często bowiem noża trzeba będzie używać, kiedy jest mokro i pada deszcz, a także po nocy i w czasie ostrych mrozów. Nie może się właścicielowi wysliznąć z ręki.

Żadne okoliczności nie zmuszają jednak do tego, żeby zabierać tylko jeden nóż. Warto zabrać co najmniej dwa, a mianowicie nóż składany noszony w kieszeni spodni i solidny myśliwski nóż u pasa. Przydałoby się, żeby nóż myśliwski miał drugą klingę z zaokrąglonym końcem, do rozluznia zwierziny i do ściągania z niej skóry. Nóż myśliwski posiada dwa ostrza, jedno

do głębokich, drugie do precyzyjnych cięć. Czubek powinien być jak najostrejszy, ale nie za cienki, żeby się zbyt łatwo nie złamał. Klinga noża myśliwskiego ma około piętnastu centymetrów długości, trzy do czterech centymetrów szerokości i powinna być solidnie wykonana. Cena nie może grać roli także i przy kupnie składanego noża kieszonkowego. Podobnie, jak przy odzieży bardzo starannie wybiera się buty, przy zestawieniu ekwipunku również starannie trzeba dobrać nóż.

Po każdorazowym dłuższym użyciu nóż trzeba naostrzyć, żeby zawsze mógł spełniać swoje zadanie. Dlatego też należy zabierać ośletkę. Jest nią kamień zwany karborundem. Na przykład przy ściąganiu skóry z upolowanego grubego zwierza nóż trzeba ostrzyć trzy- albo czterokrotnie. Okrągły kamień szlifierski jest z jednej strony szorski, z drugiej o wiele gładziej. Kamień trzyma się płasko w dłoni i zwilża się go wodą lub śliną. Przy nadaniu pierwszego ostrego szlifów klingę odchyła się o trzy, cztery milimetry, podczas gdy ostrze niezbyt silnie dociska się do kamienia. Kamień szlifierski trzyma się wtedy w lewej ręce. Około trzydziestu sekund szlifuje się jedną stroną ostrza, potem drugą. Należy to robić tak długo, aż przy próbnym śliznięciu przekonamy się, że już po nadaniu ostrego szlifów nóż jest dostatecznie ostry. Wtedy dochodzi do głosu druga, gładza strona ośleki. Odchyła się ona o jedną klingę tylko o jeden do dwóch milimetrów, a poza tym postępuje się identycznie, jak przy ostrym szlifie. Ośletkę zwilża się w miarę potrzeby. Na koniec z umiarkowaną siłą kilkakrotnie przeciąga się klingę po kamieniu pod kątem czterdziestu pięciu stopni. Do cięcia drewna na opał i wyluzowania kości wystarczy nóż średnio ostry, podczas gdy do skórowania i dzierżnienia drzewiny w ogóle nie musi być ostry.

Co się tyczy skórzanej pochwy do noża myśliwskiego, jej gatunek, wbrew pozorom, to sądzić nowicjusze, nie jest łatwą sprawą, bo gdy zsztyta jest jedynie skórą, nie spełnia wysokich wymagań traperskich. Może się zdarzyć, że w krótkim czasie ostra klinga przemie lub przetrze dratwę. Poza tym już wielu ludzi nieważeliwie upadło na pochwę i odniosło głębokie rany. Nic podobnego nie może się zdarzyć, jeżeli dratwę zastąpi się miedzianym drutem. Skóra ją też zastąpić miedzianymi nitami. Ponieważ są one w ogóle uniwersalnym środkiem nadającym się do naprawy wielu rzeczy, w żadnym przypadku nie powinno zabraknąć miedzianych sztyftów długości kciuka i grubości jednego do dwóch milimetrów. Z obu stron pochwy w odstępach półcentymetrowych wywierca się w skórze małe otworki i wsuwa w nie metaliczne sztyfty. Wystające z obu stron końcówki rozklepuje się palcami, obuchem siekiery lub kamieniem. Kto ma skózaną pochwę do noża myśliwskiego, musi ją sobie sam usztywnić, wykładając środek między ściankami aluminiową i obszywając ją dodatkową warstwą skóry. U góry pochwy musi być mały rzemyk z pętelką lub zatrzaskiem, żeby nóż mocno tkwił

w pochwie i w żadnych okolicznościach z niej nie wysunął. Nóż, za pomocą przymocowanej do pochwy skórzanej петельki, zawieszają u pasa na lewym biodrze.

Dla człowieka przebywającego w dzikich ostępach drugim pod względem ważności narzędziem jest siekiera. Jej ciężar i wielkość zależą od prac, do których ma być użyta. Do ścinania potężnych drzew i budowy domu z bierwion z pewnością potrzebna jest duża i ciężka siekiera, której stalowa główka waży cztery do pięciu funtów i więcej. Komu jednak potrzebne będzie jedynie drewno na opał i żerdki do budowy obozowiska, temu wystarczy mała siekierka z główką półtora funtowa. Jej stylisko jest oczywiście znacznie krótsze niż stylisko dużej siekiery.

W niewprawnej dłoni siekiera staje się niezwykle groźnym narzędziem. Trzeba o tym ustawicznie pamiętać. Nikt nie powinien wyruszać z ciężkim toporem, jeżeli uprzednio nie nauczył się nim posługiwać. Bez ćwiczeń pod fachowym kierunkiem nie tak łatwo nauczyć się operowania siekierą. Dlatego nowicjuszom usilnie się poleca, żeby nie zabierali siekiery albo brali małą siekierkę, która nie jest tak niebezpieczna i którą łatwiej się posługiwać.

Do naostrzenia dużej siekiery nie wystarczy osekła, potrzebny jest stałowy pilnik. I tylko mając jedno- lub dwufuntową siekierkę traper może przestać na karborundowej osetce, na której równocześnie będzie mógł sobie naostrzyć nóż. Mała siekierka ma jeszcze tę przewagę, że można ją łatwo i wygodnie przenosić. Wtyka się ją do zewnętrznej kieszeni plecaka tak, że by wystawało stylisko. Do przenoszenia dużej siekiery na plecaku muszą się znajdować петельki. Nie trzeba przypominać, że dla bezpieczeństwa i ochrony na ostrze siekiery nakłada się futerał. Przymocowuje się go do styliska rzemykami i sprzączkami. Musi to być taki futerał, którego nie przetnie ostrze siekiery.

Kto nie nauczy się posługiwać siekierą, bądź też w ogóle chce uzupełnić ekwipunek, powinien zabrać piłę. Poręczna i praktyczna w użyciu jest tak zwana rozplątka. Prawie nie waży, natomiast nie tak łatwo wsadzić ją do plecaka. Trzeba ją na nim powiesić, a w dodatku owinąć, oczywiście kawałkiem mocnej skóry.

Jeszcze lepsza i łatwiejsza do transportowania jest giętka piła taśmowa. Zwija się ją i po prostu wkłada do garnka.

Żeby móc korzystać z piły taśmowej, trzeba mieć oczywiście kabłąkowany uchwył. W tym celu ścina się świeżą, giętą odpowiednio mocną gałąź i rozszepcza z obu stron na długość kciuka. W środku rozszepczenia przewierca się dziurki i wsuwa koniec piły w rozszepczoną końcówkę pałaka. W piłę taśmowej znajdują się już odpowiednie dziurki. Przez nie i przez własnoręcznie wywiercone w pałaku otwory przetyka się miedziany sztyfcik (w razie potrzeby kołeczek z twardego drewna). Wystające z obu

stron końce miedzianego sztyftu rozklepuje się. Potem tak długo wygina się gałąź, aż drugi koniec piły wejdzie w drugą szparę. Tam przymocowuje się go w podobny sposób.

Do bardziej precyzyjnych robót przyda się jeszcze kilka drobniejszych narzędzi. Kto przez dłuższy czas pozbawiony jest kobiecej opieki, niestety, nie może zrezygnować z przyborów do szycia. Traperzy, poszukawcze i tym podobni ludzie potrafią się nimi zadziwiająco dobrze posługiwać. Nie mają zresztą innego wyjścia. Muszą sobie sami cerować skarpetki i reperować ubrania.

Tylko mój stary kumpel Hilmar Noiss zrobił niesławny wyjątek. Gdy na poddaszu „Fredheimu” — zapewne najbardziej opuszczonego domu na Spitsbergenie — pokazywał mi zbiór niedźwiedziich czaszek, wisiał tam pod strychem jeszcze inny zbiór, mianowicie zbiór welnianych skarpet, a każda miała na pięcie dziurę wielkości pięści. Hilmar oceniał ich ilość na jakieś sto sześćdziesiąt par.

— Co to za skarpety? — zapytałem. — Dlaczego ich nie naprawisz?

— Wiszą tu i czekają. Jak wróci żona, to je zaceruje — wyjąłnit siedem-dziesięćciolatek. — Czy cerowanie skarpet nie jest w końcu zajęciem dla kobiet?

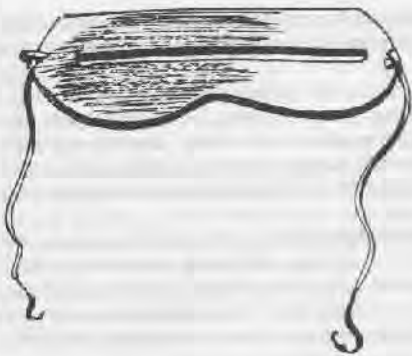
— Chyba już dawno nie było tu twojej żony?

— Tak, od dawna mnie zamiećbuje, bardziej podoba się jej w Tromsø, gdzie mieszka dziesięć tysięcy ludzi. Niedługo minie dwadzieścia lat od czasu, jak była tu po raz ostatni. Ale przyjedzie na przyszły rok latem, kategorycznie tego zażąda. Wtedy porządnie zaceruje wszystkie skarpety!

O ile wiem, dotychczas się nie zjawiła. Przez ten czas u Hilmara na strychu na pewno zebrało się bite dwieście par nie zacerowanych welnianych skarpet.

Do takich sytuacji nie wolno dopuszczać. Hilmar Noiss w czasie każdej wizyty w Longyearbyen oddalonego zaledwie o dwa dni drogi, może sobie kupić w sklepie nowe skarpety. Traper nie może i nie chce obciążać plecaka zbyt wieloma parami zapasowych skarpet. Sam więc musi szyć i cerować. Nie zależy mu na precyzji. Za przybory do szycia wystarczy mu gruba igła, szpulka grubych i cienkich nici, a także różne luty oraz haftki, петельki i co tam jeszcze potrzebne do naprawy odzieży. Do lat i rozdarć, a także dziur w kieszeniach spodni są specjalne taśmy klejące ze sztucznego tworzywa, z których się odcina kawałek pożądanej wielkości. Doskonale trzymają i na pewno nie puszcza w rozdartym miejscu. Brakujący guzik można w razie potrzeby zastąpić własnoręcznym wyrobem wyciętym z twardego drewna, kości lub rogu jelenia.

Dla trapera dobry stan butów odgrywa tak ważną rolę, że w pewnych okolicznościach musi je sam naprawiać. Może się oderwać podeszwa, może



**Okulary
śnieżne
(askimos-
kie) wycię-
te z drewna
lub kości
chronią
użytkowni-
ka przed
nadmier-
nym blas-
kiem słoń-
ca, śnieżną
ślepotą
i zapale-
niem oczu.**

pęknięć szew. Na długie trasy poleca się więc zabierać sznydło i dratwę. Kto korzysta z san, nart albo rakiet śnieżnych, powinien mieć małe wiertło. Bardzo praktyczny jest komplet wiertel różnej wielkości, pasujących do tego samego uchwyty.

Kieszonkowe lusterko, o którym już wspominaliśmy, nie służy do przypatrywania się sobie przy goleniu ani czesania włosów, lecz do wyjmowania z oka obcych ciał i badania skażeń twarzy, a poza tym do sygnalizowania. Zabłąkany wędrowiec może nim dawać sygnały świetlne samolotowi poszukiwawczemu albo zwrócić na siebie uwagę innych ludzi. Lusterko nie musi być większe od dłoni. Jeżeli zostało wykonane z polerowanego metalu, jest miedkujące.

Dobre okulary przeciwsłoneczne są rzeczą tak ważną, że na wszelki wypadek powinno się zabierać zapasową parę. Gdy się stale przebywa w otwartym terenie, oczy są znacznie bardziej i na dłużej wystawione na działanie promieni słonecznych niż na co dzień w domu. Wymagają osłony przed zbyt jaskrawym światłem, zwłaszcza w czasie wędrowek poprzez śniegi i lody. Osłona taka potrzebna jest nawet przy zachmurzonym niebie. Błyski światła na śniegu i wodzie są na stałe nie do zniesienia. Oczy zaczynają boleć i wywołuje się stan zapalny. Gdy zgubi się okulary, trzeba sobie samemu sporządzić okulary śnieżne. Do zrobienia ich wystarczy kawałek skóry lub wąska, płaska deseczka, albo kawałek kory. Wycina się dwie szparki na oczy i wywierca z obu stron dwa otworki. Przeciąga się przez nie sznurki i zawiązuje się okulary na twarzy jak maskę.

Należy mieć także szkło powiększające. Potrzebne jest do wyszukiwania druzg w skórze, dokładnego studiowania mapy, a nawet do obejrzenia inte-

resującego chrząszcza. Gdy świeci słońce, można użyć szkła jako soczewki wypukłej. Myśliwy bada przez nie brzoży tropów dzikiej zwierzyny i miejsca złamań stratowanych źdźbeł trawy, żeby obliczyć, ile czasu minęło od przejścia zwierza.

Nikommu nie trzeba tłumaczyć, co się wkłada do worka na brudną bieliznę. Chciałbym przy okazji podkreślić, że na łonie natury trzeba dbać o osobistą czystość nie tylko ze względów higienicznych, co się samo przez się rozumie, lecz także dlatego, że zdziaczały człowiek bardzo prędko traci szacunek dla samego siebie.

Ową „straperską brodę” wielu nowicjuszy zapuszcza sobie przeważnie po to, żeby imponować innym. Rozczochrana broda ma sprawiać wrażenie, że się znosiło tak ogromne trudy, iż w ogóle nie można się było ogolić. A przecież zawsze i wszędzie można znaleźć miseczkę wody i pięć minut na toaletę. Niezależnie od tego można się golić na sucho, korzystając z baterii, która niewiele waży. Wybaczają się tylko ludziom, którzy z trudem uszli z życiem. Właż tym kudłate brody bardzo przeszkadzają. Lgnie do nich piach i pył, a w czasie wędrowki przez śnieżne tereny śnieg i kryształki lodu.

Trzeba być niezwykle lekkomyślnym, żeby przy spisywaniu wyposażenia przeoczyć „pierwszą pomoc”. Ponieważ nikt nie może z góry wiedzieć, czego ewentualnie będzie potrzebował, należy się ograniczyć do podstawowych doświadczeń, to znaczy do leków przeciwko skażeniom i chorobom, które same przychodzą na myśl. Przeważnie będą one zależały od okolicy i klimatu strefy, do której się wybieramy. W każdym razie w wyposażeniu powinny się znaleźć: bandaże, leukoplast i inne materiały opatrunkowe, środki dezynfekcyjne, szczypczyki i małe nożyczki, termometr do mierzenia gorączki w niełamliwym opakowaniu oraz środki przeciwko bólowi głowy i żołądka, a przede wszystkim na obtępienie gorączki. Również maść na oparzenie, wazelina i środek przeciwko oparzeniom słonecznym, poza tym tampony tamujące krew, tabletki oczyszczające brudną wodę, pigułki przeczyszczające i środki przeciwbólowe, gumowa linka do podwiązywania silnie krwawiących ran, a w razie potrzeby przeciwmalaryczne środki zapobiegawcze oraz serum przeciwko ukąszeniom jadowitych wężów i odpowiednie w odpowiednim instytucie, gdzie znajdują występujące w danym kraju jadowite węży i przeciwśrodków. Co do obawy przed zakażeniami, których się można nabawić, w tej lub innej okolicy, najlepiej zapytać miejscowego lekarza, jak się ich ustrzec. We własnym interesie trzeba jak najdokładniej przestudiować przepisy obowiązujących w sprawie szczepień.

Niezależnie od tego z pewnością każdy człowiek jest szczególnie podatny na to lub owo. Kto przekroczył średni wiek, przeważnie musi unikać różnych rzeczy ze względów zdrowotnych. Dlatego zawczasu powinien omó-

wie swoje plany z lekarzem, który go najlepiej zna i we wszystkim stosować się do jego rad.

Gotowe pakiety pierwszej pomocy są wprowadzić dobrze obmyślane, ale rzadko kiedy odpowiadają specjalnym potrzebom przebywającego w głuszy. Jest w nich wiele rzeczy niezbędnych, trochę pod pewnym względem przydatnych, podczas gdy innych, mogących służyć zachowaniu zdrowia w czasie długich wypraw, w ogóle brak. Także i to powinno się szczególnie omówić z lekarzem. Jeżeli sam już kiedyś uczestniczył w wyprawie i zna okolice, w które się wybieramy, będzie to na pewno bardzo korzystną okolicznością. Tak czy owak nie zaszkodzi zasięgnąć jego rady jako eksperta w sprawach danego kraju.

Nie pomogą jednak i najlepsze leki, gdy ma się kiepskie pojęcie o tym, kiedy i jak je stosować. Dotyczy to także sposobu postępowania przy złamaniach, zakładania opatrunków i używania igieł do zastrzyków. Tak więc kurs pierwszej pomocy jest równie potrzebny, jak wiedza o zabranych lekarstwach i ich działaniu. Trzeba też wiedzieć, co zwiastują określone objawy, w przeciwnym razie można sięgnąć po całkiem niewłaściwy środek.

Zabranie leków przeciwko wszelkim chorobom jest niemożliwe. Nie da się uniknąć pewnego ryzyka, jest ono jednak znacznie mniejsze, niż się przypuszcza. Przecież w czasie długiej wędrówki, dzięki świeżemu powietrzu i ciągłemu ruchowi żyje się znacznie zdrowiej niż w domu. Dzięki temu organizm regeneruje siły, zakładając że się nie przywlekło ze sobą żadnej choroby. Przed wyjazdem trzeba się więc kazać dokładnie zbadać, rzecz jasna musi to zrobić także i dentysta.

Przykład kwot ubezpieczeniowych, wypłacanych od nieszczęśliwych wypadków dotyczących turystyki wysokogórskiej wskazuje na to, że początkujący wyrządzają sobie znacznie częściej i znacznie poważniejsze krzywdy od doświadczonych alpinistów. Przy tym, im trudniejsza wyprawa, tym mniej wypadków, ponieważ ważą się na nią tylko wytrawni alpinści, których doświadczenie nauczyło szczególnej ostrożności. Nie inaczej bywa w głuszy. Kto ją dobrze zna, ten nie pozwala sobie na zbędne ryzyko. Na podstawie akt alaskańskich służb ratunkowych można przyjąć, że większość akcji dotyczy ludzi, którzy wyruszają na pustkowie lekkomyślnie i bez odpowiedniego ekwipunku. Dobrze wyekwipowany i doświadczony człowiek prawie zawsze umie sobie poradzić.

Na wielotygodniowe wędrówki nie trzeba zabierać znacznie cięższego i bardziej różnorodnego ekwipunku niż na wyprawy kilkudniowe. Dochodzi tylko kilka funtów koncentratów żywnościowych, jako żelazny zapas na te dni, kiedy wbrew własnym oczekiwaniom nie można zdobyć dostatecznie dużo żywności. Zabiera się także kilka zapasowych baterii do latarki lub większą ilość świec, a także większy zapas zapalек i klisz do kamery filmo-

wej. Uzupełnia się naczynia kuchenne, zabierając drugi garnek i trochę więcej przypraw. Myśliwy zabiera dwa lub trzy razy więcej nabojów. Kilka książek w kieszonkowym formacie skróci owe dni, które ze względu na wyjątkowo brzydką pogodę trzeba będzie spędzić w śpiworze. Poza tym na sześć tygodni potrzebne jest mniej więcej to samo, co na sześć dni.

Gdy wyrusza kilkuosobowa grupa, każdy uczestnik może nieść lepszy bagaż. Siekiera, komplet narzędzi i torba z pierwszą pomocą są do wspólnego użytku. Odnosi się to także do naczyń kuchennych i wielu innych przedmiotów. Niewielka grupa może nocować w jednym namiocie. Co prawda musi on być większy, ale i tak jest znacznie lepszy, niż kilka pojedynczych namiotów. Uczestnicy wyprawy mogą odpowiednio rozdzielić ekwipunek. Jeżeli nie wszyscy pasjonują się myślistwem lub wędkarstwem, a polują i wędkują tylko w celach zaopatrzeniowych, wystarczy im jeden szatucer i jedne przybory wędkarskie. Po gruntownym przemyśleniu, każdemu z uczestników można znacznie zmniejszyć bagaż i dzięki temu zwiększyć zasięg wyprawy, a także owo poczucie bezpieczeństwa, które stwarza wspólnota. Niewątpliwie prymitywne życie w równorzędnym towarzystwie ma osobliwy urok.

Poprzez bezdroża dzikich ostępów

Już od wielu lat Nathusiak, alaskański Eskimos, był najwierniejszym i najbardziej doświadczonym towarzyszem Vilhiamura Stefanssona. Wraz z amerykańskimi ekspedycjami polarnymi złożonymi z ludności islandzkiej Nathusiak przebył już siedem tysięcy mil Północnego Oceanu Lodowatego i arktycznej tundry. Eskimos był mistrzem w sztuce przetrwania na krańcach, a nawet na dachu świata. Był najlepszym myśliwym swojego plemienia i najlepszym tropicielem. Stefanssona wciąż na nowo zadziwiała fantastyczne zdolności tego dziecięcia natury. W razie jakichkolwiek wątpliwości, jak postąpić w tym lub innym wypadku, biały słuchał rad Eskimosa.

Któregoś dnia mieli wśród zaśnieżonej tundry tak mało żywności, że członkowie ekspedycji zaczęli głodować. Jakkolwiek już od wielu dni nie widać było ni śladu zwierzyny, nie można było powstrzymać Nathusiaka od samotnej wycieczki, by mimo wszystko spróbować wytropić choć kilka pardw. Wyszedł wśród gęstej mgły. Stefansson nie wypuściłby samotnie nikogo innego, ufał jednak, że Eskimos trafi z powrotem do obozu. Już po kilku krokach Nathusiak utonął w szarej mgle.

Wrócił po upływie osiemnastu godzin zadyszany, dźwigając ładunek świeżej dziczyzny. Odkrył w głębokim śniegu tropy karibu, szedł za nimi przez wiele godzin i w końcu upolował zwierzę. Podczas gdy ludzie w obozie z miejsca zabrali się do jedzenia, żeby zaspokoić głód, Nathusiak całkiem niepostrzeżenie wyruszył w drogę po raz drugi. Zależało mu na tym, żeby ściągnąć resztę zdobyczy, zanim doborą się do niej wilki. Po upływie około dziesięciu godzin pogoda poprawiła się i znów była dobra widoczność. Stefansson wspiął się na najbliższe wzgórze. Wprawdzie nie wypatrzył zwierzyny, zobaczył jednak Eskimosa Nathusiaka. Ale Nathusiak nie szedł w stronę obozu, tylko obławowany dziczyzną zmierzał w odwrotnym kierunku. Stefansson wystrzelił w powietrze. Eskimos natychmiast stanął, odwrócił się i ze zdumienia wypuścił ciężar z rąk.

Nie pomylił się, bowiem szedł po własnych śladach, ale po tych śladach, które pozostawił za pierwszym razem, tropiąc karibu. Przywiodły go one w pobliże obozu bardzo daleką, okrężną dziesięciogodzinną drogą. Jednak Nathusiak nie wiedział o tym, bo była mgła. Po ubiciu karibu wracał przez dziesięć godzin, kierując się własnymi śladami. Gdy jednak wyruszył ponownie, żeby przydzwigać resztę łupu, po raz drugi obrał tę samą drogę i chciał wracać po własnych śladach, tymczasem mgła się podniosła. Przy tym z owego miejsca, gdzie upolował karibu, widać było dym obozowych ognisk. Nathusiak był jednak tak głęboko przekonany, że znajduje się o dziesięć godzin od obozu, że w ogóle się nie oglądał, tylko wpatrywał w ślady. Jedynie one były dla niego drogowskazem.

Niechaj wystarczy ten zdumiewający przykład. Jeżeli sam niezawodny Nathusiak nie wiedział we mgle, gdzie się właściwie znajduje, każdy inny człowiek byłby kompletnie zagubiony. Nikt nie orientuje się za pomocą „szóstego zmysłu”, ani wykształcony geograf, ani niewykształcony prymitywny człowiek. Każdemu potrzebne są punkty orientacyjne, lub jakikolwiek inne wskazówki, którymi mógłby się kierować.

W tym wypadku Eskimos kierował się bardzo wyraźnymi wskazówkami, a mianowicie własnymi śladami pozostawionymi na śniegu. Na pewno do prowadzący go tam, gdzie chciał dojść, to znaczy z powrotem do obozu.

Jeżeli Nathusiak w różnych innych okolicznościach nigdy nie zmylił właściwej drogi, nie zawdzięczał tego swemu „instyktowi”, tylko świadomej lub nieświadomionej znajomości licznych pomocniczych znaków orientacyjnych. Jego tropielskie umiejętności we wszelkich, nawet najtrudniejszych warunkach dlatego wydawały się tak zdumiewające, że nikt nie umiał sobie wytłumaczyć, czym kierował się Eskimos. Wszelako dzięki cierpliwemu wypytywaniu i wieloletniej obserwacji Stefansson zrozumiał, że skłamało Eskimosa do obrania tego bądź innego kierunku. W rzeczywistości nie szło tu o tak zwane natchnienie, tylko zawsze o określone punkty odniesienia. Gdyby inni ludzie umieli rozpoznawać tak niepozorne znaki, też znajdowałby drogę. Stefansson doszedł w końcu do przekonania, że tych niezwykłych zdolności, które opanował Nathusiak, może się wyuczyć każdy inteligentny człowiek, o ile zda sobie odpowiednio dużo trudu. Tak więc nawet bez nowoczesnych przyrządów, w każdej okolicy i prawie zupełnie niezależnie od pogody można znaleźć właściwą drogę.

„Wyszkolonym” traperom trudno się zorientować jedynie wtedy, gdy wienacka znajdują się wśród pustkowi, w których jeszcze nigdy nie byli. Możliwy statek zdarzyć po niespodziewanym skoku ze spudochronem lub wtedy, gdy statek rozbije się u brzegów nieznanego lądu, a więc w niezwykle rzadkich wypadkach. Kto jednak wędrował wśród pustkowi jako tropiciel i znalazł, może usprawiedliwić niefortunny przypadek jedynie brakiem ostrożności i doświadczenia.

Słońce wschodzi na wschodzie, a zachodzi na zachodzie. Według aktualnej pozycji słońca i aktualnej godziny można ocenić każdy kierunek. Ten, kto się zwróci twarzą ku wschodzącemu słońcu, z lewej strony będzie miał północ, z prawej południe. Zachód będzie miał za plecami. Kto patrzy na zachodzące słońce, ma wschód za plecami, północ po prawej, a południe po lewej stronie.

W godzinach południowych słońce na naszej półkuli znajduje się na południu i tylko w okolicach równika stoi w zenicie. Wtedy zachód jest z lewej, wschód z prawej, a północ za plecami zwróconego twarzą ku słońcu. Kierując się tymi prostymi przesłankami tylko w przybliżeniu możemy określić pożądany kierunek. Kto chciałby go poznać dokładnie, musi się posłużyć metodą „kija i cienia”.

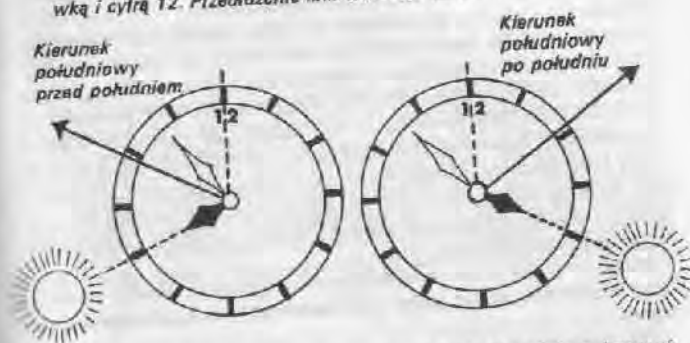
Prosty kij wtyka się prostopadle w ziemię w jakimś płaskim miejscu. Na pół godziny lub kwadrans przed dwunastą w południe zaczyna się zaznaczać miejsce, gdzie kończy się cień. Cień będzie najkrótszy w samo południe. Ponieważ teraz słońce znajduje się na południowej części nieba, cień kija wskazuje dokładnie na północ. Potem cień wędruje na wschód i staje się coraz dłuższy.

Za pomocą tej metody z dziecinną łatwością można naszkicować na ziemi strony świata. Jako się rzekło, najkrótszy cień wskazuje na północ. Tym samym jego przedłużenie wyprowadzone poza kij będzie wskazywało na po-



*Orientacja według słońca:
około południa wbić pionowo w ziemię kawałek pręta. O godzinie 12 krótszy cień dokładnie wskaże północ, dłuższy cień o godzinie 18.00 wskaże wschód*

Trzyma się poziomo zegarek, zwrócony małą wskazówką w stronę słońca. Dzieli się na pół krótszy odcinek pomiędzy małą wskazówką i cyfrą 12. Przedłużenie linii wskazuje na południe



łudnie. Tak więc linia prostopadła do niego będzie dokładnie wskazywać kierunek wschód—zachód. Gdy się przepołowi kąt prosty, można określić północnie kierunki—zachód. Gdy się przepołowi kąt prosty, można określić dalei. Jeżeli podzielimy na pół te czterdziestopięciosupniowe kąty, będą wskazywać i to dokładnie na przykład wschodnio-południowy wschód albo zachodnio-północny zachód.

Kto ma mapę terenu może, stosując tę metodę, obrócić ją północną stroną na północ, dzięki czemu zawarte w niej dane będą odpowiadać rzeczywistemu położeniu w terenie.

Jeżeli stanie zegarek, albo nie będzie dobrze chodził, można go nastawić na nowo. Bowiem godzina dwunasta jest wtedy, gdy pada najkrótszy cień.

Kto jednak rozporządza dobrze chodzącym zegarkiem, może zaniechać tego sposobu. Zegarek zastępuje brak kompasu. Trzyma się go poziomo w ten sposób, żeby mała wskazówka zwrócona była dokładnie w stronę słońca. Linia dzieląca na pół kąt pomiędzy małą wskazówką i cyfrą 12 wskazuje południe. Trzeba tylko przed południem dokładnie odczytać kierunek zgodny ze wskazówką zegarka, a po południu wręcz odwrotnie.

Trudniej jest się orientować według księżyca i gwiazd. Pozycja księżyca względem ziemi zmienia się zależnie od jego fazy, a także od pory roku i dnia. Trzeba by znać astronomię, żeby móc określić strony świata według księżyca, a ile w ogóle będzie go widać. Najłatwiej można to zrobić w czasie pełni, bowiem znajduje się on na wprost niewidocznego słońca. O północy cień księżyca wskazuje prawie dokładnie na północ. Także i w tym wypadku kompas można zastąpić zegarkiem. Wskazówkę godzinową kieruje się

w stronę księżyca w pełni. Linia dzieląca na pół kąt pomiędzy cyfrą dwanaście i wskazówka godzinowa wskazuje na południe. Przed północą odczytuje się kierunek zgodny ze wskazówką, po północy na odwrót.

Zamiast się zajmować gruntownymi studiami, w jaki sposób w czasie innych faz księżyca da się określić strony świata, lepiej się zwrócić ku Gwiazdzie Polarnej. Na bezchmurnym niebie można ją łatwo odnaleźć za pomocą konstelacji Wielkiego Wozu (Wielkiej Niedźwiedzicy). Gdy przedłuży się wprost ku górze linię pomiędzy oboma najdalszymi gwiazdami Wielkiej Niedźwiedzicy, napotka się Gwiazdę Polarną. Jest ona najjaśniejszą gwiazdą Małej Niedźwiedzicy (Małego Wozu). Kto niekiedy przypatruje się uważnie nocnemu niebu i tak trudno mu będzie przeoczyć Gwiazdę Polarną. Znajduje się ona dokładnie na północy. Według jej pozycji łatwo można wyznaczyć pozostałe strony świata.

Jednak wszystkie te astronomiczne środki pomocnicze odnoszą się wyłącznie do północnej półkuli nieba. Na południu od równika obowiązują inne reguły.

Gdy niebo jest zachmurzone, nie przyjdzie nam z pomocą ani słońce, ani księżyc, ani gwiazdy. Trzeba się zdać na wiatr. O pewnych porach roku, a miejscami nawet przez cały rok wieje on w określonym kierunku. Gdy zna się ten kierunek — a wiedza ta leży w zakresie ogólnej znajomości ziemi — można według niego określić, co najmniej w przybliżeniu, pozostałe strony świata. Sam wiatr nie bierze udziału w akcji. Na to, skąd zazwyczaj wieje, wskazuje pochYLENIE wierzchołków drzew. Po stronie odwróconej od wiatru rośnie na pniach więcej gałęzi, a także kure grubiej porasta mech lub porosty. Również piaszczyste wydmy i zasypy śnieżne pozwalają rozpoznać dominujący kierunek wiatru. Na przykład przy wschodnim wietrze wznoszą się stopniowo i łagodnie od strony wschodniej, by strmo opadać ku zachodowi. Im dłużej wiatr wieje z jednej strony, tym twardsze i wyższe są nawiane przezeń piaszczyste i śnieżne pagórki.

Obumarłe bądź obalone przez burzę drzewa przeważnie padają zgodnie z głównym kierunkiem wiatru. Wolnostojące drzewa ofiarowują więcej cienia od północy niż z jakiegokolwiek innej strony, dlatego ziemia jest tam bardziej wilgotna i bujniej rozwija się roślinność. Wschód można rozpoznać po stojących drzewach, gdy się je dokładnie obejrzy, gdyż z tej strony są one najgrubsze. Nie powinno się jednak wyciągać wniosków na podstawie jednego drzewa.

W klimacie północnym i umiarkowanym stoki gór po cieniejszej stronie przeważnie nie są tak bujne i gęsto porośnięte, jak na przeciwnych, dłuższej nasłonecznionych zboczach, według wszelkiego prawdopodobieństwa zwróconych ku wschodowi. W pobliżu wybrzeży do zboczy zwróconych ku

morzu dociera więcej wilgotnego morskiego powietrza i dzięki temu znacznie więcej opadów. Wskazują na to swoiste cechy roślinności, wilgotność gruntu, a w zimie głębokie warstwy śniegu.

Lalk prawie nie zwraca uwagi na podobne szczegóły, a gdy je zauważy, brak mu wieloletniej wprawy, żeby wyciągnąć z nich wnioski. Traper widzi to, co przeoczą inni, przede wszystkim dlatego, że stale obserwuje otoczenie. Na przykład, dopóki wiatr wieje mu w lewy policzek, nawet nocą i we mgle nie zgubi obranego kierunku. Na pewno zauważy zmianę kierunku wiatru. Strumień wyjątkowo zimnej wody pochodzi prawdopodobnie z lodowca lub z topniejącego śniegu. A więc znajduje się tam masyw wysokogórski, a w każdym razie teren położony znacznie wyżej niż bezśnieżna okolica. Traper z bogatym doświadczeniem jest tak nierozłącznie związany z naturą, że już mu nie zależy na tych lub owych szczegółach. Znacznie więcej powie mu ogólny obraz terenu. Gdy go zapyta, dlaczego obiera akurat



*Orientacja według wiatru i meteorologii:
W naszych szerokościach geograficznych przeważnie wieją wiatry zachodnie. Dlatego też spadiste stoki wydmy pokazują kierunek zachodni. Drzewa od strony wschodniej (osłonięte przed wiatrem) są lepiej rozwinięte i chylą się w tym właśnie kierunku. Przewrócone pnie również wskazują na wschód. Meteorologicznie: po zachodniej stronie bujnie rośnie mech. Nadmorskie skały mają na zachodnich zboczach więcej roślinności.*

tę drogę, a nie inną, zapewne odpowie, że „wyczuwa ją”. W rzeczywistości składają się na to różnego rodzaju spostrzeżenia. Człowiekowi zżytemu z naturą weszły one w krew i przeniknęły go do szpiku kości, toteż bez namysłu postępuje stosownie do okoliczności.

Kto jest za pan brat z naturą, nie brnie poprzez żółtawą trawę na mokrej glebie, bo może się zapasać w bagno. Porusza się ścieżkami zwierziny płuwej i karibu, dopóki wiodą w pożądanym kierunku, gdyż zwierzyna (a zazwyczaj unika bagnistych terenów i ciemnych zarośli. Także tropy kozie, owce górskich, kozłów skalnych i w ogóle zwierziny górskiej — wbrew rozpowszechnionym przekonaniom — prawie zawsze znajdują się na drogach, z których bez zawrotu głowy korzystać może stworzenie dwunogie. Zwierzę schodzi ze swych zwykłych szlaków tylko w razie niebezpieczeństwa, w okresie godowym i w czasie rykowiska. Im wyraźniej odcina się przesmyk zwierziny i im bardziej jest wydeptany, tym łatwiej może z niego korzystać człowiek. Nie należy jednak zbyt uporczywie chadzać ścieżkami niedźwiedzi i łosi, bo często wiodą w najgłębsze gęstwiny do ich legowisk.

Strefy jezior wśród płaskiej, a przede wszystkim bezdrzewnej okolicy są przeważnie terenami bagnistymi. Ziemia pomiędzy sąsiednimi stawami i bujorami prawie zawsze jest taka mokra, że człowiek z każdym krokiem pogrąży się po kostki. Wtedy lepiej posuwać się wzdłuż łańcucha wzgórz. W przeciwnym razie do wędrowania pomiędzy jeziorami, w lesie i w górach ma się przeważnie suche nogi, podobnie na kamiennym gruncie.

Wędrowcy są skazani na drewno opałowe do przyrządzenia posiłku bądź też do ogrzewania nocą obozowiska. Dlatego w górach nie należy się zbyt oddalać od górnej granicy lasów, a nad morzem i nad rzekami tundry zbyt daleko od brzegu, bo na wyrzeźni i na brzegach rzek można znaleźć dryfujące drewno. Kto chce dojść do ościenia hądź do tymczasowego myśliwskiego lub rybackiego obozu tobyłców, będzie miał najwięcej szans posuwając się wzdłuż cieków wodnych. Im szersza rzeka, tym większa szansa. Gdzie łączą się dwa strumienie, gdzie znaczniejszy dopływ wpada do rzeki lub wręcz do morza, tam przeważnie spotyka się ludzi. Zazwyczaj każde jezioro ma odpływ i to w najniższym położonym miejscu. Trzeba więc dojść do odpływu i dalej posuwać się z jego biegiem.

Im bardziej równinny krajobraz i bardziej kręte rzeki, tym więcej drogi musi nadłożyć idący z ich biegiem wędrowiec. Wędrowiec ten musi uwzględnić jeszcze jedną okoliczność. Istnieją liczne dopływy, które łączą się z głównym nurtem. Trzeba je w jakiś sposób przekraczać. Może się to okazać bardzo trudne, a czasem wręcz niemożliwe.

Łańcuchy górskie, pasma wzgórz i zbocza skalne ufałtawiają rozległe widoki, a i je samy łatwo rozpoznać. Dzięki temu wędrownicy może sobie za-



Ratownik czołga się na brzuchu do ofiary nieszczęśliwego wypadku i zabezpiecza drogę za pomocą gałęzi i drągów

planować daleką marszrutę. Mimo konieczności nieustannej wspinaczki i schodzenia w dół, powinien sobie obrać jakąś drogę wzdłuż zboczy lub szczytów. Idąc doliną mu zamknięty widok i niejednokrotnie nie wie, dokąd ona prowadzi. Z góry, mając dobry widok, trudno o pomyłkę. Przejście przez gęsty las pozbawiony ścieżek i przesmyków, wymaga wiele czasu i wysiłku. Gdy udajemy się na rozległe wiatrolomy, przebycie ich będzie dla oblodzonego człowieka niezwykle męczące. Poza tym jest niebezpieczne. Wystarczy, żeby z gładkiej kory ześliznął się but i gdy tylko się stąpię, swali się wiele drzew. Często najprostszą drogą jest strumień. Brodzi się, trzymając w prawej ręce długi kij.

Na strome zbocza górskie w miarę możliwości wchodzi się zakosami. Zastawiając, za każdym razem stawia się w odwrotnym kierunku tę nogę, która stoi wyżej. Jeżeli trzeba się wspiąć na wprost, bo jest za mało miejsca, żeby iść zakosami, należy to robić systemem „na jodełkę”, a więc okrakiem z rozstawionymi nogami. Ciało nie powinno się pochylać w stronę zbocza, tylko siedząc pionowo wspierać na nogach, aby był bardziej stabilny. Schodzi się w podobny sposób, mocno wbija się obcasy w ziemię i ostrożnie stawia każdy krok. Bardzo strome stoki, zwłaszcza porośnięte mokrą trawą, są niebezpieczne. Kto się ześliznie, przeważnie nie może się już otrząsnąć. Coraz szybciej stacza się lub zsuwa w dół. Może się udać zahaczając tę jazdę w nieznaną, rozpościerając możliwie jak najszerszej ręce i nogi.

Nie warto wspominać, że bez odpowiedniego zabezpieczenia nie wolno się wspiąć na pokryte śniegiem stromizny. Na oblodzone zbocza nie uda się wejść bez czekania. Po lodowcach nie wolno wędrować samotnie i trzeba być przywiązany liną do partnera. Do wspinaczek na lite skały konieczne jest wyszkolenie.



Gdy zarwie się lód, można się ratować za pomocą położonego w poprzek przerębia kija wędrownego

Należy unikać zboczy pokrytych luźnym żwirem i sykim piaskiem. Mogą się obsunąć razem z alpinistą. I wręcz przeciwnie, płaszczyzny pokryte wielkimi blokami kamiennymi nie są relatywnie niebezpieczne, gdy są po nich ostrożnie stąpa, uważając, czy sąsiedni blok ma trwałe oparcie. Głównie ma przyцепne podeszwy lub buty podbite dobrymi gwoździami, przeskakiwanie z kamienia na kamień sprawia nawet pewną przyjemność.

Bardzo się zaleca chłodzenie z łaską i to z solidnym kosturem, bez którego wielu traperów nie potrafi się obejść. Powinien sięgać na wysokość wyciągniętej ręki i mieć około trzech, czterech centymetrów przekroju. Nadaje się do tego każda pręta gałąź lub pień młodego liściastego drzewa, najlepiej wierzbowy lub jesionowy. Kij powinien być nieco elastyczny nawet po wyschnięciu, dzięki czemu stanie się lżejszy.

Gdy ktoś przywykł wędrować z kosturem, na pewno nigdy z niego nie zrezygnuje, gdyż z czasem, w miarę przyzwyczajenia, staje się on „trzecią nogą” podróżnego. Służy jako boczne wsparcie na stromym stoku, do przekraczania przez strumienie, do badania omackiem drogi w ciemnościach, gruntowania bagnistych terenów i w ogóle ułatwia marsz. Poza tym, strzelając, myśliwy może na nim oprzeć łufę broni.

Warto zamocować żelazną skuwkę, żeby kostur nie zeslizgiwał się z gładkich bądź oblodzonych kamieni. W czasie podchodu, kiedy trzeba się wystrzegać każdego metalicznego odgłosu, kostur należy owinać. Szczególnie potrzebny, ha, nawet nieodzowny jest długi kij w czasie przeprawy przez zamrażniętą wodę. Już sam odgłos przy uderzeniu „trzecią nogą” zdradza, czy lód utrzyma ciężar ciała. Nawet w mroźnych na pozór pokrywach lodu bywają ułamek i łamliwe miejsca. Winno są temu ukryte w głębi ciepłe źródła i silne prądy, którech się nie domyślamy. Pewnie miejsca, omijane

przez zwierzęta, są tylko powierzchownie zamrażnięte i zawiane śniegiem. Gdy się jednak złamają, można się ratować za pomocą kiju. Trzeba go położyć w poprzek przerębia, co dopomoże w wydobyciu się z lodowatej, nieprzyjemnej wody.

Gdy się nie uda, należy próbować przedostać się do grubej warstwy lodu, wylamując cienką. Potem płynnymi ruchami trzeba przyjąć pozycję horyzontalną, żeby móc się łatwiej wydobyć na wierzch.

W każdym razie zastamanie się lodu i wpadnięcie do wody jest bardzo niebezpieczne, zwłaszcza w czasie silnych mrozów. Trzeba potem jak najprędzej rozpaść ogień, albo znaleźć takie schronienie, w którym zamrażnięty, przemoczony człowiek może się rozgrzać.

Komu nie udaje się natychmiast wydobyć z lodowatej wody, temu Vilhjálmur Stefánsson radzi spokojnie i mocno przycisnąć mokre rękawy do krańców lodu. Na silnym mrozie szybko do niego przymarzną i dadzą ofierze niebezpiecznego wypadku mocny punkt oparcia. Z pewnością jednak sto razy lepiej w ogóle nie znajdować się w takim położeniu!

Zanim wędrowiec uda się na odległe pustkowia, wie wszystko o kraju i ludziach, zwierzętach i roślinach, a nawet o wszelkich właściwościach terenu. Przeczytał całą dostępną na ten temat literaturę, przestudiował drobiazgowo mapy i — o ile to było możliwe — rozmawiał z ludźmi znającymi teren z własnego doświadczenia i mającymi wyrobiony pogląd. Przy czym, jak pociąg doświadczenie, inteligentni bywalcy udzielają lepszych informacji niż stali mieszkańcy. Bowiem to, co obcy poczytuje za osobliwość, dla krajowców jest zazwyczaj rzeczą naturalną. Krajowcy rzadko kiedy rozumieją, po co przyjeżdżają cudzoziemcy. Znacznie trudniej jest wyjaśnić Japończykowi, na co powinien zwrócić szczególną uwagę w Niemczech, niż Niemcowi po kilkutygodniowym lub kilkumiesięcznym pobycie udzielić przydatnych informacji o Japonii. Jeżeli pobyt w obcych krajach przeciąga się, niekiedy na wiele lat, lokalne osobliwości także dla obcokrajowca stają się rzeczą naturalną. Dobrze przewodniki turystyczne są przeważnie pisywane przez podróżników, którzy zwiędzając obce kraje pilnie obserwują i na wykazaniu prospekty, ponieważ prezentują one w różowych barwach same dostrzeżone strony i umyślnie przemilczają ujemne. Nawet informacje czynników gospodarczych nie zawsze są godne zaufania. Często serwują więcej propagandy niż rzetelnych informacji. Natomiast cudzoziemiec, który obserwuje nowy kraj obiektywnie i krytycznie, może o nim poinformować w sposób znacznie bardziej rzeczowy.

Właściwe wyposażenie materialowe obcy powinien mieć dobrze rozważnie. Właściwe specjalnymi mapami określonych terenów musi zabrać mapę przeglądową, z której może się dowiedzieć o ogólnym usytuowaniu dalszych

okolice. Zawsze należy sprawdzić, z którego roku pochodzą mapy. Jeżeli data jest zbyt odległa, prawdopodobnie wiele dróg zdezaktualizowało się. Jednych przybyło, innych już nie ma.

Na każdej mapie można ujrzeć więcej niż w rzeczywistości, to znaczy długość i szerokość geograficzną, granice polityczne i inne. Mapa nie przedstawia rzeczywistego obrazu terenu, lecz odpowiednio zmniejszony, jak gdyby oglądany z bardzo wysoka, samoistny „wizerunek znormalizowany”. Naturalne formy zastąpione są symbolami. Znaków i symboli na mapie trzeba się uczyć podobnie jak liter alfabetu. Częstokroć są one uwidocznione na brzegu mapy, nie jest to jednak żelazną regułą. Na całe szczęście wymowa map jest międzynarodowa. Zdarzają się rzadkie wyjątki. Trzeba się tylko upewnić, czy skala oznacza mile, czy kilometry (1 mila = 1,609 km.). Na wielu mapach, które zostały sporządzone w skali milowej, na marginesie zaznaczona jest także skala mierzona w kilometrach. Nigdy odwrotnie.

Na przykład na mapie w skali 1:100 000 jeden centymetr równa się jednemu kilometrowi. Łatwo więc można ustalić odległość pomiędzy dwoma punktami. Wystarczy przyłożyć do skali kawałek papieru, zapalnik lub źdźbło trawy, zaznaczyć na nich odstęp i za pomocą tego prostego przyrządu zmierzyć odległość w kilometrach. Rzecz jasna, jeszcze łatwiej to zrobić, posługując się centymetrem lub cyrklem. W skali 1:250 000 dwanaście centymetrów na mapie odpowiada trzydziestu kilometrom w terenie. Kto się porusza po ziemi, tego właściwości terenu zmuszają do mniejszego lub większego nadłożenia drogi. Z grubsza biorąc przyjmuje się, że rzeczywista trasa jest przeciętnie o dwadzieścia do trzydziestu procent dłuższa niż w linii powietrznej. Kto chce wędrować z biegiem rzek lub wytyczonymi drogami, może ustalić rzeczywistą odległość, przykładając do trasy nitkę. Do odstępów dzielących poszczególne miejsca przykładają się nitkę wzdłuż zakoli i zakosów, po czym wyprostowaną mierzy się na skali. Bywają mechaniczne odległościomierze zaopatrzone w maleńkie pojedyncze kółeczko. Toczy się je wzdłuż trasy i odczytuje na liczniku faktyczną odległość. Mały aparatik nastawia się na skalę, którą się posługujemy.

Rozróżnia się mapy fizyczne i polityczne. Na mapach fizycznych producent stara się w sposób jak najbardziej przejrzysty i dokładny ukazać rzeźbę terenu. Na mapach politycznych idzie przede wszystkim o to, żeby pokazać obszar i granice państw, jak również prowincji i powiatów. Do naszych celów najbardziej nadają się mapy fizyczne. Najważniejsze, żeby na mapie fizycznej bardzo dokładnie odczytać wysokość nad poziomem morza. Dzięki temu przed oczami uważnego obserwatora na mapie powstaje trójwymiarowy obraz.

Istnieją dwie metody, za pomocą których każdorazowo można określić wysokość — pierwsza posługuje się kolorami, druga kreskowaniem. Koloru-

96, przeważnie zaznacza się wzniesienia zaczynając od jasnego brązu, który stopniowo w miarę wznoszenia staje się coraz ciemniejszy. Szczyty, na których na ogół zalega wieczny śnieg, zaznacza się bielą. Kolory, które określają odpowiednią wysokość, są wyskalowane na brzegu mapy. Gdy wzniesienia zaznacza się liniami, co prawie zawsze stosuje się na mapach turystycznych i mapach o wielkiej skali, co piąta linia opatrzona jest cyferką podającą wysokość. Linie opatrzone cyframi są grubsze, żeby były bardziej czytelne. Wysokość określaną przez linie pośrednie, nie opatrzone cyframi, można sobie obliczyć. Na przykład, kiedy linia podająca wysokość oznaczona jest cyferką 500, a następna cyferką 1000, każda pośrednia linia wyraża stu-metrową różnicę wzniesień. Im gęstsze linie, tym bardziej strome zbocze. Szerokie odstępy oznaczają tereny o relatywnie łagodnych wzniesieniach, względnie spadkach. Poza tym szczyty górskie i szczególnie wysokie wzniesienia mają odrębne cyferki, określające ich wysokość.

Każdą wędrowkę przez bezdroża musi poprzedzać dokładne przestudiowanie specjalnych map, na których są zaznaczone wysokości. Tylko w ten sposób można wytyczyć najdogodniejszą trasę przez wzniesienia i górskie okolice. Jeżeli są tam jakieś ścieżki lub drogi, z linii można dokładnie wyczytać, które z nich są łatwiejsze, a które trudniejsze do pokonania. Niejednokrotnie droga okrężna prędzej doprowadzi do celu, niż bezpośrednia ścieżka, bo idąc nią nie trzeba pokonywać zbyt wielkiej różnicy wzniesień.

Na mapach wydanych w obcych krajach zawsze należy sprawdzić, czy wysokość podana jest w metrach, czy w stopach. Mapy wyskalowane w metrach prawie zawsze podają wysokość mierzoną w stopach (1 stopa równa się trzydziści i pół centymetra).

Na dobrych mapach oznaczona jest również szata roślinna: można rozpoznać bagniste niziny, a także lodowce i litą skalę. Po sposobie rozmieszczenia linii można poznać, czy woda szybko spływa w doliny, czy toczy się wąpłynie spokojnie.

Wszystkie mapy są zorientowane na północ. Tak więc, gdy odwróci się je górą ku północy, obraz na mapie pokrywa się z rzeczywistym terenem. Gdy chce się usytuować mapę w miarę możliwości jak najdokładniej, czyni się to za pomocą kompasu. Kiedy igła wychyli się na północ, trzeba rozłożyć mapę w ten sposób, żeby jej prawy czy lewy brzeg był odpowiednio ustawiony względem linii północ—południe. Wtedy mapa jest prawidłowo usytuowana. Igła kompasu wskazuje jednak magnetyczny biegun północny, nie zaś biegun geograficzny. Biegun magnetyczny znajduje się w Cieśninie Melville'a, na północy zachód od Zatoki Hudsona, pomiędzy arktycznymi wyspami Bathurst i Rsićcia Walii, gdzie jego dokładne położenie ulega okresowo nieznacznym zmianom. Tak więc pomiędzy północą wskazywaną przez igłę

kompasu i północą rzeczywistą istnieje niewielka różnica. Dla prywatnych celów nie odgrywa to prawie żadnej roli, w każdym razie w Europie. W Niemczech różnica waha się w granicach dwóch, trzech stopni. Gdy się jednak wędruje po całym świecie, należy się zapoznać z lokalnym stopniem dewiacji. Często bywa on zaznaczony na brzegu odnośnej mapy. W Vancouver, na pacyficznym wybrzeżu Ameryki Północnej, igła kompasu cofa się prawie o dwadzieścia pięć stopni na wschód od rzeczywistej północy i odwrotnie, w Nowym Jorku o piętnaście stopni na zachód. Tak znacznie różnice trzeba, rzecz jasna, skorygować.

Nie tylko wśród bezdroży, lecz także podczas wędrowek po ojczystym kraju mapa i kompas należą do podstawowego wyposażenia. Kto je ma i umie z nich korzystać — nigdy nie zabłądzi.

Ten jednak, kto by zapomniał o kompasie, może go sobie sam zrobić, a ile ma zwykłą igłę krawiecką. Jej koniec można namagnetyzować, energicznie pocierając nim o jedwab lub wełnę, a samą igłę trzeba lekko natłuścić. Tłuszcz uzyskuje się własnoręcznie, pocierając palcami czoło. Przedtem trzeba poziomo ustawić naczynie z wodą. Namagnetyzowaną igłę zawieszona się na dwóch петельkach luźno zawiązanych na nitkach bądź źdźbłach trawy, na których unosi się ją w pozycji horyzontalnej. Jak najostrożniej kładzie się ją na powierzchni wody i równie ostrożnie usuwa się nitki czy też trawki. Igła nie utonie, tylko będzie się unosić na powierzchni wody i po chwili wskaże północ.

Gdy się ustawia prawdziwy kompas, w pobliżu nie powinno być żelaza ani stali. W ich obecności igła magnetyczna wychyli się mniej lub bardziej fałszywie. Trzeba się więc oddalić od brytfanny, sztućca, siekiery i żelaznych garnków, a także od tyczek podtrzymujących namiot. Należy się także pozbyć noża, a nawet pasa, jeżeli ma stalową kłamrę.

Tylko nowicjusz stale korzysta z kompasu, doświadczony traper idzie po „linii najmniejszego oporu”. Obiera drogę, wykorzystując właściwości terenu. Kto jest zbyt zapatrzony w kompas, będzie się, na przykład, wspinał na górę, którą swobodnie można obejść. Kompas nie może zmuszać do wytyczania poszczególnych odcinków, lecz do wskazywania teoretycznie najkrótszej drogi.

Kto się porusza w terenie, w którym trudno się zorientować, powinien się postarać o przewodnika, zwłaszcza wtedy, gdy chce powrócić tą samą trasą, lub na dłuższy czas zatrzymać się w określonym miejscu. Sposób postępowania traperów na północnoamerykańskich pustkowiach zwie się *Blazing the trail* (gorący ślad). Po drodze wędrowiec wycina na drzewach siekierną lub dużym nożem płaty kory, wielkości dłoni. Odstępy zależą od tego, jak gęsty jest las. Każdy kolejny znak musi być dobrze widoczny z miejsca, w którym się stoi. Naturalnie, te drogowskazy są potrzebne jedynie wtedy,

gdy istnieje obawa, że bez oznakowania można zmylić drogę. Kto założył stały obóz, aby przedsięwziąć z niego codzienne wycieczki, przede wszystkim polowania z podchodu, w odpowiedni sposób zaznacza drogę, żeby móc łatwo i bezbłędnie trafić do obozu. Po to, żeby było widać drogę z obozu i do obozu, wycina się ukośnie dwa płaty kory, zawsze jeden nad drugim. Razem tworzą niejako pół strzałki zwróconej w stronę obozu. W razie potrzeby znaki są pomocne także i w noc, kiedy szuka się oznakowanych drzew po omacku. W półmroku, a nawet wtedy gdy jest prawie całkiem ciemno, można odróżnić jasne miejsca na pniach.

Gdy nie ma drzew, odłamuje się z krzaków gałązki i układa się je na ziemi. Strzałka wskazuje w stronę obozu. Kiedy są gęste zarośla i nie ma pomiędzy nimi gołej ziemi, nadłamuje się gałązki w taki sposób, żeby zawsze wskazywały w stronę obozu. Trzeba to jednak robić dość często, ponieważ nadłamane gałązki znacznie trudniej zauważyć niż wycięte na drzewach drogowskazy. Na stępach i łakach zamiast gałązek używa się trawy. Na оголощенной ziemi trzeba kijem lub butem wyryć strzałkę. Im dalsza widoczność, tym mniej drogowskazów. Tak zwany kamienny gnom ustawiony na tym lub owym pagórku widoczny jest z bardzo daleka i pozostanie tam na wieki.

Określone znaki służą traperom do porozumiewania się. Znamy je ze starożytnego niemieckiego myślistwa pod nazwą symbolów skrótowych. Odpowiednio pocięte i ułożone małe gałązki powiadamią kompana, który później będzie szedł tą samą drogą, co przedsięwziął lub czego sobie życzy poprzednik. Na przykład: „idę za farbującym zwierzęciem” lub „wracam do domu”, albo „zaczekaj na mnie w tym miejscu”. Jednakże każdy uczestnik łowów musi przedtem dobrze wiedzieć, co oznaczają poszczególne znaki.

Właściwie, w normalnych okolicznościach, każdy dobry traper powinien umieć odnaleźć własne ślady, ponieważ uczył się tropienia. Może je jednak znaleźć deszcz albo zasypać śnieg. Na kamienistej ziemi i na bagnach odnalezienie śladów jest zbyt uciążliwe lub wręcz niemożliwe.

Kto z tych lub innych przyczyn musi się zdecydować na rozbiście stałego obozowiska w trudnym do rozpoznania terenie, naraża się na niebezpieczeństwo, że wracając z wycieczki może go nie znaleźć.

Nawet z niewielkiej odległości można zgubić drogę do obozu. Nie do wstydzi, jak ładząco podobnie wygląda okolica, gdy brak punktów orientacyjnych. Szczególnie trudno jest odnaleźć drogę w gęstych lasach i wśród wyciętych zarośli, zwłaszcza na równinie. Wtedy przychodzi nam z pomocą własnoręcznie zrobione linie rozdzielcze. Są to znaki, które wiodą w różnych kierunkach. Najlepszy byłby krzyż, którego centrum stanowiłby obóz, z czworoboku wiodłyby w cztery strony świata. Linie powinny być jednakowej długości i zmierzone na czas. Na przykład z obozu do końca danej linii trzeba iść pół godziny. Kto porusza się w obrębie krzyża orientacyjnego,

Znaki drogowe

Cielem oznaczenia drogi wycina się siekierą na drzewach kawałki kory. Jeżeli znaki mają wskazywać określony kierunek, wycina się je w formie strzałek



Kierunek marszuty →

Leżąca na ziemi gałąź złamanym końcem wskazuje kierunek marszu



Gałęzie układają się w formie strzałki



Strona, po której leży mały kamień, wskazuje kierunek marszu



Drogę może wskazywać związany pęk trawy

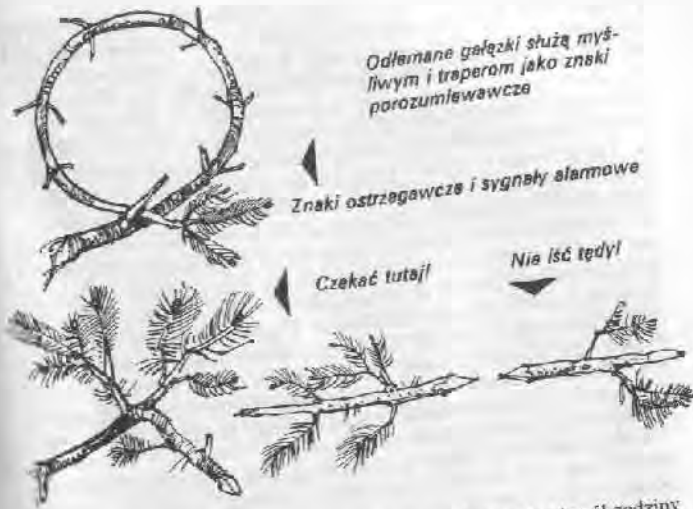


Odlamane gałęzki służą myśliwym i traperom jako znaki porozumiewawcze

Znaki ostrzegawcze i sygnały słamkowe

Czekać tutaj!

Nie iść tędy!



Wracając na zdrowy rozum, nie może zabłądzić. Jeżeli po upływie pół godziny nie doszedł do żadnej linii, wraca do punktu wyjścia i posuwa się w przeciwnym kierunku. Po upływie pół godziny musi się natknąć na linię, zakładając oczywiście, że zaczynając poszukiwania nie znajdował się dalej, niż o pół godziny drogi od skrzyżowania linii. Również odnajdywanie drogi do obozu przy powrotach z dalekich tras jest znacznie uproszczone. Nie szuka się już jednego jedyne punktu, lecz linii ciągnących się kilometrami.

Naturalnie, znacznie dogodniej zakładać stały obóz tam, gdzie sama natura zadbała o odpowiednie drogowskazy: nad rzeką, nad brzegiem dużego jeziora, na skraju lasu lub u podnóża łańcucha wzgórz. Jeszcze lepiej, jeżeli z przodu, z tyłu i z boku wznosi się z daleka widoczny znak lądowy. Takim znakiem może być ciemny górski szczyt na tle jasnych skał, osobliwy nawałt skalny, a nawet samotnie rosnące drzewo.

Przyjmijmy, że obóz znajduje się u podnóża długiego pasma górskiego i wyszło się hen, daleko w step. Ohecznie chciałoby się wrócić, trudno jednak z obłoka ustąpić, gdzie też namiot czeka na właściciela. Widać tylko wyraźne kontury gór. Zamiast iść na chybił trafił tam, gdzie przypuszczalnie powinien się znajdować obóz, rozmyślnie idzie się nieco bardziej w lewo. Wtedy natkniesz się do naturalnej linii orientacyjnej, w danym wypadku do pod-

nóza długiego pasma górskiego i już nie ma wątpliwości, w którą stronę się zwrócić. Z tym zastrzeżeniem, że kto poszedł za daleko w lewo, teraz musi iść wzdłuż linii orientacyjnej w prawo. Dzięki temu istotnie musi się naładować na obóz. Gdy jednak na chybił trafił szedł w stronę linii orientacyjnej, doszedłszy nie wie, czy ma szukać po prawej stronie czy po lewej.

Wczesnie wyruszyć i wczesnie przybywać, to dewiza wędrowca. Nie dzieli się dnia według określonych nawyków cywilizacyjnych, lecz zgodnie z naturą. Traper wstaje o świcie i przygotowuje sobie śniadanie. Potem pakuje plecak i wyrusza w drogę. Po tak wczesnym rozpoczęciu dnia może sobie pozwolić na spokojne zjedzenie gorącego obiadu w jakimś cienistym zakątku. Wczesną wiosną i późną jesienią nie należy przedłużać przerwy obiadowej, bo dni są krótsze i odpowiednio dłuższy nocny odpoczynek. Na godzinę lub półtorej godziny przed zapadnięciem zmierzchu trzeba się zabrać do przygotowania nocnego obozowiska. Wszelkie bowiem drobne i niezbędne prace należy wykonać jeszcze przy świetle dziennym. Po zjedzeniu posiłku i zmyciu naczyń warto jeszcze to i owo naprawić, pomyśleć notatki w dzienniku i defektować się wieczorną ciszą. Zanim człowiek wczłoga się do śpiwota powinien zapakować wszystko, co rano będzie mu niepotrzebne. Niezbędne jest osiem do dziewięciu godzin snu.

Kto nie nawykł do długich marszów z bagażem na grzbiecie, zaczyna od krótkich dziennych etapów i stopniowo je przedłuża. Zazwyczaj organizm szybko przyzwyczaja się do zmian. Kto stale utrzymuje tempo zgodne z oddechem, przeprowadza równocześnie kurację zdrowotną. Po przejściu siedemdziesięciu, osiemdziesięciu kilometrów z plecakiem, traci jeden kilogram nadwagi. Przeciętna trasa dzienna w równinym, pozbawionym przeszkód terenie powinna wynosić od trzydziestu do trzydziestu pięciu kilometrów. Na przetartych szlakach, pozbawionych większych wzniesień, przebywa się przeciętnie pięć kilometrów na godzinę. Dawnymi czasy kolumny tragarzy kanadyjskich łowców futer przebywały czterdzieści do pięćdziesięciu, a nawet do sześćdziesięciu kilometrów dziennie, dźwigając na grzbiecie około dziewięćdziesięciu funtów.

Traper nie mierzy drogi według podanych na mapie odległości, lecz według czasu potrzebnego do jej przebycia. Na przykład dwa punkty nie są od siebie oddalone o siedem kilometrów, lecz o półtorej godziny. Kto na własny użytek sporządza sobie szkic mapy, zaznaczając na nim znamienne szlaki lądowe i linie orientacyjne, określa marszrutę w taki sposób: półtorej godziny na południowy wschód — czterdzieści minut na zachód — godzina na północny zachód. W ten sposób znacznie łatwiej trafia do celu, niż obliczając kilometry.

Kto widzi podskakującego alpinistę, widzi nowicjusza. Tylko nowicjusz pośpiesznie się wspina i w podskokach pędzi w dół. Karą za bezsensowny

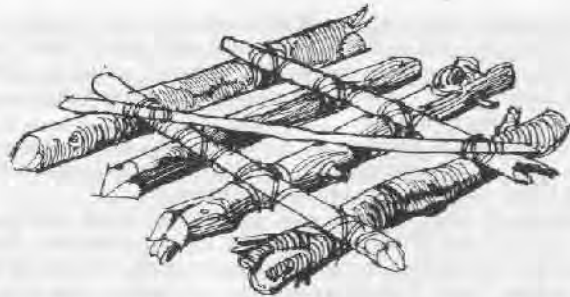
pośpiech będzie szybkie zmęczenie. W końcowym efekcie nie przybędzie do celu szybciej, lecz później. Pędząc w dół może sobie potać kości. Doświadczeni alpinści wspinają się powoli i rozważnie, wyszukują najłatwiejsze drogi i unikają ryzyka. Każdy z nich kieruje się starą dewizą: nie mamy czasu, żeby iść na skrót!

Żaden inny środek lokomocji nie pozwala na taką samodzielność jak własne nogi. Nic nie doprowadzi nas do celu tak tanio i tak zdrowo. Nie istnieje bliższy i bardziej serdeczny kontakt z naturą.

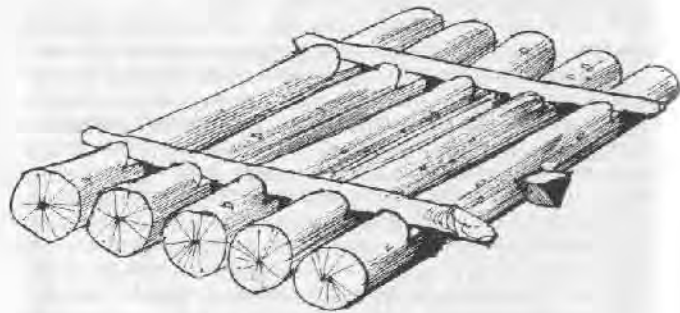
Zdarza się, że traper trafi nad wodę, której ani się nie da obejść, ani przez nią przebrnąć. Wtedy musi zbudować tratwę i przepłynąć. Jeżeli temperatura wody pozwala do niej wejść, wystarczy mała prymitywna tratwa na ubranie i bagaż. Pcha się ją przed sobą lub ciągnie za sobą na linie. Gdy linia jest na tyle długa, że sięga od brzegu do brzegu, sprawa jest jeszcze prostsza. Przywiązuje się jeden koniec liny do tratwy a bagażem i przepływa się trzymając drugi koniec. Potem na wszelki wypadek przywiązuje się go do drzewa i z całym spokojem ściga się tratwę z przeciwnego brzegu. Wszystkie znajdujące się na niej rzeczy muszą być dobrze przywiązane i zabezpieczone, zwłaszcza gdy jest bystry prąd.

Jeżeli traper sam musi płynąć tratwą, ma znacznie większe kłopoty. Trzeba ściąć i ogolocić z gałęzi co najmniej trzy pnie o przekroju od dwunastu do dwudziestu centymetrów i długości około trzech metrów. Potem na wszystkich pniach wyrąbuje się siekiera — albo wycina nożem — trzy lub cztery szerokie na dół wręby, rozmieszczone w jednakowych odstępach, żeby po złożeniu soważyły linie proste. Złącza będą szczególnie mocno trzymać, gdy wręby będą szersze u dołu niż u góry. Jeżeli się to dokładnie robi, nie trzeba już będzie wycinać wrębów w poprzeczki łączących pnie. Powinny one być na tyle długie, żeby z każdej strony wystawały na jakieś trzydzieści centymetrów. Muszą jednak pasować do wrębów, lub trzeba je dopasować w ten sposób, żeby się dały wbić z boku we wręby w dłuższych. Bez fugowania nie dadzą się dopasować, a tratwa służy przecież do krótkiego, jednorazowego użytku. Gdy dopasuje się już poprzeczki do konstrukcji nośnej, dodatkowo wzmacnia się wiązania tratwy, przywiązując słabymi gałązkami wierzbowymi, korzeniami lub długimi skręconymi z trawy powrozami. Im bardziej rwący nurt, tym bardziej sumiennie musi być zbudowana tratwa. Jeżeli woda jest tak lodowato zimna, że w żadnym wypadku nie chcemy się zamoczyć, a i bagaże mają pozostać suchymi, trzeba zrobić na tratwie podwyższenie. Układa się je z dodatkowej warstwy okrągłych albo z konarów i gałęzi.

Komu brak smykałki do takiego przycięcia dłuższych, żeby potem dało się w nią wbić poprzeczki, musi poprzestać na prostych wrębach. Nawet po-



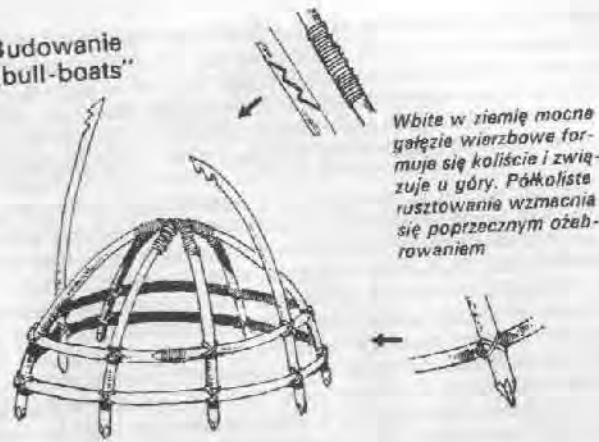
Tratwę można wykonać, związując za sobą pnie i drągi pędami czepnymi (własami), giętkimi gałązkami lub tkaniną, względnie paskami skóry



Konstrukcja będzie bardziej stabilna, gdy w pniach zrobi się nacięcia i wpasuje się w nie poprzeczne drągi (tęczenie na jaskółczy ogon)



Budowanie „bull-boats”



Wbite w ziemię mocne gałęzie wierzbowe formują się koliste i związują u góry. Półkoliste rusztowania wzmacniają się poprzecznym ożerowaniem

czatkujący będzie je umiał wyciąć lub wypilować. Tylko że poprzeczki też muszą mieć wręby i to takie, które się dadzą dopasować do wrębów w długość. Następnie przywiązuje się je sznurami, podobnie jak w przypadku wyżej opisanej tratwy. Do budowy tratwy bardziej się nadają pnie drzew iglastych niż liściastych.

Do sterowania na drugi brzeg używa się drąga. Jeżeli woda jest aż tak głęboka, że drąg nie sięga gruntu, trzeba wiosłować. Do prymitywnego sterowania na krótki dystans wystarczy dobrze ulistniona gałąź. Prąd sam nas samiesie, kiedy zamiast steru użyje się długiej, mocno ulistnionej gałęzi. Nie należy przepływać bystrych rzek na słabych i niedbale zrobionych tratwach. Do dłuższej jazdy oczywiście z prądem, tratwa musi być wykonana starannie i fachowo.

Może się jednak zdarzyć, że chcemy się przeprowadzić przez rzekę, a na brzegu nie ma odpowiednich drzew. Wtedy zaleca się budowę tak zwanej bullboat. Można ją zrobić z wierzbiny, olszyny lub jakiegokolwiek innego giętkiego drewna, równie mocnego jak kosur. Poza tym trzeba mieć około czterech metrów kwadratowych nieprzemakalnej tkaniny lub duże płyty (wielkie) zwierzęcej skóry.

Wycina się dziesięć do dwunastu metrowych kijów, zaostrza się końce i wbija się je w ten sposób w ziemię, żeby tworzyły koło o przekroju mniej więcej półtora metra. Potem giętkie kije nagina się do środka i mocno związują za pomocą sznuru, drutu, korzeni lub cienkich wierzbowych gałązek. W re-

zultacie powstaje półkula. Należy ją usztywnić potrójnym lub poczwórnym ozebrowaniem. Jeżeli bullboot przeznaczony jest tylko do przewożenia bagażu, wystarczy usztywnić sam brzeg półkuli. Robi się to podobnie, jak przy związaniu wierzchołka półkuli. Następnie na półkulę naciera się nieprzemakalną tkaninę. Trzeba w niej wyciąć otwory, żeby móc ją przymocować sznurami, gałązkami lub korzeniami. I oto mamy gotowy bullboot.

Nieco trudniej jest go obciągnąć skórą. Skóry muszą być świeże, nie trzeba z nich jednak usuwać sierści. Jeżeli nie dysponuje się jedną wystarczającą dużą skórą (bizona, łosia, bawołu afrykańskiego) można użyć kilku mniejszych sztuk. Napina się je na półkuli i w tym wypadku zszywa rzemieniami, ścięganymi zwierzęcymi lub paskami skóry. Do tego celu potrzebne jest szydło lub spiczasty odłamek kości z wyciętym uszkiem, który spełni tę samą rolę. Powłokę przyszywa się mocno do stelażu. Małe otworki na szwach zalepia się dokładnie tłuszczem zwierzęcym lub żywicą. Potem rozpała się małe ognisko. Gdy tylko zapłonie, obciągniętą półkulę wyciąga się z ziemi i przykrywa nią ogień. Pod wpływem gorąca skóra, włazania i szwy kurczą się, a cała powłoka mocno się opina na elastycznym stelażu. Kto ma obiekty, że ogień z braku dopływu powietrza zaraz zgaśnie, ma całkowitą rację. Budowniczy łodzi tylko na to czeka. Bowiem gdy spod półkuli nie wydobywają się smużki dymu, nie tylko nie przepuszcza ona powietrza, lecz także i wody. Wtedy można ją odwrócić i odpłynąć.

Jest to niewątpliwie kruchy pojazd, nie nadający się do pokonywania rwących nurtów i do dłuższej jazdy. Ostre kamienie lub wystające gałęzie rozpruwają podłogę. Nie należy wsiadać w twardych butach lub przedtem trzeba wy-

Skielec obciąga się nieprzemakalnym materiałem lub zwierzęcą skórą



mościć dno gałązkami i mechem. Kto jednak zachowa niezbędną ostrożność, nawet przez szeroką rzekę dotrze szczęśliwie wraz z całym bagażem na drugi brzeg. Żeby zapobiec ustawicznemu kręceniu się bullboota w kółko, przyczepia się do niego gęsto ulistnioną gałąź. Popycha się go naprzód drągiem lub prowizorycznymi wiosłami. Kto ma czas i znajdzie odpowiednie drewno, może sobie wystrugać dwa prymitywne wiosła. Do przewiezienia samego bagażu wystarczy małe łódki bullboot. Powłokę można zrobić nawet z namiotu, poncho lub deszczowca.

Najlepszą, najlżejszą i najszybszą łodzią wśród ludów pierwotnych było kanu indiańskich plemion Ameryki Północnej, wykonane z brzozy kory. Dopiero współczesny przemysł produkuje łodzie ze sztucznych tworzyw i aluminium, które wprawdzie nie są lżejsze, lecz za to bardziej trwałe. Niestety, sztuka budowania brzozy kanu została przez dzisiejszych Indian prawie całkiem zapomniana. Jedynie w północno-zachodnich rejonach Kanady można spotkać starych, którzy wiedzą, jak się buduje takie czółno. Jeszcze sześćdziesiąt, siedemdziesiąt lat temu znali się na tym nawet biali traperzy. Dwóch ludzi mogło zbudować kanu w ciągu ośmiu do dziesięciu godzin, samotny człowiek potrzebował pełnych dwóch dni. Najłatwiej je wykonywać późną wiosną, gdy świeże soki sprawiają, że kora jest szczególnie gładka. Nicem trudniej wykonać takie czółno w innej porze roku, zaś nigdy w czasie mrozów. Wybierało się mocny, możliwie jak najprostszy gatunek brzozy, ścinało się go siekierą i ściągało się — wzdłuż pnia — całą, nieuszkodzoną korę. Najpierw moczyło się ją, żeby zmiękała, a potem nalażano się jej kształt kanu. Robiono to za pomocą wielu drewnianych palików, które wbijano w ziemię tworząc zarys pożądanego czółna. Wzniesiony obrób i rufę zszywano rzemieniami lub wierzbowymi gałązkami. Szwy, podobnie jak przy budowie bullboota, zalewano gorącą jodłową żywicą. Następnie wnętrze kanu usztywniano elastycznymi gałązkami olchy, wierzby lub jesionu. Burty wykonywano z tego samego drewna i przyszywano do pozostałych części.

Jednosobowe kanu z kory ważyło zaledwie około trzydziestu funtów, wytrzymało jednak dziesięciokrotnie większe obciążenie. Bywały łodzie składające się z wielu płatów kory, zdolne unieść dwadzieścia osób, lub trzy tysiące funtów ładunku. Na spokojnych wodach samotny żeglarz przepływał w ciągu dnia na małym czółnie sto do stu pięćdziesięciu, a w wyjątkowych wypadkach nawet i dwieście kilometrów. Dobrze wykonane kanu z kory może przetrwać sześć do siedmiu lat. Ma tę wielką zaletę, że bez trudu można je przemieścić z jednego zbiornika wodnego do drugiego na tak zwanych nasłiach. Po prostu omija się kamrakty i wodospady. Zanim powstały autostrady, torry żeglugowe i linie kolejowe, a więc mniej więcej przed stu laty, kanu było pospolitym środkiem komunikacyjnym na szlakach wodnych Kanady, Alaski, a także w przeważającej części obszarów U.S.A.

Kładką namoczoną skórę włosom do spodu w śniegowej niecce można jej nadać pożądany kształt. Gdy zamarznie na kość będą z niej sanie o dobrym poślizgu



Bywają także sanie równie tanie jak kanu z kory, które można zrobić w ciągu pół godziny. Robi się je ze skóry losia, karibu, bizona, wupii⁸ albo loki.

Najpierw wygrzebuje się lub wydeptuje w śniegu nieckę, nadając jej odpowiedni kształt. Potem wykłada się ją mokrą skórą i to w ten sposób, żeby sierść zwrócona była do tyłu, a więc w odwrotną stronę do kierunku jazdy. Z przodu, stromo ku górze należy wysklepić wgłębienie, natomiast spód musi być całkiem płaski. Pozostałe brzegi powinny mieć około trzydziestu centymetrów wysokości. Na silnym mrozie już po upływie kilku godzin, a najpóźniej w ciągu nocy skóra zamarznie na kość. Wywierca się w niej dwie dziurki, przeciąga się przez nie rzemienią i przekłada się go przez pierś.

Te mrożone sanie poleca się zwłaszcza wtedy, gdy trzeba dostarczyć do obozu większą ilość dziczyzny. Upolowana zwierzyna sama zaopatruje nas w środek transportu, to znaczy w skóry do zrobienia sań.

Rakiety śnieżne lub płozy (nie mylić z nartami) też należą do wspaniałych wynalazków owych rzekomo „prymitywnych” ludów. Giętka, grubą jak końską gałązkę wygina się i łączy w kształcie dużej rakietki tenisowej. Potem, podobnie jak w rakiecie, zakłada się i to jak najbardziej sprężysty naciąg ze zwierzęcych ściągien lub rzemieni. Do tej elastycznej sieci mocno przywiązuje się futrzane buty. Winny one mieć miękkie podeszwy, a najbardziej nadają się do tego mukluki. A to dlatego, że te eskimoskie buty podróżne są przeważnie tak wykonane, że można je włożyć na normalne codzienne obuwie. Ma to tę dobrą stronę, że zewnętrzne obuwie na stałe przytwierdzone jest do rakiet. Gdy potrzebne są rakiety, wystarczy się w nie włożyć. Dzięki nim podróżnicy nie grzebią w głębokim śniegu. Trzeba

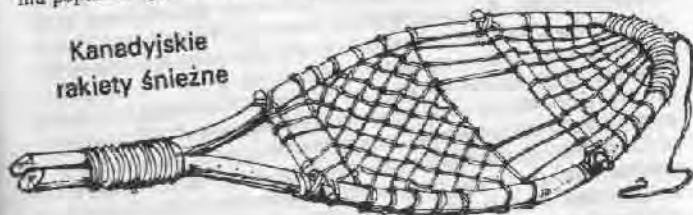
⁸ Jeleni lasów północnoamerykańskich, nieco większy od europejskiego jelenia szlachetnego (jeleni dom.).

jednak szeroko rozstawiać nogi, żeby rakiety nie zaczepiały o siebie. Po- czątkowo jest to nieco męczące, z czasem można się jednak przyzwyczaić.

Do długich wędrówek po grubym podłożu wykonuje się rakiety węższe i dłuższe. Gdy śnieg jest bardzo sypki i lekki, doświadczony traper przywiązuje do czubków rakiet sznury i trzyma je w dłoniach. Gdy czubki grzebią w śniegu, wyciąga je jednym szarpnięciem sznura.

Jeżeli wykonanie dobrych rakiet śnieżnych okazuje się niemożliwe, trzeba sobie przywiązać do nóg kilka krótkich gałązek jodłowych z gęstymi igłami. Zanim się na nie stąpać, muszą być zwrócone naturalnym wygięciem ku górze. Choćby ów środek pomocniczy jest niezwykle prymitywny, uratował już życie wielu ludziom, gdyż bez niego nie udało się im dotrzeć do do- mu poprzez sięgające do pasa zaspy świeżego śniegu.

Kanadyjskie rakiety śnieżne



Giętka gałązka formuje się na kształt wygiętej rakietki tenisowej i robi się rzemienny naciąg. Umożliwiają swobodny marsz nawet w głębokim śniegu.

Koń lub mul bez problemu uniesie ciężar wazący do dwustu funtów, o ile teren nie jest zbyt stromy i trudny. Z nieco mniejszym ciężarem zwierzę juczne może się wspinać na górskie ścieżki, brnąć w głębokim śniegu i przedzierać przez poszycie. Pokonuje od trzydziestu do czterdziestu kilometrów dziennie nawet po bezdrożach i w czasie niepogody. Nie trzeba ze sobą brać paszy, natomiast wieczorem i z samego rana zwierzę musi mieć pastwisko. Należy zawsze obozować tam, gdzie zwierzę może się samo wyżywić. Wystarczy polana leśna lub zielona trawa na brzegu strumienia. Ze- by pasące się zwierzę nie odeszło za daleko, pęta mu się przednie nogi. Związują się je rzemieniem lub postronkiem w taki sposób, że zwierzę może podkakiwać, nie może jednak stawiać długich kroków. Trzyma się więc w pobliżu.

Są różne sposoby rozdzielania i przymocowywania bagażu do zwierzęcia jucznego. Przeważnie mocno zasznurowane i wodoszczelnie opakowane bele

i torby umieszcza się w dwóch metrowych skrzyniach i przymocowuje się do boków zwierzęcia podobnie jak torby i kosze. Trzeci, niezbyt ciężki ładunek, można umieścić na jego grzbiecie. Niełatwo jest to wszystko rozmieścić i unieruchomić. Ciężar nie może się nigdzie ocierać o zwierzę. Rzemienie muszą ściśle, lecz niezbyt mocno przylegać, żeby nie kępowały ruchów.

Jeżeli koń jest łagodny i od wielu lat zżyty z właścicielem, prawdopodobnie będzie za nim szedł i bez uzdy.

Gdy na wędrowkę wyrusza większa grupa ze zwierzętami jucznymi, bardziej korzystna jest taka sytuacja, kiedy wszystkie konie dobrze się znają. Chętnie będą ze sobą przebywać, zwłaszcza na pastwisku. Wtedy nie trzeba wyszukiwać miejsc dla każdego z osobna. Najlepszym „towarzystwem” jest grupa zwierząt jucznych, które się razem wychowywały i od dawna do siebie przyzwyczyły. W większej grupie wędrownicy, składającej się z wielu ludzi i zwierząt prawie zawsze znajduje się kilka osób, które zajmują się wyłącznie końmi. Inni rano i wieczorem troszczą się o wszystko, co dotyczy urządzenia i prowadzenia obozu, przyrządzają posiłki i starają się o drewno opałowe. Jeżeli ten podział pracy gładko funkcjonuje, wędrowka ze zwierzętami jucznymi stanowi prawdziwą przyjemność.

Kto chciałby dosiąść konia, potrzebuje konia siodłowego. A to dlatego, że zwierzę juczne przeważnie nie jest przyzwyczajone do jeźdźcy i trudno mu się przestawić na dźwiganie żywego bagażu. W kolumnie jeźdźców jedna osoba powinna jechać na przedzie, a inną ją zamykać. Pozostali jeźdźcy muszą się rozdzielić, wiodąc ze sobą lub przed sobą zwierzęta juczne. W dużej grupie bardzo często nie trzeba prowadzić zwierząt jucznych za uzdy. Z przyzwyczajenia i poczucia solidarności same trzymają się kolumny.

O tym, że do dźwigania bagażu można używać psów, przede wszystkim wilczurów, w znacznym stopniu zapomniano. W Norwegii i Finlandii spotykałem jednak różnych myśliwych, którzy posługiwali się nimi jeszcze i teraz. Silny pies bez większego wysiłku dźwiga w bocznych kieszeniach dwadzieścia do dwudziestu pięciu funtów. Dla psa trzeba jednak zahrać na drogę koncentraty lub upolować coś do zjedzenia. Dobrze wytresowane psy nie trzeba prowadzić na lince, towarzyszą swojemu panu, dokądkolwiek pójdzie.

Trzeba się umieć obchodzić z psami z zaprzęgu i tymi, których się używa jako zwierząt jucznych. Nikomu, kto się tego nie uczył, nie uda się zaprzęcać psów i kierować nimi. Trzeba dopilnować, żeby się nie poplątały linki i żeby psy nie popędziły w dzikim galopie tropem zwierzyny. Jeżeli się je na chwilę spuści z oka i w odpowiednim momencie nie interweniuje, często dochodzi do bójki. Dobrze dozorowany zaprzęg, złożony z sześciu do ośmiu silnych psów, może uciągnąć same z półtonowym ładunkiem. Prawie

wszyscy Eskimosi zaprzęgają psy w formie wachlarza. Gdzie nie ma dostatecznie dużo wolnej przestrzeni, a więc w zalesionym terenie, psy biegną „gęsiego”, co naturalnie wymaga całkiem innego sposobu zaprzęgnięcia. Zaprzęgiem zawsze dowodzi pies przewodnik i wiele zależy od tego, czy dobrane się rozumieją z woźnicą.

Gdy ktoś postanawia wybrać się w podróż na wielbłądzie, musi bardzo uważać, żeby do przodu albo do tyłu nie wyfrunąć z siodła, gdy zwierzę raptownie się podnosi. Koniecznie trzeba się mocno trzymać łęku. Wielbłądem (dwugarbnym) albo drumaderem (jednogarnym) kieruje się, naciskając z hoku nogą jego szyję. Resztę zajątwia się za pomocą okrzyków. Przeciwnie ma się do czynienia z kąśliwymi i złośliwymi wielbłądami. Tylko prawdziwym poganiaczom wielbłądów i doświadczonym jeźdźcom udaje się je trzymać w ryzach. Wypoczęte wielbłądy wierzchowe mogą przeżyć do stu, a w wyjątkowych wypadkach do stu pięćdziesięciu kilometrów dziennie. Potem jednak potrzebują wypoczynku, wody i paszy. Wolno kroczący wielbłąd w czasie długich marszów pokonuje dziennie czterdzieści do pięćdziesięciu kilometrów i przez pięć, a w razie potrzeby nawet do ośmiu dni może się obejść bez wody.

Objuczone słonie przebywają dziennie do sześćdziesięciu kilometrów, potem trzeba je jednak nakarmić. Jeżeli te ogromne zwierzęta same muszą sobie znaleźć pokarm, zużywają na to mniej więcej sześć godzin i nie mogą przejść więcej niż trzydzieści do czterdziestu kilometrów. Słoniem może kierować tylko wyuczony „mahut”, a więc ktoś, kto żyje ze zwierzęciem w przyjaźni. Szary kolos słucha ustnych rozkazów tego człowieka. Pasażerowie wspinają się na grzbiet słonia do tak zwanego palankinu, małej, osłoniętej przed słońcem altanki, która może pomieścić cztery osoby. Kołysanie się w górze nie jest takie przykre i prędko można się do niego przyzwyczylić.

Kto zamierza skorzystać z innych niecodziennych środków transportu zwierzęcego, powinien pamiętać o tybetańskich jakach, które mogą unieść podobny ciężar jak ludzie. Lamy w południowoamerykańskich Andach dźwigają wyłącznie bagaże. Oswajone lapońskie renifery ciągną sanie, czasami dźwigają bagaże, a między wykorzystywanymi je także pod wierzch. Na koniec trzeba wspomnieć o osle, który dawnymi czasy także i w naszych stronach był pożytecznym przewoźnikiem.

Kto samopas wędruje wśród pustkowi, musi przede wszystkim wiedzieć o tym — a dotyczy to ludzi — czy zadowoli się własnym towarzystwem. Niektórym wystarczy ono tak dalece, że znoszą samotność tygodniami, miesiącami, a nawet latami. Jednakże w miarę upływu czasu stopniowo dziwnieją. Owi traperzy, którzy są „zawodowymi traperami” i tylko na krótko pojawiają się na obrzeżach cywilizacji, żyjąc na dobrą sprawę całkiem samotnie, prawie wszyscy bez wyjątku stają się dziwakami. Znam kilku takich

oryginałów i wiem, że z trudem im przychodzi obcowanie z ludźmi. Wprawdzie każdy z nich twierdzi, że jest szczęśliwy i w pełni zadowolony ze swojego trybu życia, ale chyba tylko dlatego, że nie ma już innego wyjścia. Polowanie i wędrówka u boku tych pustelników są pouczające i pożyteczne. Są oni dobrymi i usłużnymi towarzyszami podróży. Przez jakiś określony czas tolerują towarzystwo drugiej osoby. Jednakże w liczniejszym towarzystwie zamykają się w sobie i milczą jak ryby. Inni zaś mówią tak dużo i tak zapamiętale, że nikomu nie dają dojść do słowa.

Zapewne, ucieczka na pewien czas od bliznich przynosi wytchnienie. Natomiast to, jak długo może trwać podobny wypoczynek w samotności, zależy od cech indywidualnych. Przedzej czy później samotność staje się przygnębiająca i może doprowadzić do depresji. Trzeba o tym zawczasu wiedzieć i postarać się o to, żeby samotność nie przeciągnęła się ponad miarę.

W każdym razie jedno jest pewne: im więcej ktoś ma do roboty, im więcej się napracuje w ciągu dnia i im bardziej jest zmęczony wieczorem, tym mniej dostępu mają do niego ponure myśli.

Skoro już nie zadowala nas sama radość życia związanego z całkowitą swobodą pośród dziewiczego krajobrazu, istnieje jeszcze wiele innych powodów, które ciągną człowieka na łono natury. Przeważnie powodem tym jest polowanie i wędkowanie całkiem niezależne od *survivalu*. A przecież polowanie za pomocą kamery filmowej i zbieranie ciekawych fotografii zwierząt bywa czasami bardziej pasjonujące od polowania z bronią. Równie ponętne jest polowanie oczyma, a więc obserwacja zwierząt i badanie ich zwyczajów. Niektórzy specjalizują się w obserwacjach pewnych określonych gatunków zwierząt i przekazują swoje doświadczenia w postaci cennych przyczynków do badań naukowych. Wśród Anglików szczególnie szeroko rozpowszechnionym sportem jest *bird-watching*, cierpliwa obserwacja ptaków. Bywają ludzie gotowi znieść największe trudy, byle w dalekich stronach przez długie dni i tygodnie móc studiować zachowanie się parki rzadkich ptaków. Bywają zbieracze chrząszczy i motyli, zbieracze roślin i poszukiwacze usobliwych kamieni. Jeżeli się dobrze zastanowić, to nie ma prawie niczego takiego, co nie byłoby kolekcjonowane. Tak więc istnieje setki różnych powodów, dla których człowiek wyrusza do lasu i na pustkowiach.

Natomiast mniej jest przyczyn zawodowych. Zakładanie licznych farm, gdzie hoduje się zwierzęta futerkowe, mocno przeczędziło szeregi traperów. Gdyby nie istniały szczególnie korzystne układy, stawianie potrzasków przestałoby być zajęciem dochodowym. Futra zwierząt hodowlanych są przeważnie lepsze i tańsze. Tym piękniejszy jest zawód strażników ochrony przyrody i tym większe trzeba im przypisać zasługi. Dozorują oni nie tylko te obszary, na terenie których wszystkie zwierzęta znajdują się pod ścisłą

ochroną, lecz także wędrują tygodniami po rezerwach łowieckich. Trochę się na miarę swoich możliwości o respektowanie przepisów łowieckich i tropią kłusowników. Obserwują wzrost pogłowia zwierząt i starają się zmniejszać wyrządzane szkody. Ponieważ nieustannie są w drodze z dala od ludzkich osiedli i przetartych szlaków, na pewno można ich nazwać najbardziej doświadczonymi zawodowymi traperami. Zaliczają się do nich także poszukiwacze, przede wszystkim ci, którzy z licznikiem Geigera poszukują minerałów zawierających uran. Zaniechano już pomiaru terenów dawnymi metodami. Pomiaru kartograficzne bezludnych obszarów dokonywane są przeważnie z powietrza. Jeżeli mimo to zdarzają się jeszcze „białe plamy”, to tylko dlatego, że nikt nie jest zainteresowany, żeby je odkryć.

Badacze też już nie ma tak wielu, jak dawniej, ponieważ za bardziej celowe uznaje się rozwiązywanie zagadek natury w laboratoriach. Dalekie piesze wyprawy należą do rzadkości. Wylatuje się samolotem i pozostaje się w pobliżu stalego obozowiska. Ma ono nowoczesne, komfortowe wyposażenie, a także łączność radiową ze światem zewnętrznym. Panowie i panie jada poprzez busz w samochodach terenowych. Nie da się tego porównać z groźnymi śmiercią, romantycznymi wyprawami naukowymi Nansena, Svena Huedina, Schweinfurtha, Stefanssona i wszystkich pozostałych odkrywców tajemnic geograficznych. Zapewne, wśród odległej tundry, przede wszystkim na dalekiej północy, a nawet wśród wiecznych lodów istnieją liczne posterunki wojskowe. Są one jednak wyspami nowoczesnej techniki, jak najlepiej wyposażonymi i utrzymującymi ożywione kontakty z resztą świata. I tylko wychodzące z nich patrole stykają się na krótko z prawdziwą, nie-skalowaną naturą.

Szeroko znana z wielu powieści przygodowych Kanadyjska Królewska Policja Konna zasłynęła jako elita północnych terenów. Ale tylko znikoma część KKPK pilnuje prawa i porządku na „obrzeżach”. Reszta spełnia te same zadania, co każda inna policja i przeważnie działa w gęsto zamieszkałych częściach kraju. Tylko owi szczególnie dzielni ludzie, którzy opiekują się samodzielnie ogromnymi okręgami na północy i północnym zachodzie, po dzień dzisiejszy przemierzają bezdroża. Podróżują w małych lodziach z silnikiem przyczepnym, jeżdżą psimi zaprzęgami i wędrują na piechotę. Do ich obowiązków należy odnajdywanie zaginionych osób lub wyjaśnianie przyczyn ich zniknięcia. Rozsądzają spory wśród ludności tubylczej, rejes-trują małżeństwa, narodziny i śmiertelne wypadki. Pojawiają się przed ostrymi chatami z bierwion, odwiedzają obozy myśliwskie ostatnich Indian, żyjących wedle starego zwyczaju. Gdy wyjdzie na jaw morderstwo, zgodnie z dawnymi tradycjami udzielają os zakończenie krótkiej i zwięzłej wskazówki „Go and get Your man”. Umundurowany traper wyrusza w drogę. Prawie zawsze udaje mu się ująć winowajcę. Jednakże na północ-

nych i północno-zachodnich pustkowiach znajduje się już bardzo mało elementów kryminalnych.

Z pewnością najmniej niebezpieczeństw zagraża traperowi ze strony złych ludzi. Gdy spotka ludzi, będą nimi przeważnie myśliwi lub inni traperzy, którzy z zamilowania przebywają wśród głuszy.

Jeśli ktoś wybiera się na wędrowkę poprzez bezdroża wraz z innymi osobami, powinien je dobrze znać. W przeciwnym razie spotkają go gorzkie rozczarowania. Bowiem powinni to być „towarzysze” w pierwotnym tego słowa znaczeniu, a więc ludzie, z którymi można ująć cało z niebezpieczeństw. Towarzyski sposób bycia w normalnych okolicznościach nie jest dostateczną rękojmią. Egoizm jest wprawdzie złą, ale wrodzoną cechą ludzkiego charakteru i wątpliwą, czy we wszystkich sytuacjach sami się wzorowo zachowamy. Oczywiście znacznie trudniej przewidzieć zachowanie się innego człowieka. Dlatego też ważne przedsięwzięcia, które zamierza się przeprowadzać wspólnie, tym bardziej powinny być poprzedzane skromnymi wycieczkami, aby móc jak najlepiej wypróbować towarzyszy. Gdy wyjawimy to całkiem otwarcie, rozsądny człowiek na pewno się nie obrazi, a jeżeli się obrazi, będzie to znaczyć, że i tak nie jest idealnym kompanem.

Poza tym trzeba być odpowiednio sprawnym fizycznie, odpornym na wicher i burzę, przy przydzielonej pracy i w zakresie spraw indywidualnych. Sprawy te nie muszą się pokrywać, nie mogą jednak być zasadniczo sprzeczne i kolidować ze sobą. Na przykład wtedy, gdy myśliwy z kamerą i myśliwy ze sztucercem nie mogą się do siebie dopusować, ponieważ jeden drugiemu krzyżuje plany. Zdobywca szczytów i wędrowiec nie będą ze sobą żyć w zgodzie. Jeden będzie się chciał wspiąć jak najwyżej, zaś drugi jak najwygodniej obejść urwisko. Kto namiętnie zbiera błotne chrząszcze, nie może towarzyszyć komuś, kto pasjonuje się poszukiwaniem kryształów, bo tam, gdzie dotrze jeden, na pewno nie będzie drugiego. Gdy ktoś prezentuje cechy wymagające tolerancji i wyrozumienia, należy taką osobę wykluczyć.

Im więcej uczestników, tym większe niebezpieczeństwo powstania klik i tym trudniej o wspólną decyzję. Gdy grupa składa się z trzech osób i więcej, powinno się znacznie wcześniej uzgodnić, kto w razie wątpliwości ma podjąć decyzję. Nie przesądza o tym sędziwy wiek, ani pozycja towarzyska, lecz przede wszystkim doświadczenie i wzorowe postępowanie. Nawet dowódca grupy wykazujący pewne braki jest lepszy od braku dowódcy. Wprawdzie grupa traperów nie wybiera się na terytorium wroga, lecz mimo wszystko udaje się w takie okolice, gdzie nieustannie trzeba się mieć na baczności. Tam, gdzie nie ustalono kierownictwa, należy je wybrać. Koleżeńskość nie poniesie z regu powodu uszczerbku, wręcz przeciwnie, uniknie się sporów.

Gdy wybieramy się na polowanie, najbardziej sprawna okazuje się grupa trzyosobowa. Jedna osoba, na zmianę, zostaje w obozie, dba o porządek i przygotowuje smaczną kolację dla powracających. Dwie pozostałe wspólnie wyruszają na łowy. Mają dwa grzbiety, żeby przydźwigać zdobycz do obozu i jeżeli jednemu coś się stanie, drugi może mu pomóc.

Nie jeden przyjaciel nadal byłby dobrym przyjacielem, gdyby się go pozostawiło w domu. Nie jeden obcy zostaje dobrym przyjacielem, ponieważ przebywało się z nim wśród pustkowi. Dopiero doświadczenie może wykazać, kto jest prawdziwym towarzyszem.

Zabłąkany, lecz nie zaginiony

O szóstej rano wystartował z Bangui samolot, starszy typ cessny, z czterema osobami na pokładzie. Przy drążku sterowym siedział Gaston Lemoreau, jeden z lepszych przewodników myśliwskich w Centralnej Afryce. Jego baza znajdowała się nad rzeką Oulou, w odległości około pięćdziesięciu kilometrów od miejsca, gdzie stykają się Sudan, Czad i Republika Środkowoafrykańska. Wszystko w niej było przygotowane, a na przybycie Lemoreau i trójki jego gości, którzy mieli przyjechać na polowanie, czekał miejscowy personel. Spodziewano się ich wczesnym popołudniem. Lemoreau tak często przelatywał tą trasą, że znał na dole każdy pagórek i każdy ciek wodny. Wiedział także, gdzie o tej porze roku przebywają wielkie stada słoń i mógł je pokazać gościom. Cała trójka była po raz pierwszy w Afryce: małżeństwo Tomlinsonowie z Glasgow i Harold Ashley, brat mrs. Tomlinson. Dotychczas polowali jedynie w Szkocji i Skandynawii, więc jeszcze nie wiedzieli, czy przypadną im do gustu stepy i wilgotne tropikalne dżungle.

Pora deszczowa miała się zacząć dopiero za jakieś cztery tygodnie, toteż wszelka zwierzyna stepowa, łącznie ze słoniami, przechywała w pobliżu rzek i zbiorników wodnych. Był to dla Lemoreau stosowny moment, żeby zaskoczyć współtowarzyszy zdumiewającym zbiorowiskiem dzikiej zwierzyny. Rzecz jasna, im większy wybór, tym większa szansa zdobycia kilku kapitalnych trofeów. W rzeczywistości małżeństwo Tomlinsonowie wyjechali tylko ze względu na pana Ashleya, żeby polować za pomocą kamery.

W tym roku pora deszczowa nastąpiła o cztery tygodnie wcześniej, a mianowicie około godziny jedenastej owego dnia, w którym samolot Lemoreau znajdował się w powietrzu. Zauważył to nagle po zmienionej barwie nieba i chciał uzyskać informacje od kierownictwa lotów w Bangui, ale nie było już połączenia. Prawdopodobnie burza czy coś innego zaskoczyły także Bangui. Pilot uznał, że lepiej wylądować w Bria. Co prawda nie było tam prawdziwego lotniska, ale bądź co bądź pole wzlotów, na którym nie rosła

zbyt wysoka turzyca. Burza była jednak szybsza od cessny. Gnała przed sobą ciemnoszare chmury, zasnuwające wszystko z minuty na minutę. Bez przerwy grzmiało, przestwór nieba zewsząd przesywały błyskawice. Mały samolot lecący w strugach ulewnego deszczu wyglądał na zamurzony w wodzie.

— Kiepsko z nami? — dopytywała się mrs. Tomlinson.

— Nie ma się czym przejmować — odparł Lemoreau, choć było wystarczająco dużo powodów. Paliwa miał na niespełną trzy godziny lotu. Tego rodzaju tropikalna ulewa, będąca zapowiedzią pory deszczowej, mogła potrwać znacznie dłużej. Poleciał więc wprost na północ z nadzieją, że za górami Tondou będzie lepsza pogoda. Nie ulegało wątpliwości, że prędzej czy później będzie musiał zaryzykować przymusowe lądowanie. Ustały grzmoty i błyskawice, ale nie przestał padać ulewny, zasłaniający wszystko deszcz. Za masywem Tondou też nie było widoczności, chociaż szedł jak mógł najniżej. Nic nie widział, ani nie słyszał. Z radia dochodziły wyłącznie szumy i trzaski ustawicznych zakłóceń. Pozostawała jeszcze nadzieja uzyskania połączenia z Bangui, o ile zawróci do Bangui. Gdyby uzyskał połączenie z kierownictwem lotów, powiedziano by mu, w jakiej okolicy widoczność pozwala na lądowanie przymusowe.

Gdy Lemoreau położył samolot na skrzydle, żeby wziąć kurs na zachód, chmury rozlały się. Znajdował się tuż nad wierzchołkami drzew i nie udało mu się już poderwać cessny pionowo w górę. Musnął kilka gałęzi, otarł się o dziewiczą puszcę i został przez nią pochwycony.

Z połamanymi skrzydłami samolot przebił się przez zaskoki z gałęzi. Na szczęście ustąpiły i pozwoliły cessnie pogrążyć się w lesie, zamiast z całym impetem rozbić się o ziemię. Wprawdzie samolot postradał ogon i skrzydła, i leżał na grzbiecie, ale nie eksplodował. Pilot i pasażerowie mogli się z niego wygrzebać. Poza kilkoma stłuczeniami i zadrapaniami wyszli z tego cało i zdrowo, w każdym razie jak do tej pory.

Lemoreau postąpił jak najrozsądniej i natychmiast zagnał swoich nieuczestnych pasażerów do roboty. Musieli mu pomagać w budowaniu osłony przed deszczem. Do tego celu użyto dużej płachty plastikowej, którą na lotniskach okrywa się nos samolotu, żeby go osłonić przed wiejącym piaskiem. Trzeba było czym prędzej wnieść rusztowanie z gałęzi, żeby z niej zrobić namiot. Pilot udzielał nieodwołalnych wskazówek, Ashley toporkiem siatełskim ociosywał gałęzie, Tomlinson ustawiał je, a jego żona setnie się wysiłła, żeby przymocować wodoszczelną płachtę. Budowę ukończono w ciągu pół godziny. Naturalnie była to tylko namiastka, z przodu strona, a tyłu krzywa, a podłogę w niej zastępowała bagnista kałuża.

— Patrzejemy okrąglaków na podłogę — zdecydował Lemoreau. — Potrzebna nam podwojna warstwa grubych jak ramię drągów. Potem zrobi-

my sobie piękny tupczan z liści i gałązek... Mr. Ashley, czy nie zechciałby pan uprzejmie wystarać się o budulec?

W strugach ulewnego deszczu, śpiąc z wysiłku, rozbitkowie robili wszystko, co powiedział. Przewodnik ułożył podłogę z dwóch warstw żerdzi. W środku pozostawił okrągłe wgłębienie na ognisko.

— Zaraz wyschniemy — rzekł — w zasadzie, wkrótce wszystko będzie w najlepszym porządku.

Ashley przydzwigał leżące na ziemi połamane gałęzie, a mrs. Tomlinson dołożyła kilka ilustrowanych czasopism, które wygrzebała z walizki. Ponieważ drewno było mokrusieńkie, ogień zapłonął dopiero wtedy, gdy Lemoreau wetknął kilka gałązek nasączonych benzyną. Najpierw zaczął walić tuki dym, że trudno było wytrzymać, potem było już lepiej i drewno powolutku zajęło się małym płomieniem. Czworo ludzi siedziało ramię w ramię tuż przy sobie, nie miało i czuło, jak stopniowo nagrzewają się przemoczne ubrania. Lemoreau otworzył manierkę, napełnił kubek i puścił go w obieg.

— Odrobina herbaty z dużą ilością tumu — powiedział — bardzo zdrowy napój, zwłaszcza po naszych przeżyciach.

Dopiero teraz nadszedł stosowny moment, żeby omówić położenie. Najpierw bowiem trzeba przeżywić szok, który zawsze wywołuje podobne nieszczęście. Najskuteczniej można się go pozbyć wtedy, gdy człowiek z miejsca zabierze się do aktywnej pracy. Gdyby Lemoreau bezpośrednio po fatalnym lądowaniu zostawił pasażerom choć trochę czasu, żeby mogli się zastanowić nad sytuacją, najprawdopodobniej zaczęłoby histeryzować. Wielu ludzi w ogóle nie cieszy się z tego, że udało im się uniknąć niechybnej śmierci, natomiast są głęboko nieszczęśliwi, że się o nią otarli. W tym wypadku jeszcze nie wygrali walki o życie. Czwórka ludzi znalazła się w samym środku tropikalnej dżungli z dala od wszelkich siedzib ludzkich. Dżungla sprawiała wrażenie nieprzebytej i bezsprzecznie czaiło się w niej wiele niebezpieczeństw.

Czasem dopiero psychiczny szok po wypadku przyczynia się do prawdziwej katastrofy. Najlepiej dowodzi tego przypadek, który zdarzył się na Alasce: samolot łącznikowy amerykańskiego lotnictwa wpadł w burzę śnieżną i musiał przymusowo lądować, a w trakcie lądowania oderwało się podwozie. Poza tym samolot był nieuszkodzony, a załoga nie doznała obrażeń. Na pokładzie znajdowała się żywność, futrzane ubrania i śpiwory, a także namiot, broń myśliwska i amunicja. Zapewne, sytuacja nie była przyjemna, nie istniała jednak bezpośrednia groźba śmierci. Gdy tylko minęła burza śnieżna, zaczęto poszukiwać zaginionego samolotu. Powinno się go odnaleźć na trasie lotu. Jednakże trzech mężczyzn, którzy dotychczas stacjonowali w cywilizowanych okolicach, potracili głowy. Fakt, że znaleźli się nagle na za-

wianym śniegiem pustkowiu, bezzasadnie przyprawił ich o histerię. Wszyscy pobiegli przed siebie, tak jak stali. Prawdopodobnie po to, żeby znaleźć jakąś ludzką siedzibę, choć na dobrą sprawę musieli wiedzieć, że w tej części kraju, jak długa i szeroka, nie uświadczą się ludzkiej istoty. Każdy z nich pobiegł w innym kierunku. Wkrótce wszyscy padli ze zmęczenia. Gdy po dwudziestu godzinach samolot został odnaleziony, załoga od dawna zmarzła. Zaledwie o pół godziny drogi od samolotu, który zapewniał schronienie, ciepło i żywność, leżały w śniegu trzy trupy.

Natomiast prawdziwe powody do rozpacy miał pilot, który musiał wskoczyć ze spadochronem i padając złamał sobie obie nogi. Nikt nie wiedział, gdzie się znajduje i na znalezienie go były zmarnowane szanse. Ofiara nieszczęśliwego wypadku miała przy sobie małe wręki ze sprzętem do survivalu, ważący około dwóch funtów, który przed każdym lotem umieszczała sobie na plecach. Pilot od razu wczuł się w najbliższe zarośla, rozpalil ogień i nie zważając na straszne bóle opatrzył złamane nogi. Początkowo żywił się korzonkami, korą i uschniętymi jagodami, potem rozwiesił wnyki, żeby złapać pardwy, a ich resztkami zwabiał do pułapki głodne lisy. Zbudował dach i zamajstrował sobie szczudła. Wkrótce potem dobudował do dachu małą, niską chatkę z paleniskiem, w którym przez długie noce mógł utrzymywać stały ogień. Z nastaniem wczesnej wiosny pokuszył się na ludzi dwustu kilometrów, aż nad Yukon. Dopiero tam natknął się na ludzi.

Ważniejsza od ekwipunku i gruntownej wiedzy jest wola przetrwania. Niezłomna wola i przekonanie, że się wybrnie, najbardziej pomagają przeżyć i uciec cało z na pozór beznadziejnej sytuacji. Jeszcze lepsza i w ogóle najlepsza jest u człowieka wierzącego ufność w Boga. Nie można jednak czekać bezczynnie na niebiańską dobrodliwą interwencję, tylko trzeba postępować w myśl dewizy: pomagaj sobie sam, a Bóg ci dopomoże. Przy czym należy pamiętać o tym, że chrześcijanin ma bezwzględny obowiązek dbania o życie, które jest boskim darem.

W przypadku Gastona Lemoreau i jego gości nie trzeba było czekać na cud. Po tym, jak pilot wraz z pasażerami cali i zdrowi znaleźli się na twardym gruncie, do wyratowania się wystarczała najprostsza znajomość survivalu.

— Mieliśmy dużo szczęścia w nieszczęściu — wyjaśniał Lemoreau trójce twarzyszy — i nie ulega wątpliwości, że wkrótce usiądziemy w hotelu Rock, żeby ze śmiechem opowiadać ludziom o naszej przygodzie.

Ashley spytał, czy wie, gdzie się znajdują.

— Tylko w przybliżeniu — przyznał Lemoreau — i ta wiedza niewiele by nam pomogła. Upłynęłyby tygodnie, zanim doszlibyśmy do najbliższej wioski albo drogi. Tutaj w głębi dżungli żyje w odosobnieniu zaledwie garstka ludzi. Nie możemy ich odszukać, ale oni mogą nas znaleźć. Pod warunkiem, że całkiem wyraźnie zwrócimy na siebie ich uwagę!

Lemoreau mógł być pewny, że zaczną się poszukiwania zaginionego samolotu. Co prawda nie tak prędko, dopiero wtedy, gdy jego ludzie po długim daremnym oczekiwaniu w stałym obozie nad rzeką Oulou domyślą się, że wpadli w poważne tarapaty. Wtedy na pewno pobiegną do Birao i zaalarmują szefa okręgu. Była to jedyna szansa, zaś drugą stanowili nicliczni mieszkańcy dżungli.

— Potrzebny nam jest ciągły ogień — wyjaśnił Lemoreau — żeby gęsty dym bił z lasu wysoko w niebo. Opału mamy w bród, a własnio mokre drewno najbardziej dymi. Gdy usłyszymy samolot, chlśniemy na płonące drwa ze dwa kubki wody. Wtedy dym natychmiast zjaśnieje. Kto go zobaczy... a przy dobrej pogodzie można go dojrzeć z odległości trzydziestu, czterdziestu kilometrów, od razu będzie wiedział, gdzie jesteśmy. Przyjdą także i tubylcy, gdy tylko zobaczą lub zwęszą dym. Sprowadzi ich tu już choćby sama ciekawość.

Lemoreau mógł zastosować jeszcze inne środki, lecz w danych okolicznościach sygnał dymowy był najlepszym sposobem. Już na trzeci dzień został zauważony przez poszukujący ich samolot. Nie mógł on, oczywiście, wylądować, zrzucił jednak żywność i lekarstwa. Część zawisa na gałęziach, ale większość spadła nieuszkodzona na ziemię. Żeby ułatwić ich znalezienie, do każdej paczki była przymocowana śnieżnobiała trzydziestometrowa wstęga. Dzięki temu czworo ludzi mogło spokojnie czekać, aż znajdzie ich ekspedycja ratownicza. Prawie równocześnie okazało się, że dym zwałił grupę pierwotnych mieszkańców dżungli.

Małżeństwo Tomlinson i mł. Ashley tłumaczyli wszystkim, że na pewno by zginęli, gdyby nie fakt, że Gaston Lemoreau tak doskonale wiedział, co trzeba zrobić i jak postąpić w tej krytycznej sytuacji. Sami nie umieliby sobie pomóc.

Ćwiczenia w survivalu, to znaczy uczenie się kroków zaradczych pozwalających przeżyć, są najlepszym z możliwych sposobów na przetrwanie. Wprawdzie z umiejętności tej korzysta się dopiero w ostateczności, ale gdy ktoś zajmuje się tą sztuką dopiero wtedy, gdy spadnie na niego nieszczęście, jest już za późno. Z równym skutkiem mógłby się ubezpieczać na wypadek choroby dopiero w chwili, gdy chirurgzy już ostrzą noże. Niezbędne kroki należy poczynić w okresie pomysłowości.

Najważniejsze jest wyrobienie w sobie odpowiedniej postawy psychicznej. Trzeba wiedzieć, że nic nie jest tak groźne jak strach. Stanowi największe ze wszystkich niebezpieczeństw, gdyż osłabia wolę, paraliżuje rozsądek i niweczy zaufanie do samego siebie. W tym sensie strach jest znacznie bardziej odpowiedzialny za śmiertelne wypadki niż siły natury. Już niejeden zalał się nie pod brzemieniem prawdziwego niebezpieczeństwa w przymusowej sytuacji, lecz z obawy przed nim.

Kto zabłądził wśród głuszy, kto musiał przymusowo lądować lub wyskoczył, komu u bezludnych wybrzeży rozbił się statek lub w inny sposób wpadł w opresję, ten przede wszystkim i najczęściej lęka się Niewiadomego. Przeważnie boi się niebezpieczeństw, których w ogóle nie ma i które prawdopodobnie nigdy nie istniały. Obawia się biedy, własnej słabości, a także własnego strachu.

Największe trudności w przyrząsowych sytuacjach biorą się z nastawienia psychicznego. Mają swoje źródło w wyobraźni, nie w rzeczywistości.

Natura i jej żywioły nie są do człowieka nastawione wrogo, lecz całkiem obojętnie. Jeżeli w okolicy, do której zostało się zagnanym w ogóle przebywają ludzie — choćby ich było bardzo niewiele lub byli bardzo prymitywni — dowodzi to, że w owym kraju może żyć także każdy inny człowiek. Oczywiście pod warunkiem, że dostosuje się do okoliczności i środowiska!

Niektórzy eksperci od survivalu poszli jeszcze dalej. Twierdzą oni: jeżeli w danej okolicy żyją ciepłokrwiste zwierzęta, może wyżyć także i człowiek. Rzecz jasna, rodzime stworzenia w pełni dostosowały swój tryb życia do klimatu, roślinności, rzeźby terenu i różnych innych okoliczności. Wykorzystują wszelkie zalety, chronią się przed wszystkim, co może im przynieść szkodę. Jeżeli człowiek usilnie i z rozsądnym opanowaniem, w miarę swoich możliwości weźmie z nich przykład, będzie miał widoki na przetrwanie w krytycznym położeniu. Zrozumienie tego pozwala przezwyciężyć strach. Tym, co w pierwszej chwili wyzwala niebezpieczny szok, a potem na każdym kroku towarzyszy uczuciu strachu, jest nagły przeskok od poczucia bezpieczeństwa do poczucia zagrożenia. W przeciwieństwie do istot, które stale żyją w tym nibycym świecie, zmienną „wrzuconemu” wydaje się on w najwyższym stopniu nieprzyjazny i groźny. Zdarza się to zwłaszcza wtedy, gdy ktoś nie wie, gdzie się znajduje. Poczucie to wielu ludzi obezwładnia i wywołuje w nich panikę.

Przykład Gastona Lemoreau pokazał nam, jak należy postępować, żeby uniknąć „psychicznego zagrożenia”. Przede wszystkim należy pozostać tam, gdzie się jest i natychmiast przedsięwziąć wszelkie kroki, aby się w danym położeniu możliwie jak najlepiej zabezpieczyć przed deszczem i wiatrem lub zimnem i śniegiem. Dopiero gdy się to zrobi, trzeba się zastanowić nad sytuacją i przedsięwziąć stosowne kroki, które jak najskuteczniej pomogą wydobyć się z krytycznego położenia. Powstaje przy tym decydujące pytanie, czy czekać na ratunek, czy też samemu próbować dotrzeć do tych, którzy mogliby udzielić pomocy. Wynika to z następującego rozumowania:

Jest się zaginionym, a skoro tak, to od kiedy zostanie się uznanym za zaginionego?

Czy istnieje duże prawdopodobieństwo, że rozpocznie się akcja poszukiwania?

Jaką wskazówkę względnie jakie informacje posiadają ratownicy, żeby móc znaleźć zablakanego?

Jak długo zaginiony może czekać na ratowników w tym stanie zdrowia, w jakim się znajduje, przy umiejętnościach, jakie posiada, i środkach ratunkowych, jakimi dysponuje?

Jak długo, prawdopodobnie, ratownicy będą kontynuować poszukiwania, zanim zrezygnują, uznając je za beznadziejne?

Już z samych pytań jednoznacznie wynika, że we właściwym miejscu lub u osób godnych zaufania zawsze należy zostawić wiadomość, dokąd się udajemy. Poza tym trzeba uzgodnić, kiedy powinny się rozpocząć poszukiwania w razie, gdybyśmy w ustalonym terminie nie zawiadomili o powrocie.

W cywilnej, a tym bardziej wojskowej komunikacji lotniczej, zgodnie z regulaminem należy podać cel i trasę lotu. Spóźnionych samolotów poszukuje się i przeważnie się je odnajduje, o ile zaginiony samolot nie zboczył zbyt daleko z przewidzianej trasy. Jednak przepisy te nie wszędzie są rygorystycznie przestrzegane. Totem niejeden pilot transportowy, który startuje sprzed własnego domu, a ląduje przed jakąś ustronną chatą, nie stosuje się do nich. Lecąc na polowanie woli nie zdradzać niepowołanym, gdzie znajdują się dobre tereny łowieckie. Wtedy, w razie wypadku, wyjątkowo trudno go odnaleźć w odległych okolicach. Gdy myśliwy powiedział towarzyszom w obozie, że idzie polować z podchołu na górskie owce na południowym zboczu Mount Robert, a zamiast tego podążył w innym kierunku, wielce obiecującym tropem łosia, w razie wypadku może długo albo wręcz nadaremnie czekać na ratunek. Gdy udał się na znane zbocze i w dodatku pozostawił za sobą znaki drogowe, przyjaciele znajdują go prędzej czy później. Kiedy przed niespełną dziesięć laty przejeżdżaliśmy wschodnią trasą przez Saharę, meldowaliśmy się po drodze w każdym kolejnym posterunku policji. Jeden posterunek donosił drugiemu o naszym odjeździe, ten zaś zawiadamiał drogą radiową o naszym przybyciu. Gdybyśmy po drodze ugrzęźli w piachu, zawsze wiedzieli by, w jakiej strefie trzeba nas szukać.

Przyjmijmy, że ofiara nieszczęśliwego wypadku ma wszelkie dane, by liczyć na to, że się jej szuka. Co ze swej strony powinna zrobić, żeby ułatwić poszukiwania?

Ponieważ poszukiwanie zaginionego wśród dziczy można porównać ze słynnym „szukaniem igły w stogu siana”, poszukiwany musi się postarać, żeby ta igła była jak największa. Jeżeli wyskoczył ze spadochronem, rozpościerając spadochron na wolnej przestrzeni i pilnuje, żeby nie porwał go wiatr. Samolot, który musiał przymusowo lądować, jest dobrze widziany z góry, trzeba go jednak oczyścić z brudu, sadzy lub innych zanieczyszczeń, żeby dzięki temu było go jeszcze lepiej widać. Jeżeli się rozbił w głębi tropikalnej dżungli, niestety, nie będzie widoczny. Trzeba sobie dopomóc za pomocą

dymu. Wszelkie przedmioty wyraźnie różniące się kolorem od naturalnego otoczenia należy ułożyć w prostej linii, w kształcie koła lub krzyża. Najlepiej nadają się do tego kolorowe chustki albo wstęgi, a także pościel i białe koszule rozpostarte na ciemnej ziemi. Gdy jest ich za mało, albo w ogóle się ich nie ma, wtedy układa się linie, koła lub krzyże z kamieni i krzewów, zawsze jednak w ten sposób, żeby jak najciemniejszy materiał leżał na jasnym podłożu, a jak najjaśniejszy na ciemnym. Im większe są te znaki, tym lepiej. Kto w baku rozbitego samolotu ma jeszcze sporo paliwa, część przeznaczoną na to, żeby zapalić na ziemi duży geometryczny wzór.

W pokrytym śniegiem terenie oznakowanie jest wyjątkowo łatwe. Wydeptując się w śniegu prostą ścieżkę, która jak olbrzymia strzała wskazuje miejsce naszego pobytu. Zrozumiałe, że gdy znów spadnie śnieg, a także po burzy śnieżnej trzeba ją na nowo wydeptać.

Szerokość tego rodzaju wydeptanych znaków powinna wynosić co najmniej pół metra i nie jest tak ważna, jak jej głębokość. Im głębsza jest prostolinijna ścieżka, tym wyraźniej będzie widać z góry jej cień, padający najpierw na jeden, potem na drugi brzeg wgłębienia. Tylko około południa cień będzie wąski albo i w ogóle go nie będzie, natomiast przed południem i po południu można go będzie wyraźnie rozpoznać z dużej odległości. Kto samolotem transportowym szuka tropów zwierzyny, lata tylko wtedy, gdy świeci słońce, nigdy jednak w samo południe. Wic, że najłatwiej jest rozpoznawać ślady po cieniach, które rzucają, choćby cienie te były całkiem małe.

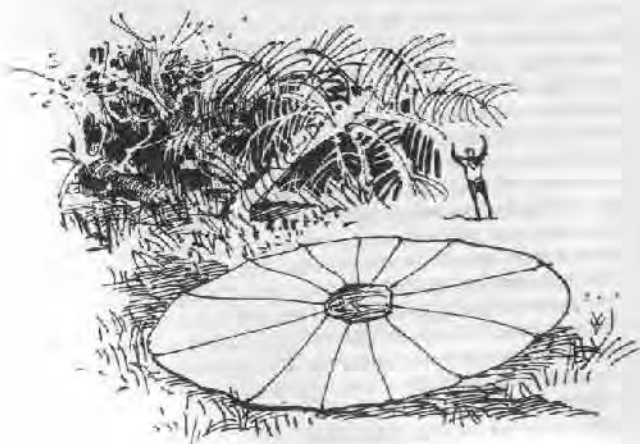
Gdy ma się pod dostatkiem drewna, powinno się stale utrzymywać ogień sygnałowy, a zwłaszcza wtedy, gdy jest więcej osób i jedna z nich zawsze może go dopilnować. Nocą za trwały sygnał służy jego jasny blask, a w ciągu dnia smuga dymu. Gdy niebo jest czyste, dym powinien być jasny, a gdy zachmurzone, ciemny. Dzięki temu sygnał jest bardziej kontrastowy.

Dokładając do ognia zielone gałązki, wilgotny mech i świeże konary uzyskuje się dużo dymu. Z oleju, benzyny, tłuszczu i podobnych substancji powstaje szczególnie ciemny dym, podobnie z węgla, smoły, dziegciu i żywicy sosnowej. Nie tak łatwo to ustalić wobec poszczególnych gatunków drzew. Im wyższa jest smuga dymu, tym lepiej. Automatycznie spełnia swoje zadanie, gdy jako sygnał dymowy rozsnuwa się na boki po okolicy. Łatwo ją z góry dostrzec, zwłaszcza nad ciemnozielonym lub zaśniedziałym lasem, a także nad lśniącoymi lustrami jezior. Nikogo, kto znajduje się w krytycznym położeniu, pulap ciemur nie powinien powstrzymywać od wysyłania sygnałów dymowych. Również dobrze może się zdarzyć, że nad pokrywą ciemur panuje słoneczna pogoda. Z krążącego w górze samolotu na jasno zostanie zauważony dym, zwłaszcza wtedy, gdy będzie się wyraźnie różnił kolorem od tła ciemur.

Samotny człowiek nie może ustawicznie czuwać przy ogniu sygnałowym.



Sygnal alarmowy stanowią rozłożone części ubrania, chustki lub w danym wypadku rozpostarte na ziemi spadochron



Jedynie od czasu do czasu będzie zapalał stos. Nawet gdy okoliczności nie zmuszają go do oszczędzania opału, ofiara nieszczęśliwego wypadku musi się ograniczyć do podpalania stosu w chwili, gdy zobaczy lub usłyszy samolot poszukiwawczy. Wtedy jednak, jak najszybciej muszą buchnąć płomienie, a dym wzniesić się do góry. Do szybkiego rozpalenia stosu drewna radzimy użyć smażni nasyconych benzyną. Gdy się ich nie ma, szybkie rozpalenie ognia ułatwią żagwie smolne, płyty kory natarte tłuszczem zwierzęcym, lub sucha trawa.

Mówiliśmy już o tym, że jeżeli w ciągu kilku sekund ma powstać śnieżnobiały dym, trzeba chlusnąć na ogień trochę wody. Ta nagła zmiana koloru musi zwrócić na siebie uwagę. Możliwa jest i całkiem odwrotna zmiana koloru. W tym celu trzeba się posłużyć wiązkami zielonych lub wilgotnych gałązek, które tylko tak długo trzymają się w ogniu, aż wzbije się do góry gęsty, czarny dym. Potem należy wyciągnąć wilgotne gałązki i odczekać, aż dym przerzedzi się i pojaśnieje. Zmieniający się kolor dymu najprawdopodobniej sam określa swoje znaczenie, dając do zrozumienia, że jest sygnałem alarmowym. Abstrahując od tego, że i pierwotnych mieszkańców chciałoby się zawiadomić, co się stało. Tam, gdzie obozowe ogniska są normalnym zjawiskiem, tylko niecodzienny dym może na siebie zwrócić pożądaną uwagę. Nocą każdego zaskoczy ogień, który na przemian rozjaśnia się i ciemnieje. Zmiany te można spowodować, zasłaniając ogień jakąś tkaniną lub na chwilę przykrywając gęsto ulistnioną gałęzią.

Oczywiście jeszcze lepiej nadawać sygnały lampą lub pochodnią, którą się na zmianę zapala i gasi. Za pomocą dymu lub ognia, pochodni lub lampy można także nadawać sygnały SOS. Ich kolejność jest znana: „trzy kropki, trzy kreski, trzy kropki”, a więc trzy krótkie sygnały, trzy długie i trzy krótkie. Po tych zmieniających się częstotliwościach nadawania sygnałów dymowych lub świetlnych i dzielących je przerwach, zawsze można rozpoznać sygnał SOS.

Podobnie jak sygnały optyczne można także wysyłać akustyczne sygnały SOS, o ile dysponuje się głośno brzmiącym instrumentem, na przykład klaksonem samochodowym, syreną okrętową lub gwizdkiem trzelowym. W ostateczności wystarczy garnek lub brylantyna, gdy będzie się nimi tłukło o siebie w rytmie SOS.

Do sygnalizowania za pomocą broni palnej trzeba by było zużyć zbyt wielu cennych naboików. Jakkolwiek nie istnieją reguły, w jaki sposób zawiadamić o krytycznym położeniu za pomocą wystrzałów, na ogół sygnałami alarmowymi są strzały następujące po sobie w równych odstępach czasu. A więc, na przykład, co trzydzieści sekund wystrzał.

Nie tylko myśliwy, lecz także każdy człowiek znajdujący się w terenie

Poszukującemu samolotowi nadają się sygnały dymne, okrywając i przykrywając ognisko



zwraca uwagę na strzały i zastanawia się, co oznaczają. W normalnych okolicznościach nikt nie może strzelać w równych odstępach czasu. Zazwyczaj w przyrodzie największa cisza panuje wczesnym rankiem i w godzinach popołudniowych. Wtedy strzały lub inne akustyczne sygnały można usłyszeć z większej odległości. Także i wieczór jest stosowną porą, żeby zostać usłyszonym. Wtedy właśnie ludzie wypoczywają przy ogniskach obozowych i najprędzej zwrócą uwagę na osobliwe dalekie odgłosy.

Sygnal SOS można także uwidocznić na ziemi za pomocą ciągnących się w prostej linii trzech kresek, trzech kropek i trzech kresek, jak najbardziej wyraźnych i jak największych. Sygnal alarmowy oznaczają także trzy ogniska nocą, ułożone w linii prostej i trzy sygnały dymowe za dnia.

Innym przyrządem sygnalizacyjnym jest lusterko, zwłaszcza gdy oczekuje się pomocy z określonej strony. Nawet kiedy ukaże się samolot poszukiwawczy, można mu podać sygnał świetlny, o ile tylko słońce nie świeci pod całkiem niekorzystnym kątem. Każdy błyszczący kawałek blachy, nawet wyczyszczona odwrótka zegarka mogą posłużyć jako prowizoryczne lusterko. Poza tym bywają specjalne lusterka przeznaczone do tego celu.

Obustronnie odbijają światło i w środku są przewiercone. Gdy się zauważy samolot, okręt albo człowieka i nie można samemu rozpoznać obiektu, trzeba bardzo dokładnie skierować na niego lusterko za pomocą małej dziurki. Ten, na kogo zostało skierowane, natychmiast to poczuje albo zobaczy. Rozejrzy się i bardzo prędko dostrzeże błyszczące lusterko.

Sygnały alarmowe dla poszukujących samolotów



Tu nie lądować



Wkrótce pójść dalej. W miarę możliwości proszę zczekać.



Potrzebna pomoc lekarska

Gdy pilot odebrał i rozpoznał sygnał alarmowy, macha skrzydłami. Robi to, pochylając samolot co chwilę, to w jedną, to w drugą stronę i tu wielokrotnie.

Gdy pilot zauważył sygnał, lecz nie zrozumiał go, samolot „kręci głową”. Przód samolotu pochyla się na przemian do dołu i unosi do góry.



Proszę rzucić wiadomości



Tak.



Nie



Proszę nas zabrać

Prawie wszyscy lotnicy umieją rozpoznawać określone pozycje ciała jako znaki sygnałowe.

Jeżeli wyłoży się lub wydepce długą ścieżkę, oznacza to, że albo ktoś chce się udać w danym kierunku, albo już poszedł. Wtedy gdy pilot powinien wskazać, gdzie można znaleźć pomoc, układa się albo wydeptuje na ziemi literę K. Gdy pilot może pomóc, macha skrzydłami swoje „zrozumiałem” i leci kilkaset metrów w tę stronę, w którą trzeba się udać. W przeciwnym razie, lecąc przez chwilę z tyłu, zawiadamia, że nie umie odpowiedzieć.

Wielki krzyż ułożony na ziemi oznajmia pilotowi, że albo się chce, albo musi pozostać na miejscu. Dobrze widoczny trójkąt powiadamia, że można tutaj lądować.

Zapalenie zielonych świateł pokładowych w samolocie oznacza „zrozumiano” i wręcz przeciwnie, gdy zabłysną czerwone światła, pilot „nie rozumiał”.

Kto umie posługiwać się alfabetem Morse'a, może za pomocą błysków lampy, lusterka lub znaków ogniowych nadać dokładną wiadomość. Naturalnie i odbiorca musi dobrze rozumieć ów alfabet. Każdy pilot, radiotelegrafista lub nawigator kiedyś się go nauczył, ale nie każdy pilot transportowy go zapamiętał, zwłaszcza że rozmowa przez radio w znacznym stopniu zastępuje porozumiewanie się alfabetem Morse'a.



Potrzebna pomoc techniczna!

Odbiór radiowy w porządku!

Proszę lądować!

Wszystko OK, nie czekać!

Gdy się dysponuje stacją nadawczą, zawsze trzyma się rozgrzaną baterię i dba się o to, żeby nie zamrzła nawet w czasie największych mrozów. Jeżeli bateria zamrznie, należy ją rozmrażać bardzo powoli i ostrożnie. Do wzywania pomocy korzysta się z międzynarodowej „ciszy w eterze”. Zaczyna się ona zawsze piętnaście minut przed i piętnaście minut po każdej pełnej godzinie czasu według Greenwich i trwa za każdym razem przez trzy minuty. W tym czasie można przerwać ciszę tylko w ostateczności. Niezależnie od wzywania pomocy, najważniejsze jest możliwie jak najdokładniejsze określenie pozycji. Jeżeli nie da się jej ustalić, muszą wystarczyć przybliżone dane. Także krótka charakterystyka terenu, wzmianka o łańcuchu górskim lub wskazówka dotycząca rzeki albo jeziora w znacznym stopniu mogą ułatwić poszukiwania.

Wszystko to należy przedsięwziąć, o ile okoliczności zmuszają do pozostania na miejscu.

Zanim podejmie się decyzję, co do pozostania lub odejścia, niezależnie od innych powodów należy starannie sprawdzić, czym się jeszcze dysponuje, a dotyczy to nie tylko prowiantu i ekwipunku, lecz także ubrań i butów.

Ważne jest też pytanie, czy z posiadanych, lecz nie nadających się do transportu, materiałów uda się urządzić kwatery. O ile w ogóle się je ma, trzeba się po dwukroć lub po trzykroć zastanowić, zanim się wyruszy w nieznane.

Wbrew rozpowszechnionemu pogładowi ocalała kabina samolotu nie jest szczególnie dobrą kwaterą. W czasie upałów jest w niej za gorąco, a w czasie mrozów za zimno. Zanim się nie uzyska całkowitej pewności, że nigdzie nie ma śladu przecieków paliwa, nie wolno w niej gotować, ogrzewać jej, czy coś podobnego. Nie ma w niej ani wyciągu dymowego, ani dobrej wentylacji. Wygodniej można się urządzić pod jednym z dwóch skrzydeł. Zwłaszcza gdy się rozporządza namiotem lub spadochronem, żeby ze wszystkich stron mieć pod skrzydłem należytą osłonę przed wiatrem i opadami.

Ten, kto pozostaje, musi w jakiś sposób postarać się o kwaterę i zabezpieczyć bagaż. Podczas każdego lotu i w czasie każdej wycieczki należy mieć przy sobie co najmniej podstawowy sprzęt do survivalu. Nawet w czasie początkowo łagodnie przebiegającego, przymusowego lądowania, samolot w każdej chwili może stanąć w płomieniach. Niewiele pomoże fakt, że w samolocie znajduje się kompletne wyposażenie do „przetrvania w skrajnych przypadkach”. Często brakuje czasu, żeby coś z niego uratować. Wtedy ofiara nieszczęśliwego wypadku ocala tylko to, co ma na sobie.

Miniaturowy pakunek ze sprzętem do survivalu powinien zawierać: mapę i kompas, nóż, tyłkę, kubek z lekkiego metalu, sto zapalek w należytym zabezpieczonym opakowaniu, linkę nylonową i haczyki do wędki, sześć do ośmiu metrów cienkiego drutu, dwie świece lub małą latarkę, witaminy w pigułkach, środek ochronny przeciwko insektom. Poza tym pięćdziesiąt gramów herbaty i dwieście pięćdziesiąt gramów koncentratu żywnościowego. Wszystko to w wodoszczelnym opakowaniu. Woreczek taki nie waży więcej, niż dwa do trzech funtów.

Znacznie bogaciej wyposażony jest gotowy worek survivalowy Hudson Bay Company (Kompania Zatoki Hudson), ważący jedenaście funtów. Dobierając zawartość, kompania mogła się kierować trzydziestoletnim doświadczeniem. HBC Emergency-kit (worek przysposobiony do krytycznej sytuacji, KZH) jest wodoodporny i pływal. Rozmiary pakunku wynoszą około trzydziestu pięciu na trzydzieści na osiem centymetrów. Niezależnie od wyżej wymienionych przedmiotów worek zawiera jeszcze trzysta gramów sucharów, czterysta pięćdziesiąt gramów masła, czterysta gramów marmolady truskawkowej, czterysta gramów mleka skondensowanego, trzysta gramów czekolady i dwieście pięćdziesiąt gramów koncentratu mięsnego. Zapas herbaty składa się z dwudziestu ośmiu porcji do zaparzenia. Poza tym znajduje się w nim jeszcze pięćdziesiąt pastylek witaminowych. Według informacji Hudson Bay Company, w normalnych okolicznościach zawartość opakowania wystarcza dla jednej osoby na siedem dni. W niecodzien-

nych okolicznościach można od biedy przeżyć dzięki tym zapasom przez cztery tygodnie.

Kto na domiar może się pochwalić posiadaniem broni myśliwskiej, amunicji, namiotu, śpiwora i naczyń kuchennych, a także siekiery lub pily, ten może długo, nawet bardzo długo czekać na ratunek.

Grupa składająca się z ponad trzech, czterech rozbitków lub zablakanych ofiar nieszczęśliwego wypadku, potrzebuje przewodnika. W przeciwnym razie planowe działanie i celowe przedsięwzięcia będą przeważnie niezwykle utrudnione. Jeżeli przedtem nikt z członków grupy nie cieszył się należytym autorytetem, na przywódcę należy wybrać osobę najbardziej doświadczoną. W razie wypadku samolotowego jest nią pilot, gdy rozbija się okręt, kapitan lub najstarszy stopniem członek załogi. O ile uzna on kogoś innego za bardziej odpowiedniego, może mu zlecić dowództwo lub zaproponować jego kandydaturę.

Pierwszym obowiązkiem dowódcy musi być troska o rannych i rozdzielanie pracy wśród pozostałych. Naturalnie będzie to zależało od ich fachowych umiejętności i od odporności psychicznej. Im bardziej sensowne zajęcia, tym chętniejszy wykonawca. Prace, które nie służą praktycznym celom, nie sprawiają satysfakcji, a w skrajnych przypadkach mogą nawet doprowadzić do buntu. Jeżeli taka praca trwa bez przerwy, sprowadza ponurę myśl i powoduje osobiste niesnaski.

Gdy tylko dojdzie do wypadku, obojętne w jaki sposób i z czyjej winy, własność prywatna staje się dobrem ogólnym. Na polowanie nie idzie każdy, kto przypadkowo ocalał broń, lecz najlepszy myśliwy. W podobny sposób postępuje się z wszelkimi przedmiotami należącymi do wyposażenia. Przywódca nie tylko przydziela pracę zgodnie z doświadczeniem i umiejętnościami, lecz także daje każdemu takie narzędzia, którymi najlepiej umie się posługiwać. Rzecz jasna, że zapasy żywności też stają się własnością całej grupy. Przywódca decyduje o tym, kto nimi zarządza i kto je rozdziela. Określa także dzienne racje żywnościowe i dba o sprawiedliwy podział. Im mniej jest do podziału, tym baczniejszą musi zwracać uwagę.

Jeżeli po dokładnym rozważeniu wszystkich za i przeciw dojdzie się do wniosku, że prawdopodobnie bardziej się opłaca osobiście pokierować akcją ratunkową, niż czekać na nią na miejscu, nie powinno się zwlekać z wymarszem dłużej niż to konieczne. O tym, czy wyruszy cała grupa, czy tylko kilka osób, podejmuje się decyzję zależnie od okoliczności. Podobnie, jak najpowolniejszy okręt decyduje o szybkości całego konwoju, kolumna marszowa nie może się posuwać szybciej od najwolniej idącego uczestnika. Kto nie może dotrzymać kroku reszcie drużyny, wkrótce staje się balastem. Zagroźliwym osiągnięciu powodzenia, a niekiedy nawet i bezpieczeństwu towarzyszy. Naturalnie, nikogo mniej lub bardziej nieporadnego dowódcą grupy nie

może pozostawić na łasce losu. Niezależnie od wszelkich skrupułów musi podjąć decyzję, czy zabrać najpowolniejszych, czy wysłać tylko dwóch najlepszych piechurów. Wyruszyliby razem, gdyż, jak poucza doświadczenie, dwie osoby maszerują lepiej niż człowiek samotny. Obaj wybrańcy zostaliby też jak najlepiej zaopatrzeni w żywność i ekwipunek, nawet gdyby się to miało stać kosztem innych. Gdyż od sukcesu lub niepowodzenia obu wysłanników w decydujący sposób zależałoby dobro całej grupy.

Jeżeli dowódca nie wie, z której strony istnieje największe prawdopodobieństwo znalezienia pomocy, wyśle drugą i trzecią grupę, o ile będzie miał do dyspozycji dostatecznie inteligentnych i silnych ludzi.

Gdy nie wiadomo, gdzie szukać ratunku, a przy tym ma się za mało ludzi, żeby ich we wszystkie strony porzysłać dwójkami, nie pozostaje nic innego, jak tylko w dwie, trzy lub cztery strony świata wysłać po jednej osobie. Byłaby to jednak decyzja przymusowa, jaką się niechętnie podejmuje.

Niezależnie od tego, czy ludzie wyruszą pojedynczo, czy dwójkami muszą oznaczać drogę, po pierwsze dlatego, żeby sami mogli odnaleźć grupę w razie, gdyby nie znaleźli pomocy, a po drugie dlatego, żeby drużyna ratownicza mogła jak najszybciej odnaleźć tych, którzy pozostali. Często się bowiem zdarza, że wysłannicy są za bardzo wyczerpani, żeby móc wracać z ratownikami na miejsce wypadku. Ci, którzy wyruszają w drogę, muszą przedtem ustalić z pozostałymi odpowiednie sygnały, łatwe do zrozumienia z jak największej odległości: sygnały dymowe lub ogniowe, strzały lub inne znaki. Jeżeli wysłannicy w zawczasu ustalonym terminie nie znajdą pomocy, wracają na miejsce wypadku. Pozostaje on centralnym punktem spotkań wszelkich ekspedycji. W razie gdy główna grupa zostaje szczęśliwie wyratowana, natomiast zablakła się jeden z wysłanników — na miejscu wypadku zostawia się dla niego wiadomość, żywność i ekwipunek. Trzeba tam stale zaglądać, dopóki nie straci się wszelkiej nadziei, że kiedykolwiek zjawi się na umówionym miejscu.

Gdy wyrusza cała grupa, dowódca pozostawia na miejscu wypadku wiadomość, zawierającą wszelkie dane o tym, co zasłano i jakie są jego zamiary. Wymienia liczbę uczestników, określa ich stan zdrowia i rodzaj wyposażenia. Podaje dzień i godzinę wymarszu oraz obrany kierunek, a w miarę możliwości cel zamierzonej marszrut. Niezależnie od tego oznakowuje się drogę, żeby w razie czego drużyna ratownicza mogła odnaleźć ofiary wypadku. Nawet wtedy, gdy nie ma żadnej nadziei, że będzie się poszukiwanym i zauważonym, miejsce wypadku może zostać odkryte całkiem przypadkowo. Dlatego też ci, którzy szykują się do wymarszu, muszą zrobić wszystko, żeby potem można ich było odnaleźć. Powinni na wszelki wypadek pozostawić odpowiednie wskazówki. Ochronione przed opadami miejsce, w którym

znajduje się ta wiadomość, trzeba oznaczyć w sposób rzucający się w oczy, żeby nikt przechodzący w pobliżu nie przeoczył go. Układa się więc na ziemi długie strzałki z kamieni, drewna lub gałęzi, które wskazują kierunek. Z daleka widoczna, zawieszona na gałęzi blaszana puszcza, na pewno zwróci uwagę każdego obcego.

Z braku przyborów do pisania, zamiast papieru używa się kory, a zamiast słówka, kawałka węgla drzewnego. Najważniejsze informacje można też wyryć nożem na piłu.

Zabłąkanemu nie wolno się zdać na przypadek i na los szczęścia, musi liczyć na własny rozsądek. Kto usiłuje poprawić sytuację bezplanową bieganiną, zwykle jeszcze bardziej się zagubi. Nic nie jest tak zwodnicze, jak „niezawodne przeczucie”, że należy pójść w danym kierunku. Gdy zabraknie innych wskazówek, na pewno nie pójdzie się prosto, tylko zacnie się krążyć. Calvin Rutstrum, znany amerykański ekspert survivalu, opisuje w książce „The new way in the Wilderness” („Nowa droga wśród bezdrozy”) wyniki wielu doświadczeń przeprowadzonych przez amerykańskie uniwersytety, które miały na celu zbadanie ludzkiego poczucia orientacji. Testowano tylko te osoby, które twierdziły, że zawsze potrafią pójść prosto w obranym kierunku, nawet z zawiązanymi oczami. Byli to przewodnicy myśliwscy, traperzy, geometrzy, marynarze i lotnicy. Pozostawiono ich w całkowicie płaskim terenie, pozbawionym dróg, dokąd nie docierały żadne odgłosy ulic, domów itd. W czasie przeprowadzania kolejnych testów niebo było pokryte chmurami i panowała bezwietrzna pogoda. Uprzednio, mniej więcej w odległości pięciu kilometrów od punktu wyjścia, rozpięto pomiędzy dwoma palikami kolorowy płócienny ekran. Był to cel, do którego miało dojść dwunastu mężczyzn, każdy indywidualnie i z zawiązanymi oczami. Dano im przedtem dostatecznie dużo czasu, żeby mogli obejrzieć teren i dokładnie zapamiętać kierunek. Dopiero potem założono im na twarze czarne maski.

Żaden z nich nie doszedł do płótna, a nawet się do niego nie zbliżył. Wszyscy chodzili w kółko. Przy czym przeważnie zwracali się na prawo. Błądzenie każdego uczestnika zostało zarejestrowane na wykresie, a wykresy zostały na siebie nałożone. Niekroć powtarzano podobne próby, wniosek był taki sam: człowiek pozbawiony jest poczucia orientacji. Poczucie to niemiennie i za każdym razem wprowadza go w błąd.

Przeważa pogląd, że błądzenie w kółko spowodowane jest różną długością nóg.

W praktyce zawsze kierujemy się znakami orientacyjnymi. Toteż zabłąkany nie może „zabłądzić w sposób beznadziejny”, dopóki pozostaje przy zdrowych zmysłach.

Gdy tylko sobie uświadomi, że się pomylił, musi się natychmiast zatrzy-

mać. Powinien zrozumieć, że jak dotąd, na pewno wciąż jeszcze znajduje się na właściwej drodze.

Miejsce, w którym uświadamia sobie pomyłkę, jest „punktem krytycznym”. Musi tu pozostawić wyraźny znak rozpoznawczy. Powinien też zostawić wiadomość, podając dzień, godzinę, nazwisko i informację dotyczącą dalszych planów. O ile uda się ustalić strony świata — co w czasie dobrej pogody nie następuje trudności — najpierw wyrusza się zgodnie z nimi, a więc na wschód, zachód, południe lub północ. Jeżeli wbrew oczekiwaniom nawet w przybliżeniu nie uda się ustalić stron świata, winno się postępować zgodnie z zasadą „muszki i szczerbinki”, a więc maszerować wzdłuż wyznaczonej linii, łączącej ze sobą dwa określone punkty. Gdy dojdzie się do wyznaczonego miejsca, przedłuża się linię, obejmując nowy punkt, leżący na wprost. Za cel można obrać każdy głaz i pagórek, każdy wierzchołek drzewa i każdy krzak.

Przed wszystkim zabłąkany musi znaczyć drogę poszukiwań odrabując korę, układając odłamane gałęzie lub w jakikolwiek inny sposób. Nawet gdy się przypadkowo obejrzy, będzie się mógł przekonać, czy posuwa się w prostej linii. Jeżeli będzie musiał omijać przeszkody, powinien potem korygować odchylenia.

Przyjmijmy, że zabłąkany z całą pewnością jeszcze przed dwiema godzinami był na właściwej drodze, a po dwóch i pół godzinie marszu w prostej linii nie odnalazł ani właściwej drogi, ani znajomego miejsca, bo znajdują się one gdzie indziej. Wraca więc do punktu wyjścia, to znaczy do „punktu krytycznego”. Ponieważ porobił znaki, które wskazują mu drogę, nie może zabłądzić. Po powrocie i odpowiednio długim odpoczynku wyrusza na dwie i pół godziny w odwrotnym kierunku. Jeżeli i tym razem bez rezultatu, wychodzi z punktu wyjścia najpierw na prawo, potem na lewo, zawsze zgodnie ze stronami świata i wytyczonym celem. Nie wolno mu zapominać o tym, że musi wyraźnie oznakować drogę. Dzięki temu — niezależnie od okoliczności — prędzej czy później musi trafić.

Przed kilkoma laty, w Laponii, przekonałem się, jak łatwo się można omylić. Po przybyciu do Kautokino ujrzałem na skraju drogi kilka pardw i chciałem je sfotografować. Ptaki podreptały do lasu, a ja za nimi. Ponieważ przez cały czas poruszały się, nie mogłem nacisnąć wyzwalacza i w końcu straciłem je z oczu. Drepcząc tu i tam zapomniałem o zapamiętaniu punktów orientacyjnych. Nie wiedziałem już, gdzie jest droga, nie miałem ani mapy, ani kompasu, niebo było pochmurne i nigdzie nie widać było ani góry, ani wzniesienia. W końcu za pomocą wyżej wspomnianej metody odnalazłem drogę, ale dopiero wraz z zapadnięciem ciemności. Po trzykroć szedłem w złą stronę. Na koniec okazało się, że feralne miejsce znajdowało się raptem o piętnaście minut drogi od samochodu.

Jeżeli zabłąkany miał towarzyszy, powinni oni zrobić wszystko, żeby mu ułatwić powrót. Dokonuje się tego za pomocą sygnałów optycznych i akustycznych. W regularnych odstępach czasu daje się znać klaksonem albo syreną okrętową lub co kwadrans strzela się w powietrze. Bicie w garnki i użycie gwizdka trolejowego też słychać na milę. Odgłosy uderzeń kijem o puste drzewo lub o łódź noszą dalej niż nawoływania. Przyjaciele nadają z obozu znaki za pomocą dymu, a w nocy jak najwyżej zawieszają dwie lampy.

Osoby znajdujące się w obozie udają się na poszukiwanie dopiero wtedy, gdy dojdą do przekonania, że zagubiony mimo sygnałów nie może trafić. Jeżeli się go nie znajdzie, trzeba przyjąć, że nie da się mu już pomóc i być może jest ranny. Mimo to jedna lub dwie osoby powinny zostać w obozie, żeby kontynuować sygnalizowanie.

Także i ci, którzy szukają, muszą zaznaczać drogę własnych poszukiwań nawet wtedy, gdy znają okolicę. Gdyby zagubiony natknął się na zrobione przez nich znaki, dopomogłyby mu one w odnalezieniu drogi do obozu. Z drugiej strony, jak już o tym była mowa, znaki porobione przez zabłąkanego ułatwiają poszukiwania.

Gdy ktoś zgubił właściwą drogę, a widzi, że się zmierzcha, pod żadnym pozorem nie powinien iść dalej. Także mgła, ulewny deszcz i w ogóle wszystko, co utrudnia widoczność, zmuszają do pozostania na miejscu. Jakkolwiek przez pewien czas będzie niezbyt przyjemnie, zawsze to lepsze, niż błądzenie w kółko, licząc na łut szczęścia. Złamanie kości, uraz oka lub upadek mogą dla zabłąkanego być równoznaczne z ostateczną klęską. Jeżeli stale trzeba się poruszać, żeby nie zmarznąć, nie powinno się krążyć, tylko czynić to, stojąc w miejscu.

A jak się przedstawia sprawa z dzikimi zwierzętami? Tylko muchy i moskity muszą z natury rzeczy atakować stworzenia ciepłokrwiste, natomiast na dobrą sprawę właściwie wszystkie zwierzęta unikają ludzi. Oczywiście należy je zostawić w spokoju. Naturalnie wyjątki potwierdzają regułę. Jadowity wąż ukąsi tylko wtedy, gdy się na niego nieopatrznie nadepnie lub przypadkowo przejdzie się zbyt blisko, prowokując gada do obrony.

Dotyczy to także większych i całkiem dużych zwierząt. Jeżeli wbrew wszelkim oczekiwaniom dzikie zwierzę napada na człowieka, zwierzęciem tym wyjątkowo rzadko bywa przewodnik stada lub po prostu samiec. Przeważnie jest to matka, która się boi, żeby zaniechać z blizy się do młodych. Tak więc zawsze należy ją obejść z daleka. Małe lwy, tygrysy i niedźwiadki prawie nigdy nie są same. Matka może być niewidoczna, ale na pewno nie znajduje się daleko od małych. Kiedy do młodych zbliża się człowiek, instynktownie wzywają pomocy. Małe drapieżniki też bronią swoich młodych z bezprzykładną odwagą.

Kto z zasadzki postrzeli drapieżnika, musi być przygotowany na kontratak. Każde zwierzę ma prawo bronić własnej skóry. Jednak bez określonych powodów prawie żadne zwierzę nie zaatakuje człowieka.

Jedyny wyjątek stanowi „ludojad”, a więc żywiący się ludzkim mięsem tygrys, lew albo lampart. Są to z całą pewnością zwierzęta, które ze względu na podeszły wiek lub ciężkie kalectwo nie są już zdolne do upolowania innej zdobyczy. Z konieczności muszą się zadowalać ludzkim mięsem. Tych niebezpiecznych biedaków jest jednak tak mało, że można spędzić całe życie w tropikalnej dżungli, nie spotykając „ludojada” lub znając go tylko ze słyszenia. Zresztą atakują one jedynie siedzących lub leżących. Boją się wszystkich stworzeń większych od siebie.

Czytało się jednak wiele o wilkach, które rozszarpały samotnych wędrowców i wyły zgłodniałe w ślad za psimi zaprzęgami. W rzeczywistości szare cienie dzikiej północy są równie bojaźliwe, jak tchórzliwe. Na przykład na Alasce od dawien dawna nie słyszano o tym, żeby wilki skrzywdziły człowieka. Owszem, zdarza się, że wilki ciągną w ślad za wędrowcami, przede wszystkim za myśliwymi, żeby pożerać resztki łupu i posiłku. Jeżeli człowiek zginie wśród pustkowi, jest rzeczą naturalną, że wilki pożerają jego zwłoki. Kiedy zostają odnalezione szczątki, z miejsca twierdzi się, że nieszczęśnik został za życia rozszarpány przez stado wilków.

Kto sądzi, że zagrażają mu dzikie zwierzęta, w większości wypadków zerknął się z ciekawością tych stworzeń lub zniechęca je zaskoczył. Najgorszym wyjściem bywa w takich wypadkach ucieczka. Pobudza ona tylko popęd do ścigania i do śledzenia z bliska uciekiniera. Należy się zatrzymać i sprawiać wrażenie nieszkodliwego. Uspokajającym działają także powolne, przyjazne przemawianie. Zwierzęciu zależy jedynie na tym, żeby usnąć, kim jest ta obca istota. Chce tylko zwęszyć i nawet może podejść bardzo blisko, gdy człowiek stoi pod wiatr. Ale ludzka woń na pewno nie spodoba się zwierzęciu. Niechętnie, a nawet z odrazą oddala się.

A jak się przedstawia sprawa z dzikimi plemionami? Gdy są stworzeniami bardzo prymitywnymi, a więc prawdziwymi dziećmi natury, które nie zetknęły się jeszcze z cywilizacją (obecnie należy to do rzadkości), nagle pojawienie się obcego wywołuje w nich strach i przerażenie. Trzeba się bardzo starać, żeby się zaprezentować jako osoba spokojna i nastawiona pokojowo. Pokazywanie pustych dłoni jest na całym świecie rozumiane jako gest pokojowy. Oznacza on, że nie ma się w rękę broni. Także pogodny uśmiech zawsze usposabia pokojowo. Należy się wystrzegać czynienia gwałtownych gestów i nie zbliżać się za szybko, lecz zatrzymać się w pewnej odległości.

Ludziom pierwotnym trzeba pozostawić trochę czasu, żeby mogli ochłonąć. Dopiero potem chcą obejrzeć rzadkiego gościa z bezpiecznej odległości. Wiele zależy od tego, po czyjej stronie jest przewaga liczebna — po stro-

nie tubylców czy obcych. Kiedy zabłąkany spotka samotnego mieszkańca lasów, ten przeważnie zwraca, żeby zaalarmować swoich współplemieńców. Sam wprawdzie znika, lecz wkrótce z gestwiny obserwuje przybysza wiele par oczu. Gdy się przekonają, że jest nieszkodliwy, a nawet potrzebuje pomocy, pojawia się jeden obserwator po drugim.

Gdy „dzicy” raz odkryli przybysza, już nie spuszcza go z oka. Tylko wtedy napadną w złych zamiarach, gdy poczują wroga. Ktoś całkiem obcy nie jest jednak uważany za wroga, nie ma ku temu podstaw. Jeżeli ludzie pierwotni mają wrogów, których się boją i których nienawidzą, są nimi przeważnie sąsiednie lub spokrewnione plemiona. Kiedy zjawia się istota obcej rasy, najpierw przyglądają się jej ostrożnie i zbliżają się pełni nieufności. Potem zwycięża ciekawość i chęć zawarcia bliższej znajomości. Reszta zależy przeważnie od zachowania obcego. Ten, kto prawie nie zna języka tubylców przemawia cicho i przyjaźnie swoim własnym językiem. Mówi wszystko, co ma do powiedzenia, jak gdyby rozumieli każde słowo.

Tubylcy ze swej strony śmieją się i rozmawiają. W każdym razie zostają nawiązany rodzaj rozmowy, a to stwarza przyjazny nastrój. Dopomaga się sobie rozmową na migi i stwierdza się ze zdumieniem, że za pomocą rąk i odpowiednich mim można wypowiedzieć mnóstwo rzeczy. Kto się klepie po brzuchu, jest głodny, kto z zamkniętymi oczami pochyla głowę na bok, pragnie odpocząć.

Uguszczenie obcego, którego się spotkało wśród dzicy, wydaje się być niepisany prawem wszystkich ludów na kuli ziemskiej. Po pewnym czasie dzicy dojdą do przekonania, że obcy znów chciałby się spotkać ze swoimi współplemieńcami. Zabłąkany prawie na pewno może liczyć na to, że wyślą posłańca do najbliższych białych, żeby ich zawiadomić o jego obecności. Jeżeli w ich zasięgu nie ma białych, wiadomość zostaje przekazana do jakiegokolwiek „nadrzędnego miejsca” bądź to do naczelnika plemion, bądź też na posterunek policyjny lub do urzędu pocztowego. Niezależnie od miejsca i sposobu, pojawienie się obcego zostanie natychmiast zameldowane i ktoś po niego przyjdzie. Także i biały sam powinien wyraźnie dać do zrozumienia, że chciałby, żeby go odprowadzono do miejsca, skąd sam już trafi. Jeżeli zabłąkany nigdy przedtem nie był w danej okolicy, łatwo może się zdarzyć, że krajowcy już od dawna będą wiedzieli, gdzie znajdują się jego przyjaciele. Wtedy ich zawiadomią albo zaprowadzą do nich zabłąkanego.

Prezenty należy rozdawać z umiarem, bo przeważnie wzbudzają tylko pożądlivość. Najpierw trzeba się dowiedzieć, kto wśród tubylców cieszy się największym autorytetem. Początkowo obdarowuje się tylko jego. Jeżeli komukolwiek przedtem da się jakikolwiek prezent, przywódca mógłby się obrazić.

Wszystkie narody kochają dzieci, a zwłaszcza plemiona pierwotne. Kto odnosi się przyjaźnie do dzieci i zyska ich sympatię, zjedna sobie całe ple-

mię. Ale do kobiet i dorastających dziewcząt, niezależnie od okoliczności należy się odnosić z rezerwą. Jeżeli istnieje swoboda obyczajów, nie ma się żadnej pewności, że dotyczy ona także i obcych. Wszyscy prości ludzie mają poczucie humoru, a zwłaszcza ludzie pierwotni. Popisują się swoimi żartami i kawałami również przed obcymi. Im bardziej się z nich śmiejemy, tym bardziej się im podobamy. Ale najlepsze wrażenie sprawia ten, kto pomaga w codziennej pracy, choćby to robił bardzo niezręcznie.

Nie wolno filmować ani fotografować, jak również malować ani szkicować, dopóki nie uzyska się całkowitej pewności, co do reakcji pierwotnych ludzi! Często spotyka się przesąd, że za pomocą fotografii lub obrazu „zabiera się duszę”.

Najbardziej nieprzyjaźnie nastawiona do obcych jest przede wszystkim młodzież w na wpół ucywilizowanych krajach. Na skutek naiwnej propagandy, albo tendencyjnie złośliwych „wyjaśnień”, ci młodzi ludzie poczytują każdego obcokrajowca z aparatem filmowym i szkicownikiem, za szpiega działającego we wrogich zamiarach. Kto zostanie spotkany z dala od trasy turystycznej, tak czy owak jest podejrzany, tym bardziej gdy zabłądził i twierdzi, że nie wie, gdzie się znajduje. Jeżeli się całkiem bezwiednie przekroczyło granicę tych państw, nie tak prędko wyjdzie się z więzienia.

Jak już o tym była mowa: należy się zachowywać zgodnie z obyczajami krajów, przez które się przechodzi.

Trzeba wiedzieć, że ten, kto gości w namiocie beduina musi wypić trzy szklanki herbaty i że do islamskich świątyń nie wolno wchodzić w butach. W niektórych krajach za ciężkie wykroczenie przeciw religii uważane jest dotknięcie główki dziecka czy też przepędzenie świętej krowy. Zawsze powinno się uważać, żeby nie urazić uczuć religijnych i nie przeszkodzić w obrządkach uznawanych za święte. Rażących, a nawet śmiesznych przesądów też nie wolno krytykować przy ludziach wierzących w podobne nonsensy. Choć czasami bierze nas wstęć, trzeba jakoś przelknąć jadło i napoje, którymi częstują gospodarze. Gdy okazuje się to wręcz niemożliwe, należy się powołać na osobiste tubu i wyraźnie dać do zrozumienia, że z wielkim żalem rezygnuje się z tych pyszności.

Im bardziej prymitywni są ludzie pierwotni, wśród których się znajduje, tym łatwiej być z nimi w zgodzie. Powikłania i komplikacje zaczynają się dopiero tam, gdzie dotarły zdobycze cywilizacji, pozostając całkowicie niezrozumiałe. Gdy rozprzestrzeniły się slogany polityczne, których sens jest prawie niezrozumiały, biały znajduje się niejednokrotnie w trudnej sytuacji. Wszelkie bowiem zarzury zwracają się z dziecięcym wręcz uogólnieniem także przeciw niemu. Dyskusje na ten temat są zupełnie bezcelowe.

Czy się zabłądziło, czy nie, czy potrzebuje się pomocy, czy jest się w najlepszej kondycji, nie powinno się podchodzić do domostwa ludzi żyjących

samotnie na ustroniu, zwłaszcza wtedy, gdy się myśli, że mieszkają w nim biali. Uchybitoby to dobrym obyczajom. Dom taki sprawia wrażenie, że jego mieszkańcy wolą uniknąć spotkania z wami, lub że mieszkają w nim ludzie, którzy nie mogą albo nie chcą udzielić gościny. Nie powinno się ich napastować. Nie mijają się jednak bez słowa drzwi domostwa tylko, podobnie, jak w krajach arabskich, odchodzi się z należytą kurtuazją, zwracając na siebie uwagę za pomocą okłasków, lub miejscowych pozdrowień. W Kanadzie, na Alasce i w Australii, a także w USA zwykle się wołać „hello... the hous” (hallo, dom!). Zbliżamy się dopiero wtedy, gdy zjawia się ludzie i dadzą znak skinieniem. Już choćby dlatego wskazane jest ukazywanie się z pewnej odległości, żeby nie zostać napadniętym przez psy, pilnujące każdego ustronnego domu. Psy pilnują terenu, którego nie śmie przekroczyć nikt obcy. Na odludziu bywa on znacznie większy, niż na terenach gęsto zaludnionych.

Jeżeli za pierwszym napotkanym domem znajduje się drugi, stamtąd widać następny, a pomiędzy słupkami jest druciana siatka i warczą motory, znaczy to, że chwilowo kończy się droga przez odludzie.

Dla tego jednak, kto nadchodzi z przeciwnej strony, mijany dom, wylaniający się z wyziewów spalin jest ostatnim.

Tam, gdzie kończymy naszą wędrówkę, zaczyna się jego droga przez pustkowia.

Spis treści

Co to jest survival?	5
Iskry i ogień	10
Woda na odludziu i na pustyni	21
Ogniska obozowe we wszelkich okolicznościach	35
Jaki dach nad głową?	44
Dom z bierwion w ciągu ośmiu dni	70
Spanie w śniegu i lodzie	90
Żywność jest wszędzie	104
Polowanie bez broni	111
Można mieć także i ryby	128
Polowanie wymaga rozsądku	143
Prymitywna i nowoczesna broń	162
Kuchnia pozbawiona komfortu	175
Jak się ubierać?	204
Co ze sobą zabrać?	218
Poprzez bezdroża dżaikach osępów	234
Zabłąkany, lecz nie zaginiony	264